



# ROZTOPY

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow

**Jędrzej Pasierski**

# **Roztopy**



**Wołowiec 2019**

Seria „Ze Strachem”:

Lotte i Søren Hammer *Wszystko ma swoją cenę*

Matti Rönkä *Przyjaciele z daleka*

Kjell Ola Dahl *Wierny przyjaciel*

Bernhard Jaumann *Godzina szakala*

Johan Theorin *Święty Psychol*

Friedrich Ani *Ludzie za ścianą*

Lars Kepler *Świadek* (wyd. 2)

Thomas Enger *Żądza krwi*

Kjell Ola Dahl *Lodowa kąpiel*

Bernhard Jaumann *Kamienista ziemia*

Jean-Luc Bannalec *Śmierć w Pont-Aven*

Lars Kepler *Piaskun*

Johan Theorin *Duch na wyspie*

Johan Theorin *Zmierzch* (wyd. 2)

Martín Solares *Czarne minuty*

Jean-Luc Bannalec *Sztorm na Glenanach*

Johan Theorin *Nocna zamieć* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Wampir*

Anna Kańtoch *Łaska*

Lars Kepler *Stalker*

Wojciech Chmielarz *Podpalacz* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Osiedle marzeń*

Wojciech Chmielarz *Farma lalek* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Przejęcie* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Zombie*

Anna Kańtoch *Wiara*

Jędrzej Pasierski *Dom bez klamek*

Więcej informacji: [czarne.com.pl](http://czarne.com.pl)

Projekt okładki  
Magdalena Palej

Projekt typograficzny  
Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce  
© by Massimo Discepoli / Arcangel; Jinny Goodman / Arcangel;  
Evannovostro / Shutterstock; Woe / Shutterstock

Fotografia Autora  
© by Mikołaj Starzyński

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2019

Opieka redakcyjna  
Małgorzata Uzarowicz

Korekta  
d2d.pl

Redakcja techniczna  
Robert Oleś / d2d.pl

Skład  
Ewa Ostafin / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-809-9

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.  
czarne.com.pl

Wydanie I

Najlepszym recenzentkom:  
Mamie, Agnieszce, Magdzie i Tosi

Joanna Pascho ponownie nacięła cystę. Tym razem bardzo precyzyjnie. Z torbieli wylała się krew, a za nią, jak wyciśnięta z tubki, gęsta białozółta substancja. W gabinecie rozszedł się mdlący zapach sera.

– Wreszcie będę mógł się umówić na randkę – oświadczył pacjent, młody mężczyzna, który trafił do niej dzięki poczcie pantoflowej.

Żeby sama mogła tak powiedzieć. Na szczęście dochodziła już czwarta w czwartek. A to oznaczało jedno: początek trzydniowego weekendu; kolejna z zalet otwarcia gabinetu dermatologicznego Karamed. Zostawiając niedokończoną papierologię, wskoczyła do garbusa zaparkowanego przed budynkiem. Śpieszyła się, żeby nie utonąć w korkach, które nękały nawet niespełna trzydziestotysięczne Gorlice. Wszystko w tym mieście chodziło według innego harmonogramu niż w Warszawie. Sklepy zamykano o piątej, knajpy o siódmej, zaś korki zaczynały się już po trzeciej. A Joannie szczególnie zależało dziś na czasie.

Poszło całkiem nieźle. Po piętnastu minutach mijala stojący na miejskich rogatkach komunistyczny gmach szpitala miejskiego, a później grzała już pustą, pagórkowatą szosą prowadzącą w stronę Słowacji.

Szybko po przeprowadzce okazało się, że jej samochód, ukochany „Żółty”, pasował do lokalnych dróg jak pięść do nosa. Pierwsze salonowe auto w życiu Joanny wyraźnie męczyło się na błotnistych, kamienistych i przede wszystkim dziurawych drogach Beskidu Niskiego. Garbusem przewiozła większość swojego dobytku z Warszawy i czuła się jak zdrajczyni, przeglądając katalogi pojazdów z napędem na cztery koła. Samochodów, na które nie było jej jeszcze stać, na które była jednak skazana, od kiedy zamieszkała w Bukowcach, maleńkiej wsi położonej na stoku Warnicy. Garbus zwyczajnie nie był

przygotowany na drogę, która już od wjazdu na Przełęcz Warnicką miała więcej dziur niż nowy budżet rządu.

Kiedyś była to chyba szosa, jednak teraz, w 2014 roku, Joanna uważnie lawirowała autem, wyłapując resztki asfaltu w nadziei na zachowanie podwozia „Żółtego”. Za to krajobraz, który wyłaniał się, gdy wjeżdżała na szczyt połoniny, był oszałamiający – jedyny w swoim rodzaju i wart wszelkiego cierpienia. Bukowce widać w dół i gdy Joanna mijała pierwszy od wjazdu do wsi budynek, pensjonat Kora, mogła zobaczyć swoją ziemię, a nawet fragment dachu nowo budowanego domu.

Z domem był ostatnio problem, a problem, jak jej powiedziano, przesiadywał w barze Potoczek w Odwieży, ostatniej miejscowości przed wjazdem serpentynami na Przełęcz Warnicką. Kilka tygodni wcześniej przyszłość budowy pod pewnym kierownictwem Sławka Fuszary rysowała się w jasnych barwach. Teraz ta przyszłość utknęła w mgłę gęstej jak powietrze w Potoczku.

Joanna zaparkowała garbusa na placyku przed barem i przełknęła ślinę. Po prawej stronie majaczył masyw niemal ośmiusetmetrowej Warnicy, a gdzieś za szczytem góry leżały Bukowce. Tak bardzo chciała już tam być, zaszyć się z książką przed rozpalonym piecem kaflowym. Nie lubiła konfrontacji, zwłaszcza w tym górskim świecie, w którym postrzegano ją jako intruza i w którym wciąż jeszcze poruszała się po omacku.

W Potoczku pachniało mieszanką spirytusu, papierosów i brudnej łazienki, choć toalety w lokalu nie zauważyła. Zakazu palenia albo nie respektowano, albo sam bar zaczął po latach śmierdzieć kiepem. Barmanka nie zaszczyciła jej spojrzeniem, a Mariusza Nicińskiego Joanna dostrzegła dopiero po chwili. Siedział z kolegą, a twarz miał okropnie zapuchniętą. Z bliska zobaczyła, że na ławie, pochrapując, drzemie jeszcze jeden kompan, a i samemu Nicińskiemu daleko do stanu przytomności.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do mężczyzny. Na stole stały brudne kieliszki i w połowie pusta flaszka wódki, której trochę rozlało się na dziurawą ceratę w wyblakłe kwiaty.

– Wczoraj nie przyszedł pan do pracy. Razem to już dwa dni –

oznajmiła, siłąc się na zdecydowany ton, w głębi drząc jak osika.

Majster nawet nie podniósł głowy.

– Dałam panu pieniądze – powiedziała ostrzej.

Łypnęła na nią w końcu złowrogo. Gdyby zaufała wtedy samej sobie i nie zatrudniała człowieka o tak chytrych oczach... O tym właśnie pomyślała, kiedy się poznali. A teraz było już o kilka tysięcy złotych za późno.

– Odpierdol się – wymamrotał Niciński, przeciągając sylaby, po czym wygrzebał papierosa i zapalił od drugiej zapałki.

Rozejrzała się, tak jakby ktoś miał zareagować na te słowa. Wzbudziły jednak nikłe zainteresowanie pozostałych gości baru i zerowe barmanki. Joanna tkwiła teraz w gryzącej chmurze dymu i poczuła ogromną bezradność. To najbardziej dotkliwie uczucie niewiedzy, co ma dalej robić. Zapłaciła Nicińskiemu z góry. Bolesna prawda, że jest tu, w górach, zupełnie sama, dotarła do niej w całej okazałości. Nie miała nikogo.

Niciński rzucił jej kolejne taksujące i zaskakująco bystre spojrzenie: jakby szacował, czy jeszcze da radę ją trochę naciągnąć. Nie mogła tego znieść, tak samo jak odoru knajpy. Odwróciła się.

– Tak łatwo pani odpuści? – Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, obserwował ją z przyjaznym rozbawieniem w oczach i uśmiechem w kącikach ust.

Znała go już z widzenia. Z perspektywy bukowieckiej drogi patrzyła na tę wysoką, przygarbioną sylwetkę i bujną szpakowatą czuprynę, kiedy kręcił się po podwórzu albo palił przed swoją pracownią. Nie miała jednak odwagi, by podejść i zagadać, a i w Korze nigdy go nie zastała. Mimo że podobno znał się z Łowickimi, właścicielami, całkiem nieźle. Facet był pod pięćdziesiątkę, miał gęsty i obficie przetykany siwizną zarost sięgający aż pod oczy. Te oczy były ciemnozielone albo jasnopiwe i bardzo żywe, co dostrzegła nawet w barowym półmroku.

– Przepraszam... – zaczęła, niezdecydowana, czy akurat teraz powinni się zapoznać. A tak naprawdę walczyła z paniką; miała ochotę wskoczyć do garbusa i uciec. Nawet nie do Bukowców, ale



jeszcze dalej.

– To mi się nie podoba – rzucił. – Zapłaciła mu pani, sam słyszałem. Robotę trzeba dokończyć.

– Ja...

– Proszę poczekać – powiedział.

Podszedł do zmęczonej życiem barmanki, która nieco ożywiła się na jego widok i oderwała od smartfona. Mężczyzna szepnął jej coś do ucha. Barmanka pokręciła głową, a po chwili wyszła zza lady leniwym krokiem.

– Koniec picia na kreskę – oznajmiła Nicińskiemu i Joanna ze zgrozą pomyślała, że zapłaciła majstrowi trzy tysiące złotych. – Płacić i wychodzić z lokalu. Wracajcie do żon, chłopaki.

Najwyraźniej to Niciński stawiał, bo kolega wbił w niego pytający wzrok. Ten trzeci, pochrapujący dotąd na ławie, niespodziewanie się wybudził, być może na hasło picia. Brudnymi pięściami przecierał sobie oczy, rozglądając się dookoła.

Niciński popatrzył na barmankę spod byka, wzruszył ramionami, po czym chwycił flaszkę i zaczął polewać jak gdyby nigdy nic. Sękate dłonie trzęsły mu się jednak i marnował połowę: wódka lała się po ceracie, potęgując woń alkoholu.

W oczach kobiety błysnęła złość. Wyrwała butelkę z rąk majstra.

– Nie słyszałeś, co mówiłam? – warknęła. – Wynocha! Za darmo pić u mnie nie będziecie. Podobno praca czeka.

Niciński spiorunował Joannę spojrzeniem. Jednak mężczyźni w końcu się podnieśli; po dłuższej chwili i z trudem. Potoczek był jedynym barem w okolicy, wyraźnie nie opłacało się zadzierać z barmanką. Przeszli obok Joanny w milczeniu, niepewnym krokiem, szurając podszwami, jakby w knajpie oduczyli się chodzić.

– Czekam na pana jutro, panie Mariuszu – powiedziała, kiedy ją mijał, ciszej i słabiej, niż zamierzała. Nie zauważyła, by majster kiwnął głową.

Drzwi zatrzasnęły się. A po kilkunastu sekundach powoli, jak w transie, Joanna opuściła Potoczek. Czyste beskidzkie powietrze

oszołomiło ją. Przystanąła na drewnianym tarasie. Właśnie ze względu na to powietrze przeprowadziła się w góry. Jak ci faceci mogli dobrowolnie skazywać się na knajpiany zaduch? I dlaczego dała się oszukać Nicińskiemu? Przecież nie jest tępa.

Usłyszała ciężkie kroki na zszarzałych deskach tarasu. Obrońca z baru przystanął obok niej. Był słusznego wzrostu; mierzył może nawet metr dziewięćdziesiąt. I nie miał brzucha, atrybutu niemal wszystkich lokalnych facetów.

Pomyślała, że powinna mu podziękować. A może przedstawić się? Choć przecież dobrze wiedziała, jak mu na imię. Już od dwóch miesięcy byli bliskimi sąsiadami.

Wybrała to drugie.

– Joanna Pascho – powiedziała, podając wilgotną od potu dłoń.

– Wojtek Ordowski. – Mężczyzna odpowiedział uściskiem jak imadło.

– Chyba powinnam panu podziękować...

– Psucie lokalnej siły roboczej nie jest w niczym interesie – przerwał jej. – A co, jeśli sam będę miał coś do zrobienia? Nie tak łatwo u nas o wykwalifikowanego majstra. Pod warunkiem, że zapłaci mu się po robocie, a nie przed.

Wyszczerył zęby, żółtawe, lecz mocne. Usiłowała dostrzec jego twarz pod gęstym zarostem. Cerę Ordowski miał ospowatą. A może ogorzałą od wiatru? Zaczęła kwestionować swój pierwszy osąd na temat wieku mężczyzny i zapamiętała, by zapytać o to Anetę Łowicką.

Na zewnątrz stał terenowy pick-up. Oczywiście widziała już ten samochód. Odnotowała wcześniej, że wszyscy posiadacze aut z Bukowców jeździli terenowcami, i kolejny raz pomyślała o garbusie, żałośnie nieprzystosowanym do lokalnych dróg.

Ordowski chyba czytał jej w myślach. Kiwnął głową, wskazując na jej samochód.

– Niedługo już pani tym pojeździ. – Zaśmiał się.

– Służył mi wiele lat – zauważyła.

– Jak to mówią, zima idzie. – Zachichotał szczeqliwie jak pies, a potem zszedł z tarasu, otworzył i zatrzasnął za sobą przeżarte rdzą drzwiczki.

Odpalił głośny silnik i już go nie było. Obserwowała, jak pick-up wspina się serpentynami na przełęcz, skąd, tak jak i ona, będzie musiał skręcić w dziurawą drogę do Bukowców.

Poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Niciński nie odszedł daleko. Przysiadł na jedynej ławeczce na placyku, mrużąc oczy od słońca, średnio już imponującego o tej porze roku.

– Czekam na pana jutro – powiedziała nieco pewniej.

Majster nie zareagował. Ale następnego dnia przyszedł, skacowany albo wciąż wstawiony i chyba nawet trochę obrażony. W samą porę, bo stało się to, co zapowiedział Wojtek Ordowski. W Bukowcach, gdzie podobno panował mikroklimat, tego dnia spadł pierwszy śnieg.

Kilka miesięcy wcześniej, w maju, Joanna wybrała się na rajd po Beskidzie Niskim. Trasa biegła przez Bukowce. I to wystarczyło. Nie, to nie było w jej stylu. I chyba właśnie dlatego tak cieszyło ją to, czego dokonała po majówce, bo nigdy wcześniej nie zdobyła się na taką przedsiębiorczość.

Wieś wydała jej się urocza: ledwo kilka gospodarstw, pola uprawne i gęsty las dookoła. Droga kończyła się za ostatnim domem; dalej prowadziły tylko szlaki, zanikające leśne ścieżki, gdzieniegdzie błotniste fragmenty dróg do wywózki drewna.

Przystanęli wtedy przy zaniedbanej i zarośniętej chaszczami zagrodzie, by się napić i zjeść. Joanna powędrowała w krzaki, a potem obejrzała gospodarstwo, które wyglądało na pozostawione, i to dobre kilka lat wcześniej. Na małym wzniesieniu stał smukły dom z ciemnego drewna, o wysokich, podwójnych oknach. Zajrzała przez szybę – widziała fragment kuchni z blatem i piecem kaflowym. Wnętrze nie wyglądało na zdemolowane, jak w innych opuszczonych domach. Ganek pięknie wychodził na łąkę oddzieloną od terenu zabudowanego wałącym się płotem. Po lewej stronie stała niewielka stodoła, a za dziką, majowo zieleniejącą się łąką widniała ciemna krawędź lasu.

Ten, kto zbudował dom, postawił go tylną ścianą do drogi. W efekcie, stojąc przed wejściem, Joanna nie musiała oglądać świata, tylko przyrodę – tak jak lubiła najbardziej.

I to właśnie gospodarstwo było na sprzedaż, a cena nie zwałała z nóg.

Kiedy podjęła decyzję, kiedy zobaczyła, jak blisko znajduje się rozwiązanie jej problemów, z ekscytacji nie mogła zasnąć. Zdjęcia w ogłoszeniu zgadzały się z tym, co widziała przez szybę. Wnętrze wymagało rzecz jasna gruntownego remontu, ale zachowały się szczątki kuchni i nawet uboga wersja łazienki. Z kibelkiem w środku, nie żadna śmierdząca i zimna sławojka na

zewnątrz.

„Włoży się w to wszystko trochę pracy, odświeży i znów będzie można mieszkać”, pomyślała. Czego właściwie więcej potrzebowała z takim widokiem i na takim powietrzu? Drewniane domy stoją przecież i po dwieście lat, a ten, po architekturze sądząc, miał najwyżej pięćdziesiąt. Sama ziemia musiała być warta ceny całości, co Joanna stwierdziła po krótkiej analizie.

Z takiej okazji w każdym momencie mógł skorzystać ktoś inny. Tyle lat oszczędzała ze strachu przed bezrobociem – i donikąd jej to nie doprowadziło. Była obecnie nieszczęśliwa z kupką pieniędzy na lokatach. Nadszedł czas, by odwrócić te proporcje.

Transakcja została sfinalizowana 14 lipca w kancelarii w Gorlicach. Po fakcie podszedł do niej sympatyczny notariusz Wiesław Popielewicz.

– Pani to lepiej znajdzie dobrego cieślę – powiedział. – Ma pani jakieś namiary?

– Jeszcze nie – odparła. Postanowiła, że najpierw otworzy gabinet w Gorlicach. Związane z tym logistyka i czynnik ludzki w postaci pacjentów wydały jej się trudniejsze niż renowacja domu.

Notariusz pokiwał głową, zapisał jakiś numer na karteczce i wręczył jej.

– Niech pani zadzwoni do Sławka Fuszary. I niech pani z tym nie zwleka. I... yyy... – zawahał się – życzę powodzenia.

Wcisnął jej jeszcze swoją wizytówkę, w razie czego. Podziękowała.

Jak zdążyła się zorientować, ludzie tutaj byli bardzo mili. Obcy odnosili się do siebie prawie z czułością. Dla doświadczonej dermatolog zdobycie pacjentów w małym, ledwie powiatowym mieście nie powinno być specjalnie trudne.

Wystawiła na sprzedaż swoje żoliborskie M2, a gabinet w Gorlicach założyła w trzech rzutach. W lipcu najęła za psi grosz lokal, w którym przedtem przyjmował dentysta; pod koniec miesiąca przyjechała znowu, by zadbać o całe wyposażenie, i 20 sierpnia gabinet dermatologiczny Karamed otworzył swoje

podwoje na ulicy Piekarskiej 21.

W trakcie tych trzech wizyt nocowała w hoteliku Dark Pub nieopodal gabinetu. Podawali tam pyszną, cienką pizzę i jeszcze lepszy okraszony gęstą śmietaną placek po węgiersku. Warszawskie ceny mogła dzielić na pół, ale swój cennik zostawiła na właściwym poziomie.

Nie mogła nie gratulować sobie świetnego wyboru życiowego, na przekór opinii tych wszystkich znajomych, którzy niemalże na głos zastanawiali się, jak skończy samotna kobieta w górskiej pustelni. Ale chyba nie wiedzieli, jak bardzo sama była Joanna w Warszawie, bo niekoniecznie chciała o tym każdemu opowiadać.

W Gorlicach żyło się spokojnie, sklepy zamykały się wcześnie, liczba pijaków była rozsądna, a bezdomnych – prawie zerowa. Ludzie przepuszczali się na światłach, z ciekawością spoglądając na żółtego garbusa. Tak jakby gorliczanie odnotowywali każdy nowy pojazd. Może zresztą tak było. I wcale nie zaobserwowała agresywnych reakcji na warszawskie blachy, przed czym powszechnie ostrzegali ją znajomi. A już po chwili wszyscy nazywali ją tutaj panią Asieńką i kochaniem, na co się nie burzyła, choć zwykle prosiła, by zwracać się do niej tylko pełnym imieniem. Dopiero teraz czuła, jak bardzo potrzebowała ludzkiej życzliwości.

Z sieciówką medyczną, w której pracowała w Warszawie, pożegnała się bez żalu; miała tam na każdego klienta piętnaście minut i więcej papierkowej roboty niż samego badania. Klinika zalecała, aby nie wysyłać abonamentowych pacjentów na dodatkowe leczenie. W efekcie Joanna głównie wypełniała dokumentacje i wypisywała recepty jak robot. Zabiegów nie wykonywała prawie w ogóle i nie przywiązywała się do swoich pacjentów. Dla niej to były tłumy anonimowych korpuludków z darmowym ubezpieczeniem medycznym, w dodatku zachowujących się tak, jakby chcieli na niej odbić całą frustrację spowodowaną pracą.

– Niech pani na mnie spojrzy, choć raz! – krzyknął kiedyś młody człowiek o przekrwionych oczach i wysypce niemal na pewno na

tle nerwowym. Po chwili przeprosił, ale to właśnie Joannie zrobiło się wtedy głupio.

Przez te wszystkie lata myślała o założeniu prywatnego gabinetu, lecz rynek w Warszawie był trudny. Wkrótce i jej sieciówka miała zostać wchłonięta przez większą. Co wiązało się z dalszym rozwojem biurokracji, a Joanna już teraz nie wiedziała, czy jest urzędniczką, czy lekarką. Czas na zmianę nadszedł więc idealny. Dla przyzwoitości zadbała tylko, by jej stali pacjenci trafili w dobre ręce. Z niecierpliwością wypatrywała już nowych klientów, gorlickich. Może i oddychano tu lepszym powietrzem, ale problemy ze skórą trafiały się wszędzie.

Dwudziestego do gabinetu nie przyszedł nikt: nie przejęła się tym zbyt, choć nowoczesna i kosztownie wypożyczonowana strona internetowa hulała już od dwóch tygodni. W dniu otwarcia była środa, a Joanna z góry zaplanowała, że będzie pracować w systemie poniedziałek–czwartek. Nie zamierzała robić wyjątków po dwóch dniach, a na Dark Pub nie mogła i nie chciała sobie dłużej pozwalać. Nie dlatego to wszystko robiła, żeby teraz mieszkać w hotelu na dziesięciu metrach kwadratowych.

W czwartek zdecydowała o finalizacji przeprowadzki. Bukowce, nie Gorlice, były sednem tej całej rewolucji życiowej.

Szykował się piękny weekend, jeden z ostatnich prawdziwie letnich, i nie obawiała się ciężkiej pracy – teraz, kiedy wiedziała, po co to wszystko robi. Zabrała materac dmuchany, nową pościel i jedzenie na trzy dni, bo reszta rzeczy miała dopiero dojechać. Lato powoli ustępowało, ale bukowiecka zieleń była jeszcze po królewsku głęboka i intensywna. Joanna miała tremę przed bliższym poznaniem z domem; może łatwiej jej przyszło otworzyć gabinet i dlatego tyle zwlekała. No i zapamiętała słowa notariusza. Kilka dni wcześniej postąpiła za jego radą i zadzwoniła do rekomendowanego majstra, który jednak miał czas dopiero od kolejnego tygodnia.

Chyba jednak nakręciła się za bardzo na swój nowy dom. Kiedy po krótkiej walce otworzyła zardzewiałą kłódkę, zatrzymała się w progu i przez kilka sekund stała jak sparaliżowana. W środku

było gorąco, duszno i wilgotno. W przedpokoju znajdowało się coś, czego nie dało się nazwać inaczej niż brudnym klepiskiem. Dopiero w kuchni pojawiła się „podłoga”: deski pokryte odpadającą brunatną farbą, odsłaniającą podejrzaną szarżyzny. Trzeszczały, kiedy zrobiła kilka kroków, jakby miały złamać się w pół. Słyszała jakieś szuranie, coś dużego przeleciało tuż obok. Ostoniła się dłonią. Dom okazał się zamieszkały, chociaż nie przez ludzi.

Miała nagłą ochotę wyjść i nie wrócić.

Odetchnęła głęboko pięć razy. Nie popełniła błędu, biorąc dom w ciemno ze względu na wartość samej ziemi. Powtarzała to sobie w głowie jak mantrę.

Zacisnęła dłonie w pięści, by opanować nerwy. Głęboko oddychała, wchłaniając nieprzyjemny zapach wilgoci. Obsługująca ją agencja nieruchomości raportowała, że pojawili się pierwsi zainteresowani mieszkaniem w Warszawie. Zastryk gotówki był kwestią czasu. Stać ją będzie może nawet na nowy dom, a ten wymagał tylko remontu. Zestarzał się i posmutniał bez właścicieli, ale Joanna wierzyła, że przedmioty też reagują na okazywaną troskę, i ona zamierzała go nią otoczyć.

Wnętrze zbudowano w formie amfilady. Z przedpokoju wchodziło się do bardzo dużej, niezłe oświetlonej słońcem kuchni, którą widziała na zdjęciu. Dalej było jednak gorzej: kolejne, również przestronne pomieszczenie stanowiło bezsensowną zbieraninę mebli, z podłogą tylko do połowy powierzchni, w drugiej części zerwaną niczym w ataku wściekłości. Wyzierała spod niej goła ziemia. Następnym pokój okazał się tylko niewiele lepszy. Jeden z nich miał stać się jej nową sypialnią. A łazienki nie znalazła w ogóle, nawet kiedy przedostała się z powrotem na korytarz, zatoczywszy kółko. Niemal wpadała już w panikę, kiedy przypomniała sobie o jeszcze jednych drzwiczkach, tuż przy wejściu. I była tam: prostokątna łazienka z wanną i ubikacją, bez umywalki; odseparowana od reszty domu jak nie lubiana w rodzinie ciotka.

Udało jej się pobieżnie ogarnąć kuchnię i to coś, co łaskawie nazwano w ogłoszeniu łazienką. Za sypialnię jeszcze się nie



zabrała; doszła do wniosku, że drugi pokój jest w lepszym stanie niż pierwszy, i postanowiła, że w nim właśnie zamieszka. Zadowolona z podjętej decyzji, ostrożnie otworzyła piec. Nic z niego nie wyleciało. Był na węgiel: kiepska sprawa, ale w gruncie rzeczy odczuła ulgę, że nie będzie musiała załatwiać i rąbać drewna, a przecież z czasem zmieni to na coś bardziej ekologicznego. Cała Polska paliła węglem od zawsze, to i ona mogła przez kilka miesięcy.

Nagle to do niej dotarło. Wcześniej uznała, że wystarczy, jak napali w piecu kuchennym. Jakie to naiwne, przecież piec stał w każdym z obszernych pomieszczeń... I nie bez powodu. Pierwszy pokój miał szansę na przepływ ciepłego powietrza z kuchni. W drugim należało już bezwzględnie napalić; musiała z niego na razie zrezygnować.

Najbardziej przykrą niespodziankę przyniosła jednak nocna ulewa. Dach ze starego gontu przeciekał, a Joanna przenosiła się z miejsca na miejsce, aż wreszcie zrezygnowana okryła się tropikiem do namiotu, który przypadkiem zostawiła w bagażniku samochodu. W północy jakoś przetrwała noc, wiedząc, że lepiej by wyszła na spaniu w garbusie.

O poranku czuła się podle. Desperacko pragnęła kawy i wcale nie chciało jej się walczyć z przenośnym palnikiem. Miała ochotę gdzieś usiąść, zamówić latte do gazety i Facebooka. Z pewnością mogła to wszystko znaleźć w Gorlicach, ale nie po to wykonała całą tę pracę, żeby tak szybko rejterować. Pragnęła życia na wsi, bez tego i Karamed tracił sens.

Najlepszym wyjściem w tej sytuacji był bukowecki pensjonat Kora: tam z pewnością mogli ją poratować kawą, choćby i rozpuszczalną. I nie obraziłaby się za jajka sadzone na boczku; poza tym nadszedł już czas, by poznać się z lokalną społecznością.

Po krótkim spacerze w górę wsi wprosiła się do pensjonatu. Był to rozciągnięty jak dżdżownica jednopiętrowy drewniany budynek; położony po lewej stronie drogi, od wjazdu do wsi patrząc. Dość nowoczesny, lecz wystarczająco już stary, by ładnie wtopić się w trawiasty dziedziniec, na którym stał. Za budynkiem

znajdowała się niewielka stajnia; Joanna wiedziała, że gospodarze trzymają konie.

Aneta Łowicka, ładna trzydziestoletnia kobieta, szeroka i w biodrach, i w biuście, przyjęła ją bardzo serdecznie. Oczywiście dobrze wiedzieli w Korze o tym, że Joanna kupiła dom w pobliżu.

– Takie rzeczy nie przechodzą bez echa, za mało nas tutaj – śmiała się gospodyni.

Siedziały przy niewielkim okrągłym stole w obszernej kuchni położonej w narożniku na parterze budynku. Kuchni pełnej rondli i rondelków, kuchni pachnącej jednocześnie cynamonem, świeżą smażeniną i kawą – w takiej kuchni chciało się siedzieć, i to nie tylko na imprezach. Okna wychodziły na drogę i na stajnię: Joanna widziała fragment pastwiska dla koni, które jeszcze mogły cieszyć się świeżą trawą. Dalej rozpościerała się połonina. Wyteżyła wzrok, by zobaczyć swoje gospodarstwo, następne po tej samej stronie drogi, ale drzewa wciąż były zbyt rozłożyste, a odległość znaczna.

– Nie zobaczysz swojego domu teraz, może dopiero gdy liście spadną. – Aneta czytała jej w myślach.

Szybko przeszły na przyjacielską stopę. Joanna nie chciała zamawiać jedzenia jak w regularnej knajpie, mimo że po drugiej stronie korytarza znajdowała się cała sala jadalna, po której gospodyni ją oprowadziła. Wisienką na torcie był tam kominek ze szklaną szybą, obudowany stylowym piaskowcem. A przy nim dwa fotele retro z zielonym obiciem. Joanna aż stanęła na ten widok, bo dokładnie o tym marzyła. Przed takim kominkiem, w takim fotelu chciała spędzić nadchodzącą zimę.

– Jeszcze za ciepło, żebyśmy rozpalali – powiedziała Aneta, kiedy Joanna zagała ją o ogrzewanie.

– Co z wodą?

– Nagrzewa się w termie. Teraz, latem, z kolektorów słonecznych.

– A reszta domu?

– Reszta?

– No, kominek jest tutaj...

– A, o to ci chodzi – odparła gospodyni. – Wszędzie są grzejniki. Ten jeden kominek ogrzewa cały pensjonat.

Joanna aż zeszywniała na myśl, że sama ma w domu trzy śmiercionośne, przedpotopowe piece. I pewnie średnio skuteczne, jeśli w ogóle działają. Co z wodą? Wczoraj nie wzięła kąpieli, ale dziś temat wróci. Czy mogła nie zauważyć termy w pseudołazience?

Wstydziła się teraz swojej ruiny. Łowiccy byli tacy nowocześni, i jeszcze te kolektory na dachu. Oszczędnie i ekologicznie. Właśnie tak powinna tu żyć.

Na szczęście Aneta nie zapytała o dom. A potem, jeszcze szczęśliwiej, postawiła na stole w kuchni makowiec i murzynek własnej roboty: ciasta były świeże, mokre. Doskonałe. Joanna zjadła po dwa kawałki każdego. Kawa zaś okazała się znacznie lepsza niż ze zwykłej kawiarki.

Wkrótce w kuchni pojawił się Rafał. Gospodarz miał na sobie grubą koszulę w kratę, robocze, przybrudzone dżinsy i pachniał stajnią. Starszy od żony, wyraźnie już po czterdziestce, miał wciąż bardzo gęste ciemne włosy, ujmujący uśmiech i gładką cerę. Joanna nie nazwałaby jego twarzy przystojną, ale na pewno bardzo sympatyczną. Była to twarz człowieka, który dobrze zorganizował sobie życie. Już wczoraj pozdrowił ją, kiedy przejeżdżała garbusem, ale dopiero teraz mogła usłyszeć jego głos.

Rafał pocałował żonę w usta: zdecydowanie bardziej zmysłowo niż zdawkowo, jeśli nie namiętnie. Joanna odwróciła wzrok w stronę okna, zapatrzyła się na jednego z koni, piękną appaloosę, o ile dobrze ją zidentyfikowała. Kochała jazdę konną, a zapach stajni działał na nią jak wabik.

Zajęty śniadaniem koń skubał soczystą bukowiecką trawkę. Aż nie chciało się wierzyć, że za kilka miesięcy wszystko pokryje śnieg i zetnie mróz. Gdzieniedzie pojawiał się już rdzawy kolor, ale roślinność wciąż była bujna, przy drodze z Przełęczy Warnickiej rosły jeszcze jeżyny.

Rafał zagał o jej dom.

– Tak nam się właśnie wydawało, że ktoś go w końcu kupi. Po

urodzie. Oczywiście nie mówię, że to jest zły interes – zmieszał się, chyba pod karcącym spojrzeniem żony – ale długo stał pusty. Potrzebuje wiary w siebie.

– I nakładów – dodała Aneta.

– Nie bądź taką materialistką.

– Miłością dachu nie załatvasz – zauważyła. – Joanna powiedziała właśnie, że przecieka.

– Ten gont zawsze wyglądał podejrzanie – skomentował Rafał. – A nasze zimy załatwiły go na cacy. Masz jakiegoś poleconego człowieka? Mógłbym zerknąć.

– Majster przyjedzie w przyszłym tygodniu.

– To on ci lepiej powie. – Uśmiechnął się, lustrując ją trochę zbyt uważnie. Włosy miała nieumyte, a po nieprzespanej nocy podkrążone, łzawiące oczy. Kurz również nie pomógł, ciągle wierciło ją w nosie. – Posłuchaj, jeśli chcesz, możemy cię przygarnąć, dopóki nie naprawisz tego dachu. Kończy się sezon, od jutra mamy wolną dwójkę.

Zerknęła szybko na Anetę. Jeśli propozycja męża ją zaskoczyła, to tego nie okazała.

– Policzymy ci po kosztach – zapewnił gospodarz. – I tak go już nie wynajmiemy.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale nie spieszyło jej się do opuszczenia tej ciepłej, przytulnej kuchni. Tutaj codziennie rano chciała pić kawę przed wyjazdem do gabinetu. Pełna zieleni perspektywa za oknem kołła nerwy. Joanna miała niemal tak samo pięknie u siebie; tylko że jej zarosło brudem okna prawie nie przepuszczają światła.

Wszystko w Korze było właśnie takie, jak sobie wymarzyła. Chciała być już na miejscu Anety: z wygodnym domem, zaopatrzoną kuchnią i mężem o ciepłym spojrzeniu. Tymczasem przesiadywała w pustym gabinecie i miała dom z dziurawym dachem.

– Dziękuję, ale chyba nie powinnam... – odparła, nie bardzo wiedząc, dlaczego to mówi.

– O Jezu, dajże spokój – powiedziała Aneta. – Teraz jesteśmy sąsiadami. I będziemy sobie pomagać. Zobaczysz jeszcze,

w Bukowcach nie masz wyjścia, musisz dobrze żyć z innymi. Nawet jeśli to trudne.

Niziutki pokój na piętrze, z lekkim skosem i łazienką na korytarzu, był kameralny i czysty. Kiedy go zobaczyła, zgodziła się, na początku na kilka dni. Czowała się zmęczona, nie tylko niedospana, ale wykończona, głęboko, aż do trzewi. Przy przeprowadzce wspięła się na wyżyny przedsiębiorczości, działała jak w transie, zdumiewając samą siebie, ale teraz organizm odbierał, co swoje. Nie miała ochoty ani energii robić zupełnie niczego. Wróciła do domu, wsadziła do garbusa torbę sportową i kilkanaście minut później leżała na łóżku w pensjonacie z *Dziwnymi losami Jane Eyre* w ręku. Za oknem tymczasem zachmurzyło się lekko i tym bardziej cieszyła się, że jest w środku. Potem zasnęła, a obudziła się, dopiero kiedy Aneta zapukała z pytaniem, czy nie chciałaby czegoś zjeść. Chciała, a nawet była głodna jak wilk.

Wkrótce okazało się, że tutejsza kuchnia nie tylko dobrze wygląda. Żurek z białym serem, domowej roboty chleb i ruskie z miętą smakowały niebiańsko; w jadalni, w której poza nią stołowały się dwie młode rodziny z dziećmi, panowała żywa atmosfera i Joanna nawet wdała się w kilka pogawędek. Odżyła i poczuła, że ma już tę odrobinę energii potrzebną do normalnego funkcjonowania. Wyszła zaczerpnąć powietrza. Po odgłosach siekiery zlokalizowała Rafała.

– Czekają nas zimne noce – wyjaśnił, ładując szczapy na taczki. – Wy, miastowi, potrzebujecie wyższych temperatur – zaśmiał się – więc nie będę czekał na skargi gości.

Zapytała go o możliwość przejażdżki konnej.

– Oczywiście. Potrafisz jeździć?

– Dawno tego nie robiłam.

– To jak z jazdą na rowerze.

– Tego też dawno nie robiłam.

Przyjrzał jej się. Było w jego spojrzeniu coś seksualnego. Nie mogła jeszcze ocenić, czy jej się to podoba, i poczuła na twarzy uderzenie ciepła. Od miesięcy nie chodziła na jogę, mięśnie od siedzenia za biurkiem niemal zaczynały zanikać i z pewnością

przytyła. Wyglądała jak trup z nadwagą, w przeciwieństwie do kobieco zaokrąglonej Anety.

Zganiła się w myślach; w końcu rozmawiała z żonatym mężczyzną, mężem przeuroczej kobiety, która od rana karmiła jej ducha i ciało.

– Poza tym nie wiem, dokąd jechać. – Rozejrzała się. – Znam tutaj tylko jedną drogę...

– Dotrzymam ci towarzystwa. Konikom przyda się rozruch.

Nieśmiało o to zapytany, dał jej do jazdy appaloosę, a dla siebie wybrał mocno zbudowaną kasztankę. Poprowadził Joannę z boczem Warnicy do Wyszyńca leżącego po drugiej stronie góry. Jechali leśnymi drogami.

Joanna miała ochotę zadać mu tysiąc pytań o Bukowce, tutejsze życie i ludzi, ale gospodarz milczał, a nie chciała obnażyć się jako samotna i zbikowana.

Wyszyńca, który przywitał ją napisem „Arabusy wypierdalać”, jeszcze nie znała. Nie bardzo było czego żałować, rozrośnięta wieś, w której ludzie zaglądali sobie w okna, mogła okazać się piekłem za życia. Już miała tego małą namiastkę w postaci Władka Styczki, najbliższego sąsiada. Widziała go w sławojce wdzięcznie otwartej na drogę. Siedział na kłocie i gapił się na nią, kiedy przechodziła, jak gdyby nigdy nic.

W Wyszyńcu, pozbawionym zarówno atrakcji dużego miasta, jak i spokoju małej wioski, zdążyła zatęsknić za Bukowcami.

Kiedy wracali, było już ciemno i wyczuwalnie chłodno. A im wyżej wjeżdżali lasem, tym bardziej drżała pod lekką wiatrówką. Rafał musiał to zauważyć.

– U nas na górze jest chłodno – powiedział – a poczekaj jeszcze na zimę. Czasem wokół ani jednego płatka śniegu, a u nas biało. Wszyscy o tym wiedzą w okolicy. Zazdroszczą nawet – zaśmiał się – że możemy lepić bałwany. Dopóki nie muszą się do nas wybrać. Przy pierwszej wizycie w rowie cała zazdrość przechodzi jak ręką odjął.

Po weekendzie kompulsywnie nakupiła rzeczy do remontu łazienki. Wyczyściła konto niemal do zera, ale poprawiła sobie nastrój. To jedno pomieszczenie musiała mieć bezwzględnie

czyste; dla Joanny dom zaczął się od czystej umywalki.

W sklepie kwękali na transport do Bukowców.

– Połamie resory w dostawczaku – martwił się sprzedawca. Dorzuciła do zakupów nowe krany i dał się przekonać do jazdy.

Polecony przez notariusza majster miał obsuwę i przyjechał dopiero 26 sierpnia.

– Sławek Fuszara jestem – przedstawił się – ale fuszerki nie odwalam! – Zarechotał i choć najwyraźniej zaserwował swój stały i mało śmieszny żart, ona zaśmiała się, bo facet budził sympatię. Był w nieokreślonym wieku, jak wielu ludzi ciężkiej pracy, i miał uczciwe spojrzenie. Wzrokiem skanował dom i coś tam fukał do siebie. Obserwowała go z napięciem. Opukiwał deski, włożył na strych, wbił scyzoryk w boczną ścianę. Po wszystkim poszedł się wysikać za stodołę, a potem zapalił papierosa.

– Dużo pani zapłaciła za dom? – zapytał.

– Wolałabym to zachować dla siebie.

Machnął ręką.

– Wolę nie wiedzieć. Dom wymaga remontu.

– Wiem, dach... Już patrzyłam na ceny w internecie – zaczęła, ale jej przerwał.

– Tak, dach, ale nie to, co pani myśli. Z tego domu nic już nie będzie. Długo tak stał?

Zawahała się.

– Nie wiem.

Pokiwał głową, jakby właśnie tej odpowiedzi oczekiwał.

– Ja myślę, że wystarczająco długo, żeby deski zbutwiały. Pani dom to próchno.

Joanna zeszywniała, ale w porę przypomniała sobie, że tacy fachowcy zawsze coś gadają. Wzięła głęboki oddech.

– Czy ma pan pewność? To znaczy, ledwie pan obejrzał.

– Proszę pani – rzucił. – Woda lała się w te ściany jak Niagara. Dziw, że są jeszcze w miarę twarde. Ale w środku próchno, może mi pani wierzyć.

– Co możemy z tym zrobić?

– A ja wiem? – Fuszara zaciągnął się głęboko. – Zburzyć?

– Właśnie kupiłam rzeczy do zrobienia łazienki...

– Może pani sobie zrobić łazienkę jak w Wersalu, a później będzie tu stała po wsze czasy – zaśmiał się sucho majster. – Sprzęty to sobie pani przeniesie, ale kafelki... Zresztą AGD też w końcu zamoknie. Ja to bym niczego w środku nie trzymał, bo się zniszczy. Nie nocowała pani tutaj jeszcze czy co?

Z wyrazu jej twarzy wyczytał chyba odpowiedź i już się nie śmiał. Odwrócił wzrok. Oczywiście, miał rację, mogła wezwać innego majstra, co nie zmieniłoby faktu, że kupiła ruinę. Czy na pewno ziemia warta była swej ceny? Zakręciło jej się od tego wszystkiego w głowie.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała.

Fuszara wzruszył ramionami.

– Może pani zbudować nowy.

– O jakim koszcie mówimy?

– Zależy od metrażu, materiału, wyposażenia. – Wyliczał na palcach. – Na dom całoroczny trzysta, czterysta tysięcy. No i jeszcze coś trzeba zrobić z tym, co stoi, tak? Niestety, sam tak prędko się nie zawali. No chyba że podpalony. Ubezpieczenie pani kupiła? Na taką ruinę to pewnie polis wystawiać nie chcą...

Poczuła, że ma go dość, i wszystkiego innego również. Bezczyenne siedzenie w gabinecie, wertepy na drodze z przełęczy, od których garbus każdego dnia wyglądał coraz gorzej, i samotność: a jeszcze większa nastąpi, kiedy w końcu wyprowadzi się z pensjonatu.

Wciąż mogła to odkręcić. Mimo sporego zainteresowania mieszkanie w Warszawie nie chciało się sprzedać, w gabinet zainwestowała niewiele, a tu nagle miała burzyć dom, żeby postawić nowy, wikłać się w kosztowną budowę. To wszystko traciło i tak już dość rachityczny sens.

– Oczywiście, fundamenty można zachować – ciągnął nieubłaganie Fuszara – chyba że są kamienne, takie się kiedyś robiło. Z którego roku jest budynek?

– Nie wiem – odparła niepewnie.

– A. No trzeba by się przyjrzeć. Teraz to się takich dużych domów nie buduje i architektura też dziwna... Kogoś tu fantazja



poniosła. Może i fundamenty warto usunąć, po co pani taka wielka chałupa, której nie można ogrzać? Dzieciaki pani ma w szkole? Rodzinę?

Milczała dłuższą chwilę.

– Muszę się nad tym wszystkim zastanowić – oznajmiła w końcu. – Zadzwońię do pana.

Ale Fuszara się ociągał. Powinna już przywyknąć; w Beskidzie ludzie byli inni, mniej urzędowi, ciekawi rozmówcy. Zateęskniła nagle za wielkowiejską obojętnością; nie chciała być chamska na starcie swojego wiejskiego życia i zanim cokolwiek postanowi. Tymczasem majster wciąż się kręcił na jej ziemi, teraz polazł za stodołę, po drodze do niej zaglądnął. Nie wiedziała, czy znowu udał się za potrzebą, ale zaraz zobaczyła jego siwą głowę wśród ostów zarastających budynek.

– Ale tu zapuszczone – zauważył. – Stodoła jest nowsza niż dom – dodał i zamruczał coś do siebie. – Fundamenty pewnie betonowe. Dach też przecieka, ale powierzchnia mniejsza, łatwiej zburzyć. Ma pani wobec niej jakieś plany?

– Plany? – zapytała Joanna, kompletnie zbita z tropu.

– Ano tak. Bobyśmy może chałupę przenieśli, na fundamentach stodoły postawili. Mają dobry układ. Podłogę położymy. Razem z poddaszem będzie chatka ze sto metrów. I budynek już stoi, zgłosi pani w urzędzie, może nikt się nie przycepi. A ten tak zwany dom... ja bym już go domem zresztą nie nazywał, to sobie pani zburzy kiedy indziej – zaśmiał się ponownie. – Albo na opał da, jeśli się nie rozpadnie wcześniej.

Co ona wiedziała o przenoszeniu budynków? Miała tylko głupie wspomnienie z dzieciństwa. Wyobrażała sobie wtedy dom ze wszystkim: dachem, oknami i drzwiami, wkładany na wielką przyczepę.

– To nie będzie kosztować więcej niż nowe? – zapytała.

– Tak znajdziemy, że nie będzie – powiedział Fuszara. – Za transport pani zapłaci, ale stare domy drogie nie są... A może znajdzie się zdrowszy od tego dziada. Głowa do góry! Jeszcze się to pani opłaci.

Dała majstrowi zielone światło na szukanie domu do

przeniesienia. Zupełnie nie była do tego przekonana, ale do niczego teraz nie była, także do powrotu do Warszawy. W każdym razie mieszkanie w pensjonacie nie stanowiło rozwiązania. „Symboliczna” opłata okazała się całkiem rynkową, a wliczając w to pyszne obiady Anety, płaciła Łowickim jak za hotel, codziennie spędzając długie godziny w oczekiwaniu na klientów w Karamedzie. Przynajmniej zgugłowała temat przenoszenia domu i mimo że naczytała się o mroźnych krew w żyłach wypadkach, historie internautów miały wydzwięk pozytywny. No i na dobrą sprawę nie mogła już wrócić do Warszawy, do starej pracy.

Zadzwoiła do Fuszary, by upewnić się, że majster szuka domu. Mruczał coś o znajomym, nie brzmiało to przekonująco. Odmówił przyjęcia zaliczki, ale zakończyła rozmowę z przekonaniem, że coś uzgodnili. A w weekend zakasała rękawy i wyszorowała dom od góry do dołu, zakleiła też grubą folią najgorsze przecieki. Pozostawione graty i rzeczy do łazienki wyniosła do drugiego pokoju, który zamknęła. Zrobiło się trochę puściej; mogła wreszcie wstawić swoje bambetle.

Czystszy dom, choćby i spróchniały, nie był taki zły. Panował w nim zapach drewna i przykro jej się zrobiło, że zrobaczywał. Przecież to nie wina chałupy, że dachu nikt nie naprawiał. Powynosiła resztę nieużywanych rzeczy do stodoły i pierwszy raz udało jej się napalić w starym kaflowym piecu. Grzał się wolno, a od węgla zrobiła się cała czarna, ale wewnątrz ociepliło się i osuszyło.

Umyła okna, zyskując wreszcie widok na świat. Pod koniec weekendu miała już kawałek czystej, pustej przestrzeni, stanowisko do czytania w kuchni, łóżko ze świeżą pościelą. Do wazonów powstawiła bławatki, jaskry, a nawet dzikie maki, nielicznie rosnące na jej ziemi. Kwiaty w kuchni poprawiały humor i wnosiły do domu zapach łąki.

Wyszła na zewnątrz zapalić papierosa zwycięstwa. Padała ze zmęczenia, ale potrafiła docenić urok tej chwili. Powietrze było jeszcze po letniemu gęste. Nad zapuszczoną łąką unosiła się lekka mgiełka, a nad lasem zapadał zmierzch. Zapatrzyła się:

czego właściwie potrzebowała więcej niż lasu i łąki? Te barwy i zapachy działały kojąco.

Las pod wpływem wiatru jakby się poruszył. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to nie drzewa, tylko coś żywego. Z papierosem w ręku podeszła bliżej, aż do zniszczonego płotu. Teraz widziała wyraźniej. Ogarnął ją niepokój.

– Halo! – krzyknęła.

Kształt poruszył się, a po chwili zanurkował w lesie. Zdało jej się, że usłyszała trzask łamanej gałązki. Może to nie człowiek, tylko zwierzę, dzik albo, co gorsza, wilk?

Nie miała odwagi iść dalej. Zapamiętała, by zapytać Łowickich, jaka to zwierzyna grasuje w Bukowcach. Stała niezdecydowana, a dobry nastrój trochę z niej uleciał. Drzwi do domu, podobnie jak reszta budynku, dogorywały. Czy wilki atakują ludzi? Była samotna i może wyczuły, że łatwo ją osaczyć, że ona nie ma swojego stada.

Zaśmiała się na całe gardło.

– Głupie babsko! – rzuciła do siebie i to pomogło. Później, w przewietrzonym i czystszy wewnątrz, spała jak suseł. Rano wszystko, łącznie z garbusem, zdawało się być w lepszej formie.

Po trzech tygodniach od otwarcia w Kamedzie pojawiła się pierwsza osoba. Zabieg okazał się banalny, a klientka chyba przede wszystkim chciała się dowiedzieć, „co to za człowiek” z Joanny, bo powtórzyła to co najmniej trzy razy. I Joanna wcale nie musiała udawać miłej, bo spragniona była ludzkiego towarzystwa i zwyczajnie ciekawa gorliczan. A pierwsze w historii Kamedy leczenie przeprowadziła za darmo.

I może to również pomogło.

Już następnego dnia pojawiła się kolejna pacjentka. I kolejna, i kolejna. A potem, gdzieś po tygodniu, mężczyzna. Okazało się, że rynek w Gorlicach jednak jest chłonny, a Joanna – wielka niespodzianka – jest najlepiej wykwalifikowaną dermatolog w mieście. Łatwa sprawa, zważywszy na fakt, że wszystkie inne były w wieku mocno emerytalnym i na bakier z postępowaniem w medycynie. Ponoć młodzi lekarze rodem z Gorlic niechętnie wracali do swojego miasta.

Otrzymała ofertę sprzedaży mieszkania w Warszawie. Wciąż wahała się, kiedy w drugiej połowie września zadzwonił Fuszara.

– Znalazłem pani dom – oznajmił.

Stał trzydzieści kilometrów dalej; mniejszy, nie wyglądał wiele lepiej niż jej własny, ale majster zapewniał, że budynek jest zdrowy. I kosztował sześć tysięcy złotych. Niemal tyle samo zapłaciła za transport.

– Będzie ciężko – kwękał Fuszara, kiedy rozbierali stodołę.

– Nie da rady? – zdenerwowała się. – Mówił pan, że fundamenty pasują. Może wykopać nowe?

– Co taka nerwowa? Za dużo ma pani pieniędzy? Spróbujemy.

Obyło się bez przeróbek, a majster okazał się prawdziwym cudotwórcą. Może i narzekał, ale pracował nadzwyczaj skutecznie. Z synem, który wciąż hodował pierwszy wąs nad wargą, harowali po dwanaście godzin dziennie i mogła powiedzieć, że dom rośnie w oczach.

Zrobiła wypad do stolicy, by podpisać akt notarialny sprzedaży mieszkania. Nie stęskniła się za Warszawą ani trochę. Tylko dla jednej przyjaciółki znalazła czas na poranną kawę, a potem, dysponując pękatym już kontem, pomknęła z powrotem w góry.

Tymczasem nieubłagane nadchodziła jesień i Joannę niepokoiło to, że może nie wyrobić się przed zimą. W domu na całego chodził już grzejnik elektryczny; przestawiła się na niego, zmęczona brudzącym węglem.

– Są pieniądze, będzie dom – mówił Fuszara, którego obecność na budowie znaczył stale pęczniejący stos puszek Żubra. – A z wylewką poczekamy, aż będą ściany i dach, żeby ogrzać. Potem podłoga i elektryka: święta spędzi pani we własnym pokoju gościnnym.

Na szczęście nie miała wiele czasu na zamartwianie: gabinet rozhulał się na dobre. W Gorlicach były jednak pieniądze; zapisywała klientów już na tydzień do przodu. A w wolnych chwilach przeglądała ogłoszenia samochodowe. Zdecydowała się na używaną toyotę RAV4; wytelepany garbus miał z dnia na dzień coraz krótszy termin ważności.

A potem, tak po prostu, Fuszara nie przyszedł do pracy.

Nie dzwoniła. Bo i z czego: zasięgu komórkowego w Bukowcach nie było i korzystała czasem z telefonu stacjonarnego w pensjonacie. Jeszcze nie zdążyła załatwić własnego, jeśli w ogóle to miało sens w starym domu.

Poza tym nabrała do Fuszary zaufania na podstawie ciężkiej pracy i efektów.

Ale kiedy kolejnego dnia ponownie nie zastała majstra ani jego syna na budowie, wybrała się do Kory, żeby zatelefonować.

Żona odebrała po sześciu sygnałach.

– Sławek miał wypadek – poinformowała Joannę. – Leży w szpitalu.

– Gdzie?

– W Krakowie. Ale przenoszą go dzisiaj do Gorlic, na rehabilitację.

– Jaki wypadek? Będzie w stanie wrócić na moją budowę? – zapytała.

– Pytanie, czy będzie w stanie chodzić – odparła kobieta zachrypniętym głosem.

Przyjechała następnego dnia. Gmach szpitala jako pierwszy witał ją przy wjeździe do Gorlic i zegnał. Nie sądziła, że tak szybko będzie musiała go odwiedzić.

Fuszara leżał na ortopedii i już wcześniej postanowiła, że nie będzie mu się przyglądać. Mężczyzna wciąż cierpiał.

– Tak mi przykro – próbował się mimo wszystko tłumaczyć.

Pokiwała głową. Co właściwie miała powiedzieć facetowi, któremu obcięto nogę?

– Jak to się stało? – zapytała głucho.

Opowiedział, jak dorabiał sobie w lesie wieczorem, jak nie założył spodni ochronnych. Nie musiał mówić, że nie był trzeźwy; tydzień wcześniej pozbięła i wywiozła kilka worków na śmieci wypełnionych puszkami po piwie. A potem majster opowiedział jej, jak upadł na chodzącą piłę. Zademonstrował, co zrobiła z jego nogą, i Joanna znowu powstrzymała się przed spojrzeniem.

– Przyszli. – powiedział. – Mówią, że jest szansa, że się zrośnie. Ale trochę to potrwa.

Został jej syn Fuszary, wąsaty gówniarz, który gapił się na nią za jej plecami.

– A pana syn?

– To dzieciak. Nie poradzi sobie sam. Nie ma nawet prawa jazdy, żeby dojechać.

– Gdzie ja teraz znajdę majstra? – zapytała bezradnie.

Nie zganił jej za bezdusność, choć miał do tego prawo.

– Nie znajdzie pani – odparł.

– To co mam zrobić?

Fuszara wzruszył ramionami. Nie wiedział.

Przez kilka następnych dni starała się o tym nie myśleć, lecz teraz, kiedy miała perspektywę nowego domu, stary stał się całkiem nie do zniesienia. Latem wszystko wyglądało korzystniej i ładniej pachniało. Teraz spróchniałe ściany waliły stęchlizną i z dnia na dzień robiło się coraz zimniej. Mogła wynająć znowu pokój w pensjonacie, może Łowiccy daliby jej żebraczą zniżkę.

Hotel albo mieszkanie w Gorlicach stanowiły ostateczność: w krótkim czasie miasto zaczęło ją irytować tym, że wszyscy wszystko wiedzieli. W Gorlicach miała tylko zarabiać pieniądze, taki od początku był plan. Ale może ten plan nie był taki dobry.

A kiedy w pewien deszczowy październikowy czwartek wróciła z pracy, obiecując sobie, że podejmie decyzję w weekend, przed domem i na schodkach prowadzących do drzwi zauważyła ślady. Męski rozmiar podeszwy z protektorem bardzo dobrze odcisniętej na błocie. Serce podeszło jej do gardła i przypomniała sobie o tym dziwnym czymś na tle lasu. Pchnęła drzwi: były otwarte. Zalała ją fala gorąca. Wycofała się na podwórze i wyrwała siekiere z pieńka, na którym rozrąbywała szczapy, kiedy jeszcze chciało jej się palić w piecu. Weszła do domu i zapaliła światło.

– Ktoś tu jest?! – zawołała.

Ślad urywał się na klepisku w przedpokoju. A drewniana podłoga w kuchni była czysta. Joanna szła dalej, siekiere trzymała przed sobą.

Obeszła dom, zaglądając też do ostatniego pokoju. Cokolwiek miała cennego, zostało na miejscu. Jeśli grasował tu złodziej, mógł połasić się na telewizor, na który przerzucała sobie filmy z laptopa. I sam komputer. Ale ten stał na miejscu, tak jak wieża i drobny sprzęt kuchenny.

Jednak ktoś wysunął szufladę biurka, papiery wyglądały na przetrząśnięte. A może zostawiła je w takim bałaganie? Gapiła się chwilę na wybebeszone biurko, usiłując sobie przypomnieć ostatnie dni, ale wspomnienia przysłaniała biała mgiełka. Zdenerwowana zanurkowała pod stół kuchenny, gdzie pod ruchomą klepką trzymała saszetkę z gotówką na zakupy dla Fuszary. Leżała na swoim miejscu.

Joanna odetchnęła, a zaraz potem strasznie rozboleła ją głowa. Usiadła na krześle i dopiero po chwili przypomniała sobie o strychu. Nie miała schodów, używała zwykłej drabiny. Poddasze było tak wilgotne i zakurzone, że weszła tam tylko raz.

Wahała się. Mogła przecież pójść do Anety i Rafała. Albo pozostałych sąsiadów, których jeszcze nie poznała, choć

wiedziała już, kto gdzie mieszka.

A może to ktoś z nich do niej „zajrzał”? Na oko wężący, nieco obleśny Styczko pasował na włamywacza, ale tak samo pasował siwy rzeźbiarz, znajomy Łowickich. Na razie widziała go tylko z daleka. I co właściwie miała im powiedzieć? Czy drzwi stanowiły dowód włamania? Może zwyczajnie zapomniała zamknąć je na klucz? A ślady mogły należeć do każdego, nawet zbłąkanego turysty.

Spoglądała w górę, jakby przeciekający strop miał odpowiedzieć, czy kogoś nad sobą kryje. Potem po prostu wstała i wspięła się po drabinie. Serce podchodziło jej do gardła, kiedy podnosiła klapę strychu i gramoliła się na podłogę. Pachniało tu mokrym sianem. Zapaliła latarkę w telefonie.

– Halo! – krzyknęła, kierując ostrze siekiery w stronę wymyślanego przeciwnika.

Usłyszała trzepot albo tylko jej się zdawało, że coś przeleciało tuż koło głowy, muskając włosy. Odgarnęła je, prawie raniąc się ostrzem, a kiedy opanowała nerwy, zbadała każdy kąt przepastnego poddasza. Jeśli ktoś zakradł się do domu, musiał wyjść przed jej powrotem.

Na dole wyjęła saszetkę z pieniędzmi i wrzuciła do torebki. Uznała, że bezpieczniej już będzie trzymać je w Karamedzie, nosić przy sobie lub oddać do banku.

Wyszła na ganek. Noc była ciemna, cicha, wilgotna po deszczu. Zatrzasnęła skobel, zastanawiając się, czy zaśnie.

Nie zasnęła.

Tak samo jak następnej nocy, aż w końcu sięgnęła po nitrazepam i pogrążyła się w głębokim, choć krótkim śnie. A potem jechała już na lekach aż do 27 października. Kiedy póżywa ze zmęczenia wróciła z pracy, pod domem ktoś na nią czekał.

Facet palił papierosa i oglądał budowany dom, jakby chciał go kupić. Ubrany w nieco brudną kurtkę i kalosze, spojrzął na nią i dostrzegła chytre oczka pośrodku czerwonej, zapuchniętej twarzy. Twarzy o bardzo niezdrowym odcieniu. Niski, mocno zbudowany mężczyzna miał w sobie coś dzikiego i małpiego



i wcale jej się nie spodobał. Głos, którym przemówił, był jednak jedwabiście miękki.

– Mariusz Niciński – przedstawił się. – Słyszałem, że szuka pani majstra.

Nowy majster nie przepracował tygodnia, a już musiała go wyciągać z Potoczka. I nie osłodził tego za bardzo fakt mocno spóźnionego poznania Wojtka Ordowskiego, rzeźbiarza i najbliższego po Styczkach sąsiada.

Przy pierwszym spotkaniu Niciński powołał się na Fuszare; podobno razem pracowali w lesie i stąd wiedział o jego wypadku. Ale dopiero kiedy wyciągnęła go z baru, Joanna doszła do wniosku, że była to referencja bardzo uboga i nie zweryfikowała jej wystarczająco. Już samo bezrobocie stawiało majstra w podejrzanym świetle; wyjaśnił, że sam zwolnił się z pracy w lesie i stąd miał „wakat”.

I jakoś przepuła pieniądze, które mu dała, a teraz domagał się więcej.

– Na razie musi pan odpracować tę kwotę – powiedziała twardo, choć budził w niej niepokój. Zdawało jej się, że zgrzytnęła zębami, ale potem odparł swoim zwykłym miękkim głosem, tak jakby zapomniał, że dzień wcześniej kazał jej się „odpierdolić”:

– Niech będzie. Zaraz tu chałupa będzie stała. Jak się Niciński bierze do roboty... Tylko przyniesie mi pani browarka, bo coś sucho dzisiaj na polu.

Przyniosła. A potem obserwowała mężczyznę przy pracy, zastanawiając się, czy dobrze robi. Był jej winny pieniądze, ale mogła stracić ich jeszcze więcej... Może lepiej pogodzić się z wydaniem tych trzech tysięcy i kazać iść precz?

Poza tym Niciński twierdził, że należy kupić materiały budowlane, i zaoferował pomoc. Szybko wyliczył, co będzie potrzebne – nie znała połowy nazw.

– Jeśli nie zrobi pani teraz zakupów, staniemy w miejscu – powiedział, kiedy zakończył pracę przy dachu. – I wylewkę trzeba zrobić pod posadzkę, potrzeba nam piecyka gazowego, żeby dogrzewać. Mogę tu przychodzić i może mi pani płacić, a robota będzie stała w miejscu.

– Niech pan zrobi dokładną listę, to przywiozę.

Wyraźnie się ociągał.

– Po co przepłacać? Pojadę do znajomego, pracuje w składzie budowlanym, oszczędzi pani połowę. W sklepie to frajerzy kupują, przecież wszystko do Niemiec idzie, co pani tam wydaje. Da mi pani pieniądze, to będzie miała dom po kosztach.

– Poproszę o listę – nalegała.

Niciński wzruszył ramionami.

– Ja tak napisać wszystkiego to nie potrafię. Na miejscu zobaczę, co mają.

– Pojadę z panem.

– Co pani myśli, że oni tak dadzą? Mówię przecież, że to znajomy. Bez rachunku sprzedają, ale dwa razy taniej. I lepsza jakość.

– To niech mi pan powie, co trzeba kupić – poprosiła coraz bardziej zmęczona.

Zapatrzył się w ziemię.

– Tak jak mówię, na miejscu zobaczę.

– Nie dam panu pieniędzy.

Niciński wzruszył ramionami.

– W takim razie nie ma sensu, żebym przychodził.

– Jeszcze pan nie odpracował tych trzech tysięcy – warknęła.

– Szkoda mojego czasu – oświadczył majster.

Nie mogła w to uwierzyć, ledwo wyciągnęła go ze spelunki. Od męczącej gadki rozboleła ją głowa.

– Niech pan już idzie – powiedziała. – Zadzwonię do pana.

Pokiwał powoli głową, jakby zastanawiał się, czy jeszcze coś z niej wyciągnie, ale w końcu poszedł.

Joanna usiadła ciężko na ganku i zapaliła cienkiego. Nie miała pojęcia, co robić. Może lepiej poczekać do lata? Tacy Styczkowie nigdy nie przeprowadzili się do nowego domu, który zbudowali obok. Podstarzały syn mieszkał ze starą matką w jeszcze starszej, zapadającej się łemkowskiej chyży.

Może i ją to czeka. Zerknęła na dom, budowany w miejscu starej stodoły. Co prawda trudno byłoby go nazwać zupełnie nowym, ale szereg elementów miał prosto ze sklepu, beżowe okiennice

i intensywnie zielony dach, bo nie chciała ryzykować z gontem i kupiła zwykłe blachy. Już teraz dom wyglądał całkiem przytulnie.

Joanna dysponowała gotówką, więc ekipa mogłaby się z tym uporać może i w miesiąc. Po prostu za krótko szukała, przecież niejeden Niciński ma „wakat”, pomyślała i aż fuknęła na siebie ze złości.

A po chwili, tak jak i ostatnim razem, wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Wieczór jeszcze nie nadszedł i pod lasem znów zobaczyła to coś. Wstała i bardziej już zdecydowanym krokiem przekroczyła resztki płotu. Weszła na łąkę. To nie było zwierzę, tylko człowiek.

– Kim jesteś?! – krzyknęła.

Kształt jakby zawahał się. Widziała wysokie buty, może gumki, i długą kurtkę. A potem, tak jak ostatnio, zniknął za drzewami. Przyśpieszyła kroku i niemal biegiem dotarła do lasu. Znalazła tu zarośniętą ścieżkę, idącą równoległe do krawędzi łąki.

Joanna rozejrzała się. Między drzewami było ciemniej niż na otwartej przestrzeni; nikogo nie widziała. Nagle zorientowała się, że nie ma przy sobie nic do obrony. Zadrżała ze strachu i z zimna.

Wysokie, szare buki z korą jak skóra węża wydawały się wrogie i nieprzyjazne. Wycofała się na łąkę i szybko wróciła do domu. Zaryglowała się, a po namyśle przeciągnęła pod drzwi wejściowe ławę z kuchni. Liczyła na to, że się obudzi, jeśli ktoś tu wejdzie. Pod łóżkiem położyła siekiere, a potem odegnała myśl o tabletkach na sen. Kimkolwiek był obserwujący ją człowiek, wolała pozostać przytomna.

Następnego dnia, 6 listopada, na szczęście był już czwartek. A to oznaczało pięciodniową przerwę, której Joanna potrzebowała niczym powietrza. Jak spora część gorliczan, poniedziałek przed Świętem Niepodległości zrobiła sobie wolny: w rezultacie pacjentów miała przyjąć dopiero w środę 12 listopada.

Pragnęła odpoczynku i czasu na przemyślenie wszystkiego: budowy domu, człowieka pod lasem, no i samochodu. Dlatego że garbusa pozostawiła na przełęczy. Śnieżyło od czterech dni, a prognoza pogody mówiła, że będzie jeszcze przez tydzień. Już rano ledwo uniknęła poważnego poślizgu i na Przełęcz Warnicką, skąd odśnieżano drogę, dojechała jako kłębek nerwów.

Postawiła samochód na kamienistym placu za przystankiem autobusowym. Wybrała miejsce tuż pod lasem, tak żeby żółty kolor garbusa nie rzucał się z drogi w oczy. Miała nadzieję, że nikt go nie ukradnie. A jeśli tak by się stało, cóż, jej polisa zawierała ubezpieczenie od kradzieży. To mogło być nawet lepsze rozwiązanie.

Trzy kilometry z przełęczy do Bukowców Joanna pokonała na piechotę, czerpiąc przyjemność ze spaceru w świeżym puchu. W domu wyjęła i nasmarowała narty biegowe z zamiarem odzyskania formy, a może i poprawy rozlewającej się sylwetki.

W trakcie marszu zmarzły jej dłonie; usiadła w kuchni nad kubkiem rozgrzewającej pokrzywy, zaciskając na nim palce, aż zaczął ją parzyć. Rozejrzała się po sfatygowanym wnętrzu pełniącym funkcję jej domu przez nieokreślony jeszcze czas. Nie miała ochoty spędzić tutaj kolejnego samotnego popołudnia. Fizycznie niemal potrzebowała kontaktu z ludźmi, kontaktu, którego nie dawali klienci Kamedu. Z początku była zachwycona, że ma pacjentów, teraz nie mogła znieść ich głądzenia, a zwłaszcza makijażu i perfum kobiet.

Włożyła najcieplejszą kurtkę i timberlandy, bo zrobiło się całkiem zimno, i wyszła na drogę. Na lewo, gdzieś tam na końcu

Bukowców, mieszkała Irena Drybak. Z opowieści Anety wyłaniał się obraz półdzikiej i trochę stukniętej kobiety. Od śmierci równie szalonej matki mieszkała ponoć w okropnych warunkach. Joanna nigdy jeszcze jej nie widziała.

Niemal naprzeciwno, po prawej stronie drogi, mieszkali Styczkowie. Halina Styczko, samozwańcza wiejska strażniczka, całymi dniami przesiadywała na ławeczce przed starym domem. Syna, Władka, Joanna widziała w wychodku i kilka razy na drodze, przechadzał się i gapił na jej dom, jakby chciał wpaść z wizytą. Modliła się, by tak się nie stało. Aneta mówiła, że młody Styczko wiecznie szuka żony i w swoim czasie smażył cholewki nawet do dzikiej Drybaczki, swojej dalekiej kuzynki.

Wdowa Styczko gapiła się na nią oczami czarnymi jak węgiel, jakby chciała ją przepołowić spojrzeniem. Nieruchoma, opatulona w chusty starsza kobieta najwyraźniej pochodziła z czasów, gdy człowiek siedział na miejscu, a życie miało inne tempo.

W górze wsi, również po prawej stronie, mieszkał Wojtek. Ale jego dom był z innej bajki niż obie chałupy Styczków; Joanna sama chciałaby taki. Kompaktowy, drewniany i trochę rodem z westernu, miał małe okienka od strony drogi, zapewne dla ochrony przed wścibskimi oczami, i podobno świetną werandę od strony lasu. Przy domu stał drugi, niewiele mniejszy budynek. Pracownia rzeźbiarza.

Do Wojtka skierowała teraz swoje kroki.

Nie odpowiedział na pukanie. Zajrzała przez okno, ale zobaczyła tylko skrawek zabałaganionej kuchni. Otwarte puszki i słoiki: kawalerskie wnętrza. Odsunęła się, zawstydzona, że lustruje czyjeś życie.

Ordowski pewnie pracował. Strasznie była ciekawa jego rzeźb. Aneta mówiła, że są odważne i oryginalne.

Zapukała do pracowni, a potem nasłuchiwała. Zdawało jej się, że coś słyszy, a po chwili drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że mało nie wpadła do środka. Zarumieniła się.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – wymamrotała, choć było niemal oczywiste, że tak jest.

Wojtek patrzył na nią bez słowa. Nie wyglądał na złego, bardziej na zamyślonego. Mimo zimna nic nie narzucił na brudny podkoszulek. Na widok żylastych, wyrobionych pracą mięśni przełknęła ślinę. Ponownie odniosła wrażenie, że jest młodszy niż wskazywałyby na to siwe włosy i szpakowata broda; tak jakby silny młody mężczyzna przebrał się za starca. Spoglądając na rzeźbiarza, miała ochotę ogolić go i wsadzić w przyzwoite ubranie.

– Chciałam ci jeszcze raz podziękować za to, co zrobiłeś w Potoczku – oznajmiła.

– Yhmm – mruknął. Z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnął papierosy. Jakby w roztargnieniu zaproponował jej winstona. Podziękowała, niepewna, czy w ogóle to zauważył.

Rzeźbiarz zamknął drzwi do pracowni i usiadł na wystającym progu. Zapalił i wydmuchał dym nosem, powoli i z wyraźną przyjemnością.

– Wojtek – powiedziała. – Wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje... i chyba włamał się do mojego domu.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co ukradł?

– Właściwie nic.

– Czyli to nie włamanie.

– Ale drzwi były otwarte, a papiery rozrzucone. I dwa razy już widziałam kogoś na skraju lasu.

Rzeźbiarz chyba odpłynął znowu myślami.

– Może to zwierzę – rzucił w końcu.

– Nie, z pewnością człowiek.

Wzruszył ramionami.

– Pójdź z tym na policję, jeśli chcesz.

– Z czym? Wyśmieją mnie.

Nie odpowiedział; palił spokojnie papierosa, a kiedy skończył, zgasił w słoiku z wodą. Potem wstał i bez słowa wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi. Zdawało jej się, że słyszy odgłos zamykanego rygła. Stała na wietrze, zastanawiając się, co właściwie zaszło i jak bardzo ją uraził. Od spotkania w Potoczku myślała o rzeźbiarzu kilka razy. W jej głowie, jak zawsze, to

spotkanie miało wyglądać inaczej.

Choć przecież to ona sama powinna być mądrzejsza. Naszła człowieka – artystę! – podczas pracy. Wkrótce z wnętrza pracowni zaczęły dobiegać odgłosy uderzeń młotka. Joanna wycofała się i skierowała do pensjonatu, gdzie liczyła na życzliwsze przyjęcie.

W przeciwieństwie do Wojtka Aneta przejęła się jej opowieścią, kiedy siedziały nad kawą i szarlotką. Może dlatego, że nauczona doświadczeniem Joanna relacjonowała teraz z większym dystansem.

– Powinnaś to zgłosić – powiedziała w zamyśleniu gospodyni.

– Co ja im powiem? Nie jestem pewna, że to było włamanie.

Wojtek miał rację.

Aneta uniosła lewą brew.

– A więc poznaliście się w końcu?

– Można powiedzieć, że trochę mi pomógł ostatnio. Ale dzisiaj właściwie mnie wygonił.

Aneta zaśmiała się.

– Trzeba się było mnie zapytać. Źle trafiłaś. Z tego, co wiem, Wojto kończy pracę nad rzeźbą. Jakby papież do niego przyszedł, potraktowałyby go tak samo. My to już znamy z Rafałem.

– Skąd?

– Lata doświadczeń – skwitowała Aneta.

– *À propos* lat, w jakim on jest wieku?

– Wojtek? Starszy od węgla.

– Wydaje mi się młodszy, niż wygląda.

– Tak naprawdę to nie wiem. Poznałam go dziesięć lat temu i już wtedy był bardziej siwy niż czarny. Czemu pytasz?

Joanna spłoniła się lekko i miała nadzieję, że Aneta nie jest zbyt spostrzegawcza.

– Zwyczajna ciekawość – oznajmiła. – Od dawna mieszkacie w Bukowcach?

– Rafał to już prawie dwadzieścia lat, ja dopiero od dziesięciu.

– Jak to? – zdziwiła się Joanna.

Zerknęła na gospodarza; kręcił się przy lodówce i pewnie wszystko słyszał.



– Wcześniej był tu sam. – Aneta lekko poczerwieniała. – Rafał jest starszy ode mnie.

– Jasne. – Poczuła się w obowiązku skomentować.

– To widać?

– Nie aż tak.

– Kiedy się poznaliśmy, miałam dwadzieścia lat. Jestem z tych okolic w ogóle, spod Jasła. Tutaj się spotkaliśmy... Potem przyjeżdżał do mnie z kwiatami i od razu znikał. Mój tato był przeciwny naszemu związkowi. Mówił, że Rafał nas nie utrzyma – zawahała się – ale widzisz, że mamy się całkiem dobrze.

– Och, daj spokój, Aneta! – zganił ją w końcu ze śmiechem mąż. – Dziewczynę to przecież niewiele interesuje.

– Pięknie tu mieszkacie – oświadczyła Joanna.

– Zawsze kochałam góry i tylko tak chciałam – odparła Aneta.

– Ja również.

– Pitu-pitu. Wszyscy tak gadają. – Rafał podszedł do nich i objął Anetę, tak że jego dłoń sięgnęła do biustu żony i została tam nieco za długo. Potem pocałował ją jeszcze w szyję; tym zmusił Joannę, by uciekła spojrzeniem. – Podobno uczucie weryfikuje pierwsza przeżyta zima – dodał. – Już zaczyna się nasza krucjata z odśnieżaniem. Nie dość, że nie znaleźli w Odwieży budżetu na remont drogi, to stale oszczędzają ze spychaczami. Jak wszędzie zaskoczeni opadami.

– Warnica odśnieżona tylko do przełęczy – skomentowała Joanna.

– O nas, jak zawsze, świat zapomniał. Widzisz teraz drugą stronę medalu?

– Już przygotowałam biegówki – rzuciła. – A samochód zostawiłam na przełęczy. Na nartach szybciej tam dotrę.

– I dobrze – powiedział gospodarz. – Jak jeszcze trochę napada, przygotuję ścieżki biegowe.

– Spodziewacie się gości?

– Niestety, nie. – Skrzywił się. – To znaczy przyjadą w tę sobotę, ale to bardziej znajomi niż goście. A tak to pustka... aż do świąt. Dużo czasu na rozmyślania. Żebym to ja miał tyle w głowie.

– Wygląda na to, że ja również będę miała sporo czasu. Budowa domu stanęła.

– Słyszeliśmy o wypadku Fuszary. Straszna historia – powiedziała Aneta. – Oni tak często tutaj po pijaku tną, to nie pierwszy raz. Sławka wszyscy w okolicy poważają, poza tym on ma już swoje lata. Oby mu się ta noga zrosła. Ponoć średnio się śpieszyli z transportem do Krakowa.

– Dlaczego?

– Może nie chcieli się podjąć. Słyszałam kiedyś, że bezwzględnie operują w przypadku amputacji skalpu, kciuka i penisa. Znalazłaś zastępcę?

– Tak. Mariusza Nicińskiego – odparła Joanna, kiedy przetrawiła słowa Anety.

Następnie opowiedziała wszystko, co zaszło.

– Nie możesz mu zapłacić – oznajmił kategorycznie Rafał.

– Czas leci.

– Mogę jeszcze podpytać, ale z tego, co opowiadasz, to zwykły złodziej. Nie zobaczysz swoich pieniędzy.

– W takim razie może lepiej to odpuścić.

– Co?

– Tę całą budowę.

– Och, przecież nie możesz tak mieszkać do lata. Twój dom to ruina – powiedziała Aneta.

Joanna poczerwieniała ze wstydu. Nie, nigdy ich nie zaprosiła, ale było jasne, że wiedzą.

– Rafał ci pomoże – dodała gospodyni.

Rzuciła szybkie spojrzenie na jej męża.

– W zasadzie mógłbym zadzwonić do kumpla – stwierdził po namyśle. – Jest z niego złota rączka.

– Będzie miał czas?

– Jeśli jeszcze nie wyjechał, to na pewno. Kosmaty strasznie się objiła, kiedy zjeżdża do rodziny.

– Niezła reklama – skomentowała Aneta.

– Daj spokój. Wystarczająco ich sponsoruje.

– To znaczy? I czemu do nas nie zajrzał?

– Siedzi teraz na stałe w Norwegii. Tam zresztą też nie pracuje,

bo jest na zwolnieniu. Ale ma dziewczynę, chłopaka, kogoś w każdym razie. Życie.

– Pomoże? Jak jest chory? – zapytała Joanna.

– To zwolnienie na głowę, Kosmaty odpoczywa – zaśmiał się Rafał.

Odnutowała, że nie wzgardziłaby takim L4.

– W każdym razie – kontynuował gospodarz – ma u mnie dług wdzięczności i jak go ładnie poproszę, to we dwóch ci pomożemy. Żeby chociaż doprowadzić dom do stanu surowego, zanim mrozy nadejdą.

– Byłoby super... – wydukała.

– Poczekaj, zaraz do niego zadzwonię. – Wyszedł do jadalni, gdzie znajdował się drugi telefon, a po kilku chwilach usłyszała ryk śmiechu.

Aneta położyła palec na ustach i ostrożnie podniosła słuchawkę. Po chwili cicho odłożyła ją z powrotem.

– Rafał nie cierpi, kiedy to robię – powiedziała. – Chłopaki chyba się dogadali i nie tylko na robotę.

Kiedy zarumieniony gospodarz wrócił do kuchni, oznajmił:

– Wpadnie jutro koło południa, ja może trochę wcześniej. Pomożemy ci.

– Co jeszcze ustaliłeś? – zapytała niewinnie Aneta.

– Och, daj spokój – zachnął się.

– Strasznie ci dziękuję – wtrąciła Joanna. – Oczywiście zapłacę.

– Ech... policzymy ci po kosztach – rzucił Rafał, a ją trochę zmroziło, bo pamiętała, co ten termin oznaczał ostatnio. – Żaden ze mnie budowlaniec, a Kosmaty ma inne źródło dochodów.

Aneta chciała znowu coś wtrącić, ale Rafał okazał się szybszy.

– Sam sobie na to kiedyś zapracował – uciął i sięgnął po kurtkę. – No, wpadnę z rana, żebyśmy zdążyli się obrobić. Głowa do góry, Asiula!

Przytaknęła z myślą, że jednak nie pogodziła się z tutejszym zdrabnianiem imion. Kiedy gospodarz wyszedł, jego żona skwitowała:

– On się tak cieszy, bo będą palić przy budowie.

– Nie przeszkadza mi to.

– Nie mówię o papierosach.

– Aha...

– Stary chłop, a wewnątrz dzieciak siedzi – stwierdziła Aneta – ale właśnie na to mnie poderwał.

Pod domem Joanna natknęła się na Władka Styczkę. Sąsiad przelazł przez ogrodzenie i oglądał nowy dom jak obiekt muzealny. Nie spłoszył się na jej widok. Może w stereotypie dotyczącym płotu – że jeśli go nie ma, to nie ma i gospodarstwa – tkwiła jakaś prawda. Spróchniałe resztki ogrodzenia z pewnością nie budziły niczyjego szacunku.

Pierwszy raz widziała Styczkę z bliska. Hodował pokaźny brzusek i stracił już prawie wszystkie włosy. Rysy twarzy jednak miał regularne i wydałby się interesujący, gdyby tylko potrafiła „odzobaczyć” jego widok w sławojce.

– Postawiła pani chałupę – skomentował. – Jakaś malutka.

– Mi wystarczy.

Pokiwał głową. Zaglądał do środka, gadając coś do siebie i stękając. Wyglądał, jakby szukał dziury w całym, i pewnie tak było. Fuszara jednak odwalił w swoim czasie niezłą robotę.

– Dla letników? – zapytał w końcu Styczko.

– Dla mnie. – Dlaczego właściwie musiał to wiedzieć?

– Szkoda pieniędzy. Przecież stary dom stoi.

– Dach jest dziurawy jak sito.

– Ino wymienić. Dobra chałupa. Stoi już pięćdziesiąt lat. W środku posprzątała, można mieszkać.

– Drewno zbutwiało – rzuciła, czując narastający niepokój.

– Ech... – Podszedł do starego domu i odłupał kawałek belki palcem. Odszedł dość łatwo. – Kto tak powiedział?

– Cieśla.

– Fuszara?

Drgnęła.

– Zawsze tak gada – kontynuował Styczko. – Bo co ma mówić? Że zdrowe? – Zaśmiał się na całe gardło i już nie wydawał jej się ani trochę atrakcyjny. Zębów została mu najwyżej połowa.

– Czego pan tu szuka? – powiedziała ostrzej, żeby zagłuszyć wątpliwości po jego słowach.

– Ja tu zawsze zachodził po sąsiadku.

– A teraz to mój dom.

– Pani dom, ale nie pani wieś – powiedział. – U nas trzeba dobrze z ludźmi żyć.

Czemu oni wszyscy to powtarzali? Nie chciała się kłócić, przez to gadanie była jednak coraz bliżej wybuchu.

– Jestem wdzięczna za pańskie rady – rzuciła.

Pokiwał głową, tak jakby podziękował. I wciąż się na nią gapił. Nagle zmroziło ją podejrzenie, że to jego właśnie widziała pod lasem. W końcu w Bukowcach mieszkało tylko trzech mężczyzn, o ile widziała wtedy faceta... Wyobrażenia podsuwała jej kolejne argumenty: Styczko żył bez kobiety, jedynie ze starą matką, i oczywiście widział, że Joanna jest samotna. Z lasu miałyby znacznie lepszy widok na jej dom niż ze swojej chałupy.

Skąd wiedział, że posprzątała? Jasne, mógł zajrzeć przez okno pod jej nieobecność. Równie dobrze mógł sforsować drzwi i złożyć „wizytę”. A teraz postanowił skrócić dystans?

– To pana wczoraj widziałam? – zaryzykowała.

– Gdzie?

– Pod lasem.

– Pod lasem? Po co?

– Obserwował pan mnie?

– Nie łązę pod las, to nie moja ziemia – powiedział. – Po tej stronie to zawsze Drybaki byli, my po prawej stronie drogi.

– No tak, to wszystko wyjaśnia – odparła.

– Proszę?

– Nic takiego.

Styczko patrzył się na nią jeszcze przez dłuższą chwilę.

– Pani kiedyś zajdzie pogadać – rzucił. – Kropkę wyjmę. Piła kiedyś?

– Nie miałam tej przyjemności.

– Nasze, łemkowskie. Może dzisiaj przyniosę? Spróbuje pani?

– Dziękuję, ale nie. Jestem zmęczona po pracy.

Chyba nie był z niej zadowolony.

– Lepiej pani dobrze żyje tu z ludźmi – powtórzył, jakby się zepsuł.

– Grozi mi pan? – zapytała lekko podniesionym głosem.

– Grozi? Co pa...

– Do widzenia – zniecierpliwiona ucięła rozmowę, odwracając się do niego tyłem. Odniosła wrażenie, że Styczko inaczej pojmuje czas niż ona. W końcu co miał do roboty rolnik z małą ilością ziemi i na rencie, jak wspominała Aneta. Zamknęła drzwi i zerknęła przez okno. Stał tam z rękami założonymi z tyłu, jakby w ogóle jej nie usłyszał. Spojrzał na dom; odsunęła się przestraszona, że ją zobaczy. Nasłuchiwała potem, czy zbliża się do drzwi, które mógł już kiedyś otworzyć. Spoczęła na łóżku i jej dłoń zacisnęła się na siekierze, którą podniosła z podłogi. Siedziała tak w ciszy przez dobre pół godziny. Kiedy odważyła się wreszcie otworzyć drzwi, na podwórzu nikogo nie było.

Nie chciała być sama w tym przeklętym domu, zamartwiając się, czy Fuszara jej nie oszukał. Poczowała się nagle bezradna; usiadła na krześle i rozplakała się. Ona, niezależna kobieta, potrzebowała po prostu faceta, choć nigdy nie powiedziałaaby tego na głos. Faceta, który nie dałby się oszukać, faceta, który potrafił zbić mebel, naprawić pralkę i położyć gładź na ścianie. Zorientować się, czy drewno jest przegniłe. Skąd mężczyźni umieli robić takie rzeczy, skąd wiedzieli? I dlaczego ona nie wiedziała, przecież była inteligentną kobietą. Ale nie wychowano jej w ten sposób. Może dopiero teraz, przed czterdziestką, stawała się zaradna.

Otarła łzy, umyła twarz i poczuła się znacznie lepiej. Potrzebowała powietrza, spaceru; nadeszła chwila, żeby zwiedzić pozostałą część wsi, choćby składał się na nią jeszcze tylko jeden dom. Wyjęła kawałek ciasta z lodówki, aby poznać się z Ireną Drybak, jedyną obok panną na wydaniu w Bukowcach. Jak dobrze pójdzie, będą mogły założyć klub singielek.

Po dwóch godzinach wróciła przyjemnie zmęczona, bo do gospodarstwa Drybaków, gdzie droga rwała się już na kawałki, były co najmniej dwa kilometry. Ciasto włożyła z powrotem do lodówki: obejrzała starą chyżę z bielonego drewna i schludne obejście, ale gospodyni nie zastała albo ta nie zamierzała się z nią poznawać. Mimo to dzień, który chylił się już ku końcowi, uznała

za udany. Nastrój miała dużo lepszy i była teraz zdecydowana, żeby pójść na randkę sama ze sobą. Odkorkowała butelkę wytrawnego rieslinga. Do zapiekacza włożyła grzanki z serem halloumi. Wyjęła z lodówki sałatę, rukolę, pomidorki koktajlowe, marynowane szparagi i karczochy. I wtedy za oknem błysnęło światło.

Nie padało. Zapatrzyła się, światło błysnęło raz jeszcze, reflektor jakby zatrzymał się na sekundę i zdawało jej się, że słyszy czyjś głos. To mógł być samochód. Ale jakie auto mogło tu jechać o tej porze? W tych warunkach? Człowiek, kimkolwiek był, zbliżał się do niej.

Jej komórka oczywiście tutaj nie działała, mogła jedynie wyjść na drogę i pójść do Łowickich albo nawet do Wojtka. Jedyne, czego nie powinna robić, to zostawać w tym domu, którego zamek już raz został pokonany. Z nożem kuchennym w jednej dłoni i z latarką w drugiej wyszła na zewnątrz.

Noc była piękna i bardzo cicha. Joanna zatrzymała się w progu, bojąc się zrobić krok w ciemność. A potem poczuła wstyd, że znowu jest słaba. Co później opowie: że światło błysnęło za oknem? Niedługo nikt z sąsiadów nie będzie już jej słuchał, a może nawet nazwą ją szaloną, jak Drybaczkę...

Omiotła światłem latarki podwórze i drogę. Nie dostrzegła ani samochodu, ani człowieka. Brodząc w śniegu, obesza budowę dookoła. Wsłuchiwała się w ciszę, teraz niemal doskonałą. Przecież tego pragnęła. Czemu w takim razie była taka niespokojna? Szybkim krokiem wróciła do domu, do swojej randki z winem z Biedronki. Tej nocy nie zmrużyła oka.

Zgodnie z obietnicą następnego dnia wpadł Rafał i przygotował ziemię, a koło południa odrapanym ułazem przyjechał Kosmaty: niski, ale bardzo mocno zbudowany facet z rękami wytatuowanymi aż po dłonie i posiwiałymi dredami związanymi w kucyk.

– Leszek – odparł krótko, kiedy się przedstawiła.

Odniosła wrażenie, że facet jest jak za szklaną ścianą, nie nawiązywał kontaktu wzrokowego i może nie bez powodu przyznano mu w Norwegii to zwolnienie. Bez większych ceregieli

wyciągnął już zrolowanego jointa. Wypalili go razem z Rafałem, roznosząc zapach potu; sama podziękowała.

Kosmaty pracował jak cyborg. Pod wieczór skończyli. Przyniosła im kawę, a potem piwo. Rafał patrzył na nią tak, że spuściła wzrok. Dochodził zmierzch, kiedy Kosmaty wyjął jeszcze jednego skręta z kieszeni bojówek i uciekając spojrzeniem, udzielił instrukcji dogrzewania i namaczania podłoża.

– Mam szansę zdążyć przed zimą? Choćby tak, żeby spać na podłodze? – spytała, kiedy odpalił stary piecyk gazowy, który przywiózł ze sobą.

– Zależy od ludzi – odparł.

– Nie mam nikogo.

– Jak wyschnie, to już w zasadzie mamy stan surowy – rzucił Kosmaty. – Deska podłogowa, kafelki, meble, AGD i takie tam pierdoły. Elektryka. Dobry człowiek upora się z tym w miesiąc.

– A ty? – zaryzykowała.

– Nie biorę zleceń. – Znowu zwiął gdzieś spojrzeniem.

– Jasne. Ile jestem ci winna?

– Dobre słowo. – Kosmaty uśmiechnął się w końcu półgębkiem. Nie chciał pieniędzy nawet za piecyk gazowy. Kolejny raz doświadczyła w górach dobra.

To wzmocniło ją przed rozmową z Nicińskim, do którego zadzwoniła z pensjonatu.

– Nie rozumiem.

– Proszę już nie przychodzić – powtórzyła.

– Słabo panią słyszę.

– Koniec z pracą u mnie!

Cisza.

– A zapłaci mi pani? – odezwał się w końcu.

– Niby za co?

Słyszała chrapliwe sapanie w słuchawce.

– A zdychaj, kurwo – powiedział majster i rozłączył się.

Jeszcze chwilę oddychała ciężko, ale potem odczuła ulgę.

Mogła teraz spełnić swoje marzenie i posiedzieć w domu, ukryć się przed światem, choćby na trochę. I do soboty całkiem nieźle się to udawało. Kilka razy widziała przez okno przechadzającego



się Styczkę. Gapił się na dom, ale nie zboczył z drogi. W sobotę rano naszedł ją za to Ordowski.

Dzień był podły, deszczowy i nie zamierzała wcale wychodzić. Planowała tylko zanieść ciasto do Kory i od rana zajęła się wypiekaniem murzynka w prodiżu. W takt cicho leżącego Coldplaya pogrążyła się w aromatach rumu i czekolady, zapominając o tym, co na zewnątrz.

Nagle usłyszała pukanie. Zerknęła przez okno w strachu przed Styczką albo Nicińskim. Ale to był Wojtek w dziwnie niepasującym, wełnianym płaszczu jak z lumpeksu i w szarej czapce; za to chyba nieco podgolony.

Zawahała się. Nie była pewna, czy w ogóle powinna z nim rozmawiać. Zastygła, żeby nie robić hałasu; choć przecież mógł słyszeć muzykę. Bezgłośnie, jak szpieg, podeszła na palcach do wieży i ściszyła wokół Chrisa Martina do zera. Wojtek pewnie teraz rozglądał się za garbusem; nie musiał wiedzieć, że został na przełęczy. Zapukał jeszcze raz, a potem usłyszała ciężkie tąpnięcie na śniegu. Poszedł. Wiedziała, że czeka ją rozmowa z nim, że artyści to trudni ludzie, a nachodzenie rzeźbiarza w jego pracowni było kiepskim pomysłem. Nie miała jednak czasu na dramaty.

Musiała zdecydować, co dalej, nie oglądając się na innych i ufając samej sobie.

Człowiek pod lasem nie znikał. Był coraz bliżej; zostawiał ślady na podwórzu. Czasem patrzyli się na siebie z odległości kilkuset metrów.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Po przerwie świątecznej miała wrócić do gabinetu, do pacjentów i codziennej harówki. Przeczuywała, że pewnego dnia obserwator będzie na nią czekał. We wtorek 11 listopada założyła biegówki i po czterdziestu minutach dotarła na przełęcz. Odśnieżyła nieszczęsnego garbusa. Rzeził, ale po kilku próbach zapalił. Biegówki schowała w krzakach i ruszyła do Gorlic.

Policja nie znała przerw świątecznych, choć Gorlice rządziły się swoimi prawami i zakładała, że o przesłuchanie może być ciężko. Nie sądziła, że w komendzie powiatowej, mieszczącej się w nowoczesnym pięciopiętrowym klocku na ulicy 11 Listopada, spotka ją z miejsca takie przyjęcie.

– Nadkomisarz Michał Karpiuk – przedstawił się zwalisty facet ze śnieżnobiałymi włosami. – Proszę opowiedzieć wszystko po kolei, pani Joanno.

Siedziała w dość dusznym pokoiku i było jej gorąco. Komenda, prawie pusta w Święto Niepodległości, wyglądała nieco surrealistycznie. Ciekawe, czy tak jak i w Warszawie, w Gorlicach ten dzień stał się dla chuliganów okazją do gruntownej rozróby. W tym mieście sprawca znany byłby przecież w dwie sekundy.

Nadkomisarz Karpiuk robił wrażenie. I nie chodziło tylko o stanowisko, bo nawet nie wiedziała, jak wysoki to stopień. Policjant miał pomarszczoną twarz, wydatny nos, grubą skórę i mięsiste, niemal zmysłowe usta. Zdawał się jednak przygnieciony jakimś niewidzialnym ciężarem. Chory, a może po prostu stary i tuż przed emeryturą. W służbowej koszuli z pagonami wyglądał dziwnie uroczyście, jakby wybierał się na pogrzeb.

Opowiedziała o człowieku pod lasem, starała się brzmieć pewnie. Nie pomagało to, że Karpiuk nie notował. Wyobrażała to sobie inaczej: drobiazgowo zeznania i wymogi biurokracji. On zaś siedział bez ruchu, nie odrywając od niej oczu. Raz na jakiś czas kiwał tylko głową, jakby chciał dać znać, że nie uważa jej za kompletną kretynkę. Zrobiło jej się gorąco i spociała się na tyłku.

– Obserwuje panią co wieczór – skwitował. – A coś więcej?

– Nie rozumiem.

– Zacząłbym od płci.

– Przecież mówię, że znika. I tak, to może być kobieta, choć ślady buta są duże, jak wspomniałam. Poza tym, pojawia się tylko

wieczorem.

– I stoi sobie pod lasem. To nie przestępstwo.

– Jest coraz bliżej. Przecież widziałam ślady!

Karpiuk wbił w nią spojrzenie.

– Coś jeszcze ma pani do opowiedzenia?

– Nie, to wszystko... Nie notuje pan tego? – Odważyła się w końcu zadać pytanie, choć chciała już tylko wyjść.

Machnął ręką, a potem poprawił się na krześle.

– Proszę posłuchać – powiedział z uśmiechem. – My tutaj mamy taką małą społeczność. Sto tysięcy owieczek pod moją opieką. Sto tysięcy ludzi w powiecie, a jakby pod jednym dachem mieszkali. – Zaśmiał się. – I moim zadaniem jest pilnowanie tych dusz powierzonych przez państwo. – Zerknął na nią bystro. – A do dobrej opieki... najważniejsza jest informacja. Więc jeśli myśli pani, że to, co się dzieje w takiej dziurze jak Bukowce, mi umyka, to się pani myli. Zainteresowała mnie pani już wcześniej, a teraz sama do mnie przyszła. To chyba siła wyższa.

Nie miała pojęcia, do czego facet zmierza, jednak wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

– Joanna Pascho – zamruczał Karpiuk. – Nazwisko ładne i podobno nawet istniejące. Lekarz dermatolog, zgadza się? Dobry wybór. Ale wie pani... ciekawa sprawa wynikła, jak zadzwoniłem do pani *alma mater*.

– Gdzie?

– Na uczelnię, którą pani skończyła.

– Ale dlaczego?

– Mniejsza z tym dlaczego. Ważniejsze, co ciekawego mi powiedzieli. Chce pani wiedzieć?

Patrzyła na niego, teraz mokra również i na plecach.

– Może sama mi to pani zdradzi? – podsunął Karpiuk.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wydukała.

– O tym, że nikt taki Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, a za pani czasów Akademii, nie kończył. Jednak dyplom wisi w pani gabinecie. I nie, nie jest pani mężatką, nie miała pani wtedy innego nazwiska.

– To jakaś pomyłka. Czy sprawdził pan...

– Prawda jest brutalna – przerwał jej w pół zdania – leczy pani ludzi bez papierków, pani Joanno.

– To kłamstwo – powiedziała cicho.

– Słucham?

– To musi być jakaś pomyłka. Kończyłam Akademię Medyczną już dawno...

– Poprosiłem o wyciąg z pani dokumentacji i on jeszcze do nas nie dotarł. Do tego czasu jest pani wolna. – Zaśmiał się. – A mnie bardziej interesuje, co jeszcze pani ukrywa. Kim była Joanna Pascho, zanim powróciła w góry?

– Powróciła?

– Tak.

– Co pan ma na myśli? – Czuła się słabo.

Spoglądał na nią. Dopiero teraz dostrzegła, że on również jest spięty.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy wcześniej tu nie byłam.

Odchylił się na krzesło, aż skrzyknęło oparcie.

– Nie powie mi pani prawdy? Odtworzę pani życiorys, choćbym miał stąd nie wychodzić do świąt. Ja mam czas. Nauczyłem się cierpliwości.

Bardziej przypominał teraz wilka czyhającego na tę swoją stutysięczną społeczność owieczek niż jej psa obronnego.

– Chciałabym już iść – powiedziała, wstając niezgrabnie. – Jeśli nie zamierza pan nic zrobić w mojej sprawie...

Milczał. Wyszła z gabinetu, czując na plecach jego spojrzenie.

Niemal nie pamiętała drogi powrotnej. Ocknęła się dopiero na śliskich warnickich serpentynach, w samą porę, żeby nie wpaść do wąwozu. Kręciło się jej w głowie i czuła odór potu, którym złała się na komendzie. Uchyliła okno; do środka wpadło chłodne powietrze. Ostre zakręty i słaba przyczepność garbusa otrzeźwiły ją w końcu. Wjechała na przełęcz i zaparkowała samochód na placyku za przystankiem, ukrywszy go tak jak poprzednio.

Z krzaków wyjęła biegówki. Potrzebowała ruchu, żeby choć przez chwilę nie myśleć. Zmieniła buty, wpięła narty i równym tempem ruszyła w stronę domu. Było ciemno, mroźnie i pusto.

Napadało jeszcze więcej świeżego śniegu i płynnie posuwała się w górę. Biegła, nie odwracając się za siebie, słyszała tylko własny oddech i ślizg nart.

Mniej więcej kilometr za przełęczą usłyszała za swoimi plecami inny, szybko narastający dźwięk. I zdała sobie sprawę, że nie jest sama na drodze do Bukowców.

14 listopada 2014 roku nadkomisarz Michał Karpiuk, naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej w Gorlicach, nie był szczęśliwym człowiekiem. Próbował zebrać do kupy wszystko, co wiedział do tej pory. Kartka papieru służyła mu najwierniej, jak zawsze, kiedy musiał się skoncentrować. W myślenie wkraadały się błędy, papieru oszukać się nie dało.

Karpiuk gryzł teraz końcówkę ołówka, nałóg niewykorzeniony w podstawówce, liceum, a tym bardziej na studiach, aż poczuł na języku zimny dotyk i chemiczny smak grafitu. Pięćset lat wcześniej, kiedy do środka wkładano jeszcze ołów, mógł się od swojego nawyku przekroczyć.

W końcu odłożył ogryzek na biurko i westchnął. Notatka była gotowa. Już jej nie potrzebował. Miał w głowie kolejność wydarzeń. Teraz musiał nadać im tylko sens.

Wstał, żeby rozprostować kości, i wyjrzał przez okno. Szary gorlicki listopadowy poranek. Masywne zwały pierwszego w tym roku, ale już brudnego śniegu na poboczach ulicy 11 Listopada. Ta sama co zawsze perspektywa hurtowni spożywczych, budowlanych oraz sprzętu RTV i AGD. Kilkanaście lat wcześniej Karpiuk po raz pierwszy spoglądał na rzędy tych parterowych, prostokątnych budynków. Zmieniała się tylko ich zawartość, a także banery, zdradzające najgłębsze pragnienia gorliczan: teraz zamiast pralek sprzedawano nowe iPhone'y.

Jego miasto. Tu, w Gorlicach, Karpiuk spędził lwią część swojego pięćdziesięcioczworoletniego życia. Tu pierwszy raz się pobił, pierwszy raz zakochał. I ostatni, jak się później okazało. Wydarzyło się to w miejskim parku, za rzeką Ropą, a Ela chodziła do równoległej klasy jego Liceum imienia Marcina Kromera. Które zawsze było elitarne i skupiało te wrażliwsze dzieciaki.

Wracał do Gorlic dwukrotnie. W siedemdziesiątym ósmym i niemal dwadzieścia lat później. Dla Eli. Za pierwszym razem podróżował z Krakowa – wyraźnie zdenerwowana czekała na

niego na dworcu autobusowym. Nie mieli możliwości skontaktować się wcześniej. Wtedy, we wrześniu, życie Karpiuka zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

A kilka lat po drugim powrocie, już w nowym tysiącleciu, zaoferowano mu większy gabinet. Z odrobinę lepszymi meblami, na zamówienie, gotowymi na przyjęcie naczelników poszczególnych wydziałów, a czasem nawet burmistrza i radnych. Wyższą pensję i prestiż. Podobno. Tymczasem zamiast polityki i administracji miał zwykłe zaginięcie i perspektywę czynności operacyjnych. Tego chciał, przynajmniej tak zawsze myślał. Jednak obecny przypadek wymykał się regułom.

Joanna Pascho. Co wiedział?

W środę 12 listopada nie pojawiła się w swoim gabinecie. Miała tego dnia zaplanowanych sześć wizyt i wszystkie pacjentki pocałowały kławkę. Jedna z kobiet dodzwoniła się do pensjonatu w Bukowcach, korzystając z dawno podanego numeru kontaktowego.

Telefon odebrała gospodyni. Nie widziała Joanny, ale zaoferowała się, że sprawdzi, czy ta jest w domu, czy przypadkiem nie zachorowała. Aspirantce Kaśce Wartoń, której Karpiuk później kazał zająć się sprawą, Aneta Łowicka przekazała, że Pascho w domu nie ma, a przynajmniej nie otwiera drzwi. Nie zaniepokoiła się tym specjalnie, bo Joanna kilkukrotnie wspominała, że ceni sobie spokój i ciszę. Dlatego właśnie przeprowadziła się do Bukowców. Dzień później cała akcja się powtórzyła, jak w *Dniu Świstaka*, ulubionym filmie Karpiuka i z jego ulubionym aktorem w roli głównej. Kolejni pacjenci nie zastali Pascho w gabinecie i znowu dzwoniło do pensjonatu. Tym razem obydwójce Łowiccy skierowali się do domu Joanny, zaniepokojeni o sąsiadkę.

Ich troska nie była bezzasadna: w okolicy szalał rotawirus, który nie oszczędził też gości pensjonatu. Gospodarze pomyśleli, że ich koleżanka padła ofiarą choroby. Ostukiwali okna i ściany, nikt nie reagował, a zapasowego klucza nie mieli. Wrócili do siebie, zastanawiając się, czy nie powinni zawiadomić policji.

I wtedy znaleziono narty.

Inny sąsiad Pascho, Wojciech Ordowski, zawód: rzeźbiarz (tu Karpiuk uniósł krzaczastą lewą brew), w czwartek natknął się na nie na poboczu drogi do Bukowców. Nie wiedział o zaginięciu Joanny i pozostawił narty na miejscu, ale wracając, wstąpił do pensjonatu. I trafił w sam środek dyskusji, którą rozognił, informując o swoim znalezisku. Z opisu nart wynikało, że mogą należeć do Joanny. Teraz już cała trójka wybrała się do domu Pascho i mężczyźni mocniej napaarli na drzwi, wyłamując zawiasy.

Dom zastali pusty.

Powiadomiony dyżurny zapytał, czy należą do rodziny lub są opiekunami „zaginionej”. Po przeczącej odpowiedzi, zgodnie z wytycznymi Komendanta Głównego, odmówił wszczęcia poszukiwań.

Mimo to w ten piątkowy poranek sprawa jakoś trafiła na biurko Karpiuka. I zepsuła mu i tak już nieszczególny dzień. Bo piątków, mając przed sobą perspektywę weekendu, nadkomisarz nie znosił.

Jednak statystyki policyjne w Gorlicach i powiecie gorlickim nie szalały. Zaginięcie przyjezdnej lekarki nie mogło przejść bez echa. Może dlatego Kasia Wartoń podjęła decyzję, aby powiadomić szefa. Wiedział, że aspirantka cierpliwie czeka teraz na sygnał, czy wyrzucić sprawę do kosza.

Pukanie do drzwi zaskoczyło go. Prastarym nawykiem wrócił za biurko; podwładny nie powinien widzieć, że szef gapi się beczynnie przez okno. Nie wściekł się, nigdy się na nią nie wściekał. Spojrzał jednak nieco zdziwiony, kiedy aspirantka, ciemnowłosa i ciemnooka, pojawiła się w drzwiach.

– Myślę, że powinien pan to wiedzieć – oznajmiła Wartoń, siadając na krzeselku naprzeciwko. – Odnośnie tej kobiety, o której informowałam rano.

– Tak? – Poczuł, że lekko podwyższyło mu się tętno. Poprawił kołnierzyk koszuli i przypomniał sobie ostatnią wizytę u kardiologa. „Unikać stresu”; musiał tak dojechać jeszcze dwa i pół roku do pełnej emerytury. Tylko tyle i aż tyle.

– Znaleziono jej samochód – poinformowała Wartoń.



– Gdzie?

– Zaparkowany za przystankiem na Przełęczu Warnickiej.

Czekała teraz i wiedział, co to oznacza.

– Każdy ma prawo sobie zniknąć, Kaśka. – Mimo że poprosił, by mówiła mu po imieniu, nieuchronnie wracała do formy pan. Zostając przy „Kaśce”, niechcący nadawał ich relacjom feudalny charakter. – Ponoć ta babka niedawno się tu wprowadziła, tak? Dopóki nie zgłoszą bliscy, to nie jest nasz biznes. Nic innego byśmy nie robili, tylko szukali ludzi, którzy uciekli przed nadgorliwą rodziną.

– Tak, ale...

– Ale?

– Narty i samochód. Miała pacjentów, których nie odwołała. Podobno z trudem ich zdobyła. I tak nagle zniknęła? I przede wszystkim jak? Na piechotę polazła na Słowację?

Karpiuk wzruszył ramionami.

– Co sugerujesz?

– Przyjrzyjmy się temu chociaż. Podobno ktoś ją prześladował i chciała złożyć doniesienie. Jednak nie mogę odnaleźć śladów tej wizyty w papierach.

– Ja się nią zająłem.

Wartoń wgapiała się w niego.

– Proszę?

– Ja wysłuchałem Pascho, przy okazji – poinformował. – Przyszedłem odwalić zaległy raport.

– Oczywiście – odparła, szybko uciekając spojrzeniem. Na komendzie szeptano, że Karpiuk pracuje w święta i niejedną weekend. Ale nikt nie powiedziałby tego głośno.

– Opowiadała jakieś brednie, brzmiało jak mania prześladowcza – uzupełnił nadkomisarz.

– Co dokładnie mówiła?

Obrócił się na krześle, wyjrzał przez okno. Ulicą 11 Listopada sunął jakiś zagubiony pekaes, jeden z tych nowych i od dawna niebędących pekaesami. Jak to w prywatnych rękach, czysty i nowoczesny, może nawet z toaletą w środku dla wygody podróżnych. Karpiuk codziennie mijał rzędy takich pojazdów

parkujących na dworcu autobusowym. Sama stacja niegdyś oznaczała dla nadkomisarza wolność. Stąd, przy braku bezpośredniego połączenia kolejowego, wyjeżdżało się do Krakowa, na studia, czasem na zawsze. To było gorlickie okno na świat. Ale z biegiem lat dworzec kojarzył mu się raczej z kratami.

– Że jakiś człowiek ją obserwuje. Dla mnie to była samotna dziwaczka – powiedział Karpiuk, zanim ugryzł się w język.

Nie wiedział, kiedy ulotnił się mąż Kaśki Wartoń. Sama wychowywała kilkuletnią córkę. Jakoś zakładał, a może nawet słyszał, że aspirantka nie ma nikogo nowego.

– Pascho sporo zainwestowała w ten gabinet dermatologiczny – oznajmiła. – Buduje dom w Bukowcach. Jest tu krótko, ale cieszyła się niezłą opinią wśród pacjentów. To nie brzmi jak opis kogoś niezrównoważonego.

– Co sugerujesz?

– Przyjrzyjmy się temu.

– Zaginięcie odpada.

– A podejrzenie popełnienia przestępstwa? – Wartoń była przygotowana na rozmowę. I zaskakująco zdeterminowana.

– Kto? Gdzie? – zaśmiał się. – Kaśka, doceniam twój entuzjazm. Ale o jakim przestępstwie mówimy? Porwaniu?

– Zabójstwie – odparła cicho, lecz stanowczo.

Zastanowił się nad tym.

– Nie ma ciała – powiedział.

– Zostawiła narty. A może ktoś za nią szedł?

– Są ślady?

– Nie. Wciąż pada. Poza tym ten samochód... Jak miała uciec? Pieszko w zimie? Dlaczego?

– Podpytałaś kierowców autobusów?

– Nie zdążyłam.

Impulsywna Wartoń wciąż stanowiła łatwy cel. Ale dzisiaj nie sprawiało mu to satysfakcji.

– Zrób to – polecił. – Ale dobra, przyjmijmy twoją wersję. Podaj mi motyw.

– Rabunek?

– Nie wiem, czy miała przy sobie pieniądze. I sugerujesz, że

sprawca siedzi w lesie w Bukowcach i czeka na zbłąkanych wędrowców? Dawno odmroziłby sobie tyłek.

– Może ktoś wiedział, że Pascho zostawia tam narty. I czekał.

– Wciąż odmrażając sobie tyłek. Kaśka – zaczął ostrzejszym tonem – nie ma ciała, nie ma zbrodni. Czasem tak to jednak działa.

– Przeszukajmy okolicę. Z psami.

Karpiuk zaśmiał się.

– Widziałaś, co się dzieje? – Wskazał za okno. – Jak myślisz, jak jest w górach? Można tam w ogóle dojechać?

– Dzisiaj nie bardzo – przyznała.

Pokiwał głową. Miał teraz Wartoń na linach. Wstał znowu i podszedł do parapetu. Szkoda, że musiał się pofatygować na dół, by zapalić; zawsze czuł się nieswojo, kurząc na parkingu z niższymi stopniem. Wartoń nie naskarżyłaby, gdyby zwyczajnie otworzył okno, ale zobaczyć go mogli inni funkcjonariusze i przechodnie. Za kwadrans całe Gorlice wiedziałyby, że Karpiuk łamie regulamin.

– Każ Jańczakowi odśnieżyć drogę do Bukowców – oznajmił. – I przeszukaj okolicę, tam gdzie znaleziono narty. Dzisiaj. Jutro może być już za późno, nic nie znajdziemy.

Kaśka Wartoń pracowała z Karpiukiem od pięciu lat. I nie zadawała pytań, co oznaczało, że go znała.

– Zabierz, kogo możesz – dodał.

– Pan również pojedzie, nadkomisarzu? – zapytała.

Był piątek po południu. Wierchuszka gorlickiej policji, z szefem na czele, powoli zaczynała weekend. Ale nie Karpiuk. On wychodził i o dwudziestej, co wkurzało samego komendanta, choć wszyscy wiedzieli, że nadkomisarz nie chce jego stołka. Gdyby tak było, dawno by go miał.

– Nie, dziś nie mogę. Zadzwoń... jeżeli znajdziesz coś ciekawego – oświadczył, a potem zabrał spod biurka torbę. W środku znajdowało się zamówienie, które dla bezpieczeństwa odebrał w drodze do pracy. Dopiero tym zasłużył sobie na zdziwienie w ciemnych jak smoła oczach Wartoń. Ale nie zamierzał się tym przejmować, bo miał poważny powód, żeby

być w domu wcześniej.

Dzisiaj Karpiuk obchodził rocznicę ślubu.

To jedno od lat starał się starannie celebrować i na tę okoliczność, jak w zegarku, szedł do fryzjera na ulicy Mickiewicza, kupował żonie ulubione róże w kwiaciarni na Zawodziu, a w delikatesach bombonierkę, jako dodatkowy prezent. Do tego oczywiście torcik bezowy z malinami. Na bardziej okrągłe rocznice, jak dzisiaj, sprawiał jej sukienkę, kolczyki albo naszyjnik. A już w domu, piętrowym klocku na Szpitalnej, Karpiuk zawsze wkładał świeżą koszulę i krawat.

Co nie zmieniało faktu, że wieczorem 14 listopada w ich ciemnym salonie naprzeciwko niego siedziała smutna, stara kobieta w tym samym popielatym dresie, w którym chodziła przez cały rok.

W zasadzie rocznica była już tylko teatrzykiem jednej osoby. Karpiuk gadał za nich dwoje, bo Ela, czasem Lusia, czyli Elżbieta Karpiuk, przestała to robić jakieś piętnaście lat wcześniej. Nie wiedział, czy zorientowała się, że w wyciągniętych dłoniach trzyma zawiniętą w folię zgniłozieloną sukienkę. Tę sukienkę wybrał razem ze sprzedawczynią sklepu na 3 Maja, a potem zostawił tam do poprawek. Ekspedientka okazała się tak pomocna, że znów pożałował, że jest tak bardzo nieanonimową postacią w Gorlicach. We wzroku kobiety wyczytał bowiem współczucie.

I sam nie wiedział, czemu to wszystko robi, tak jak nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czemu wciąż tkwi przy Lusi. Do wierzących nie należał, a i nikt by go nie skrytykował, gdyby zdecydował się na rozwód. Wiele osób mogłoby go nawet wesprzeć.

Do przeszłości należały co prawda dni, kiedy wracając z pracy, zastanawiał się, czy nie zastanie jej w domu martwej. Próbowała się wieszać, a raz nawet zupełnie głupio połknęła kilka paczek paracetamolu. W kwestii tego ostatniego mogła go zapytać: bo tak o mało co nie zniszczyła sobie wątroby.

Teraz wiedział, że po codziennej baterii leków będzie po prostu leżała. Jak co dzień. A jeśli któregoś dnia nie będzie przy okazji

oddychać... Cóż, świetnie się do tego przygotował. Dawno wybrał już zakład pogrzebowy, nie mówiąc o miejscu na cmentarzu parafialnym. Wykupił je przed dwiema dekadami. Wziął od razu i dla siebie.

Tylko w rocznicę patrzył na Elę, zamiast mechanicznie ją obsługiwać. To jedno sobie obiecał. 14 listopada nie złościł się na nią, że przecież potrafi jeszcze chodzić. 14 listopada próbował odnaleźć tę zabawną, delikatnie piegowatą i wysportowaną dziewczynę w mumii, którą Lusia stała się przez lata.

Fizycznie niewiele jej podobno dolegało, ale przysięgłby, że mózg jego żony już umiera. W oczach nie widział śladu emocji.

Delikatnie odebrał od Eli sukienkę, miał wrażenie, że podążyła za nim zdziwionym wzrokiem.

– Tylko na chwilę, kochanie – powiedział. – Nie chcę, żeby się ubrudziła. Włóżysz na jakąś specjalną okazję, wesele lub chrzciny.

Nie odpowiedziała. Było to zresztą kłamstwo – na te imprezy, z których nie udało mu się wymigać, chadzał sam. Schował sukienkę do szuflady, w której od lat składował prezenty. Kiedy obydwoje umrą, spadek przypadnie wiejskim krewnym; jedna z nich otrzyma miłą niespodziankę.

Pokroił torcik. W cukierni również patrzyli na niego ze współczuciem albo takie miał tylko zwydy. Przychodził tam co roku; jedyny wyjątek od kantyny i monotonnych zakupów w Lidlu. Nalał wina i podał jej kieliszek. Lusi niewiele już przecież mogło zaszkodzić. Siedziała jednak, jakby zapomniała, że usta służą do picia.

Nie szkodzi, wypił za nich dwoje. A potem położył ją spać. Jak co dzień.

Wyszedł na balkon. Zapatrzył się na gorlicki szpital, do którego dojeżdżała na sygnale erka. Zapalił papierosa, dobijając do swojego dziennego limitu. Nakładał sobie różne ograniczenia, ale w ostatnich latach zastanawiał się, czemu jeszcze dba o własne zdrowie. Jak każdy czekał na emeryturę, ale nie bardzo miał na co: żył w zasadzie sam, na powierzchni trzymała go jedynie robota. Śmierć załatwiłaby kilka spraw naraz. Państwo

musiałoby zająć się Lusią, bo krewni nieuchronnie umyliby ręce. A on w spokoju leżałby pod eleganckim nagrobkiem, o co na pewno zadbałaby komenda. I pogrzeb miałby piękny, jak przystało na funkcjonariusza o takim stażu i na takim stanowisku. Wpadliby burmistrz, czołówka lokalnego biznesu, lekarze, prawnicy i jakieś dzieciaki, żeby ładniej wyglądało. Oczywiście wszyscy z policji. Może sam komendant wojewódzki, a wraz z nim kilku kolegów z Krakowa. Czasem Karpiuk zastanawiał się, gdzie teraz są, zwłaszcza młodzi i bystrzy podwładni, czy chyłą się już pod ciężarem pracy, posiwiali i poszarzali, wyczekujący emerytury jak zbawienia. Tam, w Krakowie, w końcu prowadzono śledztwa zupełnie innego kalibru.

Czy burmistrz szarpnąłby się na stypę w Radcowskiej? A jak nie burmistrz, to może komendant zarządziłby obowiązkową zrzutkę, zupełnie równy z niego facet, choć tępy jak noga stołowa.

Karpiuk chciał, żeby ktoś się za niego porządnie napił. Sam niewiele wykorzystał w życiu okazji do świętowania.

A jednak dzisiaj nastrój miał inny. Ten nastrój mógł oznaczać bezsenność. Nadkomisarz był czujny, nawet podniecony, tak jakby pierwszy raz od lat czegoś pragnął. W tym stanie znajdował się już od kilku dni, ale po dzisiejszym wszystko nabrało innych barw.

11 listopada coś obudziło się w Karpiuku.

I myślał o tej kobiecie, o Pascho. Że nie powinien dać jej wtedy odejść. A im dłużej myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że ona musi się odnaleźć.

Nie dlatego czekał na nią tyle lat.

W Korze spodziewano się kontaktu ze strony mediów. Najwyraźniej jednak zniknięcie samotnej kobiety pod czterdziestkę nikogo specjalnie nie ruszało. A może jeszcze minęło za mało dni. Niemniej kiedy w weekend została zrobiona rezerwacja na jeden pokój, dla jednej osoby, Aneta była niemal pewna, że to ma związek z Joanną. Listopad należał do najmniej atrakcyjnych turystycznie miesięcy. Gdyby nie zaprzyjaźnione z gospodarzami małżeństwo Sikorskich, którzy właśnie jesień upodobał sobie na urlop, pensjonat stałby kompletnie pusty.

Nadchodziło już popołudnie, kiedy na zewnątrz zaszczekał stary kundel Patyk. Anecie zdawało się, że słyszy auto ślizgające się po śniegu.

Na polecenie policji Jańczak wyczyścił co prawda drogę do Bukowców, ale podwórze pensjonatu pozostawało zasypane.

Po co sami mieli się męczyć z odśnieżaniem? Ich samochód jakoś sobie radził, a niezmotoryzowani Sikorscy przyjechali w góry pociągiem i autobusem. Powszechnie zapowiadano roztopy i informacja ta budziła w okolicy ożywienie. Dla wszystkich było jeszcze za wcześnie na zimę.

Z dość brudnej toyoty wyszła szczupła czarnulka. W ciepłym płaszczu, za to bez czapki. Buty miała trochę zbyt eleganckie jak na te warunki. „Może jakieś pismo kobiece?“, zgadywała w myślach Aneta.

Przywitały się, po czym nastąpiła grzecznościowa gderanina na polskie drogi.

– Prawie siedem godzin – oznajmiła przyjezdna. – Do Radomia jeszcze całkiem nieźle, ale potem prawie cały czas jednopasmówka. A tutaj to już w ogóle masakra.

– Kilka dni temu było jeszcze gorzej. W ogóle by pani nie przejechała.

– Proszę mówić mi po imieniu.

– Dobrze, Nina. Aneta. A wiesz co? Twoje imię super mi się

kojarzy. Tak miała na imię moja najlepsza przyjaciółka w podstawówce.

Nina uśmiechnęła się. Nazwiska Aneta nie zapamiętała, gdzieś je zapisała.

Poprowadziła gościa do pokoju – tego samego, w którym dwa miesiące wcześniej pomieszkiwała Joanna.

Lecz tego Nina Warwiłow wiedzieć nie mogła.

Teraz ucieszyła się, widząc zadbane i czyste pomieszczenie na poddaszu. I nie mogła ukrywać przed sobą, że odczuwa pewną ekscytację, nawet jeśli zabarwioną niepokojem o los przyjaciółki.

Od kiedy Joanna się tu przeniosła, pisały do siebie i dwukrotnie rozmawiały przez telefon. To właśnie stąd przyjaciółka do niej dzwoniła, co najmniej raz. Warwiłow przypominała sobie jakiś numer z prefiksem osiemnaście i hasło „pensjonat”.

Ostatni kontakt telefoniczny miały we wrześniu. Joanna zaniepokoiła ją wtedy informacją o człowieku, który obserwował jej dom. A potem spotkały się w Warszawie w październiku, kiedy Joanna przyjechała sprzedać mieszkanie. Wydawała się pobudzona i nawet sama przyznała, że pali jej się do powrotu.

– Tam jest pięknie, Nina. Górki średniej wielkości, ale jednak góry. Gęste lasy, niemal zero turystyki, ludzi w ogóle mało.

Wspomniała też o problemach z robotnikami, ale wydawało się, że są na drodze do rozwiązania.

– Domek będzie śliczny, zobaczysz. Może zjedziecie z Milą na ferie zimowe.

– Już będzie stał?

– Może nawet na sylwestra.

– O rany!

– To znaczy, mam taką nadzieję – dodała zarumieniona Joanna.

A potem powiedziała, że musi lecieć, bo stęskniła się za Bukowcami i dlatego, że czekała ją siedmiodzinna podróż. To ostatnie Nina zweryfikowała już na własnych plecach.

Spędziły w Rue de Paris na Francuskiej może z pół godziny. Zdecydowanie nie zdążyły się nagadać i dopiero pod wieczór do Niny dotarło, że nie zapytała o ciąg dalszy historii z obserwatorem.



Wahała się, w końcu jednak wybrała jej numer: Joanna była już poza zasięgiem. Na dniach spróbowała raz jeszcze, w godzinach pracy. Zasięg wrócił, lecz Joanna nie oddzwoniła i jakoś tak się urwało. W ten sposób chyba rozchodzą się drogi przyjaciół. Kiedy nie miały już wspólnej jogi, nić łącząca ją z kobietą, którą Nina uważała za swoją jedyną koleżankę, zaczęła się strzępić.

A teraz leżała na wznak, wspominając niepokój i drżenie w głosie Joanny oraz jej spiętą twarz w kawiarni. Czy wmawiała to sobie po fakcie? Czy powinna przytrzymać wtedy przyjaciółkę na siłę, wydobyć z niej prawdę?

I chyba tylko fakt, że odcięta od pracy Nina czytała tysiące wiadomości, sprawił, że natknęła się na wzmiankę o zniknięciu Joanny. A potem, w weekend, starannie się przygotowała i w niedzielę oznajmiła Maćkowi Stassbergowi, że wyjeżdża.

– Kiedy? – zapytał.

– Jutro.

Uniósł brew, oznaka zdziwienia albo dezaprobaty, nigdy nie mogła tego do końca rozgryźć. Wolałaby czasem, żeby po prostu krzyknął, zapraszając ją w ten sposób na lepiej znane terytorium.

– Już to wszystko przemyślałam – powiedziała szybko. – To tylko trzy dni.

– Wystarczą?

– Jeżeli Joanna się nie znajdzie przez te trzy dni... – Przełknęła ślinę. – Sam wiesz, jak to jest.

– Co z dzieckiem? – Maciek przeszedł od razu do najtrudniejszego.

– Tomek zajmie się Milą – oznajmiła.

Przez twarz Stassberga przebiegł cień. Wiedziała, że sprawia mu przykrość i że to nieuniknione.

– Przecież ja... – zaczął.

– Maciek – przerwała prokuratorowi, by się nie rozpędził. – Tomek pracuje w domu, będzie mu łatwiej. Nie chcę, żeby jakaś babysitterka siedziała z małą. To za wcześnie.

Poza tym chciała, żeby ojciec Mili utrzymywał z nią kontakt. Ale tego Stassbergowi mówić nie musiała. Wystarczający już stanowiło to dla niego problem, że nie z jego nasienia powstała

mała. Choć Nina sama nie mogła wyjść z szoku, jak szybko prokurator przywiązał się do jej córki.

Wzięłyby pewnie urlop, żeby się zająć dzieckiem tych kilka dni, lecz tak naprawdę Warwiłow nie wiedziała, jak długo pozostanie w górach. Tyle, ile trzeba, żeby odnaleźć Joannę: brzmiałaby standardowa odpowiedź. Tylko jak długo wytrzyma bez małej? Nigdy wcześniej nie rozstawała się z Milą.

– Może jeszcze to omówimy? – zaproponował.

– Jasne – odparła kurtuazyjnie, choć już podjęła decyzję. I tutaj brutalnie zaznaczał się brak pokrewieństwa Maćka z dzieckiem: nie miał nic do powiedzenia, co było zarazem dobre i złe. – Ale jutro muszę wyjechać. Z każdym dniem będzie gorzej.

– Dlaczego właściwie to robisz? – zapytał. Rzut oka na Ninę wystarczył, by wiedział, że trafił.

Milczała.

– Jedziesz, bo brakuje ci tego, prawda?

Zagalopował się, co Warwiłow przyjęła z zadowoleniem.

– Rozumiem, że nie masz przyjaciół – rzuciła. – Jednak spróbuj sobie wyobrazić, że niektórzy mają.

Nie rozumiała, czemu jest tak podła.

Maciek zaskoczył ją jednak: stwardniał po ciosach, które dość regularnie mu zadawała. A może po tym, jak niedawno zmarła mu matka. Coś się wtedy zmieniło w prokuratorze, wciąż jednak nie wiedziała co.

– To bardzo miłe, co mówisz – oznajmił z lekkim uśmiechem. – Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie, co traktuję jako odpowiedź twierdzącą. Brakuje ci śledztwa, to jasne. I jasne jest, że zrobisz, jak chcesz. Będę tu na was czekał; nigdzie się nie wybieram. Pamiętaj o tym.

Tego wieczoru wyszła biegać, ze złością ją tą swoją bierną agresją. A kiedy wróciła, uśpiła Milę i na jego prośbę porozmawiali jeszcze raz. Stassberg nie strzelał fochów, pogodził się już z sytuacją. Dogadali szczegóły; rano miała odwiedzić dziecko do Tomka, który niedawno kupił mieszkanie w nowym bloku na Kamionku.

W milczeniu obejrzeliby kolejny odcinek *Breaking Bad*, byli już

przy ostatnim, piątym sezonie. I w milczeniu położyli się spać bez pojednawczego seksu. Wsłuchiwała się w cichy oddech prokuratora, ale nim zdążyła zasnąć, przeszedł w chrapanie. Niespokojna leżała teraz bezsennie, nie tylko ze względu na dziwaczne odgłosy, które produkował Maciej. Musiała się pogodzić z tym, co robi, opuszczając niespełna półtoraroczne dziecko. Choćby na tych parę dni.

Puściła sobie usypiające kompozycje z YouTube'a na słuchawkach, co zagłuszyło Stassberga, i zasnęła nad ranem na kilka godzin. Teraz jednak, zmęczona po podróży i zachłyśnięta czystym powietrzem, jak zawsze w górach poczuła się śpiąca. I nie zorientowała się, kiedy zapadła w drzemkę.

Nagle siedziała w pokoju na Białostockiej, odrabiając lekcje; miała bardzo mało czasu przed przyjściem ojca. Tak dusząco mało czasu dla siebie. A potem usłyszała pukanie do drzwi. Wrócił. Ale on przecież nigdy nie pukał, wtaczał się do pokoju jak walec. Pukanie trwało i w końcu Nina otworzyła oczy. W ogóle nie wiedziała, gdzie jest, szukała koło siebie Maćka, a po kilkunastu sekundach przypomniało jej się, że to nie loft na Katowickiej.

W drzwiach ukazała się twarz Anety.

– Przepraszam, ale na pewno jesteś głodna.

Sala jadalna była dokładnie taka, jaka powinna być w górskim pensjonacie. Kamienna posadzka, solidne dębowe stoły oraz ławy, rozpalony kominek ze szklaną ścianą i masywne fotele obite zielonym pluszem. Za stołem siedziała dość młoda parka, obydwójce pogrążeni w książkach. Ledwo na nią spojrzeli. Na stole zaś stała waza. Warwiłow zajrzała do środka, zupa wyglądała całkiem nieźle. Jakiś taki wypasiony kapuśniak. Zrezygnowała z posiłku po drodze, bo nie cierpiała zwłoki w podróży. W efekcie była teraz tak głodna, że mogłaby wgrzyźć się w blat stołu.

Nalała sobie zupy, a potem przesunęła wazę w stronę parki.

– Oj nie, my dzisiaj tylko zioła. Dochodzimy do siebie po „zemście Łemków” – powiedział mężczyzna, trzydziestolatek ubrany w ciuchy dwudziestolatka.

– Przepraszam, po czym?

– Coś w rodzaju grypy żołądkowej – wyjaśnił, śmiejąc się. – Tak to tutaj nazywamy. Obydwoje chorowaliśmy. Teraz raczymy się miętą.

– Rozumiem – odparła.

Gęsta zupa okazała się bardzo smaczna. Jeden talerz wystarczył, żeby się najadła. Aneta przyszła i zaproponowała jej pierogi, ale Nina odmówiła. Gospodyni usiadła przy stole.

– Poznajcie się, jesteście naszymi jedynymi gośćmi w tym miesiącu – odezwała się. – To znaczy ty, Nina, zawiązasz średnią, bo Konrad z Mary przyjeżdżają co roku.

– Wakacje? – zapytała Warwiłow.

– Lubimy tutejszy spokój. – Konrad uśmiechnął się półgębkiem. Jego żona rzuciła tylko przeproszające spojrzenie znad książki i zaraz powróciła do lektury. – Ciebie co tutaj sprowadza?

– Joanna Pascho.

Teraz i dziewczyna ożywiła się nieco, poprawiła na krześle i spojrzała na nią uważniej. W jadalni zapadła cisza; w kominku głośno strzelił ogień.

– Niepokoję się o nią. To moja przyjaciółka – wyjaśniła Warwiłow.

– O, to całe szczęście – powiedziała gospodyni, śmiejąc się nie wiadomo z czego. – Śnieg utrudnia poszukiwania. Nawet z psami tutaj łazili. Traciły trop na śniegu. My też pomagaliśmy.

Konrad pokiwał głową.

– Tak, niezła przygoda, emocjonujące przeszukiwanie tych lasów, choć brodziliśmy w śniegu po jaja. – Mężczyzna zreflektował się i lekko poczerwieniał. – Sorry, tak głupio gadam, przecież to twoja przyjaciółka.

– Nie szkodzi – odparła.

– Właściwie jak co roku przyjechaliśmy tu na reset. Nie szukamy emocji. Ale to było coś nowego.

Aneta zaproponowała kawę, a Warwiłow bardzo jej potrzebowała.

Para nie wróciła już do lektury. Nawet Mary spoglądała na Ninę z ciekawością, gdy Aneta wyszła nastawić ekspres.

– Przyjaciółka, tak? Skąd się znacie? Długo? – zapytał Konrad.  
– Z jogi. Kilka lat – wyjaśniła. – A wy?  
– Niestety nie poznaliśmy jej. Podobno przeprowadziła się tutaj niedawno.

– Tak.

– Wiesz, dlaczego postanowiła się przenieść?

– Chciała coś zmienić w swoim życiu.

– Czyli, jak to mówią, a może by tak w Bieszczady hodować owce? Tylko że w Beskidzie i bez owiec? – zaśmiał się mężczyzna. – Myślę o tym średnio raz w tygodniu.

– Tak? – zainteresowała się jego żona.

– A co myślisz, że robię, kochanie? Kiedy siedzę w moim boksie?

– Że pracujesz.

– Mary jest przeciwniczką korporacji – powiedział Konrad. – Ale ja po prostu nie mam talentu do innych rzeczy.

– Rafał też nie miał – zauważyła Mary. – A popatrz, jak dobrze sobie radzi.

– Miał talent do czilowania – odparł. – To już coś.

– Znaliście się wcześniej? – zapytała Warwiłow.

– Rafał był wychowawcą na koloniach, na które jeździłem, a moja mama pracowała z jego pierwszą żoną – wyjaśnił. – A potem, kiedy Agnieszka zmarła i wyjechał z Warszawy, utrzymaliśmy kontakt. Świetny facet.

Zdawało jej się, że Marysia prychnęła cicho, ale w tym momencie w jadalni pojawiła się Aneta z kawą i ciastem, idący za nią mężczyzna musiał być sławnym Rafałem.

Przedstawił się, a później odszedł na chwilę, żeby dołożyć drewna do kominka. Kominek zrobił na Warwiłow wrażenie: z boku miał wmontowany jakiś mechanizm i wyświetlacz LCD. Jako mieszczycha patrzyła na to z ciekawością. Jej obraz życia na wsi był przeterminowany o dobrych dwadzieścia lat.

– Ponoć przerywają poszukiwania – oznajmił gospodarz, siadając na ławie.

– W ogóle? – zapytała.

– Nie, ale wciąż za bardzo pada, a od środy zapowiadają roztopy. Poza tym brakuje im zasobów, Gorlice nie metropolia.

Mówią, że Karpiuk nie jest przekonany, czy ona zwyczajnie sobie nie wyjechała.

– To nasz lokalny Kojak – pośpieszyła z wyjaśnieniem Aneta.

– Ma trochę więcej włosów i pali papierosy, jak człowiek – zachichotał Rafał. – Poza tym wszystko się zgadza. W każdym razie już się ulotnili, minąłem ich po drodze. Podobno znacie się z Joanną? – skierował pytanie do Warwiłow.

– Imponująco szybki obieg informacji – zauważyła. – Tak.

– Dlatego tu przyjechałaś?

Nie odpowiedziała.

– Chcesz ją odnaleźć? – zapytała Aneta.

– Nie mogłam tak siedzieć beczynn timer – odparła zgodnie z prawdą.

Rafał pokiwał głową.

– Tak, bierne oczekiwanie jest najgorsze – oznajmił.

– Rozmawialiście z nią przed zniknięciem?

– W czwartek. A ja potem jeszcze w piątek, u niej.

– W jakiej była formie?

Rafał wzruszył ramionami.

– Tacy uciekinierzy z miasta to z reguły są trochę przygaszeni, po tym jak opada pierwszy entuzjazm. Poza tym miała problemy z tym domem i z majstrami.

– To znaczy?

– Pierwszemu majstrowi przydarzył się wypadek, a drugi, Niciński, okazał się nierzetelny – wyjaśniła Aneta.

– Opowiadała mi przez telefon o jakimś człowieku – zauważyła Warwiłow.

– Tym, który się na nią gapił? – zapytał Rafał i uśmiechnął się; uśmiech, trzeba przyznać, miał ujmujący. – Może to po prostu Styczko, sąsiad? Wiecznie poszukuje kobiety, wcale bym się nie dziwił, gdyby ją szpiegował.

– Przez telefon odniosłam wrażenie, że jest przestraszona – zablefowała.

– Mnie też się tak wydawało. W końcu chyba pojechała w tej sprawie do Gorlic – powiedziała Aneta.

– Na policję?

– Tak, stamtąd podobno wracała 11 listopada. Widać i oni to zbagatelizowali – dorzuciła gospodyni, a Warwiłow pomyślała, że pije do lekkomyślności męża. – Może placka, Nina?

Nie potrafiła odmówić. „Placek”, czyli ciasto porzeczkowe z kremem budyniowym, okazał się doskonały, jak wszystko w Korze do tej pory. Zastanawiała się, jakie to będzie miało odzwierciedlenie w rachunku. W końcu gospodarze musieli się utrzymać, przetrwać chude jesienne miesiące. Konkurencji w Bukowcach, ba, nawet w okolicach, pensjonat nie miał, ale Beskid Niski nie wyglądał na turystyczne eldorado.

Ciekawe, jak by się tu mieszkało, tak daleko od ludzi i tyle miesięcy tylko we troje. Ona, Miła i Maciek; gdyby obydwójce znaleźli wakaty w Gorlicach. Może to nie takie złe? Choć przecież mała kiedyś pójdzie do szkoły...

Warwiłow odegnała te myśli jak natrętną muchę. Musiała skupić się na czymś ważniejszym. Wyostrzyć stępiony przerwą w pracy zmysł psa gończego.

– Idę się położyć. Droga naprawdę mnie wykończyła.

– Łazienka jest na korytarzu, wspólna z Konradami – poinformowała Aneta.

– Korzystaj pierwsza – powiedziała szybko Mary.

– Rekomendowany szybki prysznic – rzucił Rafał. – Bo terma nie zdąży dograć.

Woda z nieznanym względów trąciła lekko zgnilizną. A ze strachu, że ciepła się skończy, Nina ledwo spłukała włosy. Owinięta ręcznikiem przetransportowała się do swojego pokoju. Włożyła spodnie dresowe, które wzięła tylko w obawie przed chłodnymi beskidzkimi nocami, bo dla zdrowia sypiała nago, i T-shirt. Wyjęła notatnik i usiadła na łóżku. Zapisała szereg punktów, a przy nich albo dodatkowe informacje, albo pytańki.

Joanna pracowała tylko do czwartku, tak zapamiętała. Trzydniowy weekend to jeden z flagowych elementów nowego życia przyjaciółki. To oznaczało, że w tygodniu przed zaginięciem ostatni raz w pracy pojawiła się 6 listopada... A może 10? Czy gabinet działał w przerwie świątecznej? Nina sięgnęła po telefon i połączyła się z internetem. Wiedziała od Anety, że nie

ustawiono hasła. Bo i po co: łącze okazało się żółtawej prędkości. Czekająca w nieskończoność, za co została w końcu wynagrodzona. Na stronie Karamedu widniała informacja, że 10 listopada gabinet będzie nieczynny.

Warwiłow notowała dalej. A kiedy skończyła, miała przed sobą harmonogram pobytu Joanny Pascho w Bukowcach, górskie życie przyjaciółki zawarte na jednej kartce A5. Życie na razie pełne znaków zapytania. Zmęczona wpatrywała się w zapiski, wreszcie schowała je do szuflady szafki nocnej.

Chciała zadzwonić do Tomka, przypomniała sobie jednak, że Bukowce znajdują się poza zasięgiem komórki. Joanna o tym wspominała i nie bez powodu dzwoniła do niej z Gorlic lub stacjonarnego w Korze. Warwiłow miała jednak opory przed skorzystaniem z telefonu w jadalni i pomyślała, że to dobry pretekst, żeby nie sprawdzać, jak Tomkowi idzie z Miłą. Zważywszy na sytuację, w której się znaleźli, całkiem dobrze dawał sobie radę jako ojciec, choć Stassberg chętnie by go w tym wyręczył.

Sam prokurator był obecny w życiu małej, jakby to on ją spłodził. Trwał przy Ninie niemal od samego początku ciąży, a już na pewno od czasu badań, które przeszła w pierwszych miesiącach 2013 roku. To on jeździł z nią do lekarza i trzymał za rękę, bo tego potrzebowała. Tomek nie zamierzał z nią być i nie wiedziała, dlaczego miałyby sobie fundować huśtawkę emocjonalną, widząc eksa częściej niż to konieczne. Naczytała się w internecie, że w ciąży wzrasta uczucie do ojca dziecka, postanowiła nie weryfikować tego i nie utrudniać sobie życia.

Poszła na zwolnienie lekarskie już w styczniu, zgodnie z zaleceniem ginekologa, który uprzejmie nazwał ją „emerytką ciążową”. Ale wbrew jej wiekowi i przekonaniu o kiepskim stanie zdrowia badania niczego niepokojącego nie wykazały, a ciążę przeszła znośnie. Zaś miesiąc przed rozwiązaniem otrzymała kolejny prezent od losu. W życie weszły przepisy o wydłużeniu urlopu macierzyńskiego: posłowie zafundowali Warwiłow pełne dwanaście miesięcy. I już wtedy policzyła, że uwzględniając zaległy i bieżący urlop wypoczynkowy, wróci do pracy w połowie



grudnia... 2014 roku.

Wydawało jej się niemożliwe, że wytrzyma tak długo.

Nie miała jednak czasu tego rozpamiętywać, bo 16 lipca 2013 roku trzykilowa Mila pojawiła się na świecie. Poród trwał trzy godziny, a mała dostała dziesiątkę. A także tylko jedno nazwisko: Nina postanowiła ułatwić córce życie, nie karząc jej drugim, jeszcze do tego rosyjskim. W urzędzie stanu cywilnego widziała ulgę na twarzy Tomka.

I nie żałowała tego, choć osobliwą stanowili teraz z prokuratorem rodzinę; Mila, po Tomku: Kapińska, mama Warwiłow i „tata” Stassberg – każde z innej parafii, nawet językowej...

Nie spędzała jej też snu z powiek sprawa obarczonego kredytem loftu na Katowickiej. Tomek przestał go w końcu finansować; była pewna, że rodzice od dawna go o to zamęczali, a może i nowa dziewczyna. Jednak tuż przed pójściem na L4 Warwiłow wskoczyła na wyższy pułap wynagrodzenia. Inspektor Matkowski zdążył wykorzystać swoje kontakty i została komisarzem na pół roku przed Świętem Policji, zwyczajowej okazji do przyznawania awansów. A Strassberg, który odnajął swoje mieszkanie na Pradze-Północ, dorzucił się obecnie do tłustej raty za loft. Dzięki alimentom od Tomka znienacka wszystko zaczęło się układać, nawet od tradycyjnie niepokojącej ją strony finansowej.

Czas przeleciał zaskakująco szybko. I do tej pory nigdy się z małą nie rozstała na dłużej niż kilka godzin. Dopiero parę miesięcy wcześniej przestała karmić. A teraz Tomek pierwszy raz zajmował się Milą samodzielnie – to jest z nową dziewczyną, której imię Nina uparcie zapominała. I którą nie bardzo chciała poznać, choć może wypadało. Ta kobieta mogła w tej chwili karmić małą albo układać ją do snu. Ostatecznie jednak Warwiłow ufała osądowi Tomka, spędzili ze sobą kilkanaście lat.

Bardzo chciała usłyszeć córkę, choćby na chwilę. Nie wiedziała, że może tak tęsknić za dzieckiem, i to zaledwie po dwunastu godzinach rozłąki. Myślała teraz o Mili; jak mała spędziła dzień, w co bawiła się z ojcem, czy tęskni za nią, co zjadła i ile płakała.

Po co się tłuła do tej górskiej pipidówki? Odnaleźć przyjaciółkę, która mogła być gdziekolwiek? A może zweryfikować, czy wciąż jeszcze jest śledczą? Wcale jej się jednak nie śpieszyło do pracy, do stołecznego zapieprzu i brudu. A z dwóch lat przerwy został już tylko jeden króciutki miesiąc.

Pomyślała o Maćku: jak leży samotny w ich przestronnym lofcie, nagle pustym, bez niej i bez dziecka. To nie była miła myśl, ogarnęły ją wyrzuty sumienia; nie miała na to ochoty. Zamknęła oczy.

Poddaszowe okienko znienacka się otworzyło. Kilka tygodni wcześniej zostało niedokładnie zamknięte przez Joannę Pascho. Dopiero teraz jednak odkrył to porywisty wieczorny wiatr. Korzystając z okazji, podmuch górskiego, ale nie aż tak zimnego powietrza wdarł się do środka, wprawiając w ruch kraciate firanki. A kosmyk ciemnych włosów opadł na czoło śpiącej Niny Warwiłow.

Nina zasnęła. I to poważnie, nie mogła uwierzyć, że jej telefon pokazuje dziesiątą rano. Organizm odbierał sobie wszystkie zarwane przy Mili nocie. Jedenastogodzinny sen sięgnął jednak głębiej, jakby dopiero regenerowała się po pracy w policji. Bo tak dobrze nie spała od lat i cudem dobiegła rano do łazienki.

Nienawykła do roli śpiocha, odczuwała irracjonalny wstyd przed gospodynią i nawet nie zamierzała jej zawracać głowy o śniadanie. Nie była zresztą głodna. Ubrała się szybko i skierowała do wyjścia.

Na zewnątrz biel wciąż dominowała perspektywę. W powietrzu Warwiłow czuła wilgoć i spadek ciśnienia. Zapaliła elektronicznego papierosa. Do fajek po porodzie nie wróciła, ale wydobyła z szuflady ten dawno zapomniany prezent od rodziców Tomka; dany w swoim czasie wraz z uprzejmą sugestią, by przestała truć ich syna.

Komisarz była zasnana i wciąż lekko przejeżdżona po kolacji, a musiała dzisiaj obejrzeć wieś, przede wszystkim zaś dom Joanny. Po papierosie, nawet elektronicznym, oczywiście rozboleła ją gardło i wsunęła do ust pastylkę orofaru. Psychicznie wzmocniona lekami przyjętymi zamiast śniadania, zeszła z tarasu na podwórze.

Na tyłach pensjonatu, a przed stacją Rafał gadał z jakimś zwalistym facetem ubranym w niepasujący do scenerii płaszcz. Gospodarz dyskretnie mrugnął do niej, a potem gość uściśnął mu rękę, odwrócił się i ruszył w stronę Warwiłow.

Coś w jego lekko usztywnionym chodzie, w bystrym pomimo bijącego smutku spojrzeniu, uruchomiło lampkę w jej głowie. „Swój”, pomyślała na sekundę przed tym, nim mężczyzna się odezwał.

– Nadkomisarz Michał Karpiuk, komenda powiatowa w Gorlicach. Pani nazwisko?

Czekała kilka sekund, aż wyjmie odznakę; na próżno. Może tu

w górach panowały inne zasady.

- Nina Warwiłow – odparła w końcu.
- Pani jest gościem w pensjonacie, tak?
- Zgadza się.
- Od dawna?
- Od wczoraj.
- Zaplanowany wyjazd?
- Spontaniczny.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- W listopadzie? Słyszała pani o pięknej beskidzkiej jesieni?
- Mam urlop do wykorzystania.
- Gdzie pani pracuje?
- A co to ma do rzeczy? – Poczzerwieniła nagle. – Czy coś się stało?

Przez chwilę sądziła, że zignoruje jej pytanie.

- Prowadzimy czynności w związku z zaginięciem – wyjaśnił Karpiuk. – Więc czym się pani zajmuje?
- Wychowuję dziecko.
- A poza tym?
- Niczym.
- Przecież korzysta pani z urlopu.
- Zaległego.

Karpiuk wyglądał, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia. Uprzedziła go.

- To moja sprawa, co robię w życiu. Słyszałam o zaginięciu Joanny Pascho. Doszliście do czegoś?

Tym razem nadkomisarz faktycznie zlekceważył jej pytanie.

- Nic tu pani nie znajdzie. – W oczach mężczyzny błysnęła złość.
- Nie rozumiem.
- Przestańcie węszyć.
- Co pa...
- Nie szukajcie sensacji, gdzie jej nie ma – wszedł jej w słowo Karpiuk.
- Myśli pan, że jestem z prasy? – zapytała, nie gryząc się w porę w język. W zasadzie czemu nie mogłoby tak być? Nadkomisarz w każdym razie nie wyglądał na przekonanego.

- Marnujecie czas i pieniądze – orzekł. – Długo tu pani będzie?
- Kilka dni.

Karpiuk pokiwał głową. Odniosła wrażenie, że złość minęła, a mężczyzna odpłynął już myślami.

- Proszę nie spacerować po zmroku – rzucił.

– Czy coś mi grozi? – zapytała. – Twierdzi pan, że nie ma tu materiału.

– Niech pani zachowa ostrożność. Zostawię, na wszelki wypadek. – Wręczył jej wizytówkę. W portfelu miała niemal identyczną.

Odszedł w akompaniamencie chlupotu kroków na mokrym śniegu. Usłyszała śmiech Rafała za plecami i odwróciła się.

– Nie przejmuj się. Nie jesteś podejrzana – powiedział gospodarz.

- Całe szczęście. To jakiś wasz lokalny VIP? Komendant?

– Aż tak to nie, ale gruba ryba. Tak naprawdę całkiem bystry facet. Jakie plany na dziś?

- Spacer? Wypoczynek? Co się u was robi?

- Co chce. Uważaj na drodze. Nie połam nam się tutaj.

- Wyglądam na taką łamagę?

– Oj nie, chyba trenujesz. Co teraz w Warszawce modne? Bieganie? Crossfit?

- I to, i to.

– Nie wiem, do której dyscypliny mam większą odrazę – zachichotał. Mógł, bo sam był naprawdę zgrabny. – Po prostu bardzo u nas ślisko, kiedy się ociepla.

Znienacka wkroczyli w przestrzeń flirtu, w której Warwiłow nie czuła się zbyt pewnie. To musiało być po stronie Rafała. Suszył zębiska i śmiał się zaraźliwie. Poza tym pochlebiał jej. Wyciągnięcie komplementu od Stassberga stanowiło odwieczne wyzwanie. Prokurator, maniakalnie polerując powierzchowność, prędzej już gotów był ocenić jej zaniedbanie fizyczne.

Rafał Łowicki nosił się zdecydowanie na luzie: włosy miał przydługie, zarost kilkudniowy i mocno siwy w dziennym świetle, do tego przybrudzona kamizelka i kalosze, do których chyba dobrał się jeden z psów. Gospodarz wyglądał

sympatycznie, jak beskidzka kombinacja trapera i kowboja.

Warwiłow zerknęła na konie, które wyprowadzono na podwórze. Niepewnie brodziły w śniegu, węsząc za trawą pod spodem. Rafał podążył za jej spojrzeniem.

– Niech i one skorzystają z cieplejszych dni, może to ostatnie – skomentował. – Jeździsz? Będę chciał je rozruszać i brakuje mi kompana, bo Aneta nie cierpi już nawet samego zapachu.

Pokręciła głową. Część wakacji spędzała na wsi u babci, ale nawet tam konie stanowiły rozrywkę bogatych. Babcia miała za to zaskakująco sympatycznego osła. Czasami zaprzęgała go do małego wózka, do którego wskakiwały dzieciaki.

– Szkoda – powiedział Rafał. – Joanna kilka razy ze mną jeździła.

– Serio? Rozmawialiście?

– Trochę.

– O czym?

– O wszystkim i o niczym. W zasadzie niewiele. Skąd w ogóle się znacie?

Pomyślała, że powinna wiedzieć więcej o pasjach Joanny. Co jeśli i Rafał uzna, że ona jest hieną dziennikarską? Czy to na pewno byłby korzystny scenariusz?

– Z jogi – wyjaśniła.

– Aha. Czyli niewiele o niej wiesz – zaśmiał się gospodarz.

– Nie aż tyle – przyznała.

– A jednak tu przyjechałaś.

– Zgadza się.

– I z pewnością jeszcze wrócisz. Kto raz zobaczy Bukowce, nigdy o nich nie zapomni. Całe szczęście, że drogi są jakie są i nie ma już ziemi do kupna.

– Dlaczego?

– Zalaliby nas miastowi ze swoim hałasem, quadami i motorami. Wystarczy, że myśliwi panoszą się po lasach.

– Droga nie jest aż taka zła – rzuciła, wyczuwając nadejście tematu rzeki. – Przejechałam.

– Nie widziałaś jej kilka dni temu. Dla siedmiorga ludzi nie opłaca się odśnieżać. Tak uważa urząd w Odwieży. Dlatego co

roku najważniejszą postacią na świecie staje się dla nas niejaki Jańczak, który ma w gminie kontrakt na drogi. W praktyce gość robił, co chciał. Do teraz. Nadkomisarz kazał zrobić dojazd dla policji. Jańczak się stawiał, nikt mu nie podskakiwał od lat, no i Karpiuk podobno solidnie go opieprzył – papłał Rafał. – No, ale dopóki będą prowadzić poszukiwania, to my będziemy mieli drogę. Może i sklep na kółkach dojedzie z Wyszyńca i przekonamy się, czy Irka Drybak jeszcze żyje – powiedział, a potem lekko się stropił. – Wybacz, że tak gadam o śmierci. Tak naprawdę jestem przekonany, że Joannie nic się nie stało.

– Skąd?

– Słucham?

– Skąd masz takie przekonanie?

Rafał wzruszył ramionami.

– To spokojna okolica, nie da się tak po prostu zniknąć.

– Wy zgłosiliście sprawę policji, zgadza się?

– Tak, Aneta naciskała. Ja nie byłem przekonany. No, może te narty...

– Leżały przy drodze?

– Wojtek je znalazł.

– Kto?

– Wojtek Ordowski – wyjaśnił. – Nasz sąsiad i kolega. Nie przejmuj się, zaraz zapamiętasz.

– Nie mam pamięci do nazwisk.

– W Bukowcach jest pięć domów. – Zademontrował na palcach.

– Aha, to ułatwia sprawę. Który należy do Joanny?

– To czwarty z kolei, a drugi po Korze po lewej stronie drogi. Najbliżej nas jest Wojtek, po prawej stronie, dalej Styczkowie i niemal naprzeciwko ich Joanna. Następnie jeszcze dobry kawałek i Irka Drybak. Tyle.

– Macie klucze do domu Joanny?

– Nie. Czemu?

– Z reguły sąsiedzi dają sobie klucze, na wszelki wypadek. A rozumiem, że tylko z wami się przyjaźniła?

– Chyba jeszcze znali się z Wojtkiem.

– Jemu mogła zostawić? Zrozumiałam, że mieszka bliżej.  
Rafał skrzywił się nieznacznie.

– Byłbym zdziwiony – oświadczył. – Lubię go, ale to trudny facet i podobno już zdążył sprawić jej przykrość. Więc nie sędzę.

– No nic – odparła Warwiłow w lekkim zamyśleniu.

– Może po prostu chroniła swoją prywatność – ciągnął Rafał. – Wiesz, jeśli ludzie przyjeżdżają w takie odludzie, to mają swoje powody i nie będę się pchać do nich z łapami. Tak jak i do Wojtka.

– O co się starli?

– Nie pamiętam, jakaś drobnostka. Zresztą ruszyło go sumienie z tego powodu.

– Często u was bywa?

– Może raz na miesiąc. Zależnie od tego, w jakim jest „momencie twórczym”. – Rafał zrobił z palców cudzysłów w powietrzu. – Nasz bukowiecki artysta. Ostatnio pracował dość intensywnie.

– Czym się zajmuje?

– Rzeźbi.

– Zawodowo?

– Tak.

– To z tego da się wyżyć?

– Pojęcia nie mam – zaśmiał się. – Tu ludzie radzą sobie, jak mogą, nie robiąc za mebel w jakimś biurze. Wojto w każdym razie mieszka jak pustelnik. Klientów ma, bo jeździ z tymi swoimi rzeźbami raz na jakiś czas w świat. I wraca już bez próchna. To zresztą duże wydarzenie, Wojtek zawsze później zajrzy, i to nie z pustymi rękami.

Zastanawiała się teraz, czy rzeźbiarz może być mężczyzną z opowieści przyjaciółki; z opisu pasował. Pożałowała, że rozmawiała w Rue de Paris tak zdawkowo.

Może to nie była wina Joanny; może to Nina nie była stworzona do pielęgnowania relacji. Miała Milę i Maćka. Miała ojca, a jej ciekawość odnośnie do życia nielicznych znajomych wyczerpywał założony pod pseudonimem profil na Facebooku.

Gospodarz odwrócił się nagle i gwizdnął na psa. Dźwięk rozniósł się po wymarłej przestrzeni. Warwiłow uznała, że dość



inwigilacji na raz.

– Przejdę się – oświadczyła. – Chciałabym zobaczyć, jak Joanna mieszka. Choćby i z zewnątrz – dodała.

– Stary dom to dziad – ocenił Rafał. – Za to nowy może być perełką.

Wysłużone scarp, które kiedyś kosztowały majątek, nieźle trzymały się niepewnego podłoża. Mimo to szła bardzo ostrożnie. Pachniało mokrą trawą, wiatr chłostał ją po policzkach.

Ładnie tu było, nawet w stanie jesiennego ogołocenia. Las po obu stronach drogi, za polami, gdzie jasna zieleń wyzierała spod białego puchu. Pusto. Cicho. Spory ptak zataczał szerokie kręgi nad łąką; może zwiódł go ptasi instynkt klimatyczny i miał teraz problem ze znalezieniem pokarmu pod śniegiem.

Szła już kilometr i nie napotkała żywej duszy, jedynie samotną kapliczkę z prawosławnym krzyżem i pozostałości starej zabudowy. Rzykując przemoknięcie, podeszła bliżej, ale teraz nie było tam już nic ciekawego, kupa kamieni pokrytych mchem. Jednak ślady budynków sugerowały, że kiedyś wieś mogła być liczniejsza.

Dopiero po piętnastu minutach marszu dostrzegła dwa kształtne, drewniane budynki po prawej stronie drogi. To musiała być posiadłość rzeźbiarza – tym bardziej że we własnej osobie siedział na wąskiej werandzie i palił papierosa. Zwolniła kroku i lekko skłoniła głowę. Zauważył ją i chyba nawet podniósł rękę.

I ta sekunda dekoncentracji wystarczyła, by śliska droga zwęszyła swoją szansę. Podeszwa z protektorem nie utrzymała łączności z powierzchnią, a Warwiłow pojechała do przodu. Przez kilka sekund walczyła o równowagę, ale była na przegranej pozycji.

Runęła na plecy. Przez dłuższą chwilę nie mogła się ruszyć, czekając na nadejście bólu. Dotarł. Piekielnie łupało ją w plecach, a kamień wbił jej się boleśnie w prawy pośladek. Kości miała chyba całe, za to przemakała jej kurtka i dalsze leżenie mogło tylko pogorszyć sytuację.

W ciszy każdy dźwięk stawał się lepiej słyszalny. Wychwyciła szelest, schodził ku niej Ordowski. Sam był w jeszcze gorszej

sytuacji, bo w zwykłych kaloszach, ale stąpał miękko jak kot, wcale się zresztą nie śpiesząc.

Podniosła się powoli na łokciach.

Usiłowała oszacować straty: posiniaczona i przemoczona, z nogawką utytłaną w błocie.

– Ostrożnie – powiedział rzeźbiarz, zupełnie bez sensu. Za to pomógł jej wstać. Skorzystała. – Coś długo pani leżała – wyjaśnił. – Jak się pani czuje?

– Tak jak wyglądam – skrzywiła się.

– Ból to fikcja – skomentował.

Czuła się upokorzona, ubłocona i niezdarna. Los ofiarował jej w zamian okazję; komisarz Warwiłow wykorzystywała takie prezenty.

Oczekiwała straszego gburą, który przegoni ją widłami. Jednak rzeźbiarz zaoferował pomoc, a teraz dość bezczelnie taksował ją z góry spojrzeniem.

Był naprawdę wysoki; szczupły, ale szeroki w barkach, jak pływak. Musiał być dobrze po czterdziestce i choć nie nazwałaby go przystojnym, robił wrażenie. Gdyby wszedł na przyjęcie, patrzyłaby na niego większość gości – to ten typ.

Przedstawiła się.

– Wojtek. – Podał bardzo silną dłoń. Odwzajemniła chwyt, żeby nie zgniótł jej palców. – Mocny uścisk – pochwalił.

– Dziękuję – odparła.

– Co pani tutaj właściwie robi? Ta droga nie służy do chodzenia – zakpił.

Obserwowała go czujnie, jak obcego psa. Zapamiętała słowa Rafała, a do artystów żywiła zdrowe uprzedzenie.

– Pierwszy raz jestem w Bukowcach – wyjaśniła. – Zatrzymałam się w Korze.

Milczał. Ale bez wrogości.

– Powiedziano mi, że pan rzeźbi. Mogłabym zerknąć?

– Wojtek. Powiedziałem przecież. – Skrzywił się. – Pana proszę zatrzymać dla miastowych. Jest pani kolekcjonerką?

– Dobra, to ja też po imieniu: Nina. I nie, nie jestem.

Znowu zamilkł. Lecz nie uciekał spojrzeniem, patrzył, jakby

usiłował wyczytać z twarzy jej osobowość. Zaciągnął się papierosem, który wciąż trzymał w palcach prawej dłoni, i nosem wypuścił dym.

– Zwykła ciekawska? – zagaił neutralnie, choć odniosła wrażenie, że znowu z niej żartuje.

– Można tak powiedzieć.

– Przy forsie?

– Nie bardzo.

– To po co chcesz oglądać moje rzeźby?

– Mam bogatych znajomych.

– A to co innego... – odparł, zaciągnął się ostatni raz, pochylił i zgasił niedopałek na śniegu. Schował go do kieszeni, zyskując tym w jej oczach. – Właśnie skończyłem jedną rzecz.

– Gratuluję.

– Dlatego jestem taki rozmowny.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Rzeźbiarz wzbudzał niepokój, ale był swobodny i nie gapił się na jej piersi. Jak na faceta żyjącego samotnie u zbrocza góry nie sprawiał wrażenia dzikusa.

– Uprzedzam, bo gdy następnym razem mnie spotkasz, udam, że cię nie widzę, albo coś w tym rodzaju – wyjaśnił.

– Przeżyję.

– To mała wioska.

– A ja niedługo wyjeżdżam.

– A to w porządku. No i masz ładne imię, Nina. – Westchnął. – Jednak wchodzisz na własne ryzyko.

Odwrócił się szybko i skierował w stronę mniejszego z budynków, szopy w zasadzie. Podążyła za nim.

Wrzucił kiepa do słoika z brudną wodą, który stał na progu. Otworzył drzwi kluczem i zaprosił ją gestem do środka. Wnętrze tonęło w mroku. Rzeźbiarz zamknął drzwi i przez moment stali w całkowitej ciemności. Nina poczuła, jak porusza się za nią, i chwilę później odsłonił kotarę, ciemną i grubą niczym pierzyna. Światło dzienne wpadło do pracowni.

– Lubię prywatność – wyjaśnił.

W powietrzu wirował kurz. Nie zdążyła zobaczyć, co kryje

szopa, bo zakręciło ją w nosie i kichnęła głośno trzy razy.

– Przepraszam – rzuciła, ale Wojtek już nie słuchał. Dłutem skrobał rzeźbę nagiej kobiety z drewna barwy koniaku.

Na widok tej nagości zrobiło jej się trochę głupio i odwróciła wzrok. Nic z tego. Były wszędzie: całe sylwetki, wyprostowane i pochylone, oraz popiersia. Kobiety. Wyłącznie z drewna, choć różniły się kolorystyką, fakturą i wykończeniem.

– Różne gatunki i różna technika. Żebym sam siebie nie znudził. – Wojtek przeczytał jej w myślach.

– Są... interesujące – powiedziała.

– Mam na nie wierne, choć wąskie grono klientów. Ta jest najnowsza. – Wskazał na jasną rzeźbę wysokości maksymalnie metra pięćdziesięciu. Ta i pozostałe wydały się Warwiłow obdarzone przerośniętymi biustami. Niemniej drewniana kobieta odznaczała się wielką gracją. – Lipa, lekka, bardzo dobrze pasuje do salonu z kominkiem – zażartował.

– Wsyłasz je?

– Zazwyczaj sam zawożę.

– To nie jest kłopotliwe?

– Nie ufam kurierom. I tak nikt tutaj nie dojedzie, więc muszę je dostarczyć do Gorlic, a większość moich klientów jest z Małopolski. Taki się z tego rytuał robi: na sam koniec zawożę moje dziecko prosto do kupca. Trochę jakbym do domu publicznego oddawał – zaśmiał się ponownie.

W ogóle nie spodziewała się takiego żartownisia i znów zamilkła. Intuicja gubiła ją przy tym facecie. Osobliwy, ale nie przerażający, nie wyglądał też na zaburzonego psychicznie, jak połowa znanych jej ludzi. Mimo to wciąż czuła w nim coś dziwnego, czego jednak nie potrafiła jeszcze rozszyfrować.

– Skąd jesteś, Nina? – zapytał. – Może ty pomożesz mi rozszerzyć działalność? Od dawna mam nadzieję, że któryś z gości Kory zostanie moim fanem.

– Z Warszawy.

– O, świetnie się składa. Jeszcze tylko wystarczy, że pokochasz moją sztukę.

– Te są na sprzedaż? – Wskazała na zakurzone rzeźby w kącie.

Zawsze żal jej było zapomnianych przedmiotów.

– Właściwie czemu nie – odpowiedział lekko nonszalanckim tonem. – Nie znalazły jeszcze pana. Co tu będą robić ze starym pierdem. Ale ostrzegam cię, nie jestem tani. Albo raczej one nie są.

– Czemu wciąż ze mnie żartujesz?

– Czujesz się urażona?

Wzruszyła ramionami, lecz nie odpowiedziała.

– Tak dzisiaj mam – skwitował Wojtek. – Skończyłem tworzyć tę oto Ewę – wskazał na nową rzeźbę – stąd szatański nastrój, jak już wspomniałem. Dobrze, że nie widziałas mnie wcześniej. – Zerknął na nią bystro. – A może już coś ci tam nagadali?

– Nie.

– Nie kłam. – Uśmiechnął się. – O czym Aneta z Rafałem mają tutaj mówić? O Styczkach? Irenie Drybak? Pośród sąsiadów jestem najwdzięczniejszym tematem do plotek.

– Podobno jest jeszcze jedna sąsiadka.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– A więc ciekawska?

– Znam Joannę – odparła.

– To już więcej ode mnie.

– Jak to? Spotkałeś ją, prawda?

– A skąd te pytania?

– Przepraszam. Martwię się o przyjaciółkę.

– I dlatego przyjechałaś taki kawał drogi?

– Zgadza się.

– Niespotykana w dzisiejszych czasach troska. Szanuję. Większość osób ma cię gdzieś, gdy kasujesz konto na portalach społecznościowych. I dobrze, że jesteś ze mną szczerą. Bo, prawdę mówiąc, przed chwilą chciałem cię wyrzucić.

– Dzięki za informację.

Pokiwał głową, tak jakby w ogóle nie zrozumiał ironii. Może to jednak był jakiś zaburzenie? W sumie do rzeźbiarza pasował zespół Aspergera.

– Ale skoro jesteś taka uparta, to może mógłbym zaproponować ci kieliszek czegoś mocniejszego? Wparadowałaś prosto w moją

celebrację. Poza tym pracowałem całą noc i teraz nie zasnę bez alkoholu. No, co powiesz? – zapytał, kiedy się wahała. – Wątpię, żebyś miała tu coś specjalnego do roboty.

Zerknęła na zegarek. Była jedenasta.

– Jeden kieliszek – powiedziała.

Trzy godziny później Wojtek otworzył drugą butelkę calvadosu. Warwiłow powinna być ostrożna. Przestała karmić kilka miesięcy wcześniej, a od tego czasu wypija może ze dwa kieliszki wina. W dodatku rano nie zjadła śniadania, więc jedynym jej posiłkiem pozostały tabletki na gardło. Oczywiście trochę się z tego cieszyła; kilka razy po urodzeniu Mili zamartwiała się swoją wagą, choć Maciek, pytany, zawsze odpowiadał, że dobrze wygląda. Ale w jego oczach widziała co innego, kiedy lustrował każdą jej fałdkę. Z Tomkiem, który brzusek i zasadniczą brzydotę nadrabiał miłym uśmiechem, nie było tego problemu. Z prokuratorem jednak pierwszy raz w życiu czuła się tą mniej atrakcyjną w związku, on skupiał spojrzenia zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Nie wiedziała, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy smuć.

Stassberg nie pił; tłumaczył to obciążeniem genetycznym. Odpowiadało jej, że nie trzymają w domu niczego mocniejszego. Teraz jednak, kiedy jabłkowy trunek rozgrzał gardło, poczuła ochotę na więcej.

U Wojtka panował bałagan, ale nie syf, a domek okazał się dość gustownie urządzone. Niemal cała ściana po stronie lasu była ze szkła, a za nią znajdowała się znacznie większa weranda niż od frontu. Nina skanowała okiem wewnątrz: masywny stół i proste krzesła bez obicia, sprężynowe, designerskie lampy i małą kuchnię połączoną z salonem. Do tego zgrabny kominek, podobny do tego w Korze, i bardzo duży barek.

Konsekwentnie krążyła wokół tematu Joanny, ale Ordowski wypowiadał się skąpo. Potwierdził, że Joanna się bała i że ktoś się na nią gapił, a nawet włamał do jej domu. W końcu uciął jej pytania.

– Widziałem ją tu tylko kilka razy, Nina. Wydawała mi się smutna, ale to nie moja sprawa. I znalazłem te nieszczęsne narty;

leżały blisko drogi. Każdy mógł je znaleźć. Chciałbym ci pomóc, ale tyle właśnie wiem.

– Taka mała wioska, a nikt nic nie widział.

– To akurat nie jest prawda. Halina Styczko od rana do wieczora przesiaduje przed domem.

– I co?

– Stara ma widok na ziemię Joanny. Chyba że już oślepa, ale według mnie ma sokoli wzrok. I niczego nie zlekceważy.

– Dlaczego?

– Za mało się tutaj dzieje. Poza tym Halinka to szefowa w Bukowcach.

– Nie rozumiem. Jest sołtysem? – zapytała.

– Sołtys? Na pięć chałup? Za mali jesteście, Nina. Podlegamy pod Odwież. Poza tym jeszcze nie widziałem baby sołtysa.

Chciała coś powiedzieć, ale wstrzymała się w ostatnim momencie. Ciekawe, jak zareagowałby Wojtek, gdyby wiedział, kim ona jest. Tutaj to dopiero musiał panować szowinizm w policji. Nadkomisarz Karpiuk z pewnością nie wyglądał na wojującego feministę.

Na takiego nie wyglądał też niestety rzeźbiarz. Było w nim coś z prymitywnego macho i ponownie nie mogła ocenić, czy jej to odpowiada, czy nie. Nie tylko fizycznie przypominał jej ojca, Aleksandra Siergiejewicza.

– Dobra, to co masz właściwie na myśli? – zapytała.

– To jest ich ziemia. – Zatoczył wokół ręką.

– Czyja?

– Styczków. To znaczy Hawryszów, czy jak tam się kiedyś nazywali.

– A coś więcej?

– Wiem, ile wiem. – Wzruszył ramionami. – W Bukowcach od dawna mieszkały dwa rody łemkowskie. Drybacy i Hawryszowie. Dopiero potem pojawiła się polska rodzina Wańczyków.

– Widziałam ślady zabudowań – wtrąciła.

Łemkowie byli dla niej hasłem z encyklopedii. Oczywiście zauważyła, że za Gorlicami niektóre wsie mają na tabliczkach dwie nazwy: na górze po polsku, a pod spodem cyrylicą podobną



do rosyjskiej. Potrafiła rozczytać część liter; spuścizna po sporadycznej nauce języka z ojcem, która skończyła się wraz z rozwojem choroby alkoholowej Aleksandra Siergiejewicza.

Od zawsze wiedziała, że Łemkowie byli. Ale kim? Gdzie? Oczywiście teraz już kojarzyli jej się z Beskidem Niskim.

– Może są jeszcze starsze albo to po spichlerzach – powiedział Wojtek. – Bo ziemi uprawnej w Bukowcach jest malutko. Zresztą Hawryszowie parali się przede wszystkim gonciarstwem. Oni mieli ziemię po prawej stronie drogi, a Drybacy po lewej, w dalszej części wsi.

– Irena Drybak – wtrąciła.

– Z Anetą rozmawiałaś?

– Z Rafałem.

– Aha. – Wojtek wyglądał na rozczarowanego. – Zgadza się, dzika Irka. Rodziny były ponoć spokrewnione, nie dziwne, pewnie się tutaj mieszały. No, a potem nadeszła akcja „Wisła”. – Podrapał się po kudłatej głowie. – Pamiętasz datę? Ja stoję na bakier z historią.

– Nie. A co ma do tego Halina Styczko? – zapytała.

– Wyjaśnię, coś taka niecierpliwa? W każdym razie na pewno już po wojnie wysiedlono stąd rodziny łemkowskie.

– Tak po prostu?

– Nie po prostu. W ramach zorganizowanej czystki, która tu dotknęła Łemków, a nawet mieszane, polsko-łemkowskie rodziny.

– Wszystkich wyrzucono? Kiedy to było dokładnie?

– Nie jestem encyklopedią, Nina. I mówiłem, że nie pamiętam.

– Sorry.

– Nie szkodzi. Sprawdzisz sobie potem. Tylko, na Boga, teraz nie wyjmuj komórki. Nie cierpię tego zwyczaju. I tak nie złapałabyś zasięgu, ale wolę uprzedzić. Kiedyś, wiesz, przy stole opowiadano sobie historie, zakłady robiono... a teraz każdy mądry. I na ulicy też grzebią w telefonie. Nie patrzą na drogę, w Gorlicach staranowała mnie nastolatka.

– Och, daj już spokój. Pewnie tak mówisz, bo sam nie masz.

Wyszczерzył zęby.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie. – W każdym razie szkoda, że nie wpadłaś w lipcu. W Zdyni, kilkanaście kilometrów stąd, Łemkowie organizują teraz Watrę, trzy dni muzyki i pijatyki. Piękna sprawa. To ich największa impreza i zjeżdżają się z całego świata.

– Czemu w Zdyni?

– Tu jest spora społeczność łemkowska.

– Jakim cudem? Mówiłeś, że ich wysiedlono.

– Ale przyjechali z powrotem, kiedy się złagodziło.

– Aż tylu ich wróciło?

– Chyba całkiem sporo.

– Z Ukrainy?

– Dłaczego?

– Zrozumiałam, że to lud ruski.

– Bystra jesteś, ale gdzie indziej ich wtedy wysiedlali. Na Ziemi Odzyskane. Kołacze mi się Dolny Śląsk. Łowiccy są mocniejsi w tych tematach. Ja już mam w głowie dziury jak studnia.

Przerwał, żeby dolać jej do kieliszka. Nie oponowała.

– Jak to się stało, że mogli wrócić?

– Po śmierci Stalina się ociepliło – odparł rzeźbiarz.

– Więc nie robiono im problemów?

– Oczywiście, że robiono. Komuniści zdążyli już rozdać ich ziemię. Na szczęście w Bukowcach było jej niewiele, a droga tutaj taka, że tylko jedna polska rodzina się osiedliła.

– Wańczykowie, tak?

– No, naprawdę świetna pamięć, Nina – pochwalił i spojrzał na nią tak, że mogłaby się zaczerwienić. Gdyby już nie dostała rumieńców od kilkugodzinnego picia.

– Oddali im ziemię?

– Coś ty. Hawryszowie i Drybacy osiedlili się tylko na tym, czego Wańczycy nie zajęli. No i Łemkowie powrócili do swojego życia.

– Co było dalej?

– Teraz się napijmy. Gardło suche.

„Przydałaby się doniczka”, pomyślała Warwiłow. Już i tak wypłała za dużo. Rzeźbiarz jednak, jak wielu facetów, nie trzymał w domu roślin. Zrezygnowana, wychyliła kolejny kieliszek i od

razu pojęła, że to błąd. Alkohol z trudem przeszedł jej przez gardło.

– Jedyne dziecko Hawryszów, Halina – kontynuował Wojtek – wyszła za niejakiego Styczkę. I tak Hawryszowie zmienili się w Styczków. I żyły tu sobie trzy rodziny: dwie łemkowskie i jedna polska. Wańczycy przedzielili Bukowce na pół.

– Dobrze żyli?

– Dobrze? A jakby tobie ktoś ojcowiznę zarębał? Drybacy akurat zawsze mieli trochę nie po kolei w głowie. Siedzieli na tym swoim spłachetku i się nie wtrącali, ale między Wańczykami a Hawryszami, a potem Styczkami, była kosa. Tak słyszałem. Wańczycy lubili towarzystwo i sprowadzali do wsi ludzi, to po pierwsze. Choć Rafał, który poznał starego Romka Styczkę, wspomniał, że on wcale nie miał nic przeciwko temu. Ale Halina Styczko... Dobrze, że rzadko się zapuszczam w dalszą część wsi, bo i po co.

– Nie jesteście najbliższymi sąsiadami?

Spojrzał na nią bystro.

– Znowu Rafał? Ledwo przyjechała i wszystko wie. Jesteśmy, Nina. Styczkowie to następny dom, jednak rzadko się widujemy. I dobrze, bo ta kobieta ma wzrok jak bazyliśzek.

– No dobrze, a co dalej? Mieszkały trzy rodziny, a teraz jest pięć domów.

– Ktoś kupił, ktoś sprzedał. Ja od Rafała, a jak kupił Rafał... to już niech sam ci opowie, bo ja na pewno coś poprzekręcę. Zresztą marny ze mnie bajarz, sama widzisz, że historia jest pełna luk. Jedno, co wiem, to że Styczkowie nienawidzą teraz całej wsi.

– Syn również?

– Moim zdaniem czmychnąby, gdyby jakakolwiek kobita skinęła palcem. A tak to siedzi i nienawidzi też, bo co ma robić? Powinni się pobrać z Drybaczką. Irena, samotna, nam tu kiedyś umrze i znajdziemy ją po roku. U mnie w mieście mówili: „Jak nie wezmą chłopaki, to zjedzą robaki”.

– Nie odwiedzają się?

– Raczej nie. Zawsze słyszałem, że Władek startował do Irki i że

go odpaliła, a on się obraził. Dawniej jeszcze jej ojcu, Drybakowi, pomagałem z zakupami. Uroczy był z niego dziadek, ale upierdliwy, że hej, gdy już człowiek okazał mu trochę pomocy. Zmarł kilka lat temu, wyprzedził żonę o pół roku. Irka siedzi teraz sama i czasem tylko przy sklepie ją widywałem, jak jeszcze przyjeżdżała. A ostatnio w ogóle... To co? – Wojtek wskazał na opróżnioną już butelkę. – Calvados już wyszedł, ale whisky się znajdzie. A może coś dla relaksu?

Wstał i wyjął z szuflady sporą torebeczkę marihuany.

– Z policji nie jesteś? – zapytał.

– Podziękuję.

– Nie bądź taka sztywna.

– Nie mogę, mam po tym paranoję – powiedziała zgodnie z prawdą, choć odwoływała się do zdarzenia sprzed dwudziestu lat. Czuła się bardzo niezręcznie. Trudno było jej uzasadnić łamanie prawa, a to, że zwyczajnie się upiła, nie pomagało w podjęciu decyzji.

– Nie to nie – oznajmił Wojtek. – Sam nie będę palił.

– Gdzie jest łazienka?

– Na polu... – odparł. – Żartuję, prosto i na prawo.

Toaleta okazała się naprawdę czysta jak na kawalera mieszkającego na zadupiu. Właściwie czemu zakładała, że jest samotny? Ktoś chyba musiał pozować Wojtkowi do tych rzeźb? No i zachowywał się bardzo swobodnie.

Od godziny żołądek podchodził jej do gardła. Puściła wodę z kranu i zwymiotowała.

Potem przez kilka minut próbowała dojść do siebie, ale nie stała się wiele trzeźwiejsza. Jak mogła tak głupio się zachować? Że niby prowadziła śledztwo? Niewiele dowiedziała się o Joannie, okłamała za to Wojtka i przymknęła oko na ewidentne przestępstwo, bo tej marihuany miał więcej niż na jednego skręta.

Wyszła w końcu z łazienki.

– Wszystko okej? – zapytał. – Mam nadzieję, że nie zaczęłaś tam sprzątać.

– Co? Nie. Dlaczego?

– Weźmiesz mnie teraz za szowinistę, ale spotykałem się z taką jedną. Zniknęła raz w łazience na dobre. Z początku myślałem, że poprawia twarz, potem, że się zatruliła. Zapukałem. Otworzyła mi, czerwona na twarzy i spocona. Wyszorowała łazienkę od góry do dołu.

– Powinieneś się ożenić z tą dziewczyną.

– Przeciwnie, więcej już się nie zobaczyliśmy. – Zaśmiał się. – Dla mnie ważniejsza jest rozmowa.

– Wojtek – powiedziała – dziękuję za gościnę.

– Tylko nie mów, że czas na ciebie.

– Będą się o mnie niepokoić. Poza tym już się ściemnia.

Kręciło jej się w głowie po wymiotach. Miała ochotę wrócić do łóżka na poddaszu i zadzwonić do Mili, a nie pić tutaj z tym obcym typem. Wojtek był wyraźnie zły i nie zaproponował, że ją odprowadzi. I dobrze, nigdy nie przepadała za „dżentelmenami”.

Zresztą nie zamierzała wracać do pensjonatu.

Warwiłow spędziła u Ordowskiego cztery godziny: pół dnia potencjalnego śledztwa i niemal się zataczała, choć chłodne górskie powietrze okazało się kołem ratunkowym. Zeszła na drogę i skręciła w prawo. Po chwili minęła typowo wiejską zagrodę. Tu musieli żyć Styczkowie. Stara kobieta siedziała przed nowym domem ze szpetną podmurówką z kamienia. Idealnie bez ruchu patrzyła na Warwiłow. Tak jakby Nina, roztańczona i lekko chwiejna na śliskim podłożu, stanowiła nagrodę za cały dzień wgapienia w drogę, którą nikt nie chodził.

A zaraz po lewej stronie, niemal naprzeciwko gospodarstwa Styczków, dostrzegła dom Joanny.

Przystanąła nad spróchniałym, wpół poległym płotem.

Nie tak to sobie wyobrażała.

Starszy dom był ładnym, wysokim budynkiem, lecz nawet przy powoli zachodzącym słońcu odnotowała ogólne podniszczenie. Drugi zaś dom okazał się całkiem zgrabną daczą w stylu chaty Wojtka.

Szarpnęła za drzwi starszego. Były zamknięte, ale wzięła ze sobą wytrych. Półdzikie dzieciństwo spędzone na Pradze-Północ nauczyło ją kilku przydatnych umiejętności, którymi niekoniecznie chciała się chwalić na służbie. Przed wyjazdem zanurkowała do zapyziałej piwnicy na Białostockiej. Liczyła, że Aleksander Siergiejewicz, za trzeźwiejszych lat niezły majsterkowicz, posiada odpowiedni sprzęt. I tak było; pordzewiały i przygniły na ręczce, ale niezawodny wytrych trzymała teraz w dłoni.

Miała nadzieję, że Joanna nie zainwestowała w gerdę albo yale. Nie wyglądało na to: zamek puścił po kilkunastu sekundach.

Powstrzymała się przed zapaleniem światła; Halina Styczko mogła je dostrzec ze swojego posterunku. Dom zbudowano tylną ścianą do drogi, tak jakby obraził się na wieś, jednak jedno okno w tej ścianie miał. Ciekawe, że podobnie usytuowany był dom

Wojtka. Może naprawdę nie lubiano tu sąsiadów.

Skłęta samą siebie, że nie wzięła halogenu; nie przewidziała, że spędzi u rzeźbiarza pół dnia. Pozostało jej wykorzystanie skąpego światła w telefonie.

W środku nie było zbyt pięknie, choć czysto. Widoczne próby oswojenia wnętrza sprawiały przygnębiające wrażenie. Podobnie jak żul w garniturze Armaniego pozostanie żulem, tak i w tym domu nie zdołano upozorować, że wnętrze jest w lepszym stanie. Było to widać nawet w marnym świetle latarki z iPhone'a.

Przeszła przez wszystkie trzy przepastne pomieszczenia, w ostatnim przeciskając się przez stos gratów. I zwizytowała łazienkę w stanie agonalnym.

A więc tak żyła Joanna? Warwiłow słyszała o kłopotach z domem, ale jednak wyobrażała sobie budynek pokryty patyną, a nie zwykłą rudere, w której spokojnie mógłby zamieszkać jej ojciec, chory na alzheimera alkoholik. Oczywiście, to miało być przejściowe, a nowy dom już stał. Sama jednak nie chciałaby mieszkać w takich warunkach ani przez tydzień. To musiało nokautować psychikę. W domu było też wilgotno i zimno jak w psiarni, chłodniej niż na zewnątrz, i złapały ją dreszcze.

Powróciła do „sypialni”: łóżko trochę ratowała nowa pościel, spod niego coś wystawało. Warwiłow zanurkowała pod mebel, spodziewając się tam spotkania z kolonią szczurów. Gryzoni nie znalazła, za to wyciągnęła siekiere. Delikatnie przejechała dłonią po ostrzu, gładkim i bez rdzy. Wyglądało na czyszczone.

Czyli Joanna naprawdę się bała. A wszyscy wokół to bagatelizowali. Co mówił Rafał ze śmiechem: że to Styczko? Dlaczego opowieść jej przyjaciółki zlekceważono? Czemu nawet policja nie potraktowała tego poważnie?

Wyjęła z torby lateksowe rękawiczki i zajrzała do szuflady biurka. Przeszperała bezładny stos papierów. Zaczęła je czytać przy lampce z telefonu, ale iPhone wydał z siebie żaloszny sygnał słabej baterii. Był stary i nie pamiętała, czy podładowała go wieczorem. Kolejny błąd. Co się z nią dzieło?

Bez halogenu, nieprzygotowana. Warwiłow zachowywała się jak detektyw Blomkvist, a nie komisarz z komendy Praga-Północ.

„Co powiedziałyby o takiej postawie inspektor Matkowski?“, pomyślała bezwiednie.

Przebywała na nieznanym, prawie obcym terytorium i potrzebowała wykrzesać z siebie sto dwadzieścia procent normy. Tymczasem zdążyła zasnąć, najebać się, a do przeszukania przystąpić nieprzygotowana. Nie mówiąc już o fikaniu koziołków na drodze. Przez te dwa lata stępiła sobie policyjny zmysł i warsztat.

Lampki potrzebowała jeszcze na powrót. Zmierzch za oknem zadomowił się na dobre, noc nie zapowiadała się na jasną, a na latarnie nie mogła tutaj liczyć.

Odłożyła papiery na później i rzuciła okiem na pozostałe rzeczy Joanny. Przyjaciółka trzymała w domu około trzydziestu książek. Warwiłow zerknęła na tytuły: większość stanowiły różnego rodzaju poradniki, jak żyć, co jeść i wspaniale wyglądać. Zawsze się zastanawiała, kto to kupuje i jak daje radę połapać się w sprzecznych wskazówkach.

Materiałowa, niemal prowizoryczna szafa z Ikei zawierała przygnębiająco mało ubrań. Całe życie czterdziestoletniej kobiety mieściło się w tych trzech, w zasadzie dwóch pomieszczeniach, tak jakby pakowała swój dorobek w pośpiechu.

Warwiłow wyszła na zewnątrz. Do nowego domku nie musiała się włamywać. Drzwi jeszcze, a może już, nie zastała. Wejście zasłonięto tam tylko grubą dyktą, odsunęła ją delikatnie. Domek był niewiele większy od przeciętnego mieszkania w bloku, a także pusty: tylko okna i dach. Mogła sobie jednak wyobrazić, jaki byłby przytulny, gdyby go ładnie urządzić. W przeciwieństwie do Warszawy, gdzie małe wnętrza mogły człowieka przygnębiać, tutaj nie miała nic przeciwko; za dodatkowy metraż robiła przestrzeń dookoła.

Wyszła na zewnątrz. Las, ledwie widoczny o tej porze, wydawał jej się mroczny i niepokojący. Czy dałoby się coś teraz dostrzec? Wytężyła wzrok, ale w nadchodzącej ciemności ściana drzew była niemal jednolicie czarna. Zajrzała jeszcze do starej studni, wodę pokrywał zielonkawy nalot. W takich studniach topiono niegdyś koty; babcia tłumaczyła zapłakanej Ninie, że ludzie w ten



sposób regulują konflikty sąsiedzkie. Lecz przecież w domu Joanny widziała kran i ubikację; gdzieś tutaj musiało być też szambo.

Bez latarni i pod zachmurzonym niebem ledwie mogła już zobaczyć czubek swojego buta. Wycieczkę do ostatniego gospodarstwa we wsi musiała przełożyć na inny dzień.

Zawróciła do Kory. Minęła dom Styczków, a pod domem Wojtka przyśpieszyła. Zastanawiała się, czy rzeźbiarz jeszcze pije. Samotnie albo w pracowni ze swoimi „dziewczynami”. A może zmęczony całonocną pracą zaległ już i śpi. Mimo stanu, do jakiego ją doprowadził, wzbudził jej sympatię. Był lekkim rozmówcą, dość wrażliwym i rozsądnie szczerym.

Szła ostrożnie w górę wsi, ślizgając się odrobinę. Wiatr hulał po połoninie, zagłuszając wszystko inne. Może dlatego tak późno usłyszała za sobą odgłos; jakby kilkanaście metrów za nią ktoś poślizgnął się i sapnął ciężko, walcząc o utrzymanie równowagi.

Odwróciła się błyskawicznie.

– Kto tu jest?

Wyjęła telefon i zaświeciła. Ledwo już żywa smartfonowa latareczka zapewniała światło na dwa metry. Czemu, do cholery, nie wzięła halogenu?

– Kto tu jest? – powtórzyła. Widziała fragment drogi ledwie do najbliższej kałuży. Dwadzieścia metrów dalej ktoś mógł spokojnie sobie stać, spowity ciemnością. „Tak jak dwa lata temu na ścieżce nad Wisłą”, pomyślała. Na wspomnienie długich palców i zakrzywionych paznokci dotykających jej odsłoniętych bioder poczuła dreszcz na karku.

Odwróciła się i szła dalej. Usiłowała trochę przyśpieszyć, robiła przy tym dużo hałasu, który mógł zagłuszyć kroki napastnika, gdyby się zbliżał. A im szybciej szła, tym bardziej zdawało jej się, że ten ktoś za nią podąża. Po kilkuset metrach nagle odwróciła się znowu: ale nikogo nie zobaczyła, tylko wiatr smagał jej twarz i opryskiwał deszczem. Nawet nie wzięła ze sobą broni. Odwróciła się i potem już niemal biegła, widząc przed sobą światła Kory.

Poczuła się bezpiecznie dopiero za ogrodzeniem. Już na tarasie

drżącymi dłońmi wyjęła elektronicznego papierosa i wcisnęła guzik, tę imitację zapalniczki. Łapczywie zaciągnęła się kilka razy.

Usłyszała kroki na topniejącym śniegu. Ktoś się zbliżał. Za plecami miała pensjonat, zawsze mogła się tam schronić. Zastygła w oczekiwaniu. W świetle lampy tarasowej ujrzała Rafała.

– Nina – powiedział wesołym tonem. – Łyk zdrowego powietrza? Jak spacer?

Wzruszyła ramionami.

– Poznałam Wojtka.

– O proszę – rzucił, wchodząc na taras. – I jak wrażenia? Świetny facet, nie?

Gospodarz był zarumieniony. Podszedł do niej blisko, tak blisko, że zrobiła pół kroku w tył. Wyraźnie czuła w powietrzu alkohol. A może to od niej tak biło?

– Długo u niego siedziałaś? – zapytał Rafał, kiedy nie odpowiedziała. – Dla ładnych kobiet to zupełnie inny facet, widzisz...

– Chwilę. Opowiedział mi historię Bukowców.

– Ach, tak? Z pewnością nie wie wszystkiego.

Znowu się przybliżył.

– Rafał, przepraszam cię, ale wchodzę do środka.

– Gdzie ci się śpieszy? Nikogo nie ma. Dziewczyny i Konrad pojechali do Gorlic, na basen i do kina. Tylko ze mną możesz tutaj pogadać.

– Nie tylko.

– Nina...

– Chętnie zadzwoniłabym do dziecka – oznajmiła i nie patrząc już na gospodarza, weszła do środka, gdzie skierowała się prosto do swojego pokoju. Dopiero tam drżącymi dłońmi wyjęła z torby podróżnej glocka. Przy okazji remontu loftu na Katowickiej i zgodnie z ówczesnymi zasadami przechowywania broni Warwiłow kazała zamontować sejf. Nie wiedziała wtedy, jak dobre okaże się to posunięcie. Zasady się zmieniły i mogła teraz trzymać broń nawet pod poduszką. Jednak dzięki sejfowi zyskała miejsce do przechowywania kłamki z dala od ruchliwych

paluszków Mili. Wbrew regułom nie złożyła glocka w komendzie przed rozpoczęciem zwolnienia lekarskiego, ryzykując dywanik u nowego szefa. Do tej pory jednak nikt jej nie wezwał.

Zastanawiała się, co dalej. Poruszała się po grząskim terenie, a miała teraz w życiu kogoś więcej niż ojca i kolejnych partnerów. Miała Milę. Obróciła w palcach rączkę ze sztucznego tworzywa; pomyślała, że nie powinna poruszać się bez glocka. Dopóki nie odkryje, gdzie jest Joanna.

Otworzywszy okno, wpuściła podmuch świeżego powietrza. Było coraz cieplejsze.

– Policja wróciła – oznajmiła Aneta następnego dnia. Przyglądała jej się nieco podejrzliwie albo była to zwykła projekcja. Warwiłow mogła się tego spodziewać. Z okazji kaca, jak zawsze, miała dziś nastrój katastroficzny i lękowy. W nocy spała płytko i śniło jej się, że odnaleziono Joannę. Jej przyjaciółka występowała w pracowni jako jedno z dzieł Ordowskiego. „Ja jej nie wyrzeźbiłem”, powtarzał we śnie Wojtek dziwnie podobny do Maćka.

– Czemu? – zapytała.

– Ponoć Karpiuk się uparł i przekonał komendanta. To będzie największa akcja poszukiwawcza od lat – poinformowała gospodyni.

– Chciałabym pomóc.

– Chyba będziesz miała okazję się wkręcić – zauważyła Aneta, patrząc przez jedno z okien kuchennych – właśnie nadjeżdża radiowóz. Dziwne, wczoraj przecież maglowali już Rafała.

– Byłam przy tym.

Łowicka już jej nie słuchała. Wgapiła się w podwórze za oknem.

– Wysiadają. Sam nadkomisarz. Znowu. I oczywiście nie zamknął bramki, palant. Wyjdę, żeby mi psy nie pouciekały.

Warwiłow została w kuchni sama. A kilkadziesiąt sekund później usłyszała ten ciężki krok na korytarzu. Abstrakcyjna myśl przeszła jej przez głowę: ocena osobowości i predyspozycji podejrzanego na podstawie jego chodu. Chód mówił o człowieku tyle, ile głos, pismo i mimika, a prawie nikt nie zwracał na to uwagi.

Myśłówkę przerwał Karpiuk. Pojawił się w kuchni sam i nawet się nie przywitał.

– Przejdźmy się – rzucił gardłowym głosem, a słowa te brzmiały jak nakaz.

Staął w drzwiach, jakby robił Warwiłow miejsce. Bardzo

przypominał teraz jej ekszefa Matkowskiego. Może dlatego posłusznie się podniosła.

Nie musiała nawet wkładać kurtki; na zewnątrz zrobiło się wiosennie wręcz ciepło. Karpiuk usiadł na ławie tarasowej. Sama wolała stać, oparła się plecami o barierkę.

– Porozmawiajmy. Zainteresowała mnie pani wczoraj – wyznał. – Szmata drogi pani pokonała dla koleżanki. Ale kiedy sprawdziłem, kim pani jest... No, tego się nie spodziewałem.

Patrzył na nią wnikliwie. Wyjęła e-papierosa i spokojnie zapaliła.

– Mniejsza z tym, kim pani jest – rzucił. – Po co tutaj? W Bukowcach? Zna pani w ogóle Joannę Pascho?

– Znam.

– Z jednej strony wątpię. Z drugiej zachodzę w głowę, po co fatygowała się pani aż ze stolicy.

– Moja przyjaciółka zaginęła – powiedziała.

– Nie ma na to dowodów.

– To dlatego przeprowadzacie akcję poszukiwawczą?

Karpiuk poczerwieniał. Zastanawiała się, jaki ma poziom cholesterolu. Z pewnością nie wyglądał zdrowo.

– Jakie właściwie przestępstwo zostało popełnione? – zapytała. – Z jakiego paragrafu jej poszukujecie?

– Nie pani sprawa.

– Możecie uznać, że Joanna zniknęła sama. I całkiem słusznie. Nikt tu jej nie zna. Dumna jestem z poziomu zaangażowania gorlickiej policji.

– To jakieś żarty?

– Nie. Zupełnie nie. Proszę o włączenie do poszukiwań.

– Na jakiej podstawie?

– Żadnej. Każdej. Przyda się dodatkowa para nóg i oczu.

– Pani para oczu nie jest każda.

Zaciągnęła się. Pomyślała o zmianie wkładu: waniliowy zaczął już ją nudzić.

– Kiedy wczoraj rozmawialiśmy – powiedział Karpiuk – do głowy mi nie przyszło, że jesteśmy niemal równi stopniem.

– Niemal.

– Choć to jakaś dziwna sprawa. Od razu po awansie poszła pani na zwolnienie lekarskie.

– Tak się złożyło.

– Już prawie dwa lata.

– Nadkomisarzu, do czego prowadzi ta rozmowa? – zirytowała się w końcu Warwiłow. – Przejdzie pan w końcu do sedna?

– Dlaczego tu pani jest?

– Chcę odnaleźć przyjaciółkę.

– Wy, warszawscy, jesteście z innej planety? Jeszcze bym zrozumiał, gdyby pani była stąd. Pracowałem kiedyś w Krakowie i orientuję się, ile może być spraw na śledczego w stolicy. Nie dość pani roboty, Warwiłow?

– Korzystam teraz z urlopu wypoczynkowego.

– A to co innego – zaśmiał się nieprzyjemnie nadkomisarz. – To rzeczywiście wszystko wyjaśnia.

– Po co te drwiny? Jestem nimi zmęczona – rzuciła i naprawdę tak się czuła. Rozmowa nie pobudziła jej, za to dziwnie pobudziła kaca, bo w głowie czuła muł. A może to efekt e-papierosa? Niby dlaczego tak ufała, że jest bezpieczny dla zdrowia?

– Tak jak ja pani obecnością. Radzimy sobie bez dublerów.

– Widzę. Przepraszam... Nadkomisarzu, zacznijmy od nowa. Czego pan chce?

– Wiarygodnego wyjaśnienia, co robi tutaj funkcjonariuszka z dochodzeniówki warszawskiej. Wakacje? Niech mi pani nie wciska kitu. Ponad ćwierć wieku w policji. I jeszcze nie widziałem, żeby ktoś na urlopie pchał się do akcji.

– Po co doszukuje się pan drugiego dna? – zezłościła się w końcu Warwiłow. – Cała sprawa śmierdzi jajem. Jak tutejsza woda. To jest po waszej stronie. Powiedziano mi, że 11 listopada, tuż przed zniknięciem, Joanna złożyła na policji doniesienie. Czemu nic z tym nie zrobiono?

– To, co mówiła, nie brzmiało wiarygodnie – uciął Karpiuk.

Patrzyła na niego zdezorientowana. Może tutaj to normalne, że szef kryminalnego dyżuruje w święta. Mimo to zaskoczył ją. Postanowiła sprecyzować.

– Przesłuchał ją pan osobiście? – zapytała.

Karpiuk poczerwieniał. Popełnił błąd, widziała to, wysypał się. Wcale nie musiała dotrzeć do tej informacji.

– Tak – powiedział sucho.

– I co pan z tym zrobił? Czy ma pan protokół?

Nadkomisarz poprawił się na ławce, która mężnie znosiła jego ciężar.

– Igra pani z ogniem, Warwiłow.

– Chciałabym zobaczyć t...

– A ja bym chciał, żeby opuściła pani mój powiat – przerwał jej bezceremonialnie. – Tylko dla twojej informacji, Warwiłow, rano rozważałem, czy nie złożyć na panią skargi.

– Komisarz Warwiłow – poprawiła. – Proszę składać. Dołączyć obszernie wyjaśnienia. I przede wszystkim zeznanie Joanny. Chętnie przeczytam.

Wbił w nią wzrok, jakby chciał jej przyłożyć. Automatycznie spięta brzuch, po ciąży już nie taki twardy.

Coś zadzwoniło. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Sama nie miała ani jednej kreski zasięgu. Zamiast komórki nadkomisarz wyjął z kieszeni płaszcz pancerną krótkofalówkę.

– Karpiuk – powiedział. Słyszała szmer w słuchawce. – Gdzie? – Poczerwieniał jeszcze bardziej. – Nie, nic nie róbcie. Dziesięć minut. Niech ktoś mnie tam poprowadzi.

Wyłączył się i rzucił, nie patrząc na nią:

– Idę.

– Gdzie? Znaleźliście coś?

– Warwiłow – odwrócił się do niej – przeginasz pałę.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała twardo.

Karpiuk nagle zamyślił się.

– Pomyślimy. Ale teraz nie mam już na panią czasu.

– Chcę ją zobaczyć – powtórzyła.

On jednak wstał i prędko jak na swoje gabaryty ruszył w kierunku samochodu. Resztki śniegu bryzgały na boki, kiedy przechodził przez podwórze. Zatrzasnął drzwi nieoznakowanego terenowca. Stała tam jak kretynka, gdy odjeżdżał w stronę przełęczy – zbyt dynamicznie, zważywszy na panujące na drodze warunki.

Oddychała szybko. Musiała zobaczyć ciało, zobaczyć Joannę i chyba nadszedł czas na skorzystanie z planu B.



Beskidzkie kruki musiały ze zdziwieniem obserwować to nagłe zbiorowisko ludzi na zboczu Warnicy. Niecałe pół kilometra od drogi do Bukowców i kilkadziesiąt metrów od szlaku turystycznego, który wiódł ścieżką w pobliżu starego cmentarza łemkowskiego. Tam właśnie znaleziono ciało. O godzinie pierwszej trzydzieści cztery swego przewodnika poprowadził tam jeden z psów, kilkuletnia suka owczarka malinois.

Kiedy technicy kryminalni skończyli robotę, a miejsce zbrodni zostało obfotografowane i oznaczone, lekko już zirytowany Karpiuk kazał wszystkim się rozejść. Buty miał mokre od schodzącego śniegu. Pożałował, że nie wziął zwykłych gumiaków, których nie wypadało nosić szefowi wydziału kryminalnego. Czuł dreszcze na plecach, ale nie znał ich prawdziwej przyczyny. Potrzebował zostać sam na sam z trupem, zanim wyniosą go stąd na drogę. Zanim ciało pojedzie na sekcję zwłok do zakładu patomorfologii szpitala w Gorlicach.

Wciąż trzęsły mu się ręce po tym, co zobaczył, choć samej twarzy nie było już widać. Nadjedzona przez zwierzęta, rozdziobana przez ptaki albo jedno i drugie. Zdecydowanie w najlepszym stanie zachowało się kolorowe ubranie; wisiało na zmarłym, upodabniając go do stracha na wróble. Na razie wiedzieli tylko jedno, o czym poinformował szef techników.

Zmarły był mężczyzną.

W przepastnej ciszy lasu niemal słyszał oddech Wartoń stojącej kilka metrów za nim i cierpliwie czekającej na wytyczne. Jej jednej pozwolił zostać. Kilkadziesiąt metrów dalej, przy płocie cmentarza, w gromadkę zbiła się reszta jego ludzi. Łącznie z gorlickim prokuratorem, który nie miał odwagi się postawić. Oskarżyciel nie był już taki młody, ale warunki nadkomisarz ustawił na starcie. Bez niego brakowało mięsa, żeby zmontować jakiegokolwiek akt oskarżenia, i wykorzystał tę przewagę. A z sędzią z gorlickiego wydziału karnego Karpiuk siedział w szkolnej

ławce.

Prokurator był bez szans, popełnił błąd już na początku współpracy: okazał się za miękki. Od tego czasu stale usiłował wzmacniać swoją pozycję, ale im bardziej zbliżała się emerytura, tym bardziej nadkomisarz miał w nosie jakiegokolwiek układy.

Wszyscy razem, podwładni i prokurator, kleli na niego teraz pewnie porządnie, tkwiąc w mokrym śniegu, paląc papierosy i marząc o suchym biurze, gdzie zbliżał się czas eklerek z kawą. Jego ludzie nie nawykli do pracy w terenie. I okrągły rok wychodzili z komendy o piątej. Ten trup oznaczał masę dodatkowej roboty i nikt nie był podekscytowany.

– Sądziysz, że Pascho mogła go zabić? – zapytała ostrożnie Wartoń.

– Kontynuuj.

– Zdążyła uciec aż do tego miejsca i wywiązała się walka. W samoobronie zabiła napastnika i zbiegła.

Karpiuk wciąż nie odwracał się do aspirantki. Nie chciał, by widziała wyraz jego twarzy.

– W takim przypadku – powiedziała – powinniśmy jak najszybciej odnaleźć Pascho. Z każdym dniem trudniej będzie jej udowodnić, że działała w obronie własnej. Szczególnie jeśli odniosła przy okazji obrażenia i one już zaczęły się goić.

Z pewnym zdziwieniem, a nawet niepokojem obserwował emancypację Kaśki Wartoń. Nie była już tą samą cichą myszką, gnającą na każde zawołanie zwierzchników.

– Wiesz, Kaśka, ten trup wygląda na starszego – powiedział w końcu z wysiłkiem. – Wątpię, by miał sześć dni. Starszy – powtórzył.

Koncentrował się teraz na ubraniu uszytym głównie ze sportowych syntetycznych materiałów. Te wszystkie poliamidy i poliestry nie tak łatwo traciły kolor, ale ubrania nie wyglądały na nowe. Pochylił się, usiłując znaleźć metkę kurtki: widniał tam znaczek Alpinusa. Firma, zdaje się, zbankrutowała albo była tego blisko. Ubrania miała jednak solidne i trwałe. Na lata.

– Ile starszy? – zapytała Wartoń.

– Cholera go wie. Rozkład dość mocno zaawansowany jak na

sześć dni. Poza tym jesteśmy ponad czterysta metrów od miejsca znalezienia nart. Pascho je porzuciła, bo przegrywała wyścig na drodze. To był desperacki ruch świadczący o tym, że napastnik się zbliżał. I co, jeszcze uciekała w śniegu po kolana przez czterysta metrów? W górę przez las? To nie gra.

– Poczekajmy na sekcję.

– Tak. Jak najszybciej – potwierdził mechanicznie.

Ale tak naprawdę żadnej sekcji w swojej karierze tak bardzo nie chciał przełożyć jak tej. I nie był pewien, czy chce usłyszeć, kogo kryje rozszarpana przez zwierzęta skóra. Za każdym razem, kiedy znajdowano trupa trudnego do identyfikacji, Karpiuk obawiał się, że to będzie właśnie ten. Zdarzyło się to cztery razy w ciągu ostatnich osiemnastu lat. Trzykrotnie udało się zidentyfikować ciało. Tylko raz nie, ale denat okazał się osobą mocno starszą.

Za każdym razem, kiedy wzywano go do takiego przypadku, wyobrażał sobie ewentualną reakcję swojej żony na złe, ale zarazem tak oczekiwane wieści. Czy cokolwiek jeszcze mogło poruszyć Elę? Karpiuk nie miał pewności, czy podniosłaby się z depresji, nawet gdyby Kuba powrócił, w co sam już nie wierzył. Nie po takim czasie. Statystyki były bezwzględne.

– Kaśka, zawołaj ich. Wieziemy.

– Idę i... nadkomisarzu?

Jak przez mgłę dostrzegł, że ona chce coś powiedzieć.

– Tak?

– Wołałabym, żeby mnie pan tak nie wyróżniał.

– Mów jak człowiek.

– Pozwolił mi pan tutaj zostać.

– I co?

– Będą potem gadać.

Machnął ręką, bo nie starczyło mu sił na odpowiedź. A potem kazał aspirantce przywołać resztę.

Pierwszy przyznał prokurator. Coś w postawie Karpiuka podpowiedziało mu, że może się teraz wykazać. I nie pomylił się. Nadkomisarz był zmęczony. Zostawił akcję młodszemu. W końcu za dwa i pół roku jego już nie będzie.

Podwładni z wydziału kryminalnego przyglądali się temu początkowo nieufnie, tak jakby Karpiuk, pracoholik i choleryk, robił sobie z nich jaja. Ale w końcu połapali się, że szef wcale nie zamierza kontrolować tego procesu.

Zwłoki przykryto płachtą i zainicjowano akcję żmudnego, trudnego transportu przez las do drogi prowadzącej ku Przełęczy Warnickiej i dalej przez Odwież do Gorlic. Dowodził prokurator, głośno i energicznie. Chaotycznie. To wkurzało policjantów i spoglądali na Karpiuka. Jednak nadkomisarza niewiele to obchodziło. Przyglądał się przedstawieniu jak średnio zainteresowany widz. Przed oczami wciąż miał postać martwego mężczyzny, w głowie zaś mętlik.

„Oby nie on”, powtarzał w myślach, kiedy powoli nieśli nosze, wszyscy ubłoceni po kolana.

Żeby to tylko nie było to, czego nadkomisarz bał się od osiemnastu lat.

Niemal każdy glina gromadził wachlarz długów do spłacenia, jak portfel pełen czeków *in blanco*. Jednak papiery miały swoją wartość do czasu. Wartościowy kontakt, choćby i z Komendy Głównej Policji, tracił na ważności w momencie przejścia na emeryturę. Dlatego z lekkim tylko wahaniem Warwiłow zrealizowała jeden ze swoich „czeków”.

Straciła trochę czasu, ale wyciągnęła to w końcu od wysokiego rangą funkcjonariusza KGP. Obietnicę naciśnięcia odpowiednich guzików.

– Warwiłow, tylko nie wyprawiaj tam głupot – upomniał ją rozmówca. – Bo nie wiem, czy to górskie powietrze tak ci zawróciło w głowie... Pamiętaj, że czeka cię jeszcze kariera, kiedy w końcu wrócisz.

– Dziękuję za przypomnienie – odparła cierpko.

– A może nawet посадка u nas.

– Wolę zostać u siebie.

– Tak czy siak nic sobie nie zepsuj. Jeśli nie chcesz zostać tam w górach, ha, ha, ha! Bo wiesz, „u siebie” może się okazać pojęciem względnym.

Odłożyła słuchawkę telefonu w jadalni. Dochodziło już popołudnie i niewiele się dowiedziała; sekcja nastąpi zapewne dopiero jutro, a kac utrudniał efektywne działanie.

Wmaszerowała do kuchni, zamierzając wyżebrać kawę. Gospodyni nie było, ale spotkała Mary Sikorską, która przy stole kuchennym pochłaniała książkę. I to Mary wyręczyła Anetę, serwując Warwiłow kubek zupełnie przyzwoitej latte z profesjonalną pianką.

– Nie dziękuj – śmiała się dziewczyna. – Co roku pracowałam jako baristka. To miłe coś sobie przypomnieć. Tak jakbym się odmłodziła.

– Jasne.

– Tylko nikomu nie zdradz, że tu się chowam – zastrzegła

Mary. – Kondzio zawsze mnie wyciąga na jakieś spacer. A jeśli mnie nie znajdzie w jadalni, pomyśli, że sama wyszłam. Od lat go tak oszukuję – zachichotała.

– Spokojnie, nie sypnę cię przed twoim własnym mężem. A gdzie reszta?

– Rafał zdaje się pomagał w poszukiwaniach... twojej przyjaciółki. Konrad mógł poleżeć tam z nim, lubi akcję.

– Tak? Nie zauważyłam.

Mary nie złapała ironii.

– Jesienią strasznie mało tu się dzieje – wyjaśniła dziewczyna.

– A kiedy indziej?

– Przedtem przyjeżdżaliśmy w lecie, w lipcu organizują tu fajne warsztaty teatralne. Ale za dużo ludzi się kręciło i upodobaliśmy sobie listopad. Na ten reset niby, no i Rafał daje nam wtedy zniżkę. Potem zawsze jest tak samo. Konrad śpi przez cały dzień po przyjeździe, a później zaczyna krążyć. Do Gorlic w kółko jeździ. Kogo próbuje oszukać?

– Nie mam pojęcia.

Mary spojrzała na nią uważnie.

– No i teraz oczywiście uważa, że te poszukiwania są bardzo ekscytujące. A ja wiem, że to dla ciebie bardzo trudne – oznajmiła.

– Nic się nie stało, nie przejmuj się. Pewnie zresztą niedługo wrócą – powiedziała Warwiłow, trochę bardziej do siebie niż do dziewczyny.

– Co masz na myśli?

– Nic takiego.

Może się myliła, przedwcześnie skazując Joannę na śmierć? Była taka niespokojna, niedoinformowana. Nie znosiła tego.

– Na pewno bardzo się o nią martwisz – podsunęła Mary.

– Tak. Nie. Nie wiem, nie pytaj mnie, proszę. – Warwiłow zirytowała się nagle, dlatego że czuła, jak ciężar jej uwagi przesuwa się w stronę dochodzenia zamiast troski o Joannę. Może powinna skrócić urlop i już teraz wrócić do pracy. Ale praska komenda wcale nie kojarzyła jej się dobrze.

– Okej. Byłam na dworze, kiedy rozmawiałaś z tym policjantem.

– Tak?

– Nie chciałam podsłuchać – wyjaśniła. – Wraciałam od koni i słyszałam strzępy waszej rozmowy. Karpiuk trochę się na ciebie wydzierał. Co mu zrobiłaś?

– To narwaniec, ten lokalny Kojak – powiedziała Warwiłow w zamyśleniu.

– Bardzo tutaj poważany.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Popatrzyła przyjaźnie na dziewczynę.

– Zaszywam się w książkach, ale Konrad wszystko ogarnia, normalnie jakby tu mieszkał. A potem mi opowiada. Boję się, że pewnego pięknego dnia oświadczy, że się tutaj przeprowadzamy – zaśmiała się Mary. – I tylko patrzeć, jak zaczniesz mnie zdradzać z owcami, kozami czy cokolwiek tam będzie hodować.

Warwiłow uśmiechnęła się zdawkowo.

– Co jeszcze wiesz o Karpiuku? – zapytała.

– Że pracował kiedyś w Krakowie i podobno jest bardzo zdolny, chcieli go tam zatrzymać. Że przerasta komendanta o głowę.

– No to prawda, wysoki facet – rzuciła Warwiłow.

– Nie chodziło mi o wzrost...

– Serio?

Mary zaczerwieniła się lekko i Warwiłow skłęta samą siebie w duchu. Była niezadowolona, skacowana, dlatego skłonna do złośliwości.

– Przepraszam. Trochę się ścięliśmy.

– Szybko się konfliktujesz, Nina – zażartowała Mary, świdrując ją spojrzeniem. Jej oczy wydały się teraz Warwiłow odrobinę szalone. – Ale tak, coś w tobie jest, od razu tak pomyślałam, kiedy weszłaś do jadalni w poniedziałek. Że jesteś jedną z tych osób, na które zwraca się uwagę, obok których trudno przejść obojętnie i...

– Dowiedział się, że pracuję w policji – zniecierpliwiona Warwiłow weszła jej w słowo.

– O rany, serio? To znaczy takiej prawdziwej? Jezu, przepraszam, co ja gadam... Nie wiem nawet od czego zacząć...

W Warszawie?

– Tak.

– Masz jakiś stopień?

– Mam.

Mary przyglądała jej się z wielką ciekawością, ale wyraz twarzy Warwiłow musiał być wymowny, bo dziewczyna w końcu się spłoszyła.

– W każdym razie nie przejmuj się Karpiukiem. – Westchnęła. – On nienawidzi tu przyjeżdżać. To znaczy do Bukowców.

– Dlaczego, na miłość boską? Niech każe zrobić drogi. Bo tak to chyba tutaj wygląda?

– Nie, nie o to chodzi. Jego syn miał tu wypadek. Wczoraj Rafał rozmawiał o tym z Konradem. Jakiś koszmarny.

– Samochodowy?

– Tak. Tutaj, na naszej drodze.

– Poczekaj – przerwała niecierpliwie Warwiłow. – Chcesz powiedzieć, że syn Karpiuka... zginął w Bukowcach?

– Nie. To znaczy nie wiem, czy zginął. Coś złego się stało. Nawet Rafał niewiele o tym wie. To wydarzyło się, zanim kupił tu ziemię i zbudował Korę.

Warwiłow pokiwała głową.

– W każdej rodzinie są jakieś tragedie – rzuciła w zamyśleniu.

Przed oczami miała twarz Karpiuka, kiedy rozmawiał przez krótkofalówkę.

Po południu jeszcze raz skorzystała z telefonu. Sekcję zwłok w gorlickim szpitalu zaplanowano na następny dzień.

– I, Warwiłow, to nie jest twoja znajoma – oznajmił jej kontakt z KGP.

Zadrzała.

– Skąd wiesz?

– Bo denat to mężczyzna, ale więcej szczegółów nie znam, więc mnie nie pytaj. Jutro będziesz już mądrzejsza ode mnie. No, niech moc będzie z tobą. Ponoć ten gorlicki „naczelnik” to twardy orzech do zgryzienia.

– Więc może nie będę go gryzła?

– Nie wiem, czy jest inne wyjście, Warwiłow. Dalej już radzisz



sobie sama. Nie chcę, żeby do Krakowa dotarło, że się wpycham. No, jesteśmy kwita.

– Jesteśmy.

Odłożyła słuchawkę. Zapamiętała, by zapłacić gospodarzom za połączenia. Nieco żałowała teraz, że wydała jeden z „czeków”, choć wiadomość, że to nie zwłoki Joanny odnaleziono w lesie, wprawiła ją w dobry nastrój.

A więc jutro. Czwartek. Ale tak niewiele jeszcze wiedziała.

Na tapecie miała jeszcze Maćka. Odebrał dopiero po czwartym sygnale. W tle słyszała muzykę i gwar.

– Gdzie jesteś?

– Jadę do domu.

– Samochodem? – zapytała nieufnie. Muzyka nie pasowała do autobusu linii 138, z którego korzystał prokurator.

– Zatrzymałem się na chwilę w kawiarni – odparł.

„A przed chwilą powiedział, że jedzie”, pomyślała. Czy to kwalifikowało się już jako kłamstwo?

– W kawiarni? Sam? Dlaczego?

– Może dlatego, że chcę pobyć w czyimś towarzystwie? Że nie uśmiecha mi się kolejny raz wracać do pustego domu? – podniósł lekko głos i zastanawiała się, czy powinna drażnić. – Do kiedy zostajesz?

– Minimum do jutra – odparła, przyciskając mocniej słuchawkę do ucha, jakby dzięki temu miała usłyszeć kobiecy głos w tle. – Jesteś sam? – dopytała ciszej.

– Minimum? Miały być trzy dni.

Znowu nie odpowiedział na pytanie; zrobiło jej się gorąco i nagle nie chciała już znać odpowiedzi. Przetknęła ślinę.

– Może dłużej.

– Aha.

Znowu cisza.

– Podobno znaleziono zwłoki.

– Skąd wiesz? Mówią u was o tym?

– Coś ty, kogo to w Warszawie obchodzi? Internet.

– Maciek... te zwłoki to nie ona. To nie Joanna.

– Dobre wieści.

– Tak.

– Masz coś?

– Niewiele. Nie dopuszczają mnie do sprawy.

– Dziwisz się? – Parsknął śmiechem. – Nina, cud, że w ogóle jeszcze cię nie pogonili.

– Do dzisiaj nie znali mojej tożsamości.

Zapadła cisza.

– Maciek, musisz mi to powiedzieć. Czy jesteś tam sam? – powtórzyła.

Zazdrość i niepokój drażyły ją od środka aż do mdłości. Zwlekał z odpowiedzią.

– Jestem – odparł w końcu. Gwar w tle nie ustawał. Ale czy podnosiłby głos, gdyby przebywał w kobiecym towarzystwie? Gdyby ją zdradzał, z pewnością chciałby się dobrze zaprezentować. Dobre wrażenie to był dla Macieja Stassberga priorytet; dopiero po jakimś czasie na pomniku uwidaczniały się rysy. Ta myśl ją uspokoiła: gdyby prokurator siedział w kawiarni z kimś, to zgrywałby ideał.

– Mogę ci wierzyć?

– A kiedyś się zawiodłaś?

– No, nie powiedziałaś prawdy... Wtedy, odnośnie własnej rodziny.

– Nie okłamałem cię.

– Całej prawdy.

– Nie zaczynaj z tym. Czy od tamtego czasu kiedykolwiek cię oszukałem?

– Nie.

– Właśnie. A czy ty możesz powiedzieć to samo?

Wiedziała, do czego pije. To on pierwszy powiedział, że kocha. Poczula się wtedy pod presją. Chciał usłyszeć od niej to samo. I usłyszał. Na pewno go pragnęła. Ale czym właściwie była miłość? Do czego to miała porównać?

Przy Tomku spała spokojniej; co prawda emocji było w ich związku tyle co w bułce z pasztetem podlaskim, za to wygodnie jak w starych butach. Z Maćkiem zaś czuła zaskakująco dużo napięcia. Ale trwał przy niej, również wtedy, kiedy Tomek jasno

postawił sprawę ich wspólnej przyszłości. No i Stassberg pokochał Milę jak swoją. Czasem podejrzewała nawet, że prokurator jest jednym z tych, co szukają kobiet z „gotowcem”. Przynajmniej do tej pory nie naciskał na kolejne dziecko.

I jeszcze była ta najbardziej zagadkowa miłość w jej życiu – do ojca. Przeciętnie raz na kwartał Tomek nalegał, żeby poszła z tym tematem na terapię. Ich związek się skończył, a ona dalej kursowała na Białostocką. A teraz kolejny facet zaczynał przebąkiwać, że najważniejszą mężczyzną w życiu Warwiłow jest Aleksander Siergiejewicz.

Początkowo prokurator miał nadzieję, że obecność Mili usunie ojca w cień, ale nie wziął pod uwagę dodatkowego czasu, którym Nina zaczęła dysponować na zwolnieniu i urlopie macierzyńskim.

– Oddajmy go pod opiekę. Stać nas na to. Mieszkanie na Białostockiej się wynajmie... albo raczej sprzeda – powiedział, w porę przypominając sobie jego stan.

– Widziałeś kiedyś dom starców od środka? To nie wygląda jak na filmach. Siedzą na prochach i gapią się w podłogę.

– Przynajmniej nie będzie pił.

– Nie bądź taki pewien. Poza tym on to już kiepsko ogarnia.

Mówiła prawdę. Postępujący alzheimer miał tę zaletę, że ojciec zapominał nawet o picciu.

Upartą opiekę nad brutalnym ojcem i Maćkowi, i sobie tłumaczyła obietnicą daną matce przed śmiercią. A jednak kiedy nie przychodziła na Białostocką, czegoś jej brakowało – choć nie odważyła się tam jeszcze wpaść z córką. Jakby to zdewastowane mieszkanie czymś ją wypełniało, a towarzystwo ojca, nawet odłączonego od rzeczywistości, zaspokajało.

– Nie okłamuję cię, Maciek – odparła teraz do słuchawki i w tym momencie pomyślała o wczorajszym spotkaniu z Ordowskim. Gdzieś w Warszawie, może w okolicach Dworca Wileńskiego, Stassberg siedział teraz w kawiarni. Samotny, kiedy ona upijała się w najlepsze, flirtując z mężczyznami. Bo inaczej nie mogła tego określić.

– To dobrze, Nina. Kocham cię – powiedział ciszej. Pewnie aby

go nie słyszeli.

– Ja ciebie też.

– Wróć szybko. Tęsknię za wami jak wariat.

– I ja tęsknię.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że naprawdę tak jest. Tęskniła za nim i za nimi w trójkę. Ich małą, patchworkową rodziną.

– Wróć – obiecała. – I Mila również.

– Może mógłbym przejąć małą na te kilka dni? Tomek z pewnością jest już zmęczony.

– Maciek, rozmawialiśmy przecież...

– Wtedy była mowa o tym, że zaraz wrócisz. Jesteś pewna, że jemu to odpowiada?

– Tak, Maciek. Tomkowi jest łatwiej... ty musiałbyś załatwić nianię. Nie chcę, żeby obca zajmowała się Milą.

– A co za różnica między tym, co jest teraz?

Wiedziała, do czego pije. Do dziewczyny Tomka. Agnieszki, Agaty? Nadejdzie czas, kiedy komisarz Warwiłow będzie musiała dotrzeć do tej informacji.

– Tomek jest ojcem Mili. To jednak co innego – powiedziała.

– Moim zdaniem niewiele się różni.

– Niedługo przyjadę i...

– Chcesz, żebym coś ci powiedział? – wszedł jej gwałtownie w słowo. W słuchawce słyszała teraz szum wiatru, domyślała się, że wyszedł na ulicę. Może po to, żeby pokrzyknąć. Nie przewidywała niczego dobrego.

– Nie chcę – odparła zgodnie z prawdą.

– To dla mnie ciężkie. Może nawet zbyt ciężkie. Ja ją kocham jak ojciec. Bardziej niż Tomek.

– Maciek...

– A ty wyjeżdżasz i okazuje się, że nic w jej życiu nie znaczę. Zero. Żadnych praw. I wiesz, jak się wtedy czuję?

I tego też nie chciała wiedzieć. Ale i tak jej powiedział.

– Jakby mnie wyrwali z korzeniami; dawali do obcych. Jakbym znowu tracił bliskich. Bo teraz ty i Mila jesteście moją rodziną. Nie mam innej. Pamiętaj o tym, proszę.

Gorlicki szpital witał przyjezdnych z piękniejszej części powiatu jak wartownik: prostokątny klocek bez polotu, mocno zalatujący PRL-em. Stał na obrzeżach Gorlic, przerastając sąsiednie budynki o kilka pięter. A w środku pachniało tak jak w każdym szpitalu publicznym w Polsce: mieszkanką woni antyseptyków, starej toalety, biedy i schabowego.

Po swoich doświadczeniach komisarz zastanawiała się, czy akcja „rodzić po ludzku” dotarła i do Gorlic. Sama Warwiłow, która rodziła w Szpitalu Świętej Zofii, była beneficjentką zmian na lepsze.

Obskurny zakład patomorfologii nie robił specjalnego wrażenia, ale tutaj najważniejszą rolę odgrywał prowadzący sekcję. Warwiłow widziała, że młody lekarz jest bardzo spięty. Pewnie nieczęsto kroili tu takie ciała. Patomorfolog miał przyłizane ciemne włosy i okulary w grubych oprawkach. Dyktując do protokołu, co chwila zerkał na policjantów, a w jego wypowiedziach pojawiała się intonacja pytajnikowa.

– Śmierć spowodował cios zadany dość tępo zakończonym przedmiotem? – przemawiał. – Uderzeń było kilka?

Spojrzał teraz na Karpiuka. A może była w tym nuta zawodowej ciekawości: Warwiłow musiała przyznać, że nadkomisarz wyglądał fatalnie, był bladozielony, a oczy niemal wyłaziły mu z orbit. Wyglądał, jakby mógł czymś zarazić.

Na Warwiłow nie spojrzał ani razu. Polecenie, by dopuścić ją do sekcji, musiało wyjść odgórnie od komendanta i teraz Karpiuk udawał, że jej nie widzi. To wprowadzało młodego patomorfologa w jeszcze większe zakłopotanie; w małej i wąskiej sali te emocje były aż nadto widoczne. Poza nimi na sekcję zawitała jeszcze jakaś ciemnowłosa glina w okolicach trzydziestki. W przeciwieństwie do swojego szefa przywitała się z komisarz dość serdecznie i przedstawiła jako aspirantka Wartoń. Pojawił się też oczywiście prokurator, szarawy facet

w średnim wieku, który nie okazał zdziwienia obecnością Warwiłow i do tej pory siedział podejrzenie cicho.

– Śmiertelny cios został zadany z dużą siłą? – kontynuował patomorfolog. – Spowodował pęknięcie czaszki i ofiara zmarła całkiem szybko? Być może morderca... Przepraszam, to jest sprawca, powtórzył uderzenie, nie wiedząc, że ofiara zmarła? Albo chcąc się co do tego upewnić?

Karpiuk odchrząknął i wtrącił:

– Narzędzie?

– Rany są bardziej tłuczone niż cięte? Zadane czymś tępym, tak jak powiedziałem? W skórce głowy utkwilo trochę drzazg? W zasadzie trudno uzasadnić, skąd miałyby się tam znaleźć? Ze względu na miejsce nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby zadziałać równie skutecznie jak... kawałek drewna? To jest, przepraszam za takie wyrażenie?

– Drewna?

– Tak, oczywiście jakiś odpowiednio masywny? Jak pieniek?

Nie do wiary, że nawet ostatnie zdanie zdołał zakończyć pytajnikiem. Warwiłow wciąż obserwowała Karpiuka. I teraz to ona zadała pytanie:

– Kiedy ofiara została zamordowana?

Lekarz usztywnił się. Wyczuła, że przygotował się na to pytanie.

– Skóra zmarłego przywarła do kości, a fragmenty żeber i kręgosłupa są zupełnie odsłonięte – znienacka przemówił zdaniem oznajmującym. – Zwłoki są już na etapie gnicia. Brzuch jest zapadnięty, a włosy odeszły od czaszki. Oczywiście warunki pogodowe, w jakich znaleziono zwłoki, mogły je trochę zakonserwować. Także miejsce wywarło na nie wpływ, ponieważ zostały w dużej mierze skonsumowane przez zwierzęta – tutaj głos mu się załamał i lekarz zamilkł.

– Kiedy? – warknął Karpiuk.

– Najrozsądniej byłoby uznać, że... dłużej niż dwa tygodnie? – Patomorfolog zerknął przestraszony na policjantów.

– A krócej? – wtrąciła cierpliwie Warwiłow.

W pokoju zapadła cisza. Oblicze nadkomisarza dowodziło starej prawdy: że zawsze może być gorzej. Karpiuk wyglądał tak trupio,

jakby mógł spocząć koło ciała na stole. Warwiłow miała ochotę podejść, żeby go przytrzymać. Obok szefa stała jednak Wartoń, która dysponowała lepszymi warunkami fizycznymi, by służyć za podpórę; nie mówiąc już o dobrych relacjach z Karpiukiem.

– Byłbym zdziwiony, gdyby ten mężczyzna leżał dłużej niż miesiąc? – powiedział w końcu lekarz. – W miejscach, gdzie nie został... skonsumowany, zachowały się skrawki skóry? A ta uległaby rozkładowi, gdyby leżał tam dłużej niż trzy, cztery tygodnie?

– Wiek? – nadkomisarz odezwał się zachrypniętym głosem i Warwiłow pomyślała, że to pytanie dużo go kosztuje.

– Proszę? – zapytał spanikowany patomorfolog.

– Wiek denata – powtórzył ciężko Karpiuk.

Teraz pobladł i lekarz.

– Obawiam się, że trudno mi to ocenić? Sugeruję transport zwłok do zakładu medycyny sądowej do Krakowa, oni będą w stanie określić dokładnie? – oświadczył przepraszająco.

– A tak na pana lekarskie oko? – zapytał nadkomisarz.

– W takiej estymacji istnieje duży margines błędu? – zastrzegł lekarz.

– Rozumiem.

– Niech to będzie uznane za nieformalną opinię? Patrząc na stan uzębienia, skórę i kondycję niektórych narządów wewnętrznych... Oczywiście to może również zależeć od trybu życia? Należałoby przeprowadzić analizę zużycia powierzchni stawowych? Ostatnio naukowcy amerykańscy dokonali nowych odkryć w tej dziedzinie? Zaczęli badać gęstość mineralną kości i...

– Wiek? – Karpiuk gwałtownie przerwał te wywody.

Na sali zapadła cisza.

– Minimum pięćdziesiąt lat? – powiedział cicho lekarz.

– Pięćdziesiąt? – Nadkomisarz pobladł. Wyglądał na zdziwionego.

– Pewien nie jestem, tak jak powiedziałem? Mam nadzieję, że taki wiek nie jest niemożliwy? – Przerażony reakcją policjanta lekarz budził w Warwiłow jakiś dziwny, matczyzny instynkt.

– Nie – rzucił Karpiuk.

Nadkomisarza obserwowali teraz wszyscy. Lekarz z napięciem, Warwiłow z zaciekawieniem, prokurator z niepokojem, a Wartoń z czymś w rodzaju troski.

Karpiuk zreflektował się w końcu.

– Jeżeli to wszystko... – powiedział do lekarza, a ten rozłożył ręce.

– Chyba że zadacie konkretne pytania? – Patomorfolog skierował wzrok w stronę prokuratora, a następnie w kierunku Warwiłow. Zgodnie z procedurami musiała pomachać mu szmatą przed wejściem na salę; znał jej stopień. Ale Karpiuk odzyskał już chyba wigor.

– Kończymy. – Posłał mu karcące spojrzenie, zanim Nina zdołała się odezwać. – Warwiłow, za mną!

Lekarz był skonsternowany. Nic nowego.

Kiedy szli szpitalnym korytarzem, Wartoń odbiła gdzieś na bok, do ciotki, a może babci na geriatric, Warwiłow nie słuchała uważnie. Na zewnątrz prokurator pożegnał się dość zdawkowo. Pewnie nie chcieli omawiać śledztwa przy ludziach. Szkoda. Jej „przepustka” straciła ważność, wejście na naradę do prokuratury lub komendy zależało tylko od dobrej woli gorliczan. Po tym, jak wymusiła uczestnictwo w sekcji, nie mogła na to liczyć.

Została sama z nadkomisarzem; opadł ciężko na ławeczkę i zapalił. Miała ochotę wdychać dym z jego papierosów i nawet nie chciało jej się wyciągać tego elektronicznego szajstwa.

Obok nich kręcili się chorzy w kurtkach narzuconych na szpitalne piżamy. Zrobiło się naprawdę ciepło, szczególnie tu, w mieście. Pacjenci rzucili Karpiukowi jedno czy dwa ciekawskie spojrzenia. Kto w Warszawie rozpoznałby naczelnika kryminalnego w cywilu? Tutaj wyraźnie był celebrytą, John Wayne Gorlic, i nawet sylwetkę miał osobiwie podobną do szeryfa z Rio Bravo.

– Wkręciłaś się bez mojej zgody – odezwał się po kilku machach.

– Inaczej się nie dało.

– Nie możesz po prostu odczepić się od mojego śledztwa? Po co wężysz? Pracowałaś kiedyś poza Warszawą?



– Nie.

– Tak myślałem – skwitował i zaciągnął się głęboko.

Rzuciła fajki w ciąży i nigdy nie wróciła. A teraz obserwowała tego dużo starszego od niej faceta, który zaciągał się z przyjemnością. Nie wiedziała, dlaczego właściwie ma sobie tego odmawiać.

– Wbrew pozorom tu nie jest łatwiej – kontynuował Karpiuk. – Żeby zrozumieć tutejszych, trzeba z nimi żyć i mieszkać. Bo tu ludzie lubią się nawzajem. Wy, warszawscy, nigdy tego nie rozumiecie. Nie martw się o swoją przyjaciółkę, Warwiłow. – Wyrzucił do śmieci wypalonego dopiero w połowie papierosa, a Nina pomyślała, że pewnie w ogóle nie wolno mu kurzyć. – Znajdziemy ją.

– Jak? Gdzie? Teraz niewiadomych jest więcej. Kim jest ten gość w prosektorium? Jeśli patomorfolog mówił prawdę, facet nie mógł zaatakować Joanny. Leżał w lesie trochę za długo.

– Spokojnie, wszystko wygrzebiemy.

– Wliczacie w to Joannę? Ona wciąż może leżeć w tych lasach.

– Jeśli tak, to bez znaczenia. Jest martwa.

– To dlatego przerywacie poszukiwania?

– Brakuje nam środków, Warwiłow, i ludzi. Tymczasem trafił nam się facet bez tożsamości, a twoja koleżanka mogła zwyczajnie nawiać.

– Niby dlaczego?

Poczerwieniał.

– Bo ludzie znikają. Bo każdy ma swoje tajemnice. A wracając na ziemię – nadkomisarz podniósł nieco głos – jest prawdziwy trup. Tu, na moim terenie. Tym właśnie będziemy się teraz zajmować i nic tu po tobie. – Podniósł się w końcu, znowu przewyższał Warwiłow o głowę. – Widzisz, na szczęście nasz komendant to rozsądny facet. Wiem, że nie miał wyjścia i musiał cię tu wpuścić. – Karpiuk uśmiechnął się nieprzyjemnie. Chyba na dobre odzyskał już rezon. – Nikt tu nie będzie nas trzymał za jaja. I dobrze wiemy, że twoje przywileje się skończyły. Jeśli będziesz się tu kręcić, Warwiłow, to oleję solidarność zawodową. Widzisz, ja nie mam nic do stracenia. Dwa i pół roku do emerytury

i nigdzie się nie wybieram. Ty za to chyba, Warwiłow, nie chcesz sobie bruździć, co? Karierowiczka z Warszawki? Zastanów się lepiej dobrze, czy nie wyjechać. Dziś jeszcze środek tygodnia, korków nie będzie i wyśpisz się we własnym łóżku.

Odszedł, posapując ciężko na schodkach.

Jedno było jasne: w komendzie gorlickiej Warwiłow rzeczywiście nie miała czego szukać. Niechęć Karpiuka nie spłynęła po niej jednak jak po kaczcze. Na macierzyńskim odwykła od konfliktów, uspokoiła się i odpoczęła. A teraz znajdowała się na wrogim terytorium, zagubiona w śledztwie. Śledztwie, którego może nigdy nie było.

W zasadzie jaką miała pewność, że Joannie coś się stało? Porzucony gabinet i dom w budowie? To niepokojące, ale przecież takie rzeczy się zdarzały. W końcu Joanna była uciekinierką. Tak się nawet sama nazywała, ze śmiechem. A że ta ucieczka miała bardziej chaotyczny charakter?

No cóż, Warwiłow wiedziała, że jej przyjaciółka nie jest do końca normalna. Ale kto był? Karpiuk powiedział prawdę, każdy człowiek na świecie miał swoje tajemnice. Mogłaby uzupełnić to twierdzenie: również dramaty i tragedie życiowe. I może to było po prostu kolejne stadium ucieczki Joanny? Kiedy jej przyjaciółka nie uzyskała tego, czego chciała w pierwszym?

Bo jaki sens, jakie powiązanie ukryło się w tym trupie bez skóry i bez tożsamości? Mógł się tam znaleźć przypadkowo... Lecz Warwiłow nie lubiła przypadków. Przypadki zdarzały się w sprawach kryminalnych znacznie rzadziej od porządnego motywu. Jak afekt lub odwet. No i oczywiście pieniądze.

Trupa z lasu znaleziono bez portfela. Pieniądze mogły być również motywem w przypadku Joanny; z pewnością zgromadziła zapasy gotówki. Kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy. Sprzedała przecież mieszkanie. Warwiłow знаła je tylko z opowieści, ale dwa pokoje na Żoliborzu musiały być warte z czterysta tysięcy. Czy te pieniądze wciąż były na koncie Joanny? Czy wchłonął je nowy dom, jeszcze w stanie surowym? Jeśli Joanna miała w planie wykończyć tę swoją chawirę, musiała dysponować odpowiednimi środkami. Kartą mogłaby zapłacić w sklepie, ale nie za siłą roboczą.

Nikt normalny nie nosiłby jednak gotówki ze sobą, Joanna mogła trzymać ją w gabinecie lub w domu.

„Powinnam dokładniej go przeszukać – pomyślała Warwiłow. – Nie po pijaku i chaotycznie, jak ostatnim razem. W świetle dziennym. Również dlatego, żeby odnaleźć i zabezpieczyć wartościowe rzeczy, które Joanna mogła pozostawić”.

Samochód zaparkowała nieopodal, na Węgierskiej. Tak naprawdę mogła zrobić sobie stąd spacer. Zgodnie z mapką Google’a do celu miała dwa kilometry. Skręciła w Szpitalną, a potem oczy jej się zaświeciły na widok nie najlepszej z wyglądu, choć nadgryzionej zębem czasu pływalni. Pomyślała, że trzydzieści basenów dobrze zrobiłoby jej kondycji umysłowej.

W zasadzie miała gdzie kupić kostium za grosze: Gorlice w tej przynajmniej dzielnicy, złożonej ze starych parterowych budynków, wyglądały jak jeden wielki lumpeks. Szmateksy były wszędzie: mniejsze, większe i średniej wielkości. Porządne, te wyglądające na trochę tylko większe kioski oraz kompletnie zapyziałe sklepiki ze starymi łachami. Sprzedawano w nich odzież z Anglii i z Niemiec, co przeczytała na afiszach.

Nie bardzo wiedziała, jak to świadczy o kondycji finansowej miasta wyglądającego całkiem nieźle. Od skrzyżowania, przy którym stał Statoil, odbijała nowa obwodnica, a na samej stacji Warwiłow napiła się bardzo przyzwoitej kawy. Cudem powstrzymała się przed kupnem hot doga, mając w pamięci przepyszną kuchnię Anety. Nie dalej jak wczoraj najadła się pieczeni ze „szparagami”.

– Szparagi? – zapytała, kiedy gospodyni przedstawiła jej menu. – Masz na myśli...

– Wiem, nie sezon – przerwała Aneta. – Zamrażam z lata.

To jej nie zdziwiło: Aneta trzymała zapasy jedzenia jak dla batalionu, dwie zamrażarki chodziły w piwnicy non stop.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała Warwiłow, ale potem zamilkła. Co z tego, że szparagi? Co, nie mogli w Bukowcach jeść wykwintnie?

Nastawiła się więc, bo przepadała za nimi i spotkała ją przykra niespodzianka. „Szparagi” okazały się fasolką szparagową. Po

trzech dniach zaczynała łąpać te gorliczanizmy. Udzielano tu „dorad” zamiast „porad”, no i wyborny „placek z borówką” sama nazwałaby ciastem z jagodami. Wciąż zdarzały jej się jednak wpadki.

– I jak? – zapytała Aneta.

– Doskonała – odparła zgodnie z prawdą Warwiłow.

A teraz wzmocniona kofeiną ze stacji benzynowej przeszła mostkiem przez rzekę Ropę, następnie – mijając szereg kolejnych lumpeksów – wspięła się ulicą Mickiewicza na gorlicki rynek. Nie najbrzydszy, lekko pochylony i przestrzenny, roił się od młodzieży przesiadującej na ławeczkach. I dobrze, wołała, aby rynek żył, do tego właśnie zostało stworzone to miejsce. Ładne były te gorlickie dzieciaki, szczególnie dziewczyny, bo chłopców psuły obciachowe fryzury i dżinsy.

Nad placem pysznił się neorenesansowy kościół, ale nie zamierzała go zwiedzać. Interesowała ją za to ulica Piekarska. Tam, zgodnie ze stroną internetową, mieścił się Karamed. Skręciła w lewo i przeszła kilkaset metrów, aż dotarła do bazaru ze straganami. Zerknęła na towary: biały ser, orzechy, jabłka, pietruszka, szczypiorek i jajka – wszystko wyglądało na lokalne, jak marzenie warszawskiego hipstera.

Po chwili znalazła właściwy adres. Prezentowało się to całkiem nieźle. Gabinet Joanny miał szyld, nowe drzwi, a na nich tabliczkę z godzinami pracy. Piątki lekarka zostawiła sobie wolne, wszystko się zgadzało. Warwiłow usiłowała zapuścić żurawia do środka, ale pomiędzy zasłonami zobaczyła tylko skrawek biurka i monitora.

Joanna musiała włożyć w to dużo trudu: zdobyć klientów w zupełnie nowym miejscu i dojeżdżać codziennie z głuchej wsi, mieszkając w czymś, co łaskawie można by określić surowymi warunkami, a realnie – rudera.

Może nagle poczuła się zmęczona? Przeżyła załamanie, a teraz dochodzi do siebie w jakimś jogińskim zakątku w okolicy? Bez kontaktu z telewizją i innymi mediami? Takie przypadki przecież też się zdarzały.

Warwiłow zrobiła zdjęcie i zawróciła. Przed wejściem na

rynieczek powstrzymał ją smutny dziadek. Zajął miejsce na samym skraju placu, a jedyne, co sprzedawał, to otwieracze do konserw. Wyglądał żałośnie; miała ochotę wykupić cały jego towar. Zniechęcił ją do buszowania po straganach. Zamiast tego wróciła więc ulicą Piekarską na rynek, a potem poszła w dół deptakiem o dość oczywistej nazwie 3 Maja.

Tu musiało mieścić się serce Gorlic, niegdyś ośrodka przemysłowego, teraz – jak wiele podobnej wielkości miast – żyjących nie wiadomo z czego: wsparcia unijnego, funduszy powiatowych, a może datków od krewnych pracujących w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Ale Gorlice żyły chyba nie najgorzej. A najbardziej podobało jej się to, że wszystko zamykano tak wcześnie; nie wiedziałyby pewnie, co robić z taką ilością wolnego czasu.

Zawiodła się tylko na ukochanej napoleonce kupionej w cukierni pośrodku deptaku. Zlekceważyła podejrzenie żółty kolor; ciastko okazało się po prostu paskudne. Wyszła szybko, aby nie ranić uczuć miłych sprzedawczyń, i wyrzuciła napoleonkę do śmieci. Podejrzewała, że całe Gorlice zaraz będą o tym wiedzieć. Z absmakiem w ustach, przeklinając się za łakomstwo i stratę czasu, ruszyła dalej.

Biblioteka miejska zajmowała trzypiętrowy gmach usytuowany w bocznej uliczce naprzeciwko poczty. Biała, odnowiona fasada wypożyczalni ozdobiona była od strony 3 Maja napisem „Bibliotheca”, a od frontu jakąś łacińską sentencją. Na parterze komisarz znalazła czytelnie dla dzieci i dorosłych. Skierowała się na górę, gdzie udostępniano prasę.

Dwie bibliotekarki bez większej żenady częstowały się ciastkami, które wyglądały, jakby pochodziły z lepszego źródła niż cukiernia na deptaku. „Jaki to kojący zawód – pomyślała Warwiłow – cały dzień w ciszy, do której nie tylko masz prawo, ale którą możesz egzekwować od otaczających cię ludzi”. Dziwne, że bibliotekarze zawsze zdawali jej się tacy nerwowi. Ale nie panie z Gorlic, te patrzyły na nią z życzliwą ciekawością. Bo też i przestronna czytelnia była niemal pusta, jakaś starsza kobieta czytała czasopisma przy stoliku w kącie.

Komu w dobie sieci chciałoby się tutaj przychodzić, gdyby nie musiał? Lecz internet też miał swoje ograniczenia, jeśli coś było starsze od niego. A w latach dziewięćdziesiątych internet w Gorlicach, zdaje się, nie istniał.

– W czym pani pomóc, kochanie? – zapytała starsza z kobiet, kiedy Warwiłow podeszła bliżej. Bibliotekarka miała w sobie coś z zakonnicy bez habitu.

– Chciałabym przejrzeć archiwalne wydania lokalnych gazet.

– Których konkretnie?

– „Gazety Gorlickiej”?

– Tak. Wychodzi dwa razy w tygodniu. Który rok panią interesuje?

– 1995 i może jeszcze 1996.

Bibliotekarka nieznacznie podniosła brew.

– Wtedy wychodziła „Gazeta Gorlicka” – poinformowała – ale jako miesięcznik.

– A coś poza tym? Z lokalnych mediów?

Kobieta pokręciła głową, a Warwiłow trudno było ukryć rozczarowanie. Miesięcznik mógł się przydać do dużych afer, ona potrzebowała dziennika. Kogo mogłaby wypytać? Dwadzieścia lat to jeszcze nie tak dużo.

– Może pani poszperać w codziennej „Krakowskiej” – wtrąciła młodsza z bibliotekarek. – Czasem pisano tam o nas, w latach dziewięćdziesiątych.

– O, super!

– Tylko że to będzie kilkaset wydań – skomentowała starsza z kobiet.

– Rozumiem... Mam czas – powiedziała Warwiłow.

Bibliotekarka zerknęła na zegar ścienny.

– Dzisiaj tylko do szesnastej – oznajmiła.

– W porządku. Czy powinnam wyrobić kartę?

Musiała i zajęło to cenne pięć minut.

– Gdzie jest czytnik czasopism? – zapytała.

Kobiety spojrzały po sobie. Młodsza zachichotała. Starsza trzymała fason.

– To nie zostało zdigitalizowane, kochanie – powiedziała.

Udało jej się przekonać bibliotekarki, że się spręży. Zdawały się nieprzekonane do pracy, którą musiały wykonać. Następne pół godziny zajęło przygotowanie zbiorów. Wkrótce przed Warwiłow stał już szereg wózków. Kichając od nagromadzonego w gazetach kurzu, przedzierała się przez kolejne wydania „Krakowskiej”.

Szukała igły w stogu siana. Wieści z Gorlic publikowano w gazecie jak na lekarstwo; co dopiero te, które mogły ją zainteresować. Po półtorej godziny zużyła wszystkie chusteczki, kręciło jej się w głowie, a nie przebrnęła jeszcze przez połowę dziewięćdziesiątego piątego. Ekspresem poznała wycinek historii Gorlic, galerię burmistrzów i radnych o zwierzęcych nazwiskach typu: Lis, Lew i Żaba, przeczytała o upadku zakładów przemysłowych położonych w dzielnicy Glinik.

W Gorlicach była ropa, a w latach dziewięćdziesiątych tutejsza rafineria należała do największych w kraju. Region rozstawiła mocna drużyna koszykarek, a całe miasto żyło budową ultranowoczesnego basenu. Przestępstw popełniano tu dość mało, a lokalną dumą była lampa naftowa. To właśnie w Gorlicach zaprojektował ją Ignacy Łukasiewicz – na skrzyżowaniu ulic Węgierskiej i Kościuszki zapłonęła po raz pierwszy na świecie.

Jedyne, co z tego wszystkiego wyciągnęła, to odpowiedź na zagadkę trącej zgnitym jajem wody, o którą wstydziła się zapytać gospodarzy Kory. Odpowiadały za to zapewne obecne w tutejszej glebie siarkowodory.

Oparła się na łokciu i chyba przysnęła gdzieś w okolicach czerwca dziewięćdziesiątego piątego. Nagle jeden z nagłówków przemówił głosem bibliotekarki:

– Nic pani nie jest, kochanie?

Ocknęła się. Czuła, że strużka śliny spływa jej z kącika ust; z przerażeniem odnotowała, że zmoczyła artykuł. Pożółkłe, pomięte strony jeszcze bardziej zmarszczyły się pod wpływem wilgoci.

Bibliotekarka spoglądała dokładnie w to samo miejsce.

– Przepraszam – powiedziała Warwiłow, paląc się ze wstydu.



– Nic się nie stało. Tak nam się wydawało, że to za dużo pracy jak na jeden dzień. Nie może pani tego podzielić na kilka?

– Nie mam tyle czasu niestety.

– A czego właściwie pani szuka?

Kobieta uśmiechała się dobrotliwie. W wąsiku nad jej górną wargą zamieszkał maleńki okruszek ciasta. Nie przysparzało to powagi, ale zaśliniona i zasmarkana od kurzu Warwiłow nie wyglądała lepiej. Co właściwie miała do stracenia? Wyrzucić jej stąd nie mogli, najwyżej będzie musiała przejrzeć te stare papierzyska do końca.

– Interesuje mnie wypadek z połowy lat dziewięćdziesiątych – oznajmiła. – Niestety, nie mam dokładnych danych poszkodowanego. Znam za to imię i nazwisko jego ojca.

– Tak, kochanie?

– Michał Karpiuk.

Bibliotekarce momentalnie zrzędała mina i Warwiłow przysięgłaby, że okruszek ciasta odkleił się i spadł na ziemię. Bo już nie mogła go dostrzec.

– Do czego to jest pani potrzebne?

– Jestem dawną znajomą... jego syna – wypaliła, zaraz pojmując swoją absurdalną wpadkę. Mózg Warwiłow drzemał jeszcze w najlepsze.

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nie sądzę, by miała pani odpowiednio dużo lat.

Bibliotekarka nie połąpała się. Sekundę temu Warwiłow nazwała chłopaka „poszkodowanym”. Komisarz dostała prezent i poczuła natychmiastowy zastrzyk energii.

– Poznaliśmy się na koloniach – gładko łągała dalej. – To znaczy, że... pani również go znała?

Jak długo jeszcze mogła ciągnąć tę rozmowę bez podania informacji, jak miał na imię?

– Znałam? Oczywiście! Chodziłam z Kubą do klasy w Kromerze!

Teraz to Warwiłow była zdziwiona. Kobieta wydawała się starsza; ale może to na tle młodej koleżanki i w tej zastygłej, stęchłej atmosferze czytelnicy. A może ze względu na manierę mówienia. Ale kiedy komisarz przyjrzała się uważniej, dała jej

nie więcej niż czterdzieści lat.

– W Kromerze?

– Tak, nasze najlepsze liceum. A w ogóle to źle pani patrzy – powiedziała bibliotekarka. – Wypadek zdarzył się w dziewięćdziesiątym szóstym. Byliśmy w trzeciej klasie... Pamiętam, bo do czwartej Kuba już nie poszedł.

– Okej, proszę mówić dalej.

Ale bibliotekarka wciąż patrzyła na nią podejrzliwie.

– Pani jest za młoda, żeby być z nim na koloniach – zawyrokowała.

– Mam trzydzieści dziewięć lat – odparła zgodnie z prawdą Warwiłow, lekko się przy tym rumieniąc.

– Nie dałabym pani tyle. Zresztą nie wiem, po co rozgrzebywać taką smutną historię. To był naprawdę fajny i dojrzały chłopak, przed wypadkiem. A potem ta dziewczyna...

– Jaka dziewczyna?

Bibliotekarka zerknęła na zegarek.

– To wydarzyło się dawno temu, a ja nie chcę do tego wracać. Zostało pani jeszcze półtorej godziny... a właściwie godzina, bo musimy odnieść zbiory.

– Może w takim razie jutro? – zapytała Nina, spoglądając na złośliwie wysoki stosik rocznika dziewięćdziesiątego szóstego.

– Przecież sama pani mówiła, że nie ma czasu, tak? – odparła bibliotekarka, wyciągając chusteczkę i ostentacyjnie osuszając miejsce, które zaśliniła Warwiłow. Następnie wróciła za biurko i zaczęła zajadłe szeptać z młodszą koleżanką.

Komisarz miała tylko nadzieję, że nie zadzwonią od razu do Karpiuka. Ale jeśli nie mają jego numeru... Tak czy owak zostało jeszcze trochę czasu. W zasadzie nie robiła nic złego. Niepotrzebnie ją okłamała, że знаła chłopaka, ale jakoś się z tego wywinie. Zamierzała spożytkować nową energię po drzemce, a także wykorzystać tych kilka danych, które dostarczyła jej kobieta.

A więc dziewięćdziesiąty szósty rok. I chłopak nie wrócił już do czwartej klasy. To mogło zdarzyć się tuż przed wakacjami albo w wakacje. Pewności nie było, nie dysponowała jednak

nadwyżką czasu na weryfikację. Wątpiła, by następnego dnia bibliotekarki udostępniły jej gazety... Chyba że z aspirantką Wartoń po drugiej stronie biurka. Albo i samym Karpiukiem.

Zaczęła od czerwca. Wydawało jej się, że przeleciała przez ten miesiąc jak burza, ale tak naprawdę minęło pół godziny, wykorzyststała więc połowę swego czasu. Miała wrażenie, że bibliotekarki czekają w blokach startowych, by zabrać gazety. Na szczęście na razie nigdzie nie dzwoniły: może tak dalece właśnie przestrzegaly regulaminu miejsca pracy.

Przeleciała do lipca. Dziwna, ale znajoma sprawa – alergiczny katar ustał jak zawsze, kiedy zaczynała łapać wiatr w żagle. Nerwowo spoglądała na zegarek. Miała jeszcze mniej więcej dwadzieścia minut, kiedy na to trafiła.

17 lipca 1996 roku: wypadek samochodowy siedemnastoletniego Jakuba Karpiuka i dziewiętnastoletniej Ady Wańczyk.

Niewielka, telegraficzna wręcz wzmianka. W następnych dniach, może ze względu na sezon ogórkowy, ciekawski dziennikarz rozwinął temat.

Para, która spotykała się ze sobą od pięciu miesięcy, jechała samochodem dziewczyny, kilkunastoletnią ładą niva. Młodzi wracali od znajomych z pożyczonym sprzętem: wiertłami, szlifierkami, piłami i innymi narzędziami. Na Przełęczu Warnickiej Karpiuk i Wańczyk skręcili w drogę do Bukowców, gdzie mieszkała dziewczyna. Po kilku kilometrach stracili panowanie nad niva. Przekoziołkowali kilka razy, kończąc podróż w rowie. Samochód rozbił się, a niezabezpieczone narzędzia poraniły pasażerów.

Trafili do gorlickiego szpitala: dziewczyna w dość dobrym stanie, poza urazem oka, chłopak w cięższym. Obojgu zbadano poziom alkoholu i wpadli. Wańczyk z urazem oka przetransportowano do kliniki w Krakowie, Kuba Karpiuk pozostał w Gorlicach, czekając na operację. Chłopak był w stanie zbyt ciężkim, by go gdziekolwiek przewozić.

Kochany pismak zrobił z wypadku całą opowieść. Czytała pośpiesznie, wiedząc, że jest późno. Spojrzała na bibliotekarki.

Nawet nie udawały, że na nią nie patrzą. Miała tak mało czasu. Co właściwie ta kobieta powiedziała? Że Karpiuk nie wrócił do szkoły? Kiedy to mogło być?

Wertując kolejne gazety, przeleciała od razu do połowy września. Kilka stron się podarło, ale nie zważała na to. Bała się zerknąć na zegarek.

17 października 1996. Znalazła.

Już na drugiej stronie widniało zdjęcie ładnego chłopaka. Z podpisem: „Zaginiony Jakub Karpiuk. Wzrost: 187 cm. Oczy szare. Zaginął 15 października 1996 roku. Znaki szczególne: liczne blizny na twarzy”.

Na czarno-białej ziarnistej fotografii nie zauważyła jednak, by miał szramy. Zapewne powstały w efekcie wypadku, a zdjęcie zostało zrobione przed nim.

Usłyszała głośne chrząknięcie.

Bibliotekarka patrzyła na artykuł.

– A więc znalazła pani – mruknęła. – Uparta. W każdym razie już czas. Musimy posprzątać zbiory.

Warwiłow nie zdążyła zrobić fotek. Zawahała się, ale nie podjęła negocjacji. W zasadzie znalazła już wszystko, co chciała, a spór mógł spowodować nieproporcjonalne do zysków konsekwencje.

Zanim oddała gazety, zapatrzyła się jeszcze tylko na jedno, ostatnie zdjęcie. Przedstawiało budynek, który Ada remontowała z Kubą. Budynek, który wymagał renowacji i narzędzi ku temu; narzędzi, które spotęgowały tragedię wypadku, a młodego Karpiuka oszpeciły na zawsze.

Młodzi remontowali dom rodzinny Ady Wańczyk.

A przecież знаła ten drewniany, brązowy budynek z wysokimi oknami. Dom Joanny Pascho.

Był czwartek, dla warszawskiej dochodzeniówki dzień długi i zawałony robotą. Paskudny jak zawsze. Mimo to aspirant Chodkowski, do którego zadzwoniła po wyjściu z biblioteki, odebrał już po trzecim sygnale. Na ulicy 3 Maja powoli robiło się ciemno. Gorlice opustoszały i sprawiały przygnębiające wrażenie, emanując dziwną, niemal namacalną melancholią. Melancholią małych miast.

– Cześć, szefie – powiedział Chodkowski.

– Aspirancie. – Niemal wzruszyła się na dźwięk tego miłego głosu. Nie kontaktowali się z Karolem przez ostatnie dwa lata. Zakładała, że awansował; choćby i z automatu. Nie pomyliła się.

– Starszy – poprawił ją.

– Dwa stopnie w górę? Gratuluję!

– Nie ma czego. Wciąż tylko aspirant.

– Bystrzejszy od większości oficerów.

– To tylko twoje zdanie, szefie. Kiedy powrót?

Przełknęła ślinę.

– Za miesiąc. W połowie grudnia.

– Organizować orszak powitalny?

– Żeby się z tego pogrzebowy nie zrobił.

– Przenoszą cię?

– Zakładam, że wiesz więcej niż ja. Pewnie średnio się cieszyli, że zniknęłam na dwa lata – powiedziała Warwiłow, przerzucając na Chodkowskiego swoje lęki. Bo tak naprawdę nie wyobrażała sobie pracy poza Pragą-Północ.

– Plotek nie słyszałem, a roboty starczy dla wszystkich – odparł ze śmiechem. – Co porabiasz w ostatnim miesiącu laby, szefie?

– Jestem w Beskidzie Niskim.

– Piesze wycieczki, kominek, książka i takie tam?

– Prawie. Mógłbyś sprawdzić mi jedną osobę?

– Na kiedy?

– Na cito.

– Oficjalne dochodzenie?

– Powiedzmy. To znaczy sprawa jest oficjalna. Moja prośba mniej.

Po drugiej stronie zapadła nagła cisza.

– Szeffie... nie czułem się w porządku ze sposobem prowadzenia śledztwa w sprawie Setnika – oświadczył w końcu Chodkowski poważnym głosem i miała wrażenie, że sporo go to wyznanie kosztowało.

Wiedziała, że wtedy przesadziła. Nigdy nie przeprowadzili na ten temat rozmowy, a teraz dzwoniła sobie w najlepsze do starszego aspiranta, prosząc, by kolejny raz łamał dla niej regulamin. Mimo to była irracjonalnie zła, że Chodkowski się stawia.

– Karol... – zaczęła, jednak nie dał jej dojść do słowa.

– Twoje metody może i są skuteczne – ciągnął – ale to niekoniecznie są moje metody. Ostatnim razem nie powiedziałem na komendzie prawdy o tym, co dokładnie wydarzyło się nad Wisłą. Tak jak mnie prosiłaś. Ale jeśli wrócisz... przepraszam, kiedy wrócisz – poprawił się szybko – nie chcę już działać na takich zasadach.

Milczała, nie wiedząc, czy to już koniec reprimendy. I słusznie.

– Albo w ogóle bez zasad – dokończył starszy aspirant.

Dwa lata chyba Chodkowskiego zmieniły, nawet głos mu stwardniał, i miała ochotę go zobaczyć. Brzmiał tak, jak gdyby ostatecznie pozbył się młodzieńczego tłuszczu, fizycznie i mentalnie. Jak gdyby nie bał się teraz stawiać czoła prawdzie, choćby nawet kłuła w oczy.

Gdzieś tam na dnie słyszała jednak lojalność. To była flagowa cecha Chodkowskiego, tak zintegrowana z nim, jak intuicja z Niną Warwiłow. Czuła się podle, bo zamierzała teraz to wykorzystać.

– Racja – przyznała. – Przesadziłam. Miałam swoje powody, ale to nie było w porządku.

– Okej.

– To, o co cię proszę teraz, dotyczy ważnej dla mnie sprawy. Inaczej nie prosiłabym o pomoc.

– Dobra – powiedział. – Czego ci trzeba?

Szmer w tle ucichł; Chodkowski musiał wyjść na zewnątrz. Wizualizowała sobie, jak przechadza się po parkingu, który był jej drugim domem. Za dziecka czekała tam w samochodzie na ojca, kiedy nie miał jej z kim zostawić, a nie mogła pętać się po komendzie. A za dorosłości spędziła na tym parkingu pewnie z rok życia na papierosie.

– Ada Wańczyk – odparła. – Albo Adrianna, nie wiem, jakie jest pełne imię. Rok urodzenia chyba siedemdziesiąty siódmy. Gorlice albo okoliczne miejscowości. Zamieszkała w Bukowcach, powiat gorlicki, małopolskie.

– Wystarczy? Nazwisko nie wydaje się superrzadkie. Peselu nie znasz?

– W tej wsi jest pięć domów. Znajdziesz.

Rozłączyła się. Może gorlicki dziennikarz, który prowadził temat wypadku, okazał się na tyle dociekliwy, że sprawdził, co stało się później z Adą Wańczyk. A może nigdy się tego nie dowie, bo nie uśmiechała jej się ponowna wizyta w bibliotece. Czuła, że w drzwiach powitałby ją wściekły Karpiuk.

Gorlic wystarczyło jej na jeden dzień. Jechała teraz toyotą przez te wszystkie zapadłe wioseczki, wyobrażając sobie, jak codziennie wracała tędy z pracy Joanna. Warwiłow zastanawiała się, czy i ona mogłaby tak zmienić swoje życie. Góry były piękne, a powietrze czyste, ale czy zniosłaby tutejszą mentalność? Zrosła się z warszawskim chamstwem. Nie była pewna, czy może to w sobie jeszcze zmienić. Jak przystało na prażankę, kolczaście reagowała na te wszystkie uprzejmości i zdrobnienia, którymi do tej pory ją tutaj traktowano.

Wspinając się śliskimi warnickimi serpentynami, miała wrażenie, że jej życie się kończy, że zmierza donikąd. Strome wąwozy po bokach drogi i ostre zakręty – chwila nieuwagi i mogło się tak stać. Wrogi, ciemny las jak paszcza potwora czyhał, żeby wykorzystać jej błąd na zboczu najwyższej góry w okolicy. A nawet na zimowych oponach kupiona z entej ręki corolla nie była najbezpieczniejszym autem.

Warwiłow pomyślała o Mili – przecież miała do kogo wracać, ktoś jej potrzebował bardziej niż zapijaczony Aleksander

Siergiejewicz w swojej melinie na Białostockiej. A ze śledztwa w sprawie Joanny wreszcie wystawały jakieś nitki, za które mogła pociągnąć. Choć były to nitki w dziwnym kolorze.

Zmierzchało, kiedy dojechała do Bukowców. Rafał, ubrany w robocze spodnie, naprawiał płot.

– Śnieg go uszkodził. Korzystam z ostatnich światła – rzucił, kiedy uchylła szybę.

Zaparkowała i podeszła bliżej.

– A więc policjantka? – uśmiechnął się. – Nie powiem, pasuje ci. Masz tę charyzmę kobiety w mundurze.

– Och, daj mi spokój. Jestem tutaj prywatnie.

– Nie bądź taka skromna. Wkurzyłaś samego Karpiuka. Nie wmawiaj nam teraz, że jesteś typową miejską paniusią.

– Bo nie jestem.

– Ja takich nigdy nie lubiłem. – Spojrzał jej prosto w oczy.

Nie podobał się jej kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Rafał zachował młodzieńczy wygląd i luz. Ale czy to z automatu czyniło go miejscowym casanovą? Szczególnie kiedy miał tak uroczą żonę? Wolała zmienić klimat.

– Wojtek opowiedział mi historię wsi... to znaczy jej część.

– O! Rozmowny.

– Był w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Dla niektórych nigdy takiego nie ma. Wbrew pozorom cieszy się uznaniem, szczególnie w środowiskach artystycznych. Przyjeżdżają tutaj niczym do czcigodnego ze szczytu góry. Zdziwiłabyś się, jakie studentki sztuk pięknych przeganiał. Z płaczem do nas przybiegały.

– Pojawiłam się w dobrym momencie. Właśnie skończył rzeźbę. Zwiedzałam jego pracownię...

– O! Robi się jeszcze ciekawiej. Tam to nawet mnie nie wpuścił. Strzeżona bardziej niż Fort Knox. Kości znalazłaś? – zapytał.

– Kilka. Ale za stare na Joannę.

Rafał zreflektował się.

– Sorry – powiedział. – Ale ja myślę, że ona się znajdzie. Te zwłoki w lesie wczoraj... To nie Joanna?

Mimo wszystko była zaskoczona: przecież sekcja odbyła się



kilka godzin temu. Kto wygadał? Wartoń? Lekarz? Komendant?  
A może sam Karpiuk?

– To nie ona – potwierdziła.

– Sama widzisz. Może jakiś zagubiony wojak.

– Czemu?

– Cmentarzy nie zauważyłaś?

Rzeczywiście, w Gorlicach i po drodze z miasta było ich wyjątkowo dużo.

– Wojenne – dorzucił Rafał. – Tutaj rozegrała się jedna z największych bitew I wojny światowej. Dwieście tysięcy zabitych i rannych.

– Ile?

– Dobrze słyszałaś. W dziesięć dni.

– To przekracza moją wyobraźnię.

– Rozumiem.

– W każdym razie zwłoki nie są aż tak stare – zauważyła.

Zamilkli. Zamyśliła się na chwilę. Jak kiedyś traktowano ludzkie życie?

– Wojtek wspomniał o dwóch rodzinach, akcji „Wisła”, powrocie do Bukowców... – podrzuciła.

– Zaciekawiona? – Spojrzał na nią bystro. – Teraz, kiedy wiem, czym się zajmujesz, boję się, co może być później użyte przeciwko mnie.

– Daj mi spokój. Wojtek nie wiedział, jak kupiłeś swoją ziemię.

Rafał wzruszył ramionami.

– Sprzedał, kupił. Co tu dużo gadać.

– W Bukowcach przez dziesięciolecia żyły dwie rodziny łemkowskie, a teraz jest pięć gospodarstw. Ponoć Styczkowie nie cierpią wszystkich pozostałych.

– No, nie wszystkich. Drybaczkę kochają. Zresztą stary Styczko był inny.

– To znaczy?

– On nie pochodził stąd i w nosie miał tutejszą enklawę. A z łemkowskiej kultury najbardziej interesowała go kropka.

– Co to?

– Eter dietylowy.

– Co z tym robią?

– Chleją.

– Eter?

– Tak. I nie tylko piją – zaśmiał się Rafał. – Co poniektórzy starsi wierzą, że kropka jest dobra na wszelkie schorzenia. Smarują się tym i Bóg wie co jeszcze. W smaku paskudna, jeden kieliszek odbija się przez kilka godzin. To właśnie Romek Styczko zaznajomił mnie z kropką i to jemu zawdzięczam najpodlejsze kace.

Warwiłow milczała. Coś jej podpowiadało, że Rafał się rozgada. Znowu wyczuwała delikatny zapaszek alkoholu. W tym samym, choć mocniejszym aromacie się wychowała. „W zasadzie – pomyślała – zapach spirytusu otaczał gospodarza zawsze”.

– Najpierw poznałem Romka – ciągnął Rafał. – Rozbijaliśmy się tutaj na dziko; nie wiedzieliśmy, że to czyjaś ziemia. A może mieliśmy to gdzieś. W każdym razie Styczko nas uświadomił. Patrzymy, przyłazi jakiś chłop z psem, opiera się na kiju i mówi: „Na moim śpicie”. Ale nie wygonił. Dziewczyny go udobruchały, wiele nie było trzeba. Widać, że chłopina lubił towarzystwo.

– A jego żona?

– Z miejsca nas znieubiła. Na szczęście mało co gada.

– Widziałam ją, dość niepokojąca.

– Tak, choć łatwo też nie miała. I nie ma dalej. A pewnego pięknego dnia siedzieliśmy tutaj z Romkiem i rozmowa zeszała na tematy ziemi.

Rafał wyraźnie się zawahał.

– Co było dalej?

– Romek tylko na to czyhał. Ubiliśmy interes – odparł.

– Co na to Halina Styczko? Ta ziemia nie należała do jej rodziców?

– Należała. Może jakoś to uzgodnili.

Gospodarz pochylił się i zaczął grzebać w skrzynce z narzędziami. Wyjął gwóźdź, zamachnął się i wbił go w nową sztchetę jednym precyzyjnym uderzeniem.

– A może nie uzgodnili – kontynuował – bo kiedy Romek dostał ode mnie pieniądze za ziemię, poszedł w tango. To znaczy

głównie w Odwieży i Wyszyńcu, ale i w Gorlicach potrafił zatańczyć.

– A syn?

– Władka wzięli wcześniej do wojska i kiedy wyszedł, Romkowi się zmarło. Zapił się na śmierć. Jak ja na te pieniądze w Norwegii zapierdalałem! Tyłki podcierałem starym ludziom. Norweskie tyłki zabiły człowieka w Bukowcach – zaśmiał się Rafał. – Dziwny jest ten świat. W każdym razie Romek zdążył przepić wszystko. No i wtedy się zaczęło. Przyszedł do mnie jego syn, żebyśmy oddali ziemię. Że tata nielegalnie sprzedał. Ja mu pokazuję akt notarialny. Władek nie rozumiał, wściekł się. Krzyczał, że to oszustwo.

– A było?

– Nie, legalna transakcja.

– Czyli i Romek, i Halina stawili się u notariusza?

– Nie pamiętam – rzucił Rafał. Zdawało jej się, że uciekł spojrzeniem; sięgnął po kolejny gwóźdź i równie sprawnie wbił go w deseczkę.

– Jeśli mieli wspólność majątkową – kontynuowała Warwiłow – a pewnie mieli, to obydwójce powinni tam być.

– Nina, to wydarzyło się dawno temu. Kupiłem tę ziemię za własnoręcznie zarobione miedziaki. Sam zbudowałem Korę. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co działo się dalej: Styczkowie, to jest Władek z matką, usiłowali coś z tym zrobić, chociaż sprzedaż została uczciwie przeprowadzona.

Przyjrzała się mężczyźnie. Odniosła wrażenie, że nie gada z nią, tylko z przeszłością. I tę przeszłość usiłuje do czegoś przekonać.

– Mieli adwokata?

– Dlaczego? Skończyło się zresztą tak, że coś im jeszcze dorzuciłem.

– Ile zapłaciłeś za tę ziemię? – zapytała.

– To moja sprawa. Zresztą, już nawet dobrze nie pamiętam.

Rozejrzała się. W latach dziewięćdziesiątych to musiało kosztować grosze. Jak wszystko zresztą, do dekady po upadku komuny. Komu przyszłoby do głowy kupować tu ziemię? Musiała pójść po minimalnych urzędowych stawkach. Szkoda, że sama

wtedy nie miała pieniędzy, w latach dziewięćdziesiątych dopiero osiągała pełnoletniość. Rodzice niektórych jej znajomych kupowali nieruchomości; inni się z nich śmiali. A teraz dzieci tych przedsiębiorczych nie musiały pracować. Oczywiście na Aleksandra Siergiejewicza nie mogła wtedy liczyć; wywalili go ze służby tuż po upadku komuny.

– Szczerze mówiąc, Nina, to nie wiem, czy te pieniądze do Haliny miały w ogóle szansę dotrzeć – powiedział Rafał. – Syn utracjusz jak stary, różnica tylko taka, że z ojca był uroczy facet, a Władka naprawdę trudno polubić. Przyłąził tutaj później, zaczepiał dziewczyny, które z nami przyjechały. Bały się go. Policja nie uwzględniła doniesienia, w końcu żeśmy sami go pogonili.

– A Styczkowa?

Wzruszył ramionami, a potem wbił ostatni gwóźdź w sztachetę, która zajęła należne sobie miejsce w płocie, różniąc się od współtowarzystek niewoli tylko barwą.

– I przedtem niewiele gadała, a po tym słowem przestała się do nas odzywać – zauważył. – Zresztą powinna być Romkowi wdzięczna. To on ją w końcu tutaj przywiózł.

– Poczekaj – powiedziała. – Wojtek mówił, że Maria Styczko jest stąd.

– Tak.

– I że Hawryszowie wrócili po akcji „Wisła”.

Rafał wyszczerzył zęby.

– Jak tylko powiedziałaś, że o tym rozmawialiście, byłem przekonany, że Wojto coś poplątał – rzucił.

– Nie rozumiem.

– To Drybacy zostali stąd wywiezieni w ramach akcji „Wisła”. A jeszcze przed nią, już od czterdziestego piątego przesiedlali Łemków. I nie do Polski.

– Na Ukrainę – wtrąciła.

– Brawo, Nina. I wiesz co? Stamtąd raczej się nie wracało.

– To jak...

Rafał westchnął.

– Po kolei. Między czterdziestym piątym a czterdziestym

szóstym wysiedlono część tutejszych Łemków. Hawryszowie mieli życie przed sobą. Musieli być dość młodzi, skoro Halina jest z trzydziestego dziewiątego. Wyjechali dobrowolnie.

– Można tak było?

– Tak, chociaż potem już nikt nie chciał i stosowano przymus. Drybakom jakoś się udało i przetrwali przesiedlenia. Które zresztą, z perspektywy czasu, nie okazały się w pełni skuteczne.

– Dlaczego?

– Sporo ludzi zostało na miejscu. I rzadko bo rzadko, ale Łemkowie wracali z Ukrainy z polskimi transportami, podając się za Polaków. Tak więc w czterdziestym siódmym przeprowadzono akcję „Wisła”. Oficjalnie przeciwko Ukraińskiej Armii Powstańczej, ponoć działającej na tym terenie, a w praktyce, żeby zakończyć czystkę etniczną. I Drybaków też wtedy wysiedlono.

– Na Ziemię Odzyskaną.

– Tak.

– A Hawryszowie?

– Wciąż siedzieli na Ukrainie. W Mikołajewie albo Ługańsku. Tam, gdzie przeniesiono Łemków.

– To jak wrócili?

– Nie wrócili – odparł.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– A Maria...

– Tak, Maria wróciła.

– Kiedy?

– Po kilku latach.

– I co?

– Musiała odzyskać ziemię w imieniu rodziców. – Rafał wzruszył ramionami. – Ale nie wróciła jako Maria Hawrysz.

Miała taką minę, że musiał się roześmiać.

– Tak, dobrze myślisz. Wróciła jako Maria Styczko.

– Jakim cudem?

– Wyszła za mąż, oczywiście.

– Romek był Ukraińcem?

– Nie, Polakiem. Jako młody chłopak pojechał pracować do

Borysławia na Ukrainę. Sporo gorliczan tam pojechało. A wiesz dlaczego?

– Nie.

– Zagadka tkwi dokładnie tutaj! – Rafał energicznie wbił wolną sztachetę w ziemię. Wystrzeliła z niej kupka błota i opadła gospodarzowi na czubek kalosza.

– Rolnik? – zapytała z niedowierzaniem.

– Jaki rolnik! Nafciarz! Nawet my na niej siedzimy, jak i cała okolica. Różdżkarza tu sprowadzaliśmy, pięć razy wskazywał, gdzie kopać studnię. Wszędzie była ropa.

– Czyli tam się poznali?

– Dokładnie tak. Gorlice eksportowały nafciarską siłę roboczą. Tu są silne tradycje nafciarskie. O Łukasiewiczu nie słyszałaś? Tylko się nie przypuczuj w okolicy, poczytaj coś.

– Czytałam – burknęła.

– Dobrze, bo urazisz lokalną dumę. Tak w ogóle to pobudza wyobraźnię, co nie, Nina? Młody polski robotnik i piękna Łemkini. A może po prostu się dogadali, małżeństwo z rozsądku? W każdym razie właśnie dzięki temu Maria Styczko mogła wrócić do Polski. Bo nie wróciła jako Łemkini, tylko jako Polka, żona Polaka. I z tego, co wiem, innego wyjścia nie miała.

– Czy on... po powrocie dalej pracował przy wydobywaniu ropy?

– Nie sądzę. Sama widzisz, dostała mu się ziemia, a żona miała wobec niego dożywotni dług wdzięczności. Nie, Romeczek to chyba nie lubił się przemęczać, zakatował tę swoją kobitę pracą, syna nauczył tego samego i aż dziw, że ona jeszcze żyje. Ale wiem od Władka, że o wszystko i tak obwiniała Wańczyków.

Zelektryzowało ją to nazwisko.

– Wańczyków? Czemu? – zapytała.

– Weź pod uwagę, że to wiejskie legendy, bo ja tej rodziny nie poznałem. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Bukowców, Wańczykowie należeli już do historii. Według Styczkowej to oni sprowadzili obcych do wsi. Nie dość, że Polacy, to jeszcze byli otwarci na świat: tłumy hippisów przewalały się przez ich ziemię. Pozwalali u siebie obozować wycieczkom górskim i rajdom. Przyjmowali letników. W zasadzie byli pionierami

agroturystyki i przetarli nam szlaki.

– Wciąż nie rozumiem...

– Dla Styczkowej my, kolejna fala przyjezdnych, to już takie popłuczyny byliśmy – odparł Rafał, wyciągając kolejny gwóźdź z pojemnika. – Władek opowiada, że matka wciąż nienawidzi Wańczyków i wini ich za wszystko, nawet za to, co zrobił stary Styczko. Ona tę nienawiść z mlekiem matki wypła. Że źli Wańczykowie zabrali im ziemię, zabrali Bukowce.

– A Ada?

Gospodarz wyglądał na zaskoczonego. Zahaczył młotkiem o palec przy uderzeniu i zaklął soczyście.

– Przepraszam – rzucił. – Skąd o niej wiesz?

– Gdzieś słyszałam.

– Aha. No, nigdy nie poznałem tej dziewczyny. Zdaje się, że jej rodzice zmarli i została sama na gospodarstwie.

– Remontowała je?

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Pewnie było zniszczone – drążyła Warwiłow, niepewna, ile chce zdradzić.

– Nina...

– Czy mógł jej pomagać młody Karpiuk?

– Sorry, ale nie będę zgadywał – powiedział. – Dobra, starczy pracy na dziś. Po co robić na raz? Zmęczyłem się, a palce mogą mi się jeszcze przydać. – Zaczął chować narzędzia. A potem spojrzął na Warwiłow z rozbawieniem. – A jaka ty w ogóle zorientowana. Żaden tam z ciebie kundel. Rasowy pies!

Nie roześmiała się.

– No, pies, rozumiesz, policjant – dodał.

– Pojęłam za pierwszym razem.

– Nie masz dystansu do siebie? To bardzo pomaga w życiu... A skąd to wszystko wyniuchałaś o Karpiuku?

– Mary mi wspominała – odparła. – Że dlatego facet nie jeździ do Bukowców. Nienawidzi wsi z powodu wypadku syna.

– Ach tak? To chyba Mary wie lepiej od nas. Cóż, może tak było.

– Co się stało z tym synem?

– Pojęcia nie mam. Ale kiedy cię słucham... Kurczę, jest tu trzy

dni i zna bukowickie legendy lepiej ode mnie. – Zachichotał. – Niezłe z ciebie ziółko, Nina. A może wystarczy już tych pytań? Głodna nie jesteś? Ja niezmiernie. Aneta dzisiaj haluszki robi.

– Haluszki?

– Palce lizać. Takie kluseczki z ziemniaków z boczkiem. Słowacka potrawa, Aneta opanowała regionalną kuchnię do perfekcji.

Jej żołądek zareagował na tę informację entuzjastycznie, chociaż umysł się zaniepokoił; była pewna, że przybrała już ze dwa kilo na tłuszcziutkiej kuchni w Korze. Wspaniałej kuchni. Tłuszcz i cukier to najlepsze przewodniki smaku; tego prostego faktu nie mogła zmienić cała biblioteka książek o zdrowym odżywianiu. A tak się pilnowała przez całą ciążę. Nie chciała skończyć jako samotna, gruba matka. Niczym jej odległa kuzynka, która utyla w ciąży dwadzieścia pięć kilo, uznając, że wreszcie może obżerać się bezkarnie i do woli.

Szli w kierunku domu, resztki śniegu chrzęściły im pod butami. Robiło się już naprawdę mokro i zastanawiała się, czy jej buty przetrwają. Żałowała, że nie kupiła w Gorlicach kaloszy za pięćdziesiąt złotych. Aneta była od niej większa, pewnie i buty miała zbyt duże na Ninę, gdyby chciała je pożyczyć. Odpłynęła myślami, kiedy nagle przypomniała sobie, o co jeszcze chciała zapytać Rafała.

– A Wojtek?

– Słucham?

– Jak Wojtek tu trafił? Ty mu sprzedałaś ziemię, prawda?

– Zgadza się.

– Jak to się stało? Skoro tak dbacie w Bukowcach, żeby was nie przeludniono?

Weszli już na taras. Rafał otworzył przed nią drzwi wejściowe.

– Musiałem wtedy dużo palić... papierosów oczywiście – rzucił.

– Znałeś go wcześniej?

– Skąd! Znalazł się u nas pewnego dnia, taki zawsze trochę z boku, ubrany jak włóczykij, ale gdy zaczynał z tobą rozmawiać, nie dało się go nie słuchać. Wygadałem, że została mi jeszcze jedna działka budowlana, a potem wylądowaliśmy u notariusza.



Tak wyszło. Ta jego działka jest naprawdę malutka, kilka arów. No i wiesz już teraz, skąd pięć domów. Na szczęście więcej ziemi w Bukowcach na sprzedaż nie ma, jakbyś się pytała. Chyba że nam Drybaczka umrze.

– Dlaczego? Podobno jest dość młoda.

– Ale mieszka samotnie, nikt nie wie, w jakich warunkach. Gości nie lubi. Szpitali pewnie się boi. Gdyby poważnie zachorowała... pewnie położyłaby się do łóżka, czekając na śmierć.

– Ktoś po niej dziedziczy?

– Naprawdę nie wiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby to byli Styczkowie; podobno spokrewnieni.

Haluszki faktycznie okazały się przepyszne i Warwiłow zjadł ich znacznie za dużo; mączne i tłuste przedwcześnie ją teraz usypiały.

Ostatkiem sił zadzwoniła jeszcze do Tomka, poprosiła Miłę do telefonu i posłuchała, jak mała kwili w słuchawkę. Poczowała napływ takiej tęsknoty, że aż ją zakłuło gdzieś w środku.

Tomek solidaryzował się z Maćkiem. I również nie był zachwycony przedłużeniem jej pobytu w górach, choć nie werbalizował tego tak wprost jak prokurator.

– Nie, bardzo się cieszymy, że mała u nas jest.

Nina nie znosiła, kiedy używał liczby mnogiej. Może gdzieś tam w głębi, mimo spadku zainteresowania ze strony Tomka i *vice versa*, mentalnie wciąż pozostawała z nim w związku. Ostatecznie trudno było wyrzucić do śmieci kilkanaście wspólnych lat zwieńczonych dzieckiem; co z tego, że niespodziewanym.

– Ale już porobiliśmy plany na ten weekend... Wyjechałaś tak nagle – dokończył Tomek.

– Gdzie jedziecie?

– Do SPA. Aga...

Agnieszka? Agata? Znów się nad tym zastanawiała.

– ...goni ostatkiem sił. Mnie też przyda się odpoczynek. Planowaliśmy to od miesiący.

– Tomek, ja...

– Więc widzisz, nie możemy dalej zajmować się małą, nawet gdybyś się na to zgodziła – wszedł jej ostro w słowo.

– Potrzeba mi jeszcze tylko kilku dni – oświadczyła trochę bezmyślnie, walcząc z przemożną sennością. Minęły już czasy, kiedy spory z Tomkiem rozpałały ją do czerwoności. Teraz odrobinę się nudziła, choć oczywiście problem Mili sam się nie rozwiązywał.

– Kilku? – westchnął. – Jest już czwartek.

– Jutro nie mogę wrócić.

– Przepraszam, Nina, za to pytanie, ale pozwolili ci w ogóle działać?

– Jakoś sobie radzę.

– Jesteś tam obca... – kontynuowała, jakby nie pojęła jego poprzedniej uwagi. Ostatnio wszyscy faceci brali ją za kretynkę. A może to siebie uważali za geniuszy?

– Tomek – ucięła podirytowana. – Nie dam rady do jutra wrócić. To ważne, wierz mi, nie zostawiałabym Mili tak bez powodu.

– No to mamy kłopot.

Cisza. Dlaczego musiał robić jej problemy? Do tej pory rzadko prosiła go o pomoc przy małej.

– A moi rodzice? – wycisnął z siebie w końcu.

Stosunek Kapińskich do wnuczki pozostał niejasny, lekko zdystansowany, ironiczny wręcz, jakby w ten sposób mogli udawać, że mała się nie urodziła. Nigdy nie przepadali za Niną, dla nich dziewczyną z nizin społecznych. Sami uważali się za arystokratów, pomimo skrzętnie ukrywanego faktu, że w poprzednim pokoleniu zmienili się z wareckich „Kopci” w warszawskich „Kapińskich”. A kiedy Tomek wciągnął Milę do swojego życia, kilka razy przyjechali obejrzyć dziecko, traktując jej córkę jak towar na półce. To jedna z przyczyn, przez które była na nie.

– Wolałabym zostawić Milę u mojego ojca – oznajmiła.

– Przestań – rzucił. – Nawet tak nie mów.

– Po prostu dbam o jej zdrowie psychiczne. Piętnaście minut z twoją matką i po sprawie. Nieodwracalne straty.

Jedną z zalet ich obecnego układu stanowiła możliwość powiedzenia tego, co się myśli o „teściach”. Wiedziała, że to trochę podłe, bo Tomek nie mógł rzucić słuchawką. Nie wykorzystywała tego zbyt często. Tylko że to nie ona zaczęła, a poza tym po kilkunastu latach traktowania ją przez „teściową” *per noga* mogła w końcu powiedzieć prawdę o „mamusiu”.

Bo też i Tomek miał dziwne relacje z matką. Niemal w stu procentach zgadzał się z osądem Niny, a mimo to co tydzień jeździł do mamy żalić się na świat, jak na kozetce

u psychoanalityka. Do którego też zresztą chodził głównie przez swoich rodziców. Ale czy Warwiłow była lepsza, jak w zegarku kursując na Białostocką do zapijaczanego Aleksandra Siergiejewicza?

– Och, przestań już – postawił się teraz Tomek. – Kilka razy mówili ostatnio o tym, że chcieliby mieć lepszy kontakt z małą.

– To fajnie. Aż mi łzy stanęły w oczach. A może kiedyś mogłabym uczestniczyć w takiej rozmowie? Czy przeprowadzicie operację za moimi plecami?

– Nina, daj spokój. Po co to? Chcesz się dogadać czy kłócić?

Przyznała mu rację, chociaż właściwie zaczynała się już dobrze bawić. To wyglądało na optymalne rozwiązanie: być z Maćkiem, kłócić się z Tomkiem. Szkoda, że tak jednoznacznie nikiemne.

– Dobra. Jeszcze jest Maciek – oznajmiła.

Zabawne, jak oboje unikali rozmowy o swoich nowych partnerach. Choć przecież Tomek dobrze Stassberga znał. Solidarnie czekali na Ninę w szpitalu, kiedy obydwu odmówiła porodu rodzinnego. A nawet kurtuazyjnie oferowali sobie wzajemnie kawę z automatu, o czym dowiedziała się z relacji Maćka. Ale potem jej eks chyba się obraził i zaczął udawać, że ten obecny nie istnieje. Nie *vice versa*, niestety: Stassberg był szalenie zazdrosny o Tomka, o jego biologiczną więź z Miłą.

– To obcy facet.

– Który spędza z małą kilkadziesiąt razy więcej czasu niż ojciec. Który wstaje do niej w nocy. Który był przy większej liczbie ważnych wydarzeń w życiu Mili niż ty – wypaliła jednym tchem i dopiero po fakcie uświadomiła sobie, że jej się zbierało.

Zapadła cisza, jakby Tomek odłożył słuchawkę.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytał w końcu.

– Normalnie. Jutro Maciek po nią przyjedzie.

– Jako tata Mili... – zaczął, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Jako matka mam do niego więcej zaufania niż do ciebie – oświadczyła, rozbudzona już na dobre, ale i zniecierpliwiona. Czasem wydawało jej się, że mężczyźni są tylko od robienia problemów. – I co ty na to?

Czuła, że Tomek zaraz skapituluje. W zasadzie od początku

znajdował się na przegranej pozycji.

– Nie powinnaś tak mówić – powiedział.

– Nie słuchasz mnie? Maciek lepiej wie, jak odżywiać małą niż ja. O przewijaniu i usypianiu nie wspominając, tu w ogóle nie ma konkurencji. – Zapaliła się już na dobre. Sama nie rozumiała, czemu tak reklamuje partnera. Nie mogła przestać.

– A fotelik?

– Wszystko ma. Zadzwoń do niego zaraz, potem się skontaktujecie. – Podyktowała Tomkowi numer Stassberga i nasłuchiwała, czy na pewno zapisuje na kartce. – Poza tym on będzie superzadowolony. Tak jak my wszyscy.

Jednak rozłączając się, wcale nie miała takiej pewności. Nie po ostatniej rozmowie z Maćkiem. Może okazała się zwykłą egoistką, zrzucając obowiązki na prokuratora.

Wbrew obietnicy danej Tomkowi nie zadzwoniła od razu.

Skuliła się w wygodnym fotelu w kłębek, wgapiała w ogień za szklaną szybą, zamknęła oczy. Senność sprzed rozmowy powróciła; przyjemnie zakręciło jej się w głowie i zaczęła drzemać, co bardzo rzadko się zdarzało, nawet w okresie, kiedy Mila zrywała ją w nocy jak budzik. Już zaczynała śnić. Pod powiekami znowu pojawiły się rzeźby Wojtka, kiedy usłyszała dzwonek telefonu.

Odebrała Aneta, pewnie sprzątała właśnie ze stołu. Gospodyni była jedną z tych osób, które przez telefon brzmią sztucznie słodko. Po chwili wybuchła perlistym śmiechem, przeplatany krótkimi komentarzami: „Krakówek”, „do kiedy”, „przystojny”, „FBI, serio?”.

Senność już opadła z Warwiłow. Usłyszała cięższy krok: do pokoju musiał wejść Rafał. Aneta gadała jeszcze przez chwilę, po czym rozłączyła się.

– Nie uwierzysz – rzuciła do męża. – Przyjechał oddział policji z Krakowa. Śpią dzisiaj w Dumasie. Jutro mają przyjechać do Bukowców.

– Na noc? Nie jesteśmy przygotowani!

– Nie, tak tylko.

– Ale... po co?

– No w sprawie tego trupa, kochanie. Anka Łopuch mówi, że niesamowici. Jeden ponoć taki otwarty i sympatyczny. I wiesz... że z FBI!

– FBI? Co ona ćpa? – zaśmiał się głośno Rafał. – Że co, CSI Gorlice?

– Tylko powtarzam jej słowa. – Aneta wydawała się urażona.

– Przecież to nie do ciebie, trąbko. Łopuchowa głupoty gada.

– Całe Gorlice już o tym mówią.

– Ciekawe, co na to Karpiuk.

– Przejmą śledztwo?

– A skąd ja mam wiedzieć? – rzucił Rafał. – Jednak szkoda, że nie zatrzymają się u nas. Burdelu nie narobią, a zawsze klienci. Poza tym w zasadzie moglibyśmy wtedy zmienić nazwę na „pensjonat policyjny”...

– Oj, przestań – syknęła Aneta. – Ona gdzieś tu przecież może być. Nie wróciła do pokoju.

Warwiłow irracjonalnie skuliła się w fotelu, czując się teraz jak oszustka.

– Nina to twarda sztuka, już ty się nie bój, że urazisz jej uczucia – odparł Rafał.

Głosy powoli cichły, a potem usłyszała dźwięk zamykanych drzwi do kuchni, i po chwili jeszcze jednych, frontowych. Pewnie gospodarz poszedł nakarmić zwierzęta.

Zamyśliła się. W przeciwieństwie do niego wierzyła w historię o FBI. Tak to się nawet nazywało: „Szkolenia FBI”. Jak sama nazwa wskazywała, gościnnie prowadzili je dla policji amerykańscy federalni. Następnie, kaskadowo, Polacy nauczali Polaków.

Sama się na szkolenia nie załapała, czego żałowała do dziś. Bo wszyscy powtarzali o nich jedno: świetnie uczyły metod wydobywania informacji.

Tego samego popołudnia Karpiuk miał ochotę sobie golnąć. Przez ponad ćwierć wieku zdarzyło mu się to kilka razy i do tej pory opierał się pokusie, ale teraz czuł się po prostu stary. Stary, słaby i zwolniony z odpowiedzialności za swoje zdrowie.

Zatrzymał terenowego qashqai i zaparkował na błotnistym placyku naprzeciwko sądu. W suterenie budynku mieściła się restauracja Radcowska, zszedł do niej po schodkach. Za dnia restaurację, w której podawali świetnego dorsza w ostrym sosie, odwiedzali pracownicy sądu, urzędów, a nawet policjanci. Po pracy jednak ci ostatni preferowali bar Jędrus, oferujący coś głębszego.

Lecz w Radcowskiej również można było się napić. Usiadł w samym rogu w drugiej sali. Od pół godziny zamiast w kieliszek wpatrywał się w zużytą torebkę liptona, pływającą w szklance z żelazną oprawką. Takich samych używało się u niego w domu rodzinnym, w Szymbarku, siedem kilometrów od Gorlic w stronę Grybowa.

W Gorlicach spędził swoje lata szkolne. Do tutejszej podstawówki dowoziła go matka, sprzedawczyni w spożywczaku na Zawodziu. Autobusem, bo samochodu już wtedy nie mieli. Ojciec, jak połowa rodziny Karpiuka, był pijakiem, w przerwach naprawiającym samochody, i wylogował się z życia, kiedy syn latał jeszcze z kluczem na szyi. Matka z pewnością nie rozpaczała, ale od tego momentu byli niezmotoryzowani – bo główną, jeśli nie jedyną zaletę ojca stanowiło naprawianie ich starszawego wartburga.

A potem, od piątej klasy podstawówki i przez cały ogólniak, Karpiuk dojeżdżał już sam. Trzymał się z chłopakami z Gorlic, nie z Szymbarku, tutaj codziennie grał w piłkę na betonie i startował we wszystkich możliwych konkursach. Był prymusem, choć poszedł do szkoły rok wcześniej – tylko dlatego, że matka nie miała go z kim zostawiać.

W Gorlicach zakochał się w Eli.

W Gorlicach, na rynku, dostał pierwszy łomot, ale i sam wyprowadził nokautujący cios, w sylwestra siedemdziesiątego siódmego w starciu z chłopakami z Biecza. Ten drugi trząśnięcie się potem, leżąc na ziemi, i Karpiuk przeraził się nie na żarty.

– Daj spokój – powiedział brat kolegi, student pierwszego roku medycyny w Krakowie. – Nic mu nie będzie.

Kolejny tydzień Karpiuk chodził struty, codziennie czekał na informację, że poszukują sprawcy zbrodni. Nic nie wskazywało jednak na to, że przyszły lekarz się pomylił.

W Gorlicach i okolicznych wsiach mieszkali wszyscy przodkowie Karpiuka, do osiemnastego roku życia nigdy nie był w większym mieście, ba, nigdy nawet nie opuścił Beskidu Niskiego. W 1978 jako pierwszy reprezentant swojej rodziny miał pójść na studia. Dostał się na prawo, pobierał rentę po ojcu, matka obiecała się dorzucać, no i jeszcze mógł przecież dorabiać. Wierzył w siebie.

Krewni ze Stanów wysłali mu pieniądze na bilet. O paszport nie było wtedy łatwo, ale w Gorlicach wiele dało się załatwić; rzutem na taśmę, jak się okazało, bo w latach osiemdziesiątych spanikowane władze skróciły smycz, na której trzymały naród.

Kuzyni mieszkali w Buffalo, stamtąd Karpiuk pojechał też do samego Nowego Jorku. Przechadzał się wieczorami po zaskakująco zaśmieconych ulicach Manhattanu w słodkim aromacie prażonych orzeszków sprzedawanych przez czarnych. Patrzył w górę, na wierzchołki starych i nowszych wieżowców, wyraźnie zmęczonych już i pokrytych brudem, ale zdradzających śmiałość zamierzeń, ambicji ich twórców, skalę ludzkich możliwości. Wtedy, wieczorem, na ulicy biegnącej wzdłuż Central Parku (może na Piątej Alei? Karpiuk nie mógł sobie przypomnieć) własny potencjał wydał mu się bez granic. Szybował ku górze, jak te budynki, i wpadł z tego powodu w euforię.

Kilkanaście dni później wrócił do Polski. Celnik na lotnisku wyglądał na zdziwionego: po kiego młody chłopak wraca do takiego gówna? I rzeczywiście, krewni sugerowali, żeby został.



Amerykański urząd imigracyjny mógł mieć inne zdanie. Istniał jednak poważniejszy powód, dla którego Karpiuk wrócił.

Dopiero kilka godzin później, już na dworcu w Gorlicach, kiedy przycisnął usta do zimnego policzka Eli i zaczęły rozmawiać, dowiedział się, jak bardzo miał do kogo wracać.

Ela spodziewała się dziecka.

Na studia tego roku nie poszedł. Ogromnym wysiłkiem i poświęceniem żony skończył je dziesięć lat później i w wieku dwudziestu ośmiu lat wstąpił do policji. Między innymi dlatego był jednym z najstarszych funkcjonariuszy w Gorlicach, ale bez studiów nie mógłby zostać nadkomisarzem, a może i naczelnikiem wydziału kryminalnego. Nie byłyby tą wersją Michała Karpiuka.

W roku 2014, trzydzieści sześć lat po jego powrocie ze Stanów, skala gorlickich budynków i ulic nadal drażniła i przypominała o niewykorzystanych szansach. Rozejrzał się po przestronnej sali o niskim suficie. Radcowska, nawet pustawa, nie zapewniała mu anonimowości. Znali go tu wszyscy kelnerzy i co drugi z deficytowych klientów. Gdyby chciał się upodlić, równie dobrze mógłby wyjąć flaszkę na rynku; lepiej już było obalić siwuchę w kulturalnych warunkach restauracji. Poza tym skończył już pracę na dziś i ryzykował jedynie plotki i znaczące spojrzenia.

Nadkomisarz zamówił jednak herbatę. Sama myśl o tym, że *może* to zrobić, że *może* się napić, uspokajała go, powstrzymując przed skorzystaniem z lokalnego wyboru wódek.

W restauracji, jak zwykle popołudniami, panowała cisza. Dlatego odgłos obcasów na posadzce odbijał się głębokim echem. Karpiuk nie odwrócił się, wiedząc, kto nadchodzi. Tak jak rozpoznaje się chód człowieka, z którym dużo się przebywa.

– Można? – zapytała Wartoń. Korzystając z cieplejszych dni, miała na sobie bawełnianą kurtkę i szalik.

– Siadaj. – Z pewnym trudem odsunął dla niej krzesło.

– Szaleje pan – zauważyła.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że aspirantka odnosi się do herbaty. I że nie upił ani łyka.

– Nie zauważyłem. – Z miną winowajcy dotknął zimnej już

szklanki.

– Poprosimy o nową – powiedziała Wartoń. – Dwie.

Zamówiła je przy barze, u kelnera, który zawsze wyglądał, jakby właśnie wrócił z pogrzebu ojca. Siedzieli chwilę w milczeniu. Wartoń nie zdjęła kurtki; w restauracji było dziś zimniej niż na zewnątrz.

– Nie jesteś głodna, Kaśka? Tu dobrze karmią – zauważył Karpiuk.

– W domu czeka na mnie obiad.

Wiedział, że aspirantka ma dom trzy-, jak nie czteropokoleniowy. Na pewno mieszkali w nim matka Wartoń i jej córka. Same baby; podwładna wspomniała, że jej ojciec dał dyla z domu.

Co takiego łączyło Wartońki, że odstraszały mężczyzn? Na oko z aspirantką wszystko było w najlepszym porządku. Pracowita, odpowiedzialna i raczej bystra. Empatyczna. Zdyscyplinowana, ale mająca swoje zdanie. Jak jej matka, którą znał z dawnych lat. Kiedyś szefowa księgowych w Gliniku, teraz prowadząca niezależną firmę, atrakcyjna i zadbana kobieta po pięćdziesiątce. Bardzo samotna.

– Skoro tak, to czemu tu przyszłaś? – zapytał.

– Liczyłam, że pana zastanę.

– Co się dzieje?

– Właśnie. Na sekcji nie wydawał się pan w najlepszej formie.

– Po prostu stary – podsunął.

– Nie, nie jest pan stary i nie wygląda na takiego. Chodziło o te zwłoki, prawda?

Karpiuk wzruszył ramionami.

– Te zwłoki, tamte zwłoki – odparł.

Kelner przyniósł herbatę; Karpiuk obserwował chwilę świeżą torebkę. Rozpuszczała się w gorącej wodzie, powoli oddając jej swoją treść, żeby nieuchronnie zmienić się w „szczura”. Tak jak w życiu, zawsze ktoś z kogoś czerpie, na kimś pasożytuje, kogoś wykańcza. Czy Ela była jego pasożytem? A może na odwrót?

Kelner czekał cierpliwie na dalsze zamówienie. Do Radcowskiej przychodziło się na obiady, a jeśli ktoś chciał łyknąć kawy lub

herbaty, Gorlice oferowały bardziej wystawne miejsca.

– Na razie dziękujemy – powiedziała Wartoń i mężczyzna odszedł. – Za każdym razem pan się tego boi, prawda? – zapytała szefa.

Milczał.

– Że to będzie on? – kontynuowała. – Że zmarły okaże się pana synem?

Nie powinien się dziwić: to był jeden z kryminalnych klasyków Gorlic. Żałował czasem, że nie wytuszczał sprawy bardziej. Lecz znajdował się w takim stanie, że ledwo dbał o siebie, a miał jeszcze Elę, która z dnia na dzień łamała się jak zapalka.

– Kaśka...

– Czy pan ma z kim o tym wszystkim pogadać?

Zastygł, unikając jej spojrzenia. Aspirantka przekraczała właśnie Rubikon w ich wzajemnych relacjach. Wiedziała to równie dobrze jak on.

– Nie – odparł krótko i zgodnie z prawdą.

Poruszyła ręką, jakby chciała chwycić jego dłoń; ale dotknęła tylko czubka szklanki. Przez chwilę pożałował, że nie posunęła się dalej.

– No to teraz już pan ma – oznajmiła.

– Nie wiem, co słyszałaś – zaczął.

– Że uciekł. Pana syn.

Pokiwał głową.

– No, można tak powiedzieć. Tak, Kaśka. – Karpiuk ukrył twarz w dłoniach. – „Uciekł” to chyba najlepsze słowo. Chciał zniknąć.

Wartoń milczała, wpatrując się w niego uważnie.

– Wiesz, co mi powtarzał, kiedy jeszcze z nami gadał? – odezwał się po dłuższej przerwie. – „Tato, chciałbym rozplątać się w powietrzu, tak aby wszyscy o mnie zapomnieli”. Tak mówił.

– To musiało być dla was ciężkie.

– Po wyjściu syna ze szpitala urządziliśmy skromne przyjęcie. Sądziliśmy, że Kubie pomoże, kiedy zobaczy, że nie ucieka się od niego z krzykiem. Zaprosiliśmy rodzinę, kilkoro przyjaciół, same pewne i życzliwe osoby. I to było ostatnie spotkanie.

– Co się wydarzyło?

– Nic. Nikt nie skomentował pólśłowem. A on miał koszmarnie pokiereszowaną twarz, dolną część poszatkowaną bliznami, nos połamany w trzech miejscach, uszkodzone oczodoły.

– Widziałam na zdjęciach, to był ładny chłopak.

– Może dlatego tak to przeżywał. Na przyjęciu uciekali od niego spojrzeniem. Widziałem, że na początku usiłował rozmawiać, uśmiechnąć się. Ale kiedy ujrzał ich reakcje... A my, naiwni – westchnął – sądziliśmy, że jakoś to pójdzie. Poszedł na górę i zamknął się w pokoju. I już tam został.

– Wtedy pan wrócił z Krakowa na stałe?

– Co miałem robić, Kaśka? Wypadek Kuby złamał Elę i każdego dnia traciłem ich obydwójce. Poprosiłem o przeniesienie. Tylko że on nie chciał już ze mną rozmawiać. Kiedy wracałem do domu, siedział u siebie. Musiał wychodzić po jedzenie; wiedziałem, że Kuba rozmawia trochę z Elą, ale mnie swojej twarzy już nie pokazywał. Jakby wstydził się nawet przed własnym ojcem.

– Może właśnie pana bał się najbardziej?

– On nie spowodował tego wypadku. Mimo tego, co sam zeznawał! – Karpiuk podniósł lekko głos, a po chwili dodał: – Przepraszam, Kaśka.

– Nie szkodzi.

Przez chwilę rozważał, czy zamilknąć. Ale Wartoń słuchała go i rzeczywiście czuł się trochę lepiej, kiedy mówił.

– Tygodniami go nie widziałem – wznowił opowieść. – Nastął rok szkolny, klasa maturalna, a on powiedział, że nie idzie i tyle. O odbyłem rozmowę z dyrektorem; nie powinniśmy Kuby zaciągać siłą, ale zrobiłbym to, gdyby nie Ela. Błagała na kolanach, żebym go zostawił. Żałuję, że jej posłuchałem – rzucił z goryczą. – 14 października po prostu wyważyłem drzwi...

Głos mu się lekko złamał i przez chwilę bał się, że wybuchnie płaczem. Zdarzało mu się to raz na kilka miesięcy, zawsze w domu, kiedy czuł się zmęczony życiem i bezsilny w opiece nad Elą. Dla bezpieczeństwa obrócił lekko głowę w stronę suterelowego okienka restauracji.

Nie chodziło o Wartoń, jej braku dyskrecji się nie obawiał. Płaczący policjant nie budził jednak niczyjego zaufania.

Nadkomisarz cieszył się zasłużoną opinią choleryka i starego satrapy. Niejedna głowa odwróciłaby się w kierunku płaczącego Michała Karpiuka. Miejsce wybrał jednak dobre, Radcowska jak co dzień świeciła pustkami.

Wartoń, skubana, powinna być policyjnym psychologiem. Wiedziała, jak się zachować. Milczała i taktownie nie wyjęła nawet chusteczki. Dobrze, bo przetrwał ten kryzys. Obydwoje udali, że nic się nie wydarzyło.

– Tam panował nieopisany bałagan – relacjonował dalej Karpiuk, bo już nie mógł tego zatrzymać i każde słowo przynosiło mu ulgę. – Żył jak zwierzę w naszym domu, pod moim dachem. Pił, wszędzie walały się puste puszkę po piwie. To Ela musiała mu przynosić. Byłem na niego wściekły i może powinienem wtedy go sprać. Kiedy jednak na niego spojrzałem i zobaczyłem tę poharataną twarz mojego chłopca... Już niemal zapomniałem, jak bardzo. On też to zobaczył. „Tato, proszę, wyjdź”, powiedział.

Milczał teraz długą chwilę. Bo tak naprawdę już nie pamiętał twarzy Kuby. Pamiętał tylko pokryte patyną czasu wrażenie.

– Wszedł pan?

– Tak – odparł. – I wciąż tego żałuję. Następnego dnia zniknął.

Wartoń milczała.

– Zostawił list. – Przełknął ślinę.

– Co w nim napisał?

– To był list samobójczy.

Usłyszał kroki, ale to tylko ponury kelner pojawił się na sali; widać tak zrozumiał poprzedni komunikat aspirantki. Nie patyczkując się zbyt długo, Karpiuk odegnął go machnięciem ręki.

– Nie będziemy nic więcej zamawiać – poinformowała za to uprzejmie Wartoń, na co mężczyzna oddalił się bez słowa. W smutnych oczach nie było widać urazy, tak jakby chamski gest Karpiuka tylko potwierdził jego mroczną percepcję rzeczywistości.

– Cztery zdania – powiedział nadkomisarz, kiedy tamten odszedł. – Znam je na pamięć.

Milczała i słowa same z niego wypłynęły. Kiedy je powiedział,

poczuł się lżejszy.

– „Jutro już nie będę żyć. Wszystko, co mam, zostawcie sobie albo przekazcie na cele charytatywne. Dziękuję wam za opiekę. Kuba”. Tak napisał. Co o tym myślisz, Kaśka?

Wzruszyła ramionami.

– Cierpiał – powiedziała.

Karpiuk trochę się zezłościł.

– Cierpiał? Rozumiesz to? Dziękował za opiekę! Jakbyśmy byli jego pielęgniarzami! Nasz syn, nasze jedyne dziecko! – Nadkomisarz zamachnął się i rękawem zahaczył o szklanę. Herbata rozlała się po białym obrusie.

Wartoń błyskawicznie opanowała sytuację, serwetkami powstrzymała potop. Zdjęła i zwinęła obrus, podeszła do baru i wręczyła kelnerowi wilgotny pakunek. Przyjął to bez jednego słowa.

– Przepraszam. – Karpiuk nieporadnie usiłował jej pomóc. – Zachowuję się jak dziecko.

– Nic się nie stało. Co było później?

– Zgłosiłem zaginięcie. Rozpytałem u kolegów Kuby; nie widzieli się z nim od miesiący. Przeczesałem park, w zespole i w pojedynkę. Przesłuchaliśmy kierowców pekaesów... Szukaj igły w stogu siana. Nie wziął nawet roweru. Po prostu zniknął.

– Pana żona?

– Ela gaśła. Każdego dnia po trochu.

– A teraz?

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie jest najlepiej – odparł, a potem odczuł potrzebę wytłumaczenia żony. – Luscia zawsze była delikatna, cała jej rodzina chorowała na nerwy. Po ucieczce Kuby, po tym liście samobójczym, z trudem wstawiała z łóżka. W końcu w pracy dali jej do zrozumienia, żeby już nie przychodziła. Nie poszła nawet podpisać porozumienia. Załatwiłem to za nią. To już prawie osiemnaście lat jak nie wychodzi z domu. Więcej niż miał Kuba. Kiedy... no wiesz.

– Zaginął?

– Tak, zaginął. Możesz to tak nazwać. Jeśli chcesz.

– Dzisiaj... pan myślał, że to może być on, prawda?

– Kaśka, ja tak myślałem za każdym razem, kiedy znajdowaliśmy ciało! Kiedy dostajemy zgłoszenie o bezdomnym, który zasnął na mrozie. Za każdym razem myślę, że to Kuba. Wiedziałem, że trup jest starszy, że leży tam dłużej niż tydzień, gdy tylko zobaczyłem ciało na Warnicy. Ale nie miałem pojęcia, ile starszy.

Zamyślił się. Ogołocoony z obrusu stolik intensywnie pachniał herbata.

– Czego właściwie pan się boi? Że on nie żyje? – zapytała. – Przecież minęło tyle lat i zostawił list samobójczy. To znaczy, ja...

– Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwał jej Karpiuk – i masz rację. A może nie umiem już bez tego żyć? Bez napięcia, że kiedyś go odnajdziemy? Tego samego napięcia, które zrobiło z mojej żony warzywo?

A więc powiedział to. Atrakcyjnej kobiecie siedzącej naprzeciwko wyznał całą prawdę o swoim tragicznym życiu osobistym. Pewnie i tak wszyscy wiedzieli; czasem tylko łudził się, że to sekret jego i Eli. Dzięki temu mógł zachować resztkę godności.

– Nie powtarzaj tego nikomu – powiedział cicho.

– Oczywiście.

Pokiwał głową.

– Dziękuję.

– Czy on – zapytała Wartoń po krótkiej pauzie – mógł uciec z domu, żeby odnaleźć tę dziewczynę? I nie chciał, by pan do niej dotarł?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Skąd znasz... – urwał nagle. Aspirantka przysłała mu z pomocą.

– Pracuję z panem od pięciu lat. Ta sprawa nie jest mi obojętna.

– Nie chcę rozmawiać o Adzie Wańczyk – rzucił szorstko. Ale poczuł zaskakujące ciepło rozlewające się w okolicach brzucha.

„Ta sprawa nie jest mi obojętna”. Kiedy ostatni raz zwracała się tak do niego kobieta? A może zwodził go już na manowce starczy uwiąd zmęczonego umysłu?

– Wiesz, nie mieliśmy wtedy pieniędzy, a tutejszy szpital miał

ograniczone możliwości. Kuba też nam nie pomagał, nie chciał kolejnych operacji. – Zamilkł, nie patrząc teraz na aspirantkę.

– A dzisiejsza medycyna robi różnicę – wtrąciła szybko. – Dzisiaj Kuba...

– Tak, może mógłby normalnie żyć. Mieć rodzinę. I jego blizny, one były świeże, z czasem nie wyglądałyby już tak źle.

– To wszystko mogło potoczyć się inaczej – dodała cicho. Dłoń aspirantki znalazła się teraz niebezpiecznie blisko jego sękatej łapy.

– Ale nie potoczyło – odparł ponuro.

Zapadła cisza. I stało się: miękka, biała dłoń Wartoń wsunęła się w dłoń Karpiuka. Pasowały do siebie jak ulał. Czuł ciepło i nie chciał jej wypuszczać.

Postąpił wbrew sobie, wstając tak nagle, że rozboleły go kolana.

– Dzięki, że mnie wysłuchałaś – powiedział.

– Michał... – zaczęła.

– Pozostaniemy przy starej formie – rzucił i sztywnym krokiem przeszedł przez salę. Na tyle starczało mu teraz godności. I przyzwoitości. Podał smutnemu kelnerowi dwadzieścia złotych, machnął ręką na resztę. Chwilę mocował się ze starymi drzwiami i wyszedł, nie spoglądając za siebie.

W drodze do domu Karpiuk wykupił zwyczajową baterię leków dla żony. Pilnował, by je brała, choć efektów działania nie było widać, ale psychiatra twierdził, że Ela mniej dzięki nim cierpi.

Wciąż spali w jednym łóżku. O seksie nie mogło być mowy, ale przytulał się czasem do jej zubożniałej postaci. A może i Lusia pragnęła tej odrobiny ciepła, którą jej dawał.

Poprzedniej nocy, przed sekcją, odczuwał napięcie. I zdawało mu się, że Ela to czuje. Pradawnym matczynym instynktem wie, że chodzi o Kubę. Przebudził się po kilku godzinach snu i wrócił do łóżka po wizycie w toalecie, z której korzystać musiał w nocy coraz częściej.

Jego żona nie spała. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczami o prawdziwie kobaltowym odcieniu. Zdało mu się, że widzi w nich pytanie.

– Śpij, Lusia – powiedział krótko.



Zaginęła energia i chęć życia Eli, ale nie zniknęła jej wrażliwość. Tą wrażliwością wyczuwała jego nastroje, wrażliwość mogłaby w innym życiu uczynić ją artystką, w tym skazała na głęboką depresję. Ta wrażliwość wciąż żyła w jego żonie. Ale czy cokolwiek było jeszcze w stanie wyrwać ją z depresji? Czy gdyby stanął przed nią trzydziestopięcioletni Kuba, poznałaby własnego syna?

Latami marzył, że pewnego dnia, kiedy wróci z pracy, ona będzie sobą. Zły urok spowodowany zaginięciem Kuby pryśnie.

Kiedy wrócił z lekami, przytomne spojrzenie z poprzedniej nocy przeszło już do historii. Spała, a może tylko leżała pod kocem; na stoliku stała tacka z rosółem, którego zjadła tylko odrobinę. Jedzenie donosiła jej sąsiadka. I dla niego również, solidne porcje, jakby chciała utrzymać go przy życiu, kiedy Ela umrze. Wiedział, że ta kobieta ostrzy sobie na niego zęby.

Miał pięćdziesiąt cztery lata, a za dwa będzie emerytem z pokazną jak na Gorlice emeryturą. Jeszcze wiele mógł w życiu zdziałać. Zwiedzić świat, dysponując środkami, to stało się teraz dziecinnie proste. Ba, mógł być jeszcze ojcem!

Sąsiadka myliła się jednak co do Eli. Mimo że siwa jak gołąbek i chuda, jego żona fizycznie była zupełnie zdrowa. Regularnie zaprowadzał ją na badania. Nie ruszała się i prawie nic nie jadła, ale jej ciało nie poległo razem ze śmiercią umysłu. Wiedział, że Ela przeżyje i jego.

Pomyślał o dotyku miękkiej ręki Wartoń.

Kuba nie żył. Po opowieści Pascho uwierzył, że jest inaczej. A teraz niczego już nie rozumiał, poza tym, że więzi łączącej go z Elą w zasadzie już nie ma. Nie rozmawiali i nie mieli wspólnego dziecka. Nie mieli wspólnego życia. Tak jak powiedział Wartoń – mieszkał z warzywem. Pozostały tylko papierki.

Uwierzył przez moment, że tak jest. Następnie spojrzął na śpiącą Lusie, we śnie bardziej przypominającą tamtą dziewczynę, a potem ukrył twarz w dłoniach.

Zadzwoiła służbowa komórka. Pewnie komendant; nadkomisarz miał dość pracy na dziś. Wyświetlił się jednak nieznanym numerem. Wahał się chwilę. Trzy, cztery, pięć sygnałów.

W Karpiuku wygrał profesjonalizm. A kiedy odebrał telefon, usłyszał dziarski głos. Głos, który tylko trochę zmienił się w ciągu osiemnastu lat. Głos człowieka, który należał do odległej przeszłości, zamkniętego rozdziału w życiu nadkomisarza.

Warwiłow zamierzała wymknąć się wcześniej, żeby zbadać dom Joanny. Nie zdążyła.

Stała na tarasie z gorącym kubkiem w ręku, nie w pełni wyszło jeszcze słońce i bukowiecką łąkę spowiła srebrna rosa. Panowała prawie idealna cisza sprzyjająca rozmyślaniom. Był piątek rano, więc Warwiłow przebywała w Bukowcach czwartą dobę. A minął już pierwszy tydzień od zaginięcia Joanny. Kluczowy w takich przypadkach.

Warwiłow działała sama, to jasne. Bez zespołu, bez Chodkowskiego. Bez wsparcia prokuratora. Na obcym, niemal wrogim terenie. W zasadzie nielegalnie. Karpiuk jeszcze tego nie poruszył, ale nie powinna pracować na urlopie.

Równie dobrze mogłaby prowadzić sprawę na Słowacji. Z każdym dniem, a teraz z każdą upływającą godziną, szanse na odnalezienie zaginionej malały. Co miała w tym momencie? Trupa, który mógł mieć związek z Joanną albo nie; bezimienny człowiek zamordowany został jednak przed zniknięciem jej przyjaciółki. Znała też skrawek historii domu Wańczyków i losów syna Karpiuka.

Co się stało z Kubą? Bibliotekarka mówiła o nim w czasie przeszłym. A może dawno już znaleziono zwłoki? Dlaczego więc nadkomisarz był tak zdenerwowany podczas sekcji?

I jaka była jego rola w sprawie? Czemu twierdził, że opowieść Joanny brzmiała niewiarygodnie, a kiedy zniknęła, podjął czynności rozpoznawcze? Wbrew regułom, zgodnie z którymi zaginięcie musiałaby zgłosić najbliższa rodzina Pascho, czego nadkomisarz był naturalnie świadom. A jednak nakazał szeroko zakrojone poszukiwania.

Zebrała zdecydowanie za mało danych. A zamiast pchnąć śledztwo do przodu, opychała się specjałami od Anety i tęskniła za Miłą. I za Maćkiem, za ich trojgiem. Martwiła się, że prokurator przyprawia jej rogi. A jeśli tak się stało, być może sama do tego

doprowadziła.

Mogła do nich wrócić w każdej chwili, jednak nie chciała odpuścić. W efekcie rozkraczyła się między swoim życiem osobistym i zawodowym, między Warszawą i górami. Poza tym przecież winna była przyjaciółce podjęcie działań. Wczoraj Karpiuk wydał jej się taki stary, taki zmęczony. Niezdolny do odnalezienia Joanny, a może nawet niechętny temu.

Od strony Przełęczy Warnickiej usłyszała szybko narastający warkot silnika; a potem samego winowajcę. Zorientowała się, że nie zdąży nawiać. Poza tym była już zawodowo zaintrygowana.

Pod Korę zajechało terenowe mitsubishi, o ile dobrze rozpoznała markę. Auto zaparkowało przed zamkniętą bramą. To nie był samochód Karpiuka.

Skłęta się za tę głupią poranną kawę, mały rytuał, który urządziła sobie w Bukowcach, podczas gdy sprawa Joanny pozostawała w powijakach. Powinna już być na drodze, zbadać dom Wańczyków, dyskretnie, zanim obudzi się stara Styczko.

Obserwowała, jak z samochodu wysypuje się kilku młodych mężczyzn. Tak przynajmniej wyglądali z odległości kilkudziesięciu metrów. Z bliska dostrzegła, że mają dobrze po trzydziestce, ale odmładzają ich sportowe sylwetki. A poruszali się tak szybko, że psy, które spały gdzieś w środku, nie zdążyły nawet zaszczekać. Było jeszcze szarawo i cała scena miała w sobie coś surrealistycznego. Warwiłow aż chciała pstryknąć palcami, żeby się obudzić.

Ale nie śniła. Energicznym krokiem podszedł do niej najniższy z mężczyzn, szatyn w lekkiej puchowej kurtce. Miał krótkie i gęste włosy, przylegające do czaszki jak kask. Do tego żywe, błękitne oczy i starannie przystrzyżony zarost. Mierzył najwyżej metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale był zwarty i solidny jak kawałek granitu. Uwagę Warwiłow zwróciły też ręce, długie niczym u goryla, zwieńczone ogromnymi dłońmi. Do dużych dłoni zawsze miała słabość.

– Podinspektor Paweł Całkiewicz – przedstawił się, nie wyjmując legitymacji.

Nie potrafiła ukryć zdziwienia tak wysokim stopniem. Jeśli

Całkiewicz skończył już czterdzieści lat, to niedawno. Wyglądał tak, jakby codziennie uprawiał triathlon.

– Nina Warwiłow – wymamrotała. Pozostali mężczyźni nie przywitali się z nią; dwóch lustrowało posiadłość, a jeden gdzieś się zapodział. Obserwowała ich kątem oka. Dopiero teraz w głębi pensjonatu wydarł się pies, do którego szybko dołączył drugi. – Gospodarze jeszcze śpią.

– Pewnie już niedługo. Spokojnie – uśmiechnął się przy akompaniamencie zaniepokojonych szczeków – z panią też chętnie porozmawiam. A może od razu przejdziemy na ty? Podobno dzielą nas tylko dwa stopnie.

– Zgoda – odparła z lekkim wahaniem. Zbieranie informacji stanowiło pracę tego człowieka. Tak jak i jej. Zirytowała się jednak, że Całkiewicz coś o niej wie, a ona o nim zero.

– Pozwolisz, że spocznę – zagaił przyjacielskim tonem, siadając na ławie w tym samym miejscu, które przedwczoraj zajął Karpiuk. – Wszystko mnie dzisiaj boli. Bardzo miękkie łóżka w tym hotelu Dumas, starcze plecy urządziły mi noc świętego Bartłomieja.

Zerknął na nią, sprawdzając, czy załapała dowcip. Nie miała ochoty na testy; zamiast odpowiedzieć, upiła łyk kawy.

– Trzeba było zostać na noc w Krakówku... – dokończył Całkiewicz.

Milczała.

– No, fajnie się gada, Nina, ale dość już tych pogaduszek. – Skrzywił się. Miał bardzo mimiczną twarz. – Co o tym wszystkim sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Jestem tutaj prywatnie – powiedziała.

– Ale opinię chyba masz? Joanna Pascho jest twoją przyjaciółką, prawda? Jak tylko dowiedziałem się, że w Bukowcach stacjonuje komisarz z dochodzeniówki, zasięgnąłem o tobie języka... Nina, ty gwiazda jesteś. – Wyszczrzył zęby.

Nie wiedziała, czy robi sobie żarty. I gdzie zasięgał języka. Taki podkomisarz (a może już komisarz?) Aleksander Białek miałby z pewnością wiele do powiedzenia na jej temat. Odwieczny topór

wojenny wykopany między nią a kolegą z tej samej komendy tylko się wyostrzył po sprawie Setnika.

A jeśli wypracowała już hipotezę śledczą, nie zamierzała się nią dzielić.

– Nie wykazałam się specjalnie – rzuciła ponuro. – Zresztą jestem tutaj na urlopie, nie wiem, co ci powiedziano.

– Uczestniczyłaś wczoraj w sekcji – zauważył. – Jestem wściekły, że nie poczekano na nasz przyjazd. Karpiuk to uparty stary cap.

Znowu na nią zerknął. Było zdecydowanie za wcześnie na prowokację, zaś uwagi dotyczące Karpiuka wołała zachować dla siebie.

– Stwierdził, że komendant mu nie przekazał. Lokalna matnia. Tak blisko Krakowa, a tak daleko. Komu tutaj wierzyć? Jak się rozeznać?

Mrugnął porozumiewawczo i tym w końcu wyciągnął z niej lekki uśmiech.

– Nie pomogę ci – powiedziała.

– Oj, Nina. Coś tak czuję, że nadkomisarz zrobił ci sieczkę – rzucił podinspektor. – Wiedziałaś, że pracował kiedyś w Krakowie?

– I?

– Wybijał się, wzięli go do dochodzeniówki, czekała go kariera. I nagle wrócił do Gorlic. Sprawa osobista.

W głowie kłębiły jej się pytania, ale jeszcze miała czas, żeby odsłonić karty. Psy wreszcie przestały szczekać, jakby pogodziły się z najazdem krakusów. Zdziwiła się, że jeszcze nie widzi gospodarzy. Nawet bez takiego budzika pracowita Aneta wstawała skoro świt.

Wysiorbała kawę do końca. Poczwała, że kofeina trochę rozjaśnia jej umysł.

– Jesteś tajemnicza – oświadczył Całkiewicz. – Nie chcesz gadać, masz do tego święte prawo. I do takiego urlopu, jak chcesz, choć sam smażyłbym raczej jaja w Turcji. Ale pamiętaj, ja to nie Karpiuk. Możemy sobie pomóc, jesteśmy po jednej stronie. A żeby nie być gołosłownym: może chciałabyś poznać tożsamość

trupa z lasu?

Roześmiał się na widok jej miny.

– A widzisz, że warto współpracować? Zdziwiona, że tak szybko? Czekamy jeszcze na potwierdzenie DNA i ekspertyzę dentystyczną. Ale już teraz na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mogę ci powiedzieć, że człowiek, którego bebechy oglądałaś, to niejaki Jerzy Marek.

– Kto? – Nazwisko zupełnie nic jej nie mówiło.

– Jerzy Marek – powtórzył cierpliwie.

– Kim jest?

– Był. Siedemdziesięciodwuletnim emerytem z Krakowa. Włóczykijem z zamiłowania.

– Ale... skąd tak szybko?

– A to zachowam dla siebie. – Całkiewicz wyszczerzył się ponownie. Z bliska widać było, że podinspektor nie omija fotela dentystycznego. – Facet zaginął dwa miesiące temu. Żył samotnie, po odejściu na emeryturę urządzał sobie wielodniowe rajdy; rozbijał namiot w bazach, jak miał gdzie, a jak nie miał, to na dziko. Nie poszukiwano go w tych okolicach, bo w ogóle go nie poszukiwano. Przez długi czas. W końcu ktoś kapnął się, że Marek nie wrócił do domu po jednej z wycieczek. Ale nikt nie wiedział, gdzie jest. A gdyby nie zaginięcie twojej przyjaciółki, to leżałby w tym lesie tak długo, że kiedyś wzięliby go za uczestnika bitwy pod Gorlicami.

W głowie kłębiła jej się masa myśli. Ale żadna nie przedstawiała wiele sensu.

– Czyli teraz myślicie, że to robota seryjniaka? – zapytała ostrożnie.

– Dlaczego?

– Zaginęła Joanna, Karpiuk trafia na zwłoki turysty niedaleko miejsca znalezienia nart...

– Tak sądzisz? To by oznaczało, że Pascho nie żyje. Poza tym, skoro seryjny, gdzie tutaj motyw seksualny? Denata to chyba raczej nie wykorzystano, co? To ty byłaś na sekcji.

Zamilkła.

– W każdym razie nic jeszcze nie myślimy. – Całkiewicz rzucił

okiem na podwórzu. Jego ludzie zebrali się już z powrotem pod samochodem. Jeden zapalił, słyszała szmer rozmowy. – Dokładnie tak jak ty. – Podinspektor wstał. – Trochę wcześniej, a ludzi budzić nie chcemy. Potem gadają, że policja brutalna. Pewnie jeszcze wrócę pogadać. To nie ostatni raz, kiedy się widzimy, Nina.

– Co zamierzasz teraz?

– Do lasu – odparł. – Zobaczymy, jakie tajemnice skrywa. Może Karpiukowi coś umknęło. Wziąłbym cię z nami, ale coś tak czuję, że ci się nie pali. Swoją drogą, wybierasz się na poranny spacer? – Wskazał na jej nieźle już ubłocone scarpny, do których założyła podwójne skarpetki.

– Położyłam się wczoraj wcześniej. I jeszcze nie widziałam Bukowców o tej porze – odparła wymijająco.

– Tak. Masz rację. Trzeba skorzystać i trochę pochodzić. Myśmy też w sam raz na weekend z chłopakami zjechali. Jutro zapowiadają słońce. Tylko frajerzy pracują w tak pięknej scenerii – oznajmił zupełnie bez troski na odchodne.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki mitsubishi nie zniknęło za horyzontem.

Zerknęła nerwowo na zegarek, wciąż niezadowolona z siebie. Bo nadszedł najwyższy czas na poranny marsz.

Było już po siódmej, kiedy energicznie zmierzała w dół wsi. Minęła dom Wojtka – w okienku kuchennym paliło się światło – i zastanowiła się, czy rzeźbiarz wciąż celebrować ukończenie rzeźby. A jeśli tak, to z kim?

Poczuła nagły impuls, żeby do niego wejść. Ze wszystkich poznanych ostatnio mężczyzn tylko on zrobił na niej wrażenie. Nie podrywał, nie usiłował wkraść się w łaski, nie podlizywał się ani nie strzelał fochów. A że był w kontakcie odrobinę autorytarny... Cóż, czasem pragnęła, żeby Maciek przestał pytać o wszystko, zgrywając dzentelmena. Oczywiście, rzeźbiarza znała ledwie kilka godzin. Miała jednak wrażenie, że jest w stanie przeświecić go szybciej niż prokuratora przez dwa lata.

Poprzedniego wieczoru Maciek wcale nie był zresztą taki radosny, kiedy poinformowała go o możliwości opieki nad Miłą



w weekend. Okazała się naiwna, zakładając, że prokurator podskoczy z ekscytacji.

Stassberg najpierw zamilkł, a potem rzucił oschle:

– Mam już plany.

– Jakież? – zapytała, nagle podenerwowana.

– Plany.

Prokurator miał mniej więcej tylu znajomych, ilu ona. Pytanie Warwiłow było więc zasadne.

– Nie powiesz mi?

– Po co?

Zrobiło jej się duszno i trochę mdło.

– Po ostatniej rozmowie – powiedziała, lekko zdezorientowana – myślałam, że...

– Nina – przerwał jej Stassberg. – Oszczędzę twojego czasu.

– Nie rozumiem...? – zapytała, niepewna, czy chce poznać odpowiedź.

– Odwołam to, co miałem.

– Maciek... – usiłowała wejść mu w słowo, ale nie dał sobie przerwać.

– I oczywiście, że zajmę się Milą – kontynuował. – Ale dla mnie rodzina to jest troje.

– Przecież mówiłam ci, że nie mogę jeszcze wrócić – oświadczyła. – Z kim miałeś spędzić ten weekend?

Przez głowę przelatywały jej kobiety, które mogłyby zainteresować Stassberga. Jaki właściwie miał gust? Nią zainteresował się od razu. Przypominała sobie, jak nieśmiało zagadnął o fajne lokale na Pradze, wtedy w prokuraturze, dwa lata temu... lecz czy rzeczywiście nieśmiało? Podczas pierwszej rozmowy, zawodowej dodajmy, *de facto* zaprosił ją na randkę. Może nie gapił się, kiedy był z nią, ale to nie znaczyło, że był nieśmiały. Ani niezainteresowany innymi kobietami.

Miał teraz całkiem wyzywającą aplikantkę, lecz przespanie się z nią byłoby chyba nielegalne. Czy na pewno? Nie zatrudniał dziewczyny, był jej patronem. Mała sucz dzwoniła do niego nawet wieczorami. Wychodził wtedy na balkon, „żeby jej nie przeszkadzać”. Wręcz przeciwnie, bardzo chętnie podsłuchiwały,

o czym gadają. I jak gadają.

Poza tym zadbany prokurator... Co z tego, że na państwowym zarabiał „ledwie” szóstkę na rękę, czyli mniej niż byle korpoludek. Warszawa, miasto samotnych, atrakcyjnych kobiet, wzięłaby Stassberga z pocałowaniem ręki.

Była zazdrosna, szczególnie kiedy nie miała go na oku. Przedtem to uczucie jej się nie zdarzało. Czy naprawdę dlatego, że pierwszy raz była w związku tą mniej urodziwą – a z pewnością mniej zadbaną?

– Nina, po co mówić o rzeczach, które już się nie wydarzą – oznajmił Maciek.

– Może dlatego, że jesteś moim...

– No kim?

– Chłopakiem?

Stassberg zaśmiał się. Lubiała, jak to robił, chichotał w opanowany, męski sposób.

– Wiesz, jak to brzmi.

– A jak mam cię nazwać?

– Konkubentem? Partnerem? Ja mówię o tobie *per* żona.

– Serio? Czemu?

– Tak jest prościej. Poza tym, Nina, nie mamy dwudziestu lat.

Zapadła cisza, dziwna, ale nie wroga. I ona czasem mówiła o Maćku jako o „mężu”, ale nie chciała mu tego powiedzieć. Bała się, co mogłoby potem nastąpić. Spotykali się dwa lata. Z nich dwojga prokurator miał znacznie mniejsze opory przed formalizacją związku. I często nabijał się z pompatycznych zaręczyn i ślubów. W efekcie drżała, że któregoś dnia ją zaskoczy.

– Chcesz mi opowiedzieć o śledztwie? – zapytał.

– Maciek, to piekielnie zawile. No i rozmawiam przez stacjonarny, sam rozumiesz.

– Piekielnie zawile? To nie brzmi, jakbyś miała zaraz wracać.

– Jeszcze kilka dni.

– A co, jeśli nie wrócisz po weekendzie? Co wtedy?

– Wrócę.

– A jeśli zawilość cię pokona? Co z małą?

Przełknęła ślinę.

– Miła będzie musiała znowu pojechać do Tomka.

Cisza. Ale nagle nieprzyjazna: wroga i zimna jak kostka lodu.

– Nina, ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? – rzucił w końcu Strassberg. – Dziecko to nie jest worek ziemniaków.

– Nie mów tak do mnie.

– Chyba jednak muszę. Sam to przeżywałem. Niestabilność niszczy. Nawet takiego malucha.

– Robisz mi wykład, czy po prostu nie chcesz jej znowu oddać do Tomka? Zresztą, jak ty sobie to wyobrażasz?

– Tak, że wracasz do swojej rodziny. Niektórych spraw nie da się rozwiązać.

– Tylko niektórych.

– Nina, wybacz, wiem, że jesteś świetnym dochodzeniowcem, ale dwa lata przerwy... I to nie jest twoje terytorium.

– Co to znaczy? – głos Warwiłow zabrzmiał nieco piskliwie.

– To znaczy odpuść. Wracaj. Jesteś tam piąty dzień. Przykro mi to powiedzieć, ale w tych warunkach... twoja przyjaciółka już pewnie nie żyje. Wiesz, jak jest w takich sprawach.

– Na pewno kiedy się je zostawia.

– Nina, tam też jest policja! Nie zgrywaj ostatniej nadziei ludzkości. I, *à propos* zostawiania, to lepiej robić to własnej rodzinie?

Wbrew swoim planom zezłościła się.

– Nie moja wina, że masz w głowie schemat porzucenia, Maciek. To po twojej stronie. Mówiłam ci, że to, co robię, jest ważne.

– Ważne dla kogo? Wiesz, zakończmy już rozmowę. Jeśli mam zająć się twoją – zaakcentował to słowo – córką, to muszę jutro wcześniej wyjść. Zadzwoni, jak znajdziesz dla nas pięć minut. Będziemy czekać.

Rozłączył się, a ona przez paskudne kilka minut zastanawiała się, czy właśnie nie pchnęła go w objęcia innej kobiety.

Maszerowała teraz w dół wsi, wyobrażając sobie, że prokurator obudził się już pewnie do pracy. Widziała oczyma wyobraźni, jak je to swoje pedantyczne i zdrowe śniadanie, złożone wyłącznie z produktów z gospodarstwa ekologicznego. Potem goli się i czesze włosy, co najmniej piętnaście minut. Szczotkuje i nitkuje

zęby. Wkłada koszulę, sprawdzając, czy nie ma na niej najmniejszego pyłku. Dobiera skarpetki do butów. Buty do paska, a pasek do krawatu. Krawat do garnitur, garnitur do płaszcza i wychodzi na autobus 138, w którym będzie starał się nie dotykać innych ludzi. W swoim pokoju na Jagiellońskiej zrobi sobie espresso, z irytacją wycierając brzeg filiżanki tam, gdzie się ułało. Popijając kawę, co miesiąc przynoszoną z domu, bo służbowej nie pija, precyzyjnie zaplanuje sobie przebieg dnia. Zdejmie marynarkę i starannie powiesi w szafie, gdzie trzyma również toę. Delikatnie przejedzie palcem po jej czerwonej lamówce.

Tak Warwiłow wyobrażała sobie poranek prokuratora. Tęskniła nawet trochę za dziwnymi rytuałami Maćka. Za pewnością, której dostarczały, trochę ją wkurzając, a trochę rozczulając. Tymczasem sama stała w ubłoconych butach przed domem Wojtka i walczyła z pokusą, by złożyć rzeźbiarzowi wizytę.

Gdyby nie to, że chciała zdążyć, zanim Halina Styczko otworzy oko Saurona, może by i zaszła do Ordowskiego. Na drugą tego dnia kawę. Zamiast tego jednak przyśpieszyła kroku.

Weranda u Styczków była pusta. Śmiało skręciła z drogi w lewo, do posiadłości Joanny.

Smutno to wszystko wyglądało, za dnia jeszcze gorzej niż w nocy. Jeden dom stary i wałący się, drugi zastopowany w przedbiegach. Pomyślała, że to metafora życia Joanny: ani na starym, ani na nowym. Gdzie się podziała jej przyjaciółka?

Jeszcze raz użyła swojego wytrychu. Nie musiała zapalać światła; wyglądało to gorzej niż wtedy, w nocy. Niskobudżetowe próby poprawienia estetyki domu przyniosły przynębiające rezultaty.

W czterech ścianach człowiek spędzał przeciw większość dnia. Razem z Tomkiem zainwestowali majątek w remont loftu, ale nie żałowała tych pieniędzy. Wysmakowane wnętrza mieszkania na Katowickiej poprawiało jej nastrój, kiedy wracała styrana praskimi przestępstwami, męczącą biurokracją, a czasem i seksistowską atmosferą w pracy. Patrząc na przegniłe tapety

w „sypialni” Joanny i brzydkie pomarańczowe deski podłogowe, prawie mogła uwierzyć w to, że przyjaciółka po prostu nawiała. Lecz wiara nie miała tutaj nic do rzeczy.

Komisarz wyjęła lateksowe rękawiczki i zaczęła metodycznie przetrząsać wszystkie szuflady, to, czego nie dała rady przeszukać za pierwszym razem. W godzinę przeskanowała dokładnie plik rachunków i faktur budowlanych. Liczyła na notes, dziennik, coś bardziej osobistego i intymnego.

Joanna była minimalistką i Warwiłow pamiętała, jak zainspirowało ją niegdyś wyznanie przyjaciółki, że wszystko, co jest do załatwienia, ogarnia w trakcie pracy: „W przerwach i kiedy pacjent odwoła wizytę. Od razu. Po południu już mam spokój. Proste, nie? Inaczej to bym zwariowała”.

Warwiłow słuchała wtedy, zastanawiając się, jak zareagowałyby Tomek, gdyby powiedziała mu, że nie używają już w domu internetu. Nie mogła sobie wyobrazić jego miny, towarzysze gier z sieci byli Kapińskiemu bliżsi niż partnerka. Raz przez miesiąc wspólnie z jakąś laską zdobywał wirtualny zamek. Zachowywał się wtedy jak zakochany i Nina zabroniła mu później wyjazdu na zlot graczy. Kiedyś dotarło do niej, że Tomek ucieka w ten sposób od rzeczywistości, i to od zawsze. Uciekał przed matką, potem przed nią. Z pewnością dziewczyna Tomka – „Aga” – przechodziła teraz to samo.

W końcu wygrzebała kilka robionych ołówkiem, chyba ręką Joanny, notatek dotyczących zakupów, chudy plik pustych recept i wizytówkę: „Kancelaria Notarialna Wiesław Popielewicz. Ul. Sienkiewicza 24/2. Gorlice”. Zrobiła zdjęcie faktur, a wizytówkę schowała do kieszeni.

Znienacka zrobiła się już ósma; nie chciała, żeby ktoś ją tu nakrył. Dłuższą chwilę mocowała się z drzwiami. Ich zamknięcie za pomocą wytrychu szło jej gorzej niż wtedy, w nocy i po pijaku. Nie chciała jednak zostawiać za sobą śladów, a domu Joanny otwartego. Spociła się i zraniła w palec; w końcu udało jej się podnieść zapadkę blokującą rygiel. Zatrzasnęła drzwi, odwróciła się i niemal krzyknęła.

Stała oko w oko z Władkiem Styczką.

To musiał być on, w tym miejscu i o tak wczesnej porze. Ubrany w waciak, czarne kalosze i sztruksy. Stał bardzo blisko, naruszając jej sferę prywatną. Czowała zapach cebuli i chyba zepsutego zęba. Gdyby nie to, mógł się podobać, z dużymi, ciemnozielonymi oczami.

– Co pani tutaj robi? – zapytał.

Odsunęła się na bezpiecznych kilka metrów. Odór zelżał.

– Pan Styczko, zgadza się?

– Tak.

– Mam na imię Nina, Joanna jest moją przyjaciółką.

– Aha. Długo była w środku?

– Nie weszłam, nie mogłam otworzyć drzwi – skłamała.

Spojrzał teraz na jej dłoń, pustą, bo zdążyła schować wytrych do kieszeni. Czego właściwie się bała? Że Styczko powiadomi Karpiuka? Nie chciała, żeby nadkomisarz przyjeżdżał, ale nie dlatego, że się go obawiała. Musiała spokojnie pozbierać do kupy to, co już wiedziała.

Styczko wygodnie oparł się na kijku. Patrzył na nią leniwie. Tak jakby znalazł na nią haka.

– Poznał pan Joannę? – zapytała.

– Rozmawialiśmy raz czy dwa.

– O czym?

– A ja to pamiętam? – zaśmiał się. Teraz zyskała już pewność, że czuła zapach zgniłego zęba. Szkoda, że tak kiepsko dbali tu o jamę ustną. Nawet nie miał złotych, po prostu gołe dziury tam, gdzie zdążyły już wypaść.

– Kiedy to było?

– No pewnie będzie z dwa tygodnie temu.

– Potem jeszcze ją pan widział?

– Czemu tyle pytań?

– Martwię się o nią.

– Aha. Kobieta bez chłopca to zawsze źle skończy – rzekł sentencjonalnie Styczko.

– Słucham?

– No, zaraz wokół niej zaczęli się kręcić tacy różni, co ja bym do domu nie wpuścił, proszę pani.

– Jacy?

– Jeden z drugim, majstrzy niby. Kibla bym im nie powierzył do budowy. Ten ostatni najgorszy. Mariusz Niciński. Mówiłem, że jej pomogę – oznajmił.

Wystarczyło spojrzeć na niego i znała już odpowiedź Joanny.

– Jaki to ma związek z jej samotnością? – zapytała.

– Nie zna ludzi. A z ludźmi trzeba żyć dobrze.

Gdzieś to już słyszała. Zerknęła na gospodarstwo naprzeciwko. Z tamtejszej werandy doskonale widać było ziemię Joanny, dawniej Wańczyków. Czy Styczkowie specjalnie postawili nowy dom w miejscu z lepszym widokiem na znieawidzonych sąsiadów? Może nie mieli innego wyjścia, choć przecież ich posesja należała do dużych. Postanowiła zaryzykować.

– Widział pan człowieka pod lasem?

– Gdzie? Jakiego człowieka?

– Tam – wskazała ręką na łąkę – tam właśnie mógł stać, przed drzewami.

– Nie.

– A pana matka?

– Matka ślepa – uciął.

– Ślepa?

– I głucha – oświadczył z powagą Styczko. – Nie słyszy i nie widzi więcej niż na pięć metrów. Nie chce się leczyć.

– Czy mogę z nią porozmawiać? – zapytała.

– Ona niewiele powie.

– Pan tu mieszka od zawsze, prawda?

– Tak.

– Może to dziwnie zabrzmiał, jak teraz zapytam. Skoro rozmawiał pan z Joanną... czy myśli pan, że mógł ją kiedyś już poznać?

– Poznać? Jak to? Dlaczego?

– Że już kiedyś widział pan tę kobietę.

– No, przyjeżdżała tutaj w lecie.

– Nie, nie teraz – przerwała. – Lata temu.

Więcej podpowiadać mu już nie mogła. Rzuciła przynętę i czekała.

– Nie. Ale dla mnie one takie same się porobiły teraz, wie pani,

oczy i buzia. – Pokazał palcami coś, co zrozumiała jako symulację makijażu. – Pani niezamalowana. Za to ładna jak malowanie.

Wyszczерzył resztki zębów, wyczekując chyba pochwały za swój komplement. Nie taki zły w zasadzie, ale wolała nie ryzykować. I pominęła milczeniem fakt, że Joanna używała mniej makijażu od niej; w ogóle nie używała.

Zamilkła, zastanawiając się, czy jej teoria na temat przyjaciółki, teoria, która kiełkowała od wczoraj, nie jest absurdalna.

– Może przyjdzie pani na herbatę wieczorem? Albo coś mocniejszego? – zapytał Styczko, przerywając milczenie.

– Nie, dziękuję.

W zielonych oczach Władka błysnęła złość.

– Ja nie muszę mówić policji, że pani tu wchodzi. Ciekawe, co tam pani wkładała do kieszeni.

Przybliżył się. Minęła ósma, a jedynym świadkiem zajścia mogła być matka Styczki. Niewidoma, jak się właśnie okazało. Jednak Warwiłow nie była słaba. Przy mężczyznach, przed którymi musiała się już bronić, Władek Styczko przypominał worek na zużytą bieliznę. Ale nie dla Joanny. Joanna nie należała do silnych, Warwiłow znała ją z jogi i wiedziała to od momentu, kiedy pożyczyła od niej matę. Jej przyjaciółka była delikatna. Może dlatego właśnie Warwiłow ją polubiła. Za kruchość, wrażliwość i nawet pewną słabość.

– Niech pan robi, co chce – rzuciła.

Gdyby nawet postanowił ją podkablować, zakładała, że Karpiuk nie przyjedzie. Nie z „FBI” Całkiewicza na głowie. I już na pewno nie na wezwanie Styczki. Czy mieli w ogóle z matką telefon?

Władek nie powinien wiedzieć, gdzie zamierzała teraz pójść; w takim przypadku droga odpadała. Odwróciła się w kierunku łąki.

– Gdzie pani idzie?! – krzyknął za nią. – Tam mokro!

– Poradzę sobie – odparła.



Styczko miał jednak rację. Gore-tex w jej scarpach skapitulował po kilkudziesięciu metrach. A kiedy doszła do lasu, woda w butach aż bulgotała. Na wszelki wypadek Warwiłow od razu wzięła kilka tabletek na gardło. Tak wzmocniona psychicznie wkroczyła do lasu.

Wbrew groźnemu wizerunkowi wzdłuż jego krawędzi dało się iść. Równoległe do pasa łąki biegła tam zarośnięta, ale widoczna ścieżka. Warwiłow skrzyła ją w prawo.

Szła dziesięć, może dwadzieścia minut. Raz na jakiś czas traciła szlak z oczu, ale prześwity na łąkę, widoczną pomiędzy drzewami, pozwalały jej ocenić, że dobrze idzie.

W końcu zgubiła drogę w błotnistej części lasu i wyszła z powrotem na otwartą przestrzeń. Musiała już być na wysokości gospodarstwa Drybaków. Z daleka, z odległości kilkuset metrów widziała Irenę, opatuloną w płaszcz, a także stadko owiec wyprowadzonych chyba głównie dla zażycia ruchu. Trawa po opadach śniegu była przegniła i podmokła, Warwiłow czuła w powietrzu odór agonii i rozkładu.

Zaczęła iść w kierunku Drybaczki i wtedy usłyszała psa. Mały z tej odległości burek, niezdecydowany, czy zostawić panią i swoje stado, przenikliwie wył. Dźwięk odbił się echem od ściany lasu, pies przestraszył tym ptactwo. Usłyszała, jak za jej plecami coś zrywa się do lotu, a potem przeleciał nad nią jakiś drapieжник o skrzydłach imponującej szerokości.

Straciła już element zaskoczenia. Zobaczyła, że Irena przystanęła i spojrzała w jej kierunku, a potem zaczęła szybko iść w stronę domu. Komisarz chciała do niej krzyknąć, ale było za daleko. Przyśpieszyła kroku. W obciążonych wodą butach co chwila zapadała się na błotnistym polu.

– Proszę poczekać! – krzyknęła w końcu.

Lecz Irena prawie dotarła już do gospodarstwa. W stronę Warwiłow gnał zaś pies, z bliska średniej wielkości kundelek.

Kiedy do niej doskoczył, obwąchał ją i obszczekał, ale bez agresji. Zamieszanie przepłoszyło owce, które pognały gdzieś w dzikim pędzie.

Drybaczka już zniknęła za drzewami otaczającymi dom. Warwiłow niemal biegła, przy akompaniamencie ujadania psa, bo ten porzucił stanowisko strażnika stada. Kiedy dotarła do gospodarstwa, na podwórzu wiało pustką. Zapukała do drzwi, a potem załomotowała w nie. Kundel wtórował szczekiem, jazgotali razem jak pokraczni uliczni grajkowie i może dlatego drzwi w końcu się otworzyły.

Drybaczka była drobna, niższa niż Warwiłow oceniła, widząc ją z daleka. Góra metr pięćdziesiąt wzrostu. Twarz lekko pomarszczona, ale wciąż młoda, bardzo ładna, gdyby się nią zająć. Idealny materiał do sesji typu „przed i po” w czasopiśmie kobiecym.

Włosy Łemkini miała przykryte chustą. Obserwowała Ninę uważnie, ale bez lęku. Dziwnie podobna była z twarzy do Styczki, choć bardziej urodziwa. Może faktycznie łączyło ich pokrewieństwo.

Warwiłow pomyślała, że w środku kobieta nie odmówi już rozmowy. Co miała do stracenia? Musiała zmienić kurs, jeśli chciała odkryć prawdę o Joannie. Usiłowała wstawić but w szparę w drzwiach; Irena okazała się jednak szybsza.

– Nie – powiedziała, przesuając się nieznacznie i blokując wejście.

– Chcę tylko porozmawiać

– Nie – powtórzyła ciszej Drybaczka. – Proszę stąd iść.

– Dlaczego?

Tak szybko jak pojawiła się w drzwiach, Łemkini zamknęła je przed nosem Warwiłow. Pies wydał z siebie niemal ceremonialny odgłos z okazji zakończenia rozmowy, a potem markotnie powłókł się w stronę budy, dłużej już gościem niezainteresowany.

Irena nie chciała z nią rozmawiać. Nina przez chwilę przetrawiała porażkę, a potem zerknęła na obejście.

Nad ogródkiem, nie zważając na chłody, Drybaczka wywiesiła

pranie. Fason i wzornictwo bluzek sugerowały, że gospodyni uszyła je sama. To się nazywało samowystarczalność: poza prądem Irena Drybak mogła zapewnić sobie wszystko inne: jedzenie, bo po coś trzymała te owce, ubranie oraz ciepło. Przed drewnutnią stał pieńek z wbitą weń siekierą, a obok okazały stosik grubszych i cieńszych gałęzi, wyglądających na pozbierane z lasu. Obok podobnej wielkości kupka porąbanych na opał metrówek.

Gospodarstwo wyglądało na solidnie utrzymane. Zrobiła zdjęcia telefonem, tak dyskretnie jak potrafiła, i skierowała się na drogę. Zerknęła ostatni raz na dom: odniosła wrażenie, że ozdobna, biała firanka w oknie lekko się poruszyła.

Wracając, Warwiłow czuła już nieprzyjemne dreszcze na plecach. Woda w butach ochłodziła się i Nina pożałowała, że nie wyprosiła od Anety kaloszy, nawet jeśli były o kilka rozmiarów za duże.

Minęła dom Joanny, a potem doszła do gospodarstwa Styczków. Władka nie widziała. Ciekawe, co robił jesienią przez cały dzień, już po uporządzeniu zwierząt. Spał? Oglądał telewizję? Onanizował się? Potrafił sensownie wykorzystać tyle wolnego czasu? Człowiek „miejski” walczył o każde wolne pół godziny w ciągu dnia, człowiek „podmiejski” ze względu na transport miał tego czasu jeszcze mniej. A co z „wiejskim” przedstawicielem *homo sapiens*?

Za to Halina Styczko zajęła już swoje miejsce na werandzie. Dzieliło je dobre pięćdziesiąt metrów. Warwiłow przystanęła, spojrzała na kobietę, a potem złożyła powolny, głęboki ukłon. Minęła sekunda, a może dwie, i stara kiwnęła głową.

W Korze czekała na Warwiłow niespodzianka. Wojtek. Wystroił się, w dzinsowej koszuli wyglądał jak Marlboro Man. Siedział w kuchni na krześle, które zdawało się dla niego za małe, i gawędził z Anetą. Przerwali, kiedy weszła.

– A, jest nasz skowronek – powitała ją gospodyni. – Kawy?

– Może tylko wrzątku. Zmarzłam.

– Samą wodę będziesz pić? – zachichotała Aneta. – Przyrządzę ci z imbirem i goździkami.

– Jesteś wspaniała. Cała chlupoczę. Zmienię buty i przyjdę.

Kiedy wróciła po kilku minutach, Aneta przyrządzała napar na kuchence. Warwiłow miała ochotę zaszyć się przed kominkiem i już nie wychodzić; ale w planie była przecież wycieczka do Gorlic. Skuliła się na krześle i przykryła kocem. Wojtek nie odezwał się ani słowem i wydał jej się usztywniony. Sama też milczała. Rzeźbiarz odchrząknął w końcu, lekko poczerwieniał i zapytał:

– Jakież postępy?

– Nie.

– Odnajdzie się.

– Szkoda, że nie mam tej pewności.

Stropił się i spojrzał gdzieś za okno. Automatycznie podążyła za nim. Wtedy nagle Ordowski odwrócił głowę od szyby i wbił w nią przeszywające spojrzenie.

– Przyszędłem tu, żeby z tobą porozmawiać – oznajmił.

– Tak?

– Prywatnie.

– Czemu prywatnie?

– Nie słucham! – krzyknęła Aneta.

– Błagam, nie każ mi teraz wychodzić, Wojtek – westchnęła Warwiłow. – Trochę zimno, a ja już zmarzłam.

– Dobra, niech ci będzie. Nina... chciałbym cię wyrzeźbić – oświadczył rzeźbiarz.

Dobrze, że nie trzymała jeszcze naparu w dłoni, bo mogła go upuścić.

– Nie bój się, nie będziesz musiała pozować godzinami – dodał szybko.

– Dlaczego ja? – zapytała. – To znaczy wiem, że niewielki masz wybór w Bukowcach...

Zorientowała się, jak niemiło to zabrzmiało wobec Anety, i zamilkła.

– Twoja twarz wydaje mi się bardzo interesująca – powiedział Wojtek, jakby nie zauważył jej gafy. – Nie obawiaj się, dwie, trzy godziny maksymalnie.

– Nie o to chodzi. Zaskoczyłeś mnie.

Gospodyni podeszła i podała jej kubek. Ostry zapach imbiru błyskawicznie zdominował przestrzeń nad stołem. Nina podziękowała serdecznie, odnotowując, że Aneta nie wygląda na zadowoloną. A więc jednak słyszała. Warwiłow przykryła naczynie dłońmi. Po spacerze wciąż miała dreszcze, w gardle również podejrzenie ją kłuło.

– To cię rozgrzeje – rzuciła Aneta. – Potem polecam fotel przy kominku. Rafał rozpałił rano. Nie grzeje miejscowo, jak nasz stary kominek, ale zawsze trochę cieplej.

– Rosjanie mówią tak: do trzydziestki grzeje żona, po trzydziestce wódka, a potem nawet piec nie ogrzeje – odparła.

– W takim razie jeszcze mogę pić – roześmiał się rzeźbiarz.

– W jakim jesteś wieku, Wojtek? – rzuciła lekko, tak jakby nie frapowało jej to już wcześniej.

– Między trzydziestką a śmiercią, Nina.

– To jak my wszyscy.

Pokiwał głową. Wahala się, czy powinna drążyć temat, kilka sekund za długo.

– Nie darowałbym sobie, gdybym cię przegapił – oświadczył. – Rzadko zdarza mi się proponować pozowanie. I nie zawracałbym ci głowy, gdybym nie był do tego przekonany.

– Myślałam, że wpadłeś towarzysko, Wojto – rzuciła z przekąsem Aneta.

Rzeźbiarz nieuprzejmie machnął ręką, jakby przeganiał natrętą muchę. Gdzieś ostatnio widziała podobny gest. Gdzie?

– Tylko raz? – zapytała.

– O więcej nie mam odwagi prosić.

Śmiać jej się nagle zachciało z tego dziewiętnastowiecznego języka. Groźny Wojtek Ordowski był spięty jak agrafka.

– Zastanowię się – oświadczyła.

– I wyjedziesz.

– Nie. Dam ci odpowiedź.

– Jak? Żyję bez telefonu.

Wzruszyła ramionami. Poczzerwieniał.

– Po prostu przyjdź, jak się zdecydujesz. Będę czekał.

Przytaknęła, a potem rozmowa już się nie kleiła i wkrótce

rzeźbiarz wyszedł.

Odczuła z tego powodu ulgę.

– Nina, ty widziałaś jego rzeźby? – zagadnęła ją wyraźnie chmurna Aneta.

– Tak.

– I?

– Dość odważne.

– Odważne? To są gołe baby.

– Taka jest sztuka.

– Jak dla kogo – mruknęła gospodyni. Nina była ciekawa, jak Aneta zareagowałaby na taką samą propozycję od charyzmatycznego rzeźbiarza. Jej małżeństwo wyglądało na zgrane; okazywali sobie z Rafałem sporo, czasem wręcz krępująco dużo zainteresowania. Rafał co prawda flirtował, na przykład z nią, ale nic z tego nie wynikało, pewnie taką miał po prostu osobowość.

Łowiccy wyraźnie lubili spędzać ze sobą czas. Zawsze jej się zdawało, że praca to jest dobre oderwanie od związku – dopóki nie rozpadł się ten z Tomkiem. Może nuda w związku brała się właśnie z oddalenia? I gdyby nalegała na regularny seks, a nie czekała, aż Tomkowi się zachce raz na miesiąc, nie tworzyłaby teraz z Maćkiem patchworkowej rodziny?

Ale dlaczego wracała myślami do Tomka? Czy dlatego, że Maciek wzbudził w niej zazdrość i osłabił tym samym poczucie bezpieczeństwa? Z Tomkiem nigdy się nie bała, ona, praca i gry oraz inwazyjni rodzice to było dla Kapińskiego i tak za dużo. Nigdy nie znalazłby miejsca na kochankę.

A jednak to on wyprowadził się z Katowickiej. I miał już kogoś, kiedy Nina zorientowała się, że jest w ciąży. Zaskoczyło ją to, że okazał się taki przedsiębiorczy, taki szybki, jakby znalazł dziewczynę, kiedy jeszcze byli razem. A jeśli nerdowaty Tomek przygruchał sobie kogoś na boku, to co dopiero zadbany prokurator. Zaczęło jej się robić gorąco na wspomnienie ostatniej rozmowy.

– Muszę pojechać do Gorlic – rzuciła do gospodyni, żeby zmienić temat. Również w swojej głowie.

– Wracasz na obiad? Mamy świeżą jagnięcinę. Zrobię polędwiczki.

Zaburczało jej oczywiście w brzuchu. Wyglądało na to, że zawsze jest głodna na myśl o kuchni Anety.

– A na deser może usmażę naleśniki, otworzę powidła śliwkowe z lata... – kontynuowała zamyślona gospodyni.

– Postaram się – przerwała jej Warwiłow, przełykając ślinę. – A, i przy okazji... rozmawiałam z Władkiem Styczką.

– O proszę. Jak wrażenia?

– Twierdzi, że jego matka jest ślepa. I głucha.

– Ach tak?

– Czy to prawda?

– No, nie pytlujemy na co dzień – rzuciła Aneta w zamyśleniu. – Jeśli jej syn tak mówi... Ale że kombo od razu? Głuchota i ślepotą? Ona nie jest taka stara.

– Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałaś?

– W ogóle nie rozmawiamy.

Zapadła niezręczna cisza. Czy wiedziała, że Rafał opowiadał Ninie o kupnie ziemi? W tym małżeństwie to Aneta wydawała się cieplejszą, a jednocześnie bardziej dyskretną osobą.

– Władek Styczko mógł kłamać? – zapytała Warwiłow.

– Czemu?

– Ukłoniłam jej się później. Z drogi. I odpowiedziała mi.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– W takim razie nie rozumiem.

– Ja też. Wyobrażam sobie dwie możliwości.

– Że matce nie chce się z nim gadać? – Aneta okazała się domyślna.

– Tak.

– Nie byłabym zdziwiona. Halina miała ciężkie życie z mężczyznami i może powiedzieć dość – odparła, uśmiechając się zdawkowo.

– A więc coś o nich wiesz?

– Głównie z opowieści Rafała, tak naprawdę nigdy dobrze ich nie poznałam. Mieszkamy tak blisko i w ogóle, jednak

w Bukowcach jest wyraźny podział. My i Wojtek, czyli nowi, a po drugiej stronie Styczkowie i Irka. I myśmy nigdy się nie zintegrowali.

– Nie jesteś z tych stron?

– Jestem. Ale wyszłam za Rafała, więc taka jakby obca. W Bukowcach wliczam się do przyjezdnych. Razem z moim mężem i Wojtkiem.

– Oraz Joanną – podrzuciła Warwiłow.

– Oczywiście. Joanną również.

Zapadła cisza.

– A druga możliwość? – zapytała Aneta.

– Słucham?

– Wspominałaś o drugiej możliwości.

– No, to logiczne, czy nie?

– Nie dla mnie Nina, przykro mi. Nie jestem bystra.

– Och, jesteś. W każdym razie, jeśli Styczko tak powiedział, to może po prostu nie chciał, żeby z jego matką ktoś gadał.

Zapadła cisza.

– To ma sens – powiedziała powoli Aneta. – Ale dlaczego?

– Może stara coś wie. I Styczko się boi, że ktoś z nią pogada.

– Tylko co?

– Nie mam pojęcia. Ale myślę, że warto byłoby kiedyś z Halinką porozmawiać. Może pójdzie mi lepiej niż z Ireną Drybak... – rzuciła w zamyśleniu. – Dobra, na mnie już naprawdę czas.

Wstała, pożegnała się, a już w drzwiach odwróciła do gospodyni, która sprzątała ze stolika.

– Władek wspomniał o jakimś Nicińskim. Podobno pracował dla Joanny. Styczko mówił, że mętny facet.

– Sam za to jest wiarygodny – zaśmiała się Aneta. – Nie znam gościa zbyt dobrze. Mieli chyba jakiś zatarg z Joanną.

– Gdzie mieszka?

– Wydaje mi, że pierwszy dom za mostkiem w Odwieży. Z niemalowanej cegły, jeden z tych brzydkich.

Ostatnia uwaga okazała się trafna. W latach siedemdziesiątych XX wieku dokonął się gwałt na architekturze wiejskiej, porównywalny z budową bloków z wielkiej płyty w miastach. Jak



Polska długa i szeroka niczym grzyby po deszczu powstawały kwadratowe ceglane klocki. W przeciwieństwie do domu Joanny Pascho te budynki cechowała solidność: wyglądały, jakby miały szpeciść polską wieś jeszcze przez setki lat.

Poza plebanią, która przypominała ranczo amerykańskiego króla bydła, Odwieź nie wyróżniała się na tym tle pozytywnie. Zaś klocek Nicińskiego był chyba najbrzydszy z możliwych, choć położony w ładnym miejscu: na podwyższeniu, tuż za brudną, brunatną rzeczką.

Zaparkowała na poboczu i wspięła się kilkanaście metrów utwardzoną drogą, zbyt stromą dla jej toyoty.

Gospodarstwo nie miało ogrodzenia ani budynku gospodarczego, pod dziurawą plandeką stał tam tylko samochód na flakach. Jedna szyba w oknie domu była zasłonięta szmatą. Warwiłow załomotała w drzwi, poczekała, spróbowała ponownie. Bez efektu.

Uchyliła cuchnącą benzyną tkaninę i zajrzała do środka. Nikogo tam nie było, a wewnątrz prezentowało się jak wzorcowa melina.

Trochę żałowała, że nie dysponowała czasem na dalsze oględziny. Nie miała pojęcia, do której w piątki w Gorlicach pracują notariusze.

Wiesława Popielewiczka zastała jeszcze w kancelarii. Notariusz robił wrażenie: schludny, miły i profesjonalny. A także bardzo niepomocny.

– Niestety nie mogę pani pomóc w tej materii – wyrecytował już trzeci raz, wciąż bez cienia irytacji czy zmęczenia. Tak jakby mógł to robić przez cały dzień.

Siedzieli w jego bardzo obszernym i zaskakująco gustownie urządzonej biurze. Dwa niezłe beskidzkie pejzaże, zapewne dzieła miejscowego artysty, zdobiły ścianę między półkami uginającymi się pod szeregami kodeksów. Popielewicz miał w swoim gabinecie wygodne kanapy dla klientów; nic przyjemniejszego niż pozbywać się nieruchomości w takich warunkach.

Przed nią stał podłużny stolik kawowy ze szklanym blatem i tylko tej kawy brakowało. Nie zaproponował. Profesjonalista.

– Pa... – zaczęła.

– Pozwoli pani, że wreszcie jej przerwę. – Był wciąż nienagannie uprzejmy, ale bardziej stanowczy. – Dlatego że zostało nam dziś jeszcze trochę pracy w kancelarii. Nie mogę i tyle. Obowiązuje mnie tajemnica notarialna. A czy prowadzi pani działania w porozumieniu z nadkomisarzem Karpiukiem?

Przeklęła w duchu to miasto.

– Nie, ale...

– W takim razie tym bardziej nie mamy o czym rozmawiać.

– Dlaczego tak pan tego strzeże?

– Bo obowiązuje mnie prawo. A tajemnica jest taka sama dla Michała Karpiuka, dla pani i kobiety z kiosku naprzeciwko. Powtórzę jeszcze raz, bo może mówię niewyraźnie: nie udzielię żadnych informacji dotyczących nieruchomości położonej pod adresem Bukowce 4, gmina Odwież, powiat gorlicki.

– Ale coś pan wie?

– Tego też nie mogę wyjawiać.

Lewa noga obuta w całkiem przyzwoitego oxforda zaczęła tupać o drewnianą klepkę. Wydając dekoncentrujące odgłosy, z których pewnie świetnie zdawał sobie sprawę, notariusz patrzył na Warwiłow przenikliwie. Pieprzona mafia prawnicza czyniła więcej szkód niż dobra; od dawna tak sądziła.

– To może być sprawa życia i śmierci. Joanna Pascho...

– Naturalnie wiem o zaginięciu pani Pascho – zaznaczył notariusz. – Oglądam wiadomości, czytam gazety i pokładam ogromną nadzieję i wiarę w tym, że się odnajdzie. Ale nie wiem, jaki związek ma pani pytanie z zaginięciem Joanny Pascho. W przedmiotowej sprawie robię, co do mnie należy, ustawowo. Może wszyscy powinniśmy.

– Księgi wieczyste...

– To jest poza moim zakresem – wszedł jej w słowo notariusz. – Naprawdę nie chcę pani stąd wypraszać. Ale nie chcę też kłótni z żoną, że spóźniłem się na kolację.

Musiała oddać sprawiedliwość Gorlicom. Kiedy trzeba było coś szybko załatwić, wielką zaletą tego miasta okazywały się małe odległości.

I całe szczęście, że Popielewicz podał jej adres domu Joanny. W zasadzie nigdy sama go nie sprawdziła i mogło to ją kosztować opóźnienie. Wciąż jednak nie знаła numeru księgi wieczystej.

Z premedytacją zrezygnowała z wizyty w Wydziale Geodezji, Kartografii i Katastru. Jak wszystko inne w tym mieście, co miało znaczenie, urząd mieścił się na 11 Listopada. Na szmatę i na podstawie adresu mogliby jej tutaj podać numer księgi wieczystej... Albo i nie. Zrobiliby problemy, a może powiadomili Karpiuka. Jeśli nawet w miejskiej bibliotece nie była przed tym bezpieczna, to co dopiero w urzędzie, kilkaset metrów od samej komendy.

Dlatego po krótkim namyśle skierowała się prosto do sądu. I tu istniało ryzyko, że gorlicka mafia urzędnicza się skomunikuje, ale była też szansa, że Warwiłow zdąży przedtem wszystko załatwić.

Wydział Ksiąg Wieczystych mieścił się na ulicy Bieckiej, przecinającej 11 Listopada; jakiś wandal naruszył powagę sądu, bazgrząc na budynku napis „Jebać Grybów”.

Od 2010 roku policja mogła sprawdzać księgę nawet po adresie. Po dwóch latach przerwy jej hasła nie miały prawa działać, nie była pewna, czy może ich używać i z pewnością nie dysponowała czasem, aby to sprawdzić.

Sąd sprawiał wrażenie opustoszałego, jak to w piątek po południu. I nie robili jej wielkich problemów z uzyskaniem dostępu do akt, kiedy odpowiednio władczym gestem pokazała odznakę komisarza. Wszystko to nie zmieniło faktu, że w księdze wieczyste domu Joanny nie znalazła tego, czego szukała.

Widniało tam małżeństwo Teodora i Krystyny Wańczyków. Tyle. Zerknęła na zegarek. Dochodziła już trzecia.

– Przepraszam bardzo – zagadnęła urzędniczkę w okienku. – Mam problem z rozczytaniem księgi.

– Tak?

– Brakuje tu co najmniej jednej osoby. O, tutaj – podsunęła jej odpis – jest wymienione małżeństwo. Zmarli około dwudziestu lat temu. I koniec. Księga jest niekompletna. W tym roku nieruchomości została sprzedana.

– Jest pani pewna?

– Co to znaczy?

– No, po to właśnie są księgi wieczyste – pouczyła ją kobieta. – Na tym to polega, że powinny odzwierciedlać rzeczywisty stan prawny.

– Jestem tego świadoma. Ci ludzie nie żyją.

– Na pewno?

Zanim zdążyła się odciąć, Warwiłow uświadomiła sobie, że urzędniczka ma w zasadzie rację. Skąd niby wiedziała, że nie żyją? Tylko z relacji innych ludzi. Wańczykowie nie byliby przecież tacy starzy, skoro ich córka urodziła się w siedemdziesiątym szóstym albo siódmym.

– Z tego wynika, że państwo Wańczyk mogą być wciąż właścicielami nieruchomości – oznajmiła kobieta.

– To niemożliwe, rozmawiałam z notariuszem... – zaczęła Warwiłow i nagle przerwała. Popielewicz nic takiego jej nie powiedział.

Znalazła wizytówkę, uznała, że obsługiwał transakcję sprzedaży

domu Wańczyków, ale on tego nigdy nie potwierdził.

– Okej, założmy jednak, że ci państwo nie żyją i ziemię odziedziczyła ich córka – powiedziała.

– Założenie? – Urzędniczka zerknęła na zegarek. – Ja rozumiem, że państwo w policji macie hipotezy śledcze. Ale tu jest sąd... a ja nawet nie jestem sędzią. I dorad nie udzielam.

– Czy gdyby tak jednak było, że odziedziczyła – ciągnęła Warwiłow – to córkę bezwzględnie ujawniono by w księdze?

– Niekoniecznie.

– Jak to?

– Kiedy, pani zdaniem, zmarli ci Wańczykowie?

– Przed dziewięćdziesiątym szóstym. Dlaczego pani pyta?

– Od 2009 roku można stwierdzić nabycie praw do spadku u notariusza, ale jeśli ci ludzie zmarli w latach dziewięćdziesiątych, musiała zostać przeprowadzona rozprawa. Po wydaniu orzeczenia przesyła się informację do wydziału ksiąg wieczystych. Sądy nagminnie jednak tego nie robiły i nie robią.

– Czyli...

– Czyli tak, mogło dojść do nabycia spadku nawet kilkanaście lat temu i ten fakt nie został odnotowany w księdze nieruchomości, o której pani mówi.

– Dlatego, że nie poinformował o tym sąd.

– Dokładnie tak – odparła zadowolona urzędniczka.

– Założmy jednak, że we wrześniu tego roku doszło do sprzedaży domu Wańczyków.

– To znowu hipote... – zaczęła kobieta, ale Warwiłow bez pardonowo weszła jej w słowo.

– Proszę odpowiadać na pytania – warknęła. – Czy notariusz nie ma obowiązku przesłania aktu notarialnego w celu odnotowania tego faktu w księdze wieczystej?

Urzędniczka wyglądała na trochę urażoną, ale i przestraszoną tym pokazem siły, jakby dopiero przypomniała sobie, że rozmawia z komisarz policji.

– Ma – odparła. – Trzy dni. I w przeciwieństwie do sądów notariusze realizują swoje obowiązki względem ksiąg wieczystych.

- Zatem jeśli tutaj nic nie znalazłam...
- Tak, to oznacza, że nie było aktu notarialnego.
- Na sto procent?

– Sto procent nie występuje w przyrodzie, chyba sama pani to wie – powiedziała kobieta, odzyskując nieco rezon. – Ale nie przypominam sobie takiego przypadku. Nie znam notariusza, który by zaryzykował postępowanie niezgodne z przepisami.

Zadzwoniła komórka Warwiłow. Chodkowski. Zdekoncentrowana, wpatrywała się przez chwilę tępo w ekran, po czym odrzuciła połączenie.

- Wróćmy do tej sprawy spadkowej z lat dziewięćdziesiątych.
- Domniemanej sprawy spadkowej, pani komisarz.
- Zakładając, że sąd nie wysłał orzeczenia...
- Informacji – weszła jej w słowo kobieta. Na twarzy miała wypisaną minę typu: „Czego nie rozumiesz?”.
- ...czy jest szansa na odtworzenie tej luki? – dokończyła Warwiłow.

– To już z danym sądem trzeba rozmawiać. Ja pani teraz na pewno nie pomogę. – Urzędniczka rozłożyła ręce w fałszywym geście niemocy. – Ale niech pani lepiej przygotuje się na drogę przez mękę.

Warwiłow wyszła z Wydziału Ksiąg Wieczystych w tak kiepskim nastroju, że wstąpiła do cukierni i zanim to przemyślała, kupiła i zjadła ogromnego pączka z konfiturą. Tym razem, o dziwo, trafiła w dziesiątkę. Pączek okazał się soczysty, delikatny, a różanej marmolady było w środku tyle, że mało nie ubrudziła sobie nią kurtki. Błyskawicznie podskoczył jej cukier, lecz tego właśnie potrzebowała.

O ile to nie gigantyczny przypadek, ktoś włożył dużo trudu w ukrycie swojej tożsamości. Ale właściwie dlaczego?

Przypomniała sobie o Chodkowskim.

- Co masz? – zapytała, kiedy starszy aspirant odebrał telefon.
- W tym rzecz. Nic.
- To też jest jakaś informacja.
- Zawsze mi to powtarzałaś.
- Perspektywy?

– Daj mi czas do poniedziałku – powiedział. – Starannie zatarła za sobą ślady. Ostatnie informacje o Adriannie Wańczyk, urodzonej w siedemdziesiątym siódmym, mam z lat dziewięćdziesiątych.

– To wtedy, kiedy się urodziłeś?

– Ha, ha. Coś ci wesoło, szefie. Jakież postępy?

– Nie. To śmiech przez łzy – odparła. – Dobra, w takim razie, jeszcze jedna sprawa... tym razem łatwiejsza.

Usiłowała wyczuć przez telefon nastrój Chodkowskiego. Czy już przegięła pałę?

– Tak? – Jego głos brzmiał kojąco jak zawsze. Może starszy aspirant przekazał podczas poprzedniej rozmowy wszystko, co mu leżało na sercu.

Wzięła oddech.

– Joanna Pascho – powiedziała.

Cisza.

– To ta, co zaginęła?

– Bystrzak.

– Co potrzebujesz?

– Wszystko. Kim była i co robiła aż do momentu, kiedy przyjechała do Bukowców.

Rozłączyła się. Nie chciała zdradzić się przed Chodkowskim z tkwiącym w jej głowie podejrzeniem. Choćby dlatego, żeby niczego mu nie zasugerować.

Musiała skonfrontować swoją hipotezę z człowiekiem, który miał w tym wszystkim interes. Prywatę. Nawet jeśli nie miała na takie spotkanie najmniejszej ochoty.

Gorlicka komenda z zewnątrz przypominała nowoczesny biurowiec, ale w środku wyglądała jak każda inna w tym kraju. No prawie, bo w przeciwieństwie do warszawskich jednostek w hallu nie było ludzi. Nikt nie czekał na złożenie doniesienia. U niej na Pradze brakowałyby o tej porze wolnych krzeseł, a czekania było na dwie godziny.

O co chodziło z tymi Gorlicami?

Ale tak właśnie mówili gliniarze, których okrutny los zesłał do Warszawy z mniejszych miast. Że na prowincji jest sto razy lepiej. Że mniej roboty. Że wychodzą o czasie. Że było tak pięknie, a w Warszawie piekło.

Może w mniejszych społecznościach, gdzie wszyscy się znali, wykrywalność mieli wyższą? Bo działała taka naturalna prewencja?

Myślała o tym, kiedy dyżurny, a pewnie raczej nadkomisarz Karpiuk kazał jej czekać. A także o tym, że właśnie teraz, gdzieś w Warszawie, były i obecny chłopak przekazują sobie Miłę. Jak to Maciek powiedział? „Worek ziemniaków”? Brutalnie utkwilo jej to w głowie. Do tej pory sama siebie pozytywnie zaskakiwała jako matka. Najpierw tym, że nie spanikowała i urodziła. Potem tym, że nie uciekała w pracę czy cokolwiek innego, będąc przy małej. Tak po prostu.

Jasne, aktywowały się hormony. I nie była z tym wszystkim sama. Ale dopóki wrzeszcząca, trzykilowa Mila Kapińska nie pojawiła się na świecie, Nina nie miała pojęcia, jak rozstrzygnie się ta walka.

I tak było przez ponad rok. A teraz telefon milczał; pewnie nawet nie wiedzieli, że jest w zasięgu. Załatwili to za jej plecami. Jak mężczyźni? A ona niby uciekła – jak kto? Jak kobieta? A co, jeśli Maciek ma rację, jeśli Mila będzie to pamiętać, te zmiany, przejścia, nowe twarze i rwącą niestabilność?

Spojrzała na iPhone'a. Milczał. Ona, która wydała dziecko na



świat, była teraz tą niedojrzałą i zasłużyła na takie właśnie milczące traktowanie.

Chwilę po wpół do czwartej z komendy wylał się tłumek funkcjonariuszy. Niektórzy patrzyli na nią z zaciekawieniem. O ile by ono wzrosło, gdyby wiedzieli, kim jest? Ilu w końcu było w Gorlicach komisarzy? I jeszcze z dochodzeniówki?

A może niektórzy wiedzieli? Różnili się wyglądem ci gorliccy gliniarze od stołecznych – zamiast ziemistej i zmiętej cery palacza mieli rumiane i zazwyczaj wypoczęte twarze.

Z wyjątkiem Karpiuka, który w końcu ją przyjął. Ten, choć przystojny, zawsze wyglądał, jakby noc spędził w trabancie. A może na jej widok tak źle się prezentował. Za to gabinet załatwił sobie wyborowy: przestronny, z nowymi meblami i kanapą dla gości, niemal równie fajny jak u Popielewicza. Zza otwartego okna dochodził tylko lekki szmer ulicy.

Dłużej zawiesiła spojrzenie na zdjęciu kilkunastoletniego chłopca. To musiał być Kuba. Chciała podejść, obejrzeć z bliska, ale Karpiuk na to nie pozwolił.

– Czego pani potrzeba, Warwiłow? – zapytał stanowczo. – Miałem nadzieję, że już pani nie zobaczę. Płoną. I w sam raz się pani wpycha. Kraków się zjawił, będzie prawie komplet. Jeszcze jakby ktoś z Trójmiasta wpadł, i ze Śląska...

– Nadkomisarzu – zaczęła – pan nie ma czasu i ja również. Dotarłam do czegoś... niepokojącego. To dotyczy też pana. Chciałam pogadać. Inaczej się nie da.

Wpatrywał się w nią, stojąc nad biurkiem. Wielkie pięści zbierały, tam gdzie dociskał je do blatu.

– Zaczęłabym od Joanny Pascho. Tak, to moja przyjaciółka. Tak, przyjechałam ją odnaleźć. I nie, niewiele o niej wiem.

Karpiuk machnął ręką, odrywając jedną dłoń od biurka.

– Warwiłow, co to za popisy erystyczne!

– Za to dotarłam do historii wypadku Ady Wańczyk i pana syna. Przykro mi, to musiało być dla was straszne.

Nadkomisarz poczerwieniał, ale wiedziała, że nie może pozwolić mu sobie przerwać.

– Nie jestem tu po to, żeby rozgrzebywać przeszłość. Ponad

potrzebę. Ada Wańczyk została wcześniej osierocona. W którym roku, dokładnie nie wiem, ale w momencie wypadku miała dziewiętnaście lat...

– Warwiłow. – Karpiuk syknął jak wąż i zamilkł. Był już czerwiejszy od róży, którą trzymał w wazonie na biurku.

Nie wiedziała, czy nie mówi, bo nie chce, czy nie może. Kontynuowała więc podniesionym głosem, w razie gdyby zamierzał jej przerwać.

– Poznała pana syna. Zakochali się w sobie, Kuba pomagał Adzie remontować dom rodzinny. Napili się u przyjaciół. W Bukowcach mieli wypadek... Potem Kuba łąduje w szpitalu. A Ada Wańczyk znika. Tak? Podobno kochała Bukowce, tam był jej dom, jej miejsce na świecie. Nie sprzedała go przez te wszystkie lata, nic o tym nie wiemy. I oto osiemnaście lat później pojawia się Joanna Pascho, kobieta przed czterdziestką. Kupuje posiadłość. Remontuje dom. Ktoś ją obserwuje, czuje się prześladowana. I ginie.

Karpiuk opadł teraz ciężko na fotel, który żałośnie zaskrzypiał pod stukilowym na oko ciężarem. Przypatrywała się z niepokojem, bo nadkomisarz wyglądał, jakby miał zawał.

– Odwiedziłam notariusza i Wydział Ksiąg Wieczystych. Sprzedawca domu Wańczyków starannie się ukrył. Po co? Dlaczego Ada Wańczyk, jeśli to była ona, zadałaby sobie tyle trudu? Co nas sprowadza do samego wypadku. Tu niestety mam luki.

Nadkomisarz wreszcie chyba doszedł do siebie.

– I niech tak zostanie – powiedział zaskakująco spokojnym głosem.

– Nie, bo to ma znaczenie dla sprawy.

– Warwiłow, do czego dążysz?

– Według księgi wieczystej dom nigdy nie został sprzedany. Nie wiadomo również, kto go odziedziczył po śmierci Teodora i Krystyny Wańczyków. Nie wiadomo, na jakiej podstawie Joanna weszła w jego posiadanie. Bo wypisu aktu notarialnego w księdze nie ma.

– Więc?

– Z premedytacją albo w wyniku błędu sąd nie wysłał do ksiąg wieczystych informacji o spadkobranium, a potem notariusz aktu notarialnego kupna domu przez Joannę. Potencjalnie dwie, zupełnie niezależne od siebie instytucje, obie zobowiązane ustawowo.

– To się zdarza.

– Oczywiście. Tylko trochę za dużo tu przypadków.

Karpiuk wbił w nią spojrzenie, a potem roześmiał się. Długo i trochę pokracznie, jakby wypuszczał z siebie szybko powietrze.

– Niewiele wiem o Joannie, o jej życiu w Warszawie – przyznała. – Nie wiem, czy ktokolwiek wie. Nie należała do towarzyskich. I z pewnością nie znam jej przeszłości.

– Warwiłow, do rzeczy – warknął.

Spojrzała na niego uważnie. Aktorem Karpiuk był albo żadnym, albo rewelacyjnym. Czekwała.

– Na Boga... – rzucił. – Jest piątek.

Usta miał wykrzywione w grymasie, ale oczy mu się nie śmiały.

– Tak. Piątek. Wszyscy chcą odpocząć, napić się i w spokoju obejrzeć Superkino na TVN-ie – powiedziała. – I ja też czegoś chcę: odpowiedzi na pytanie, o czym pan właściwie rozmawiał z Joanną Pascho. 11 listopada, tu, na ulicy 11 Listopada, panie nadkomisarzu.

Karpiuk odwrócił się i zamknął okno. Zrobiło się niemal idealnie cicho.

– To nie twoja pierdolona sprawa.

Nie zbił jej z tropu. Wychowała się i dorosła w praskiej komendzie. Właściwie to dopiero teraz poczuła się jak ryba w wodzie.

– To mnie ciekawi. Chwilę później Joanna Pascho zniknęła.

– A może uciekła?

– Właśnie. Dlaczego miałyby to robić?

Zapadła cisza. Odgłos syreny przebił się przez zamknięte okno. Gdzieś bliżej, w budynku i chyba piętro niżej, ktoś się wydzierał. A może tylko śmiał? Karpiuk wciąż milczał.

– Dość już tego – warknął w końcu. – Żona czeka na mnie w domu, a Całkiewicz chciał jeszcze porozmawiać. Ale to już

naprawdę nie jest twoja sprawa. Takiej pyskaczki jeszcze w służbie nie spotkałem. Wyjdź, koniec rozmowy.

Nie zdeprymowało jej takie zakończenie spotkania. Wręcz przeciwnie, jeśli intuicja jej nie zawodziła, Warwiłow do czegoś właśnie doszła. Korytarz na piętrze, gdzie mieścił się wydział kryminalny, wiał pustkami, ale z jednego pokoju dobiegał stukot; z szybkością światła pisano tam na klawiaturze.

Drzwi do pokoju były otwarte – dobry znak w każdej organizacji – a za biurkiem siedziała Kasia Wartoń. Ktoś musiał w końcu odwalić papierki za Karpiuka. Warwiłow nie wyobrażała sobie, żeby tymi mięsistymi paluchami nadkomisarz sam wystukiwał raporty.

Wartoń zerknęła na nią i skrzywiła usta. Twarz aspirantki nabrała wyrazu nieodgadnionego.

– Komisarz Warwiłow – rzuciła.

Nina wsunęła się szybko do środka. Niby tylko niechący przymknęła drzwi. Nie wiedziała, ile ma czasu. Karpiuk powiedział, że będzie gadać z Całkiewiczem. Twarzą w twarz? Przez telefon? Czy wpadnie jeszcze wydać ostatnie polecenia przed weekendem tej swojej seksownej podwładnej? Albo po prostu pożegnać się? Czy też, jak należy, pójdzie prosto do żony, zapewne starszej i mniej ekscytującej niż Wartoń?

Rzykowała, ale właściwie niewiele. Z nadkomisarzem i tak miała już przechłapanie.

– To pani ją wtedy przyjęła na posterunku, prawda? 11 listopada?

– Ja? Kogo? – Wartoń odwróciła się do niej na krześle. Na jej młodej twarzy Warwiłow dostrzegła tygodniowe znużenie. Nic dziwnego, jeśli aspirantka musiała sprzątać odchody grybza biurokracji.

– Joannę Pascho.

– Nie! Przecież mieliśmy święto. Dlaczego pani pyta?

Warwiłow uznała, że musi iść na całość. Wartoń była aspirantką. Warwiłow, choćby i na urlopie, komisarzem z Warszawy. Nie musiała odpowiadać na pytania niższej rangą funkcjonariuszki.

– No, ale przecież jest dyżurny?

– Tak. Jednak szef czasami zgłasza się sam. Nie lubi siedzieć w domu w święta. – Wartoń zarumieniała się. – Przepraszam. Tak naprawdę nie wiem dlaczego, ale zdarza się, że wtedy pracuje.

– Chwila – powiedziała Warwiłow, oglądając się za siebie, bo zdawało jej się, że słyszy kroki na korytarzu. Odgłosy zaraz ucichły. – Czyli z iloma funkcjonariuszami miała do czynienia Joanna Pascho tego dnia?

– Z iloma? – Aspirantka zaśmiała się. – Nie wiem, czy mówimy o liczbie mnogiej. U nas 11 listopada przebiega spokojnie, ale po tych rozruchach w innych miastach przeważnie wysyłamy ludzi na ulice... Więc tak naprawdę myślę, że nadkomisarz mógł przyjąć panią Pascho osobiście.

– Był...

– Tak, był wtedy w dyżurce. Ale nie rozumiem, czemu pani o to pyta. – Wartoń sprawiała wrażenie zaniepokojonej. I sama zerknęła na drzwi; wgapiła się w nie przez chwilę, wyraźnie zdziwiona, że są przymknięte.

– Czy jest możliwe, że Joanna Pascho miała do czynienia tylko z nadkomisarzem Karpiukiem... że nikt poza nim jej tu nie widział?

Wartoń nie wyglądała teraz dobrze.

– Wolałabym skonsultować tę rozmowę z nadkomisarzem – powiedziała.

– Nie, myślę, że nie ma takiej potrzeby. Życzę udanego weekendu – rzuciła Warwiłow, wychodząc.

I tego samego życzyła sobie.

W piątek wieczorem w Korze rozpoczynało się imprezowanie, co jej nie zachwyciło. Ale argument był nie do odparcia.

– Rocznicą – wyjaśniła Aneta. – Okrągła.

– Czy...

– Zgadza się. Dziesiąta. – Gospodyni ładnie się zarumieniła. – Tak że bardzo cię przepraszam. Listopad jest najlepszym miesiącem... Nie spodziewaliśmy się teraz żadnych gości. Planowaliśmy to od dawna.

– Ty planowałeś – rzucił Rafał, dokładając do pieca w kominku.

– On tak tylko gada – powiedziała teatralnym szeptem Aneta. – Niemal co wieczór rozmawiamy o przyjęciu.

– Bo to okazja do napitki!

– Nie za dobrze umyłeś dziś uszy? Daj babom porozmawiać w spokoju.

Rafał zarechotał, ale posłusznie wyszedł. Kiedy jego żona była w pobliżu, gospodarz stawał się znacznie mniej rozmowny.

– W każdym razie dziś i jutro wpadnie kilka osób – powiedziała Aneta. – Ale postaramy się nie hałasować. To znaczy wiesz, w granicach rozsądku.

– Mam stopery.

– Dobrze, może trochę pomogą. – Gospodyni nie wyglądała na przekonaną. – Oczywiście jesteś zaproszona. Wpadną głównie lokalni znajomi. Szkoda tylko, że Konrad z Mary nie mogli zostać. Przygotowałam też kilka niespodzianek kulinarnych. Chodź, pokażę ci.

W kuchni wyjęła z piecyka blachę, na której leżała tarta z grzybami.

– Ale nie są świeże? – zapytała nieufnie Warwiłow.

– Są! Mary zebrała przed wyjazdem. Zielonki i podgrzybki.

– W listopadzie?

– Zgadza się. Przymrozki na początku listopada musiały podziać na grzybnę wzrostowo, zamiast ją wymrozić. Podobno

była tego masa, nawet do czapki nazbierała. Mam nadzieję, że jej nie przewiało. Trochę ususzyłam, zamarynowałam, a reszta jest tutaj. Chcesz spróbować?

– Nie będę psuć takiej pięknej potrawy...

– Upiekłam jeszcze jedną.

– Dziękuję. Ale tak naprawdę nie jadam grzybów. Estetycznie nie mogę ich znieść. Jakiś uraz z dzieciństwa.

– Ojej, bardzo mi przykro.

– Mnie nie.

– Jeszcze chciałam ich użyć do kiszeniaków. Jak chcesz, zrobię dwa rodzaje, drugi bez grzybów dla ciebie.

– Przepraszam, do czego?

– Do kiszeniaków.

– Co to?

– Gołąbki! Po łemkowsku, z kiszonki. Trzymam w piwnicy beczkę z całymimi głowami.

– Oczywiście – zaśmiała się Warwiłow. – Pozwolisz, że jeśli wybuchnie III wojna światowa i zapanuje głód, to wprowadzę się do ciebie z córką? I mężem?

Właśnie. Tak nazywała Maćka przy ludziach. Co ciekawe, wcześniej nie określała w ten sposób Tomka, tak jakby po urodzeniu dziecka i przed czterdziestką nie wypadało już mieć „chłopaka”.

– Oj weź, gotowanie mnie odpręża – odparła Aneta. – Co mam tutaj robić?

– Ale skąd znasz te wszystkie miejscowe potrawy? I kuchnię łemkowską?

– Z domu.

– Jak to?

– Moja mama była Łemkinią.

– Nie miałam pojęcia, Aneta. Rafał opowiadał...

– Wszystko, co Rafał wie, wie ode mnie – ucięła Aneta ze śmiechem – ale zgrywa wielkiego eksperta od Łemków.

– Poczekaj – rzuciła Warwiłow. – Najpierw to Wojtek opowiadał mi o dwóch rodzinach, Drybakach i Hawryszach. I o tym, jak wrócili po latach. A Rafał uzupełnił, że Styczkowa

wystąpiła o zwrot ziemi, ale tutaj już zdążyła się osiedlić polska rodzina.

– No i taka jest właśnie wiedza mojego męża. – Gospodyni pokiwała głową. – Ale i tak go kocham.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś „wystąpiła”. Gdzie niby?

– To znaczy nie pamiętam, co powiedział dokładnie...

– Myślisz, że ktoś im tę ziemię oddawał? – weszła jej w słowo Aneta. – Że mojej rodzinie też ktoś ziemię oddał? Nie, Nina, wtedy było tylko jedno wyjście.

– Jakie?

– Kupić!

– Co masz na myśli?

– Odkupić w zasadzie. Moja rodzina też musiała tak zrobić. W tym celu sprzedaliśmy działkę pod Lubinem. Bo tam nas przesiedlono.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „nas”?

– Moich dziadków. Odkupili własną ziemię. I tak samo musiała zrobić Halinka Styczko w pięćdziesiątym siódmym, wtedy, kiedy mogła już wrócić. I to nie jest tak, że w latach pięćdziesiątych Łemków witano z otwartymi ramionami. Nikt formalnie nie odwołał przesiedleń ani akcji „Wisła”. To były powroty tylnymi drzwiami.

– Nie rozumiem. Skoro Łemkowie otrzymali pieniądze ze sprzedaży ziemi, nie powinni domagać się zwrotu.

– Co ty! – Aneta zaśmiała się gorzko. – Jakie pieniądze? To nie XXI wiek. Zabrano nam ziemię, ot tak.

– Bez żadnej rekompensaty?

– Żadnej. To była brutalnie przeprowadzona akcja, zdarzały się i podpalenia, i gwałty.

– To skąd Łemkowie mieli później pieniądze na wykup?

– Ci, którzy dotrwali do akcji „Wisła”, zostali przesiedleni na Ziemię Odzyskane, z naszych okolic głównie na Dolny Śląsk. Tam, tak jak moja rodzina, dostawali jakąś działeczkę i mogli to później spieniężyć. Tak zapewne zrobili Drybacy.

– Rafał o tym wspominał, ale jednego nie rozumiem. Dlaczego



Hawryszów przesiedlono już w czterdziestym piątym, a Drybacy pozostali aż do akcji „Wisła”? To był jakiś system, jakiś parytet?

– Zamierzali wyrzucić stąd wszystkich, ale Drybacy się schowali. Tak słyszałam.

– Gdzie?

– Zawsze byli półdżicy i poszli do szałasów w lesie. To się zdarzało. W trakcie pierwszych przesiedleń władzom nie udało się zupełnie wyczyścić tych terenów.

– Nie szukali ich?

– Drybaków? Lasy tutaj są gęste.

– Mimo wszystko.

– Oni mogli nawet na Słowację zawędrować, bo tam również Łemkowie żyli. Poza tym działała tutaj partyzantka UPA, wojskowym nie paliło się, żeby wchodzić między drzewa.

– Mimo to Drybacy nie przetrwali akcji „Wisła”.

– Nie. Może wrócili do domu za wcześnie albo zgarnęli ich wopiści. Do wiosek wkroczyło wtedy wojsko polskie wsparte radzieckim, a i polscy mieszkańcy pomagali w wysiedleniach. Mimo wszystko Drybacy mieli trochę lepiej, że zostali przetrzuceni już nie na Ukrainę, ale do Polski.

– A Hawryszowie?

– Od dawna siedzieli w kołchozach ukraińskich.

Zapadła cisza.

– Nie dostali tam ziemi?

– Skąd. Tak nam wmawiano, ale to były kłamstwa. Łemkowie nie są zresztą Ukraińcami, tylko osobną nacją z własnym językiem i kulturą. Widzisz, Nina, takie to były czasy: jeszcze przed akcją „Wisła” wysiedlono nas z naszej ziemi, skierowano do praktycznie obcego kraju i wpakowano do kołchozu.

– Czyli jeśli Łemków nie zmuszono do sprzedaży ziemi...

– Władza przekazała Wańczykom ziemię za darmo, Nina – przerwała jej Aneta. – Władza ukradła Drybakom i Hawryszom i dała Wańczykom. Tak samo było w mojej wsi, a tutaj osiedlano między innymi Polaków z Wołynia.

– Czyli Wańczycy otrzymali ziemię Drybaków i Hawryszów za darmo, a potem oni musieli odkupić od nich swoją ojcowiznę?

– Dokładnie tak.

– Drybacy mogli kupić za to, co otrzymali na Ziemiach Odzyskanych. A Hawryszowie?

– Hawryszów już nie było.

– To znaczy Halina Styczko z mężem?

– Nie mam pojęcia. Romek był nafciarz, to pewnie na to po prostu zarobił.

Cisza. Wojtek twierdził, że Halina Styczko nienawidzi Wańczyków, bo otworzyli wieś na świat. Tymczasem polska władza zabrała ich ziemię i oddała polskim osadnikom. Nigdy nie zwróciła.

– A rodzice Haliny? Rafał mówił, że zostali.

– Tak. Tylko ona mogła dostać papiery jako żona Polaka. Hawryszowie zmarli tam pewnie, w kołchozie. W nędzy. To były nieciekawe czasy, Nina. Na Łemkach dokonana się zbrodnia. Tylko dlatego, że nie byliśmy Polakami.

Cisza.

– Przykro mi – powiedziała w końcu Warwiłow.

– Ja tego oczywiście nie pamiętam. Nawet moja matka urodziła się po wszystkim.

– Jednak musiało cię to jakoś dotknąć.

Aneta ledwo zauważalnie kiwnęła głową. Zapadła cisza i Warwiłow miała wrażenie, że gospodyni chętnie zmieniałaby już temat. To było trochę tak, jakby ona, Nina, zaczęła mówić o wyrzuceniu Aleksandra Siergiejewicza z policji na początku lat dziewięćdziesiątych. Nieszczęście kładzie się cieniem na całej rodzinie, niezależnie od tego, kogo dokładnie zmieliła historia. Czytała kiedyś, że trauma utrzymuje się nawet w trzecim pokoleniu od zdarzenia będącego jej źródłem.

Poza tym była Anecie wdzięczna. Dlatego, że jedna z bukowieckich tajemnic została właśnie rozwiązana.

Zagadka sprzedaży ziemi, na której stała Kora.

Warwiłow zastanawiała się, co z tego wynika.

– No, ale wracając do kischeniaków, to miałam nadzieję, że trochę cię przekupię jedzeniem. – W głosie Anety zabrzmiała sztuczna wesołość. – W każdym razie goście przyjadą

o dwudziestej. Wszyscy sympatyczni.

– Chyba wzywa mnie książka i łóżko.

– W porządku.

– Ale dziękuję.

– Gdybyśmy jakoś strasznie hałasowali, to... wiesz, gdzie nas szukać. Nie krępuj się. Jesteś teraz naszym najważniejszym gościem.

Hałasowali. A bardzo potrzebowała snu. Kilka razy zerknęła na drzwi, zaniepokojona, czy któryś z drących się na dole facetów nie pomyli pokoju. W końcu zasnęła. Kiedy obudziła się o szóstej rano, panowała już cisza. Była w miarę wyspana, ale czuła się niewyraźnie. Przegrzebała torbę w poszukiwaniu magicznej chemii na przeziębienie. Poza dropsami na gardło znalazła tylko apap. Takie sobie remedium, ale i tak wzięła dwie tabletki.

W jadalni leżało kilka ciał. Może powinna sprawdzić im tętno. W końcu jedli kiszeniaki oraz tartę z listopadowymi grzybami. Jeden ostatni kawałeczek został na stole, który przypominał pobojowisko. Niepodobne było do Anety, że nie uprzątnęła wszystkiego przed snem. Warwiłow zrobiła sobie kawę w kuchni, zaniósła na górę i zapaliła do niej elektronicznego papierosa. Czekwała. Po ósmej wciąż jeszcze panowała cisza. Zeszła na dół i przemknęła do auta.

Zjechała warnickimi spiralami do Odwieży, gdzie jeszcze raz spróbowała namierzyć Mariusza Nicińskiego.

Dom był pusty i może sprawdzała niewłaściwy. Albo mężczyzna wyjechał. Jeśli tak, to dlaczego? Powinna go szukać?

Zakłęta w duchu.

W Warszawie kogoś by wysłała. Bez wsparcia czuła się tutaj jak kadłubek. Karpiuk miał pod sobą wydział kryminalny, a w praktyce pewnie mógł korzystać ze wszystkich zasobów gorlickiej komendy. Paweł Całkiewicz przywiózł z Krakowa elitarny zespół. Warwiłow nie miała nikogo, nie licząc telefonicznej pomocy Chodkowskiego. Z której do tej pory niewiele wynikało. Może zresztą źle rozczytała aspiranta i wcale nie zamierzał wspierać jej krucjaty. Nie mogłaby mieć mu tego za złe.

Pierwszy raz w karierze musiała rozwiązać sprawę solo.

Pół godziny później parkowała samochód w pobliżu komendy na 11 Listopada.

Co ryzykowała, udając się tam dzisiaj? Karpiuk może i pracował w święta, ale przecież nie w każdy weekend. Chociaż ten był szczególnie ze względu na obecność Całkiewicza i rozgrzebane śledztwo. Ale sam podinspektor powiedział, że zamierza korzystać z piękna przyrody, jakkolwiek nierealnie to zabrzmiało.

Czy miała jakieś wyjście? Instynktu psa gończego Warwiłow nie mogła już wyłączyć. Pokonanie przeszkody w postaci archiwistki nie okazało się trudne, odznaka i stanowczy ton zadziałały skutecznie na młodą i wyraźnie niepewną funkcjonariuszkę. Komisarz nie gryzły wyrzuty sumienia; za bardzo się śpieszyła.

W gorlickim archiwum panował wzorowy porządek – i nie urządzano takich cyrków jak w stolicy: akta sprawy Jakuba Karpiuka znalazły się dość szybko. Warwiłow przesunęła się w stronę maleńkiego okienka. Widziała przez nie buty przechodzących policjantów. Czytała, raz na jakiś czas robiąc zdjęcia dokumentom.

Wypadek Kuby Karpiuka i Ady Wańczyk miał miejsce 17 lipca 1996 roku. To już wiedziała. Zdjęcia łady nie pozostawiały wiele wątpliwości: samochód nadawał się do kasacji. Na środku dachu pojazdu należącego do Wańczyk widniała wielka dziura.

Mimo to przy ofiarach wypadku niva prezentowała się, jakby niedawno wyjechała z salonu nad Wołgą. Twarzy Jakuba Karpiuka Warwiłow w zasadzie nie potrafiła dostrzec za pajęczyną ran tłuczonych i ciętych. Ada Wańczyk też była mocno zakrwawiona, naprawdę źle wyglądało jednak tylko lewe oko, zapuchnięte jak balon.

Dziewczynę przewieziono do Krakowa, a Kuba w ciężkim stanie pozostał w Gorlicach. Obydwojgu pobrano krew.

Dziewczyna miała dwa i pół promila, a chłopak dwa i osiem dziesiątych.

Kubę przesłuchano: od samego początku twierdził, że prowadził auto. Nie mógł przywołać jednak szczegółów przyjęcia, na którym byli wcześniej z Adą, ani w ogóle kilku dni przed wypadkiem.

Chłopak obstawał przy swoim. Czytając między wierszami akt, Warwiłow odniosła wrażenie, że pracował nad nim jego własny ojciec. Formalnie przesłuchania prowadził jakiś Wrona, ale rozmowa z chłopakiem wielokrotnie nabierała charakteru emocjonalnego i czuła przez skórę, że Michał Karpiuk przesłuchiwał wtedy syna. To by stanowiło oczywiście naruszenie współczesnej procedury karnej, a jeśli faktycznie ukryli coś w aktach, pewnie i procedury z lat dziewięćdziesiątych. Ba, w wyniku błędu czy nonszalancji postać starszego aspiranta Karpiuka dwukrotnie pojawiła się we fragmencie dotyczącym oględzin rozbitej nivy.

Na podstawie notatek policji: samochód należał do Ady Wańczyk, a Kuba nie miał nawet prawa jazdy, choć jeździć potrafił. Był wysoki, a Ada mierzyła sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Tymczasem fotel kierowcy ustawiono dla osoby znacznie niższej niż młody Karpiuk.

Opcja, że doszło do przesunięcia w wyniku wypadku, choć mało prawdopodobna, wciąż wchodziła w grę. Ale pozostawały jeszcze lusterka niedopasowane do wysokiego mężczyzny. A na kierownicy, obok odcisków palców chłopaka, znaleziono odciski Ady. To wszystko starannie odnotowano i policjanci wielokrotnie pytali Kubę o to samo. Argumentowali, że Wańczyk nie straciła przytomności po wypadku, a samochód po dachowaniu stanął na kołach. Dziewczyna mogła opuścić pojazd, a nawet dokonać manewrów w środku. Wzmocnionych adrenaliną sił zachowała na tyle, by wezwać pomoc.

Śledczy wysnuli wniosek, że Ada była w stanie przestawić Kubę na siedzenie kierowcy. Mimo to chłopak konsekwentnie i bez zająknięcia twierdził, że to on prowadził samochód. W efekcie nie dość, że założono mu sprawę karną za jazdę po pijanemu, to jeszcze mógł odpowiedzieć za uszczerbek na zdrowiu Ady Wańczyk, która leczyła się okulistycznie w Krakowie.

Mimo zeznań chłopaka z akt wynikało, że policja nie była przekonana o jego winie. Planowano przesłuchać dziewczynę, kiedy wypuszczą ją ze szpitala.

Następnie w aktach sprawy pojawiła się ponadmiesięczna

wyrwa. A potem skrupulatny archiwista dołączył do nich nową informację.

Zniknięcie Jakuba Karpiuka.

Wpatrywała się teraz w fotografię listu, który chłopak pozostawił rodzicom. Ładną kursywą napisał: „Jutro już nie będę żyć. Wszystko, co mam, zostawcie sobie albo przekażcie na cele charytatywne. Dziękuję wam za opiekę. Kuba”. Dalej znalazła informację o trwających ponad dwa miesiące poszukiwaniach.

I na tym akta się kończyły.

Zamknęła teczkę i zapatrzyła się na parę zgrabnych sztybletów na parkingu policyjnym; ktoś tu występował po cywilnemu.

Warwiłow zamknęła oczy. W archiwum panowała niemal idealna cisza. Sprzyjała rozmyślaniom.

Wobec tak zdecydowanych zeznań chłopaka prokurator nie znalazł podstaw do kontynuowania śledztwa. A może Karpiuk nie okazał się wystarczająco uparty? Zbyt zajęty szukaniem syna? Czegoś tu brakowało. Czemu Karpiuk porzucił sprawę? Popadł w depresję po zniknięciu Kuby? Stracił wiarę?

Jeśli wrócił z Krakowa, to oznaczało, że przedtem nie przebywał na stałe przy rodzinie. A chłopak miał ledwie siedemnaście lat. Wiek, w którym jeszcze potrzebuje się rodziców. Wiek, w którym łatwo pobłądzić. A rozbijanie się po pijaku samochodem ze starszą dziewczyną...

Do specjalistów od wychowania Warwiłow nie należała, ale coś takiego można było chyba nazwać zaniedbaniem. Jeśli tak, przyniosło straszne skutki. Czy Karpiuk mógł się później obwiniać? Że przedłożył karierę nad rodzinę? Czy mógł tego żałować?

I o czym, do cholery, rozmawiał z Joanną Pascho 11 listopada? Bardzo chciałyby się dobrać do zapisu tej rozmowy.

Po opuszczeniu archiwum Warwiłow podjechała do cukierni. Udało jej się tym razem powstrzymać przed zjedzeniem ciastka z kremem. Za to w przepływie dobroci (a może potrzeby akceptacji?) zamówiła karton tych pysznych gorlickich pączków dla kacowiczów w Korze. Przynajmniej raz chciała zrewanżować się Anecie za jej wspaniałą, choć nielegalnie kaloryczną kuchnię.

Jakim cudem Rafał wyglądał wciąż tak dobrze?

– Dwadzieścia. Nie, trzydzieści – poprosiła, przypominając sobie, ile ciał widziała w Korze.

Zapłacała. Z drzwiami wejściowymi poradziła sobie, popychając je stopą. A na zewnątrz chwilę marudziła przy aucie, które było koszmarnie brudne. Powinna pojechać do myjni. Dach toyoty niemal zmienił kolor na biały; ostrzelany kupami, jakby zaatakowała go zorganizowana ptasia eskadra. Jedno, że wstyd, a dwa, że powinna bardziej dbać o lakier. Na zakup nowego samochodu jej portfel był teraz zdecydowanie za cienki.

– Może pomóc? – usłyszała.

Koło niej przystanął facet z dreadami. Wyglądał jak krzepki emerytowany Zack de la Rocha. Tylko w spojrzeniu brakowało mu energii frontmana Rage Against the Machine. Oczy miał przygaszone, wręcz smutne.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– Potrzymam.

Wręczyła mu karton, wyjęła kluczyki z torebki i otworzyła auto.

– Zgłodniała pani? – zapytał.

– Nie... to dla znajomych – powiedziała.

Umieściła pączki na tylnym siedzeniu toyoty.

– Mają szczęście – rzucił facet.

– Proszę?

– Tutaj są najlepsze pączki w Gorlicach.

– Serio? Nie miałam pojęcia. – Zastanawiała się, jak przerwać rozmowę. Zaniepokoiła się, że gość zaprosi ją na kawę. Przykro spuścić na drzewo kogoś, kto okazał ci pomoc. No chyba że ta pomoc od początku nie była bezinteresowna.

– Tak. Najlepsze – powtórzył.

– Trafiłam tutaj przypadkowo. – Wzruszyła ramionami.

Facet zagapił się na tablicę rejestracyjną toyoty i nagle jakby posmutniał.

– Warszawskie blachy – zauważył. – Wakacje?

– Można powiedzieć.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– W Bukowcach.



Należało już kończyć rozmowę. Zebrała się w sobie. Zaskakująco słaba była w przypadku subtelnych zaczepek. Co innego, gdyby facet złapał ją za tyłek. Leżałby na ziemi w ułamku sekundy, a w Warszawie mogłaby nawet założyć mu kajdanki i aresztować za molestowanie. Ale ten miał te oczy Kłapouchego i wyglądał samotnie.

– Serio? – zapytał. – W Korze?

– Tak.

– Tam właśnie jadą pączki? – Mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

– Zgadza się. Łowiccy urządzą imprezę. Rocznicę. Zna ich pan? – powiedziała.

– Tylko Rafała, kolega z dawnych lat. Niech pani w takim razie złoży życzenia od Kosmatego.

– A imię?

– Leszek. – Podał jej zniecka rękę.

– Nina Warwiłow – wymamrotała.

Miał w dłoni parę.

– Bywa pan w Bukowcach? – zapytała.

– Leszek, nie żaden pan. Nie, w zasadzie tylko raz byłem. Oczywiście, słyszałem, co się dzieje. Smutna sprawa z tą Joanną Pasko.

– Pascho – poprawiła.

– Tak. Przepraszam. Wyglądała na zmęczoną.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Proszę?

– Joanna wyglądała na zmęczoną – powtórzył. – Wiem, że to o niczym nie świadczy, tak tylko mówię.

– Poznałeś ją? – Postanowiła również przejść na ty.

Przytaknął.

– Pomagałem na budowie.

– Kiedy?

Podrapał się po głowie. Czy mógł dotknąć skóry przez te dredy? Zawsze niepokoiło Ninę, jak się je myje, zaś drapanie kojarzyło jej się z brudem.

– To był któryś piątek – oznajmił.

– Dwa tygodnie temu?

– Może. Chyba tak. Zrobiliśmy wylewkę, bo poprzedni majster nawalił. Nawet chciałem jej znaleźć ekipę do wykończeniówki, ale matka mi się pochorowała, a Joanna zniknęła, no to nie szukałem. Kurczę, mam nadzieję, że się odnajdzie.

– Ja również.

Zamilkli.

– No, na mnie już czas, Nina. Miło było cię poznać – rzucił.

Teraz miała nadzieję, że poprosi ją o telefon. Wahał się jednak, może odstraszył go fakt, że przyjechała z Warszawy. A mógł jeszcze okazać się przydatny.

Leszek. Kosmaty, zanotowała w głowie. Wystarczy, z pewnością Łowiczy mieli jego namiary.

– Tak. Do zobaczenia, Leszek. I dziękuję!

Już w drodze do Bukowców zadzwoniła z samochodu do Maćka.

– Jak sobie radzicie? – zapytała.

– Och, świetnie. – Ton głosu prokurator miał zdecydowanie przystępniejszy niż podczas ostatniej rozmowy. – Zjedliśmy śniadanie, a potem poczytaliśmy.

– Zrozumiała coś?

– Zdziwiłabyś się. I byliśmy w kawiarni. Zamawiam kawę; patrzę, a Milka otwiera sobie drzwi i wychodzi na zewnątrz.

– Ale wróciła? – upewniła się Warwiłow.

– Z moją pomocą. Przez te kilka dni stała się dwa razy bardziej ruchliwa. Nie, nie, teraz nigdzie nie idziemy, koteczku – usłyszała, jak gada do Mili. I zrobiło jej się ciepło gdzieś w okolicach brzucha. Jelit, tam ponoć mieszkały emocje.

Mila niemal od zawsze wspinała się na wszystko, na co się dało. Na czworakach miała jeszcze ograniczone możliwości, lecz kiedy tylko nauczyła się chodzić, kilka razy dziennie obijała sobie głowę. Wystarczyła sekunda nieuwagi. Na początku Warwiłow chciała z małą jeździć do szpitala, z czasem zupełnie się wyluzowała. Wyłączenie na ulicę samopas stanowiło jednak zupełnie nowe wyzwanie.

– Jak ze śledztwem? – zapytał prokurator.

– Zrobiło się tutaj gęsto. Dołączyli kryminalni z Krakowa.

– To może już czas na ciebie?

Wiedziała, do czego pije. Weekend skończy się i Mila będzie musiała wrócić do Tomka. Stassbergowe hasło „worek ziemniaków” z każdym dniem zyskiwało na wiarygodności.

– Jeszcze chwila, Maciek.

– Jak wrócisz, Nina, musimy pogadać... – powiedział.

– O czym?

– Nie przez telefon.

Zamknęła oczy. W gardle pojawił jej się kamyk. Prokurator brzmiał przyjaźnie, ale to niczego nie dowodziło.

Dlaczego teraz? Wyjechała niecały tydzień temu. Dlaczego faceci byli tacy popieprzeni, a zarazem tak potrzebni do życia? Może powinna przestawić się na kobiety.

– Maciek... O co chodzi?

Nie usłyszała odpowiedzi. Zbliżała się do Odwieży, gdzie tradycyjnie zaczęła gubić zasięg.

– Nie słyszę cię. Zadzwoń ze stacjonarnego. Wrócę jak najszybciej, kocham was.

Cisza, która jej odpowiedziała, mogła być efektem ostatecznej utraty zasięgu, tak samo jak zerwania połączenia przez prokuratora.

Zastanawiała się chwilę nad tym wszystkim: żadne straszne słowa nie padły. A że chciał z nią „pogadać”... Ten wyraz stanowił dość jasny klucz, ale nie mogła poddawać się panice. W gruncie rzeczy powinna być zadowolona: Maciek spędzał weekend z małą, a nie jakąś siksą z biura.

Zastanowiła się, czy nie tego właśnie prokurator potrzebował: własnego dziecka. Czy nie szukał już sobie materiału na matkę, w której mógłby umościć swoje całkiem niezłe geny. Nic nie stało na przeszkodzie: prokurator Maciej Stassberg wkroczył w wiek nazywany przez Amerykanów *Father Time*. Miał pewną pracę. I związek, tak? Nie rozmawiali o tym, było przecież za wcześnie, ale wołała nie przegapić momentu, kiedy z kolei stanie się za późno.

Chciała zatrzymać Maćka przy sobie. Nie miała zaś pewności, czy chce dać mu dziecko. Czy w ogóle pragnie więcej dzieci, a jeśli

tak, czy chce, aby pochodziły od innych ojców. Czy ma miejsce na kogoś poza Miłą.

Na myśl o córce zakłuło ją serce. Zapragnęła powąchać małą, dotknąć tego paska skóry między piąstką a przegubem, który sprawiał, że dłonie małych dzieci wyglądają jak rękawiczki. Przytulić się do jej gorących pleców i zasnąć. Nic lepszego na świecie nie wymyślono.

Przed wjazdem na przełęcz w porę przypomniawszy sobie, że Aneta poprosiła ją przez telefon o małe zakupy. Kupiła kawę, chleb i trochę sera, a także dwie tabletki gorzkiej alpen gold – dla siebie.

Ze sklepem sąsiedował bar o wdzięcznej nazwie Potoczek. Na tarasie w kurtce z kapturem obszytym sztucznym futerkiem stała szczupła trzydziestolatka. Opierała się o barierkę, a drugą ręką obsługiwała smartfona. W przelotnym spojrzeniu, które dziewczyna rzuciła Warwiłowi, komisarz dostrzegła wyraz tęsknoty, już po chwili przesłoniętej maską znudzenia.

Dziewczyna odwróciła się i weszła do Potoczka; komisarz zdawało się, że słyszy dochodzący z lokalu gwar.

Była sobota. Z takich dokładnie miejsc, tylko położonych na Pradze, regularnie wyciągała swojego ojca.

Tęskniła jak diabli za Miłą. Prokurator chciał, żeby wróciła, potrzebował jej na miejscu. Tak samo jak pogrążony w alzheimera Aleksander Siergiejewicz. Wpadała na Białostocką dwa razy w tygodniu. To oznaczało, że miała już dwie wizyty w plecy, a zapijaczony i coraz bardziej schorowany ojciec mógł już wyzionąć ducha. Musiała wracać.

Na podwórzu Kory wciąż stały obce auta: balanga trwała. Wyjęła pączki. W środku pensjonatu spodziewała się Sodomy i Gomory. Było jednak cicho i pusto; Anety w kuchni nie zastała, przy laptopie nad kubkiem herbaty siedział za to Rafał. Oczy miał zapuchnięte, ale ogólnie wyglądał całkiem nieźle.

– Gdzie reszta? – zapytała, kładąc karton z pączkami na stole.

– Spacer kacobójczy.

– A ty?

– Stosuję inne metody.

Spojrzała podejrzliwie na kubek herbaty.

– Pączki? – zapytał Rafał.

– Tak! Przywiozłam dla wszystkich.

– O rany, dzięki.

– Nie ma za co.

– Ile jesteście ci winni?

– To prezent.

– Nie musiałaś.

– Chciałam.

– No to jeszcze raz dziękować, Nina.

– Poznałam waszego kolegę.

– Gdzie?

– Przy samochodzie. Leszek.

– Leszek? Kosmański? Taki z dredami?

– Tak.

– Myślałem, że wrócił już do Norwegii.

– Wspomniał, że matka choruje.

– A więc jasne – zaśmiał się gospodarz. – Pewnie choruje, żeby Kosmaty nie wyjeżdżał. Nie mówiłaś o imprezie?

Poznał prawdę po wyrazie jej twarzy.

– Nie zaprosiliśmy go – westchnął. – No trudno, nie twoja wina. Jak to jest, że musiałaś spotkać akurat tego.

– Wybacz. Może jeszcze zdążysz?

– Trochę nie jestem dziś w formie do tłumaczenia się. Zajrzyj wieczorem, Nina, szykuje się dobra końcówka. Mam nadzieję, że nie było wczoraj zbyt głośno?

– Było w porządku – skłamała.

Czuła się niewyraźnie, dłuższą chwilę leżała w łóżku na wznak. Chwilę rozważała za i przeciw kolejnego posunięcia. A potem próbowała się połapać, jakie tak naprawdę ma intencje. Ostatecznie jednak to był ostatni moment na przedsiębiorczość. I mogła zrobić sobie przy okazji prezent w postaci nowego doświadczenia.

Buty pozostawione przy kominku prawie zupełnie już wyschły. Gorzej działało się z gardłem i nosem: po ostatnim spacerze czuła tam nieprzyjemną wilgoć. Jak mogła zapomnieć o aptece, będąc w Gorlicach?

Wsunęła do ust ostatnią z pastylek, a chusteczki do kieszeni, po czym wyszła na zewnątrz. Całkewicz miał rację. Pogoda była dzisiaj pokazowa, najlepsza od początku pobytu w górach: słoneczna z lekkim tylko zachmurzeniem.

Sprzyjała odważnym posunięciom.

Wojtek był zdziwiony, ale nie tak bardzo.

– Obstawiałem, że nie przyjdiesz – powiedział.

– Dlaczego?

– Czy ja wiem? Że nie będziesz miała jaj?

Uśmiechnęła się.

– Tak mnie oceniłeś?

– Nie. Wtedy w ogóle bym cię nie prosił. Ale do rzeczy. Nie chcę marnować twojego czasu. Napijesz się czegoś na start?

– Dziękuję.

– Okej, to zapraszam do pracowni.

– Albo, poczekaj, zmieniłam zdanie.

Zachmurzył się.

– Tak szybko rezygnujesz?

– Nie chodzi o to. Napiję się.

– Typowa baba – zaśmiał się. – Czego ci nalać?

– Jak będziesz tak szowinistycznie przemawiał, naprawdę sobie pójdę. Coś na rozgrzanie. Nie masz może koniaku?

Miał, oczywiście, w tym swoim fantastycznym barku. Sam nalał sobie czystej whisky, wypili niemal w milczeniu, nie przeszkadzało jej to.

– Dobra, jestem gotowa – oznajmiła.

Mógł posprzątać w pracowni. Tutejszy kurz nie pomógł i tak jej już trochę zajętym zatokom. Na starcie kichnęła soczyście. A potem jeszcze raz.

Wojtek zajęty był wybieraniem bloczku drewna spomiędzy słupków stojących w rzędzie pod ścianą.

– Sam je przygotowujesz? – zapytała, żeby zabić ciszę.

– Zamawiam – rzucił, trochę zamyślony.

– Jakie to drzewo?

– Lipa.

Spojrzała na piłę motorową w kącie. Rękawice, okulary ochronne, dłuta i szereg narzędzi, których nawet nie umiała nazwać. Nagle się przeraziła.

– Nie będziesz teraz tego ciął? Nie obraż się, ale trochę tu kurzu. A ja i tak jestem podziębiona. Zabijesz mnie.

– Nie, patrzę tylko, który się nada. Ale dzisiaj cię naszkicuję. Dopiero potem powstaniesz z tego oto materiału. – Wskazał na zgrabny, mniej więcej półtorametrowy kawałek drewna. – Cieszysz się? Zostaniesz uwieczniona.

– Żeby potem stać w domu jakiegoś biznesmena? – zaniepokoiła się.

– To się jeszcze okaże – zachichotał. – Jeśli chcesz, uzgodnimy później.

– Tak, zdecydowanie wolałabym autoryzować tę rzeźbę.

Wyszczrzył zęby, ale nie odpowiedział. Podobał jej się przy pracy, milczący i skupiony. Z pozycji, w której siedziała, widziała jego długie rzęsy, mógłby nimi zamiatać podłogę. Wyglądał teraz wręcz chłopięco. Ile mógł mieć lat? Osłonięte ramiona też nie były ramionami człowieka nawet w średnim wieku. Gdyby obciął tę paskudną siwą brodę i trochę kłaków na głowie, mógłby się odmłodzić co najmniej o dekadę.

Wyjął szkicownik i zajął miejsce.

– Dobra, zaczynamy.

– To wszystko? Mam tak normalnie siedzieć?

– Owszem. Tylko nie gadaj proszę.

Nawet regularnie chodząc na jogę i rozmaite warsztaty, Warwiłow nie zgłębiła medytacji. Po kilku spektakularnych porażkach z anapaną odpuściła to sobie w ogóle. Zdecydowanie lepiej uwalniała napięcie, oglądając skandynawskie seriale kryminalne.

Trudno przychodziło jej teraz wysiedzieć przy milczącym Wojtku. Ponadto zmarzła, tkwiąc tak bez ruchu. W pracowni nie wypatrzyła żadnego ogrzewania. Zaczęła się kręcić, żeby odrobinę rozruszać ciało.

Rzeźbiarz dostrzegł to, bo odłożył szkic.

– Dobra, mała przerwa. Papieros? – zaproponował.

– Nie, ale wyjdę z tobą.

Na zewnątrz było cieplej niż w środku. Chętnie poprosiłaby o jeszcze jeden kieliszek koniaku, ale po ostatnim nie chciała wyjść na alkoholicką.

Wojtek kurzył w milczeniu, myślami chyba przebywając gdzie indziej. Po wypaleniu po prostu wstał i wszedł do pracowni, zostawiając otwarte drzwi. Podążyła za nim, dziwnie posłusznie jak na siebie. Jak do tej pory Nina nudziła się, poza tym było jej zimno i martwiła się, czy nie zachoruje.

Wojtek podszedł i delikatnie ustawił jej plecy.

– Chciałbym, żebyś teraz się rozebrała – oświadczył, uciekając spojrzeniem.

– Jest zimno – powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy. Pociągnęła nosem, by to uwiarygodnić.

Rzeźbiarz zanurkował gdzieś między bloczkami drewna i wyciągnął stary, porzewiały grzejnik elektryczny.

– Wam, mieszcuchom, zawsze piździ – powiedział. – Może zadziała.

– Ty coś robisz, a ja tylko siedzę – odcięła się.

Sprzęt wydał z siebie serię gardłowych odgłosów, ale lampka w końcu się zapaliła.

– Trochę to chyba potrwa, zanim się rozgrzeje – zauważyła Nina.



– Niedługo kończymy. Wytrzymasz?

Złapał ją w pułapkę, zawsze była ambitna. Nieokazywanie słabości stanowiło jej drugą naturę; przeklęła rzeźbiarza w duchu.

Poza tym spodziewała się tego. Zdjęła sweter, ręce momentalnie pokryła gęsia skórka.

– Cała – powiedział.

Zdjęła koszulkę, a potem stanik. Spojrzała na Wojtkę, ale nie reagował. Wcale na nią nie patrzył, poprawiając coś na szkicu. W zasadzie nie bardzo wiedziała, co robi, rozbierając się dla obcego, ewidentnie zdziwaczałego faceta. I jeszcze ją olewał. Żeby mu zrobić na przekór, przestała. Dopiero wtedy na nią zerknął.

– Dół też – dodał cicho.

Zsunęła z siebie dzinsy, a potem majtki. Usiadła na drewnianym stołku, licząc, że nie ma w nim drzazg. Czuła się lekka. Wojtek kiwnął głową, unikając jej spojrzenia, a potem zajął pozycję naprzeciwko.

– Nie zasłonisz okna? – zapytała.

– Tam są drzewa, Styczko się nie wdrapie.

– Nie...

– Nikt cię nie widzi, Nina – wszedł jej w słowo.

Nie mówił prawdy.

I może nie tego pragnęła – może chciała, żeby on ją zobaczył. Nie rozbierała się przed wieloma mężczyznami. Był Tomek, a potem Maciek, zaskakująco, wręcz wkurzająco pruderyjny, choć całkiem dobry w łóżku. Ale komplementy jej prawił takie, że miała ochotę się po nich pochlastać: „Masz ładnie zarysowane barki”, mówił na przykład.

A teraz chciała zobaczyć uznanie w oczach Wojtki.

W ciszy, która zapadła, słyszała, jak skrobał ołówkiem po kartce. Siedziała nieruchomo, aż zastygła. Przestała odczuwać zimno i przez dłuższy czas odnosiła wrażenie, jakby lewitowała. Jakby była kawałkiem materiału, tak jak jej drewniane towarzyszki, zalegające po kątach pracowni. I to było nawet przyjemne.

Wszystko ma jednak swój czas, grzejnik pracował marnie i znowu zaczęło jej się robić zimno. Nie mogła ryzykować przeziębienia, nie w tym momencie.

– Wojtek – powiedziała w końcu. – Może jestem mięczakiem, ale naprawdę marzną.

Przez chwilę myślała, że znowu ją zlekceważy, lecz kiwnął głową.

– To, co mam, prawie mi wystarczy – oznajmił, wstał i zdjął z parapetu kraciasty koc. – Jeszcze chwila, możesz się tym przykryć.

Podszedł do niej, tak blisko, że jej sztywne sutki niemal dotykały jego T-shirtu. Zarzucił na Ninę koc i delikatnie ją nim okrył. Rzeźbiarz pachniał potem pracy, ten pot działał jak afrodyzjak. Niczym przez mgłę docierało do niej teraz, że koc czuć perfumami innej kobiety.

Położyła dłoń na policzku Wojtka. Czuła blizny, jak węzły po ospie, schowane pod tą gęstą szpakowatą brodą. Jego ręka zastygła w powietrzu. Z wahaniem dotknął włosów Niny i zanurzył w nich palce.

Nie wiedziała, ile trwało, zanim się ocknęła.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie mogę.

– Nina – zaczął, ale ona już wróciła do siebie.

– Chcę się ubrać.

Miała nadzieję, że się odwróci, kiedy w pośpiechu nakładała ubranie. Była skołowana, kręciło jej się w głowie i jak przez mgłę słyszała odgłosy jego nerwowej krzątaniny w drugim końcu pracowni.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

– Nie, naprawdę wołałabym iść sama – odparła, a potem zawahała się. – Wojtek... mam nadzieję, że nie zepsułam projektu.

– Przeciwnie. Bardzo ci dziękuję.

– To, co masz, wystarczy?

– Tak myślę.

Nie wiedziała, dlaczego odczuwa wstyd, kiedy wychodziła z pracowni. Dlatego, że się rozebrała? Czy że uciekła? A może, bo

nie dokończyła pozwania?

Tam, w środku, czas chyba stanął, bo na zewnątrz zdążyła zapanować ciemność. Wracała teraz do Kory ostrożnie, przeżywając *déjà vu* swojego ostatniego nocnego spaceru, ale nie oglądała się za siebie. I tak czuła się osłabiona i prawie bezbronna, gdzieś daleko od samej siebie, twardej Niny Warwiłow.

Była niemal pewna, że ma gorączkę. Każde ze starych drzew przy bukoweckiej drodze wydawało jej się przerośniętym człowiekiem. Drżąc na całym ciele, szybkim marszem przechodzącym w bieg dotarła do pensjonatu.

W jadalni było głośno, wręcz wrzaskliwie: ciąg dalszy celebracji. Patrząc po liczbie samochodów, Rafał z Anetą mieli w sobotę jeszcze więcej gości niż w piątek. Wszyscy korzystali z przejezdnych dróg i ostatków niezłej pogody przed nadejściem mdłego grudnia.

Nie zaglądała do jadalni, choć towarzystwo stało na poziomie; gospodarze należeli do lokalnej elity: miksu uciekinierów z dużych miast i gorlickiej inteligencji.

Tak cicho, jak potrafiła, skierowała się prosto do swojego pokoju, weszła w ubraniu pod kołdrę i błyskawicznie pochłonięła ją czarna dziura.

Obudziła się cała mokra. Ktoś na dole żałośnie rzępolił na gitarze; łupało ją w skroniach i najchętniej rozbiłaby muzykowi ten instrument na głowie.

Przebrała się i powstrzymała przed połknięciem apapu, żeby pozwolić organizmowi na podjęcie walki z chorobą. Położyła się do łóżka, ale nie mogła już zasnąć. Gitara przestała w końcu fałszować. Warwiłow miała nadzieję, że to już kres libacji; dla bezpieczeństwa włączyła Aimee Mann w telefonie i puściła ją sobie na słuchawkach.

Mimo wszystko nie zazdrościła gospodarzom trybu życia: siedzieli tu zupełnie sami, a raz na jakiś czas przyjmowali powódź gości. Brakowało w tym wszystkim równowagi.

Kiedy znacznie lepsze rytmy zaczęły rozbrzmiewać jej w uszach, a Aimee pierwszy raz zanuciła *Freeway*, Warwiłow poczuła przypływ energii. Oparła się o wezglowie łóżka. Przez okno widziała powoli wschodzące słońce, z każdą minutą pokój napełniał się światłem.

Wyjęła notatnik i zaczęła spisywać.

Po wypadku w dziewięćdziesiątym szóstym Ada Wańczyk wylądowała w szpitalu. Karpiuk z kolei przerwał karierę w Krakowie, żeby zająć się synem; po powrocie do Gorlic policjant został włączony do śledztwa w sprawie wypadku. Doszedł do wniosku albo podejrzewał, że Kuba kłamie. Chroni swoją dziewczynę. Że to Ada prowadziła i jako mniej poszkodowana zdołała jeszcze po wypadku przesunąć chłopaka na siedzenie kierowcy.

Orzeczona amnezja wsteczna u młodego Karpiuka mogłaby doprowadzić do podważenia jego zeznań. To oznaczałoby dla dziewczyny postawienie w stan oskarżenia za prowadzenie po pijanemu, a przede wszystkim za spowodowanie poważnego uszczerbku na zdrowiu Kuby.

A potem chłopak zostawia list samobójczy i znika.

Poszukiwania nie przynoszą rezultatu. Co to oznacza dla Ady?

Teoretycznie, w najgorszym wypadku, gdyby chłopaka znaleziono martwego, mogłaby zostać oskarżona o zabójstwo. Istniał podobny kazus, co prawda w Wielkiej Brytanii i tam oparty na celowym działaniu sprawcy – chodziło o oblanie kwasem, w którego następstwie ofiara popełniła samobójstwo. Nawet gdyby prokurator nie okazał się tak zawzięty, śmierć Kuby Karpiuka mogłaby sprowadzić na dziewczynę poważne kłopoty.

Wańczyk, ostatnio lecząca się w Krakowie, znika. Jeśli Chodkowski w ciągu dwóch dni nie odnalazł jej śladu, to mogło oznaczać, że zmieniła nazwisko. A może nawet twarz. Ona również była poszkodowana w wypadku, choć dokładniejszych informacji brakowało. W aktach pisano o uszkodzeniu oka. A pozostałe urazy?

W samochodzie latały w końcu ciężkie narzędzia, zaś gdyby Ada Wańczyk faktycznie poddała się serii zabiegów, mogła znacząco zmienić swój wygląd.

Przenosimy się o osiemnaście lat do przodu. W Bukowcach pojawia się Joanna Pascho. Kupuje dom Wańczyków, miejsce, które Ada kochała najbardziej na świecie. Od kogo kupuje?

Od samej siebie?

Czy rzeczywiście nabywa dom? Do tej pory Warwiłow nie znalazła na to dowodów. I notariusz nic nie powiedział. Miała tylko tę jego wizytówkę i intuicję, że maczał w tym wszystkim palce.

Ktoś Joannę obserwuje, czuje się prześladowana. 11 listopada udaje się do Karpiuka. Rozmawia tylko z nim. Poza nadkomisarzem nie ma żadnych świadków tego spotkania.

Joanna wraca do domu. Zostawia samochód na przełęczy, zakłada narty. I ginie. Ciało nigdy nie zostaje odnalezione.

Warwiłow podrapała się palcem po rozpalonym czole. Kręciło jej się w głowie, jakby mogła upaść, leżąc na łóżku. Nie dysponowała jednak czasem na roztkliwienie się nad sobą; wróciła do notatek.

Jeśli nadkomisarz uznał podczas spotkania, że Joanna jest Adą

Wańczyk... jak do tego doszedł? Po wyglądzie? Może istnieje jakiś szczegół, który zna tylko Karpiuk? Warwiłow ledwo dokopała się do sprawy wypadku, on żył nią od lat. To jasne, że wiedział znacznie więcej, na pewno słyszał o kupnie domu Wańczyków; wieści w powiecie szybko się rozchodzą.

Ale minęło tyle lat... Skąd nadkomisarz miałby pewność, że Joanna to Ada? I czy mógł jej coś zrobić? Zaplanować odwet po tylu latach? A może spontanicznie wykorzystać okazję, wyludnione drogi i zniechęcające warunki pogodowe? Czy Karpiuk zdecydował się pojechać za nią, a następnie zamordował Joannę na odcinku między przelęczą a Bukowcami?

Czy to możliwe, świeżo po sprawie Setnika, żeby miała takiego pecha do funkcjonariuszy? Pod mundurem z pagonami był jednak zawsze tylko człowiek; ten miał sporo do ukrycia.

Szkoda, że tak mało o Joannie wiedziała. Niby się znały, gawędziły o przeczytanych książkach, obejrzanych serialach i plotkowały o ludziach z jogi. I co więcej? Warwiłow nie mówiła o swojej pracy, niewiele więcej o sprawach osobistych, a przyjaciółka okazała się jeszcze bardziej skryta. Żyła samotnie, to Warwiłow wiedziała na pewno i nie tylko nie słyszała o facecie Joanny, ale nawet o jej rodzinie.

Skąd w ogóle pochodziła? I jeszcze to dziwne nazwisko.

Warwiłow wróciła myślami do Karpiuka. Nadkomisarz może i nie był najbardziej sympatycznym facetem w Małopolsce, ale nie wyglądał też na fanatyka opanowanego żądzą odwetu... Kto jednak na takiego wyglądał? Z pewnością nie sprawca z ostatniego śledztwa, które prowadziła.

I czy mogła oskarżyć Karpiuka na jego terytorium? Przekonanie do tego prokuratora, który pewnie znał nadkomisarza z piaskownicy, wydawało się komicznie nieprawdopodobne.

Nic konkretnego na niego nie miała i nawet nie była przekonana. Wizualizowała sobie zwalistego policjanta, jak jedzie za Joanną warnickimi serpentynami, czeka – gdzie? – aż Joanna zapnie narty, następnie dogania ją samochodem i zabija.

Co robi z ciałem? Wrzuca do auta i utylizuje, korzystając z bogatego doświadczenia kryminalistycznego, a potem sam

podkłada narty? Dla zmyłki?

No i trup z lasu. Emeryt z Krakowa. Przypadkowa zbieżność czasu i miejsca? Możliwe. Ktoś go jednak zamordował, potencjalnie ktoś z tych okolic. Zbrodnie mogła mieć tło rabunkowe. Czy to samo spotkało Joannę? Ale co w takim razie stało się z jej ciałem?

Jerzego Marka zamordowano we wrześniu albo październiku, pozostawiono go po prostu w lesie. Zbrodni dokonano w pośpiechu i sprawcy niespecjalnie chyba zależało, aby zatrzeć ślady: morderca mógł przecież Marka zakopać i utrudnić wszystkim zadanie. W końcu, tak jak podawał Całkiewicz, nikt nie wiedział, gdzie emeryt zaginął.

Lasy po zaginięciu Joanny przeszukano dokładnie. Ten sam sprawca porzuciłby pewnie zwłoki lekarki, tak jak leżały. Nawet nie miał wielu możliwości, by coś z nimi zrobić. Za zimno, by je zakopać, już nie mówiąc o tym, jaką trudność sprawiał sypiący śnieg... Śnieg, który stanowił jednocześnie barierę przed ludzkim wzrokiem i psim węchem, do pewnego przynajmniej stopnia.

Oslabiona i z ręką na notatniku, musiała przysnąć. Obudził ją hałas na dole, tym razem bardziej mechanicznego pochodzenia. Natarczywy dzwonek telefonu umilkł na chwilę, a potem odpalił na nowo.

– No odbierz, Aneta, dawaj – szeptała do siebie. Staromodny sygnał wbijał się jej w pulsujące bólem skronie niczym rzeźbiarskie dłuto Wojtka.

Chwilę później usłyszała czyjś głos, chyba gospodyni, a potem ożywioną rozmowę. Zawodowo ciekawa, Warwiłow wstała szybko i uchyliła drzwi. Nie słyszała jednak dobrze. Włożyła ciepłe skarpetki oraz swój najgrubszy sweter, bo poranki w Korze bywały chłodne. Następnie zeszła do jadalni.

Aneta w szlafroku rozmawiała przez telefon. Na stole już posprzątano i komisarz żywiła nadzieję, że to koniec celebracji.

Gospodyni wyglądała na podekscytowaną. Spozrzęgała Ninę i dała jej znak dłonią.

– Tak, tak, przekażę, Ninie również. Zgadza się, ona jest komisarzem. Oczywiście, to dla nas wielka ulga – paplała do

słuchawki.

Warwiłow przysiadła na fotelu, wpatrując się w gospodynię jak pies w worek kości. Wieki to trwało, w końcu Aneta pożegnała się i rozłączyła.

– Mają go! – oznajmiła niemal od razu.

– Kogo?

– Mordercę!

– Co?

– Krakowiaki aresztowali Mariusza Nicińskiego.

– Ale co... Jak?

– Niewiele jeszcze wiem, tyle, ile od koleżanki z hotelu, w którym się zatrzymali. Podobno Całkiewicz zostawił tajniaka. Kurczę, nie mogę się doczekać, aż to wszystkim opowiem!

– Gdzie? – usiłowała trzymać wątek Warwiłow. – Gdzie zostawił swojego człowieka?

– W Potoczku.

– Tutaj? W Odwieży?

– Tak. Podobno jeszcze przed swoim przyjazdem. Bo ten tajniak siedział, pił trzy dni z naszymi chłopami, w końcu Niciński sam się wygadał, że zabił Jerzego Marka. Czy jakoś tak.

– Chwila. – Warwiłow znowu zaczęło się kręcić w głowie. – Czemu w barze Potoczek?

– No bo oni zwykle tam siedzą.

– Nie powiedziałaś mi, szukałam faceta w domu i dwa razy pocałowałam klamkę.

– Zapomniałam – powiedziała Aneta. – My tam w ogóle nie bywamy. To świetna wiadomość, Nina! Wszyscy odetchniemy z ulgą. Może wyjaśni się, co spotkało Joannę. To znaczy, wiesz, ja nie mówię, że ona nie żyje, ale... sama rozumiesz.

– Że Niciński i ją zabił.

– No, teraz wszyscy tak uważają w Gorlicach. Mieli zatarg, pracował w lesie... Mógł się na nią zaczaić. – Aneta była wyraźnie ożywiona, a Warwiłow desperacko usiłowała zebrać myśli.

– Muszę jechać do Gorlic – oświadczyła.

– Zjedz przynajmniej śniadanie. Marnie wyglądasz.

– To miłe.



– Oj, nie bierz tego do siebie. A tak w ogóle, jak się bawiłaś u Wojtka?

– Dobrze – odparła zaskoczona, że ktoś jeszcze o tym wiedział. Bo dzisiaj była niemal gotowa uznać wydarzenia poprzedniego wieczoru za sen.

– On tak cię wykończył? – zapytała podejrzliwie Aneta.

– Nie... słuchaj, naprawdę muszę teraz jechać do Gorlic – powiedziała. – Gdzie on się zatrzymał? Całkiewicz?

– Hotel Dumas. Albo szukaj na komendzie. No, ale sama to wiesz najlepiej – zachichotała gospodyni. – Zaraz chyba obudzę Rafała. Pół nocy wczoraj o tym wszystkim rozmawialiśmy. I ilu znajomych, tyle teorii!

Warwiłow nie była szczęśliwa, powracając do gorlickiej komendy, w ostatnich dniach swojego drugiego domu. Jeśli jednak Całkiewicz i jego podwładni nie zwinęli się z podejrzanym do Krakowa, to mogli go przetrzymywać tylko na 11 Listopada. Wściekała się, że nie porozmawiała z Nicińskim sama, a przecież była wczoraj tak blisko. Teraz to będzie tylko zależało od łaski Całkiewicza. Albo i Karpiuka – a wtedy to już w ogóle miałyby przerąbane.

Na policyjnym parkingu stało niepokojąco dużo samochodów. Tak jak i poprzedniego dnia wyjechała już na starcie odznakę i poprosiła, by skierowano ją do Całkiewicza. Wypatrywała z niepokojem Karpiuka. Liczyła na to, że w ogóle go nie zaangażowano: Paweł Całkiewicz był teraz panem sytuacji. O ile się nie pomylił.

Szła za dyżurnym przez nieznaną jej część komendy do pokoju przesłuchań. Sądziła, że Całkiewicz będzie prowadził interwizję osobiście. Ale stał przed weneckim lustrem, spokojny jak Budda, razem z podkomendnym, jednym z tych, z którymi przyjechał w piątek do Kory. Rozglądała się z niepokojem za Karpiukiem, ale nie dostrzegła siwego łba.

– Kochana Wyrpajew! – rzucił Całkiewicz na jej widok, odsuwając się od szyby. Jego człowiek nawet na nią nie spojrział.

– Warwiłow – poprawiła.

– Wiem, wybac mi żarcik. Jestem w szatańskim nastroju. Jak to mówią: *veni, vidi, vici*. A że tak szybko, no, nie sądziłem.

Spojrzała przez szybę na Nicińskiego. Zwykły, żyłasty, łysy facet. Siedział w pokoju przesłuchań, zmęczony i chyba nawet zapuchnięty od picia, jeśli wyobraźnia jej tego nie podsuwała. Naprzeciwko niego zobaczyła dwóch młodych od Całkiewicza. Ci mogliby spokojnie zagrać w CSI Gorlice. A wyglądali świeżo, jakby nie musieli narzekać na łóżka w hotelu Dumas.

Nie zdążyła się jednak napatrzeć, bo podinspektor ujął ją mocno

za ramię i zdecydowanym ruchem skierował w głąb korytarza. Była zła, że daje tak sobą dyrygować.

– Niciński... – zaczęła.

– Moi ludzie wiedzą, co robią – przerwał jej.

Poprowadził ją do pustego pokoju, gdzie stały dwa biurka. Usiadł na jednym. Z satysfakcją odnotowała, że nie dosięgał do podłogi: kolejny karzeł z przerostem ego.

– To wielki komfort móc obserwować z boku. Komfort, który szef zespołu ma nieczęsto. I prawdopodobnie to nie jest taka skomplikowana sprawa, jak się obawiałem – oznajmił.

– Może jeszcze nie wiesz wszystkiego.

– Kto mniej wie, krócej zeznaje – zaśmiał się Całkiewicz. – Wiele z tym roboty nie było. Mój człowiek nadwerżył co prawda wątrobę, ale Niciński sam się przypucował. Wszystko się zgadza. Całe wakacje facet pracował jako pilarz na Warnicy. Zwolnił się z dnia na dzień; nawet ci, co go znali, byli zdziwieni, bo przymykano oko na jego picie i nie robiono mu wielu problemów. Swoją drogą, to zdaje się tutejszy problem u drwali, ale niech Karpiuk się tym zajmuje. Temat w sam raz dla niego – rzucił. – Jeszcze lepiej: przesłuchaliśmy kilku innych z Potoczka. Niciński znalazł się nagle przy forsie. A w lesie mu nie zapłacili, kiedy nagle się zwolnił. Ale jakie to ma wszystko znaczenie? Sam się chłop przyznał.

– Po pijaku.

– Przyznanie to przyznanie. Dla niego zresztą nietrzeźwość to stan codzienny. A te okoliczności odejścia z roboty wzmacniają oskarżenie. Poza tym moi ludzie zaraz wyciągną od niego wszystko inne, nie zdziwię się, jak znajdziemy nawet narzędzie zbrodni. Dalej sprawdzimy DNA i odciski na Marku. Taki geniusz to z Nicińskiego nie jest.

– A Joanna Pascho? Sądzicie, że ją również załatwił? Paweł, jest kilka rzeczy, które powinienes wiedzieć.

– Chętnie usłyszę. Może nawet w jakimś przyjemniejszym miejscu. – Uśmiechnął się szarmancko. – A tak serio, to niewiele nas twoja przyjaciółka obchodzi.

– Nie rozumiem.

– Przykro mi – powiedział Całkiewicz. – Co ty myślisz, że nam w Krakówku roboty brakuje?

– Nie.

– Nie dla Pascho tu przyjechaliśmy.

Uśmiechał się, świadom swojej przewagi.

– To po co? – zapytała. – Wysłowisz się wreszcie?

– Interesował nas facet, który leży w kostnicy.

– Dlaczego?

– Pracował dla rządu.

– Jerzy Marek?

– Powiedzmy. Prawdziwe nazwisko ma inne.

– Kiedy?

– Przed emeryturą – wyjaśnił podinspektor. – Tyle możesz wiedzieć. Jego zaginięcie wzbudziło w pewnych kręgach niepokój. A tu zwykły rabunek. Jak w życiu.

– Paweł... może i Niciński zabił tego Jerzego Marka. Ale sprawa ma drugie dno, niezwiązane z tym człowiekiem.

– Mnie to już nie obchodzi, Nina. A może i ty powinnaś zostawić śledztwo Karpiukowi? Nie jest taki nierozgarnięty, na jakiego wygląda. I przykro mi to mówić, ale sama chyba wyszłaś z formy. Jaka to przerwa? Dwa lata? Wiem, że z ciebie dobry dochodzeniowiec, zasięgnąłem języka, ale może powinnaś wrócić na poligon.

– Rozumiem, że masz priorytety, Paweł. Daj mi jednak porozmawiać z Nicińskim. Remontował dom Joanny.

– Kiedy tu przyjechałaś?

– W poniedziałek wieczorem. – Najeżyła się, przewidując, do czego Całkiewicz zmierza.

– To prawie tydzień. Miałaś trochę tego czasu.

– Paweł...

– Teraz to jest mój podejrzany.

– Czy mogę przynajmniej liczyć, że przekażesz zeznania Nicińskiego, jeśli będą dotyczyły Joanny?

– Tak. Karpiukowi.

– On mi nie powie.

– Wiem. Czym mu tak podpadłaś? Nina, ale tak serio, przecież to

jest jego śledztwo. Ja nie widziałem jeszcze policjanta, który by się tak poświęcał na urlopie. Na głowę upadłaś? Przecież widzę, że jesteś rozsądna dziewczyna.

– To dotyczy mojej przyjaciółki. To nie jest byle jaka sprawa.

– Wróć do normalnej roboty. Może tego potrzebujesz. Odzyskaj formę. Tego ci życzę. I daj lokalnym rozwiązywać lokalne sprawy. Jak na razie rozbijasz się tutaj bezkarnie. Ale to nie będzie trwało wiecznie. Słyszałem, że Karpiuk już jest wkurwiony na ciebie na maksa.

Kiedy wróciła do Bukowców, w Korze było cicho jak w grobie. Nareszcie. Najbardziej ucieszyła się, że przed domem stał już tylko samochód Łowickich.

– Rafał jeszcze nie wstał? – zapytała Anetę w kuchni.

– Odsypia. Ja tak nie potrafię, zrywam się po imprezie po trzech godzinach. Łajdak – mruknęła gospodyni.

Warwiłow usiadła przy stole w kuchni. Odczuwała ten rwący niepokój, jak zawsze, kiedy nie wiedziała, co zrobić. Miała ochotę z kimś pogadać. Aneta zajęła się pichceniem, z piekarnika wydobywały się zapachy cynamonu i jabłek.

– Powoli zabieram się za robienie placków – wyjaśniła gospodyni. – We wtorek Rafał ma urodziny.

– Znowu impreza? – zdziwiła się Warwiłow.

– Nie, bardzo skromnie. Może Wojtek wpadnie i ktoś z mojej rodziny. Zostaniesz do tej pory?

– Nie wiem. Powinam was jakoś poinformować?

– Nie. Chata stoi pusta. Dopiero na andrzejki przyjeżdża większa ekipa. I mam nadzieję, że obejdzie się bez awantury. Te zorganizowane grupy rozrabiają najbardziej. Kiedyś Rafał wywiózł ich w środku nocy na pociąg – zachichotała gospodyni.

– Serio?

– Potem nas zmasakrowali w internecie.

– Przykro mi.

– Taka praca. Twoja też ma pewnie jakieś minusy?

Nawet nie skomentowała.

– Które to urodziny? – zapytała.

– Rafała? „A imię jego czterdzieści i cztery” – wyrecytowała

Aneta, siadając i podając jej kubek herbaty, o którą prosiła. Podziękowała.

– No co ty – rzuciła. – Nie powiedziałabym, że tyle ma.

Siedziały chwilę w ciszy, Warwiłow siorbała rozgrzewającą herbatę malinową. Może Całkiewicz miał rację i nic tu po niej. Krakusy przycisną tego Nicińskiego i facet przyzna się, że zabił Joannę. W końcu te lasy były rozległe i gęste. Może powinna wrócić do Mili i Maćka, znaleźć się tam, gdzie jej miejsce.

Wstała od stołu.

– Idziesz już, Nina? – zapytała Aneta. – Jezu, gdzie ja mam głowę... Był do ciebie telefon.

– Kto? Kiedy? – To musiał być Stassberg. Nie oddzwoniła do niego dzisiaj.

– Tuż przed tym, jak wróciłaś z Gorlic.

A więc to musiało nastąpić, kiedy zgubiła zasięg na Warnicy.

– Jakiś facet – dodała gospodyni. – Zapisałam na karteczce, zostawiłam przy telefonie.

– Mogę skorzystać?

– Jasne.

– Doliczcie mi to do rachunku.

– Daj spokój – mruknęła Aneta. – To nie lata dziewięćdziesiąte.

Na kartce było napisane „Chotkowski”. Przez „t”, w każdym razie na pewno nie Stassberg. Nie musiała posiłkować się notatką Anety, numer aspiranta miała w głowie.

– Nina – odebrał po pierwszym sygnale i już wiedziała, że coś znalazł.

– Namierzyłeś ją?

– Kogo?

– No, Adę!

– Nie, jeszcze nie.

Rozczarowanie. Choć to miało sens, może Ada Wańczyk już nie istniała. Warwiłow była bliska odwołania zlecenia.

– Ale mam coś innego – odezwał się starszy aspirant. – Odnosnie twojej przyjaciółki, tak jak prosiłaś. Coś bardzo ciekawego. Pomyślałam, że pójde tropem zawodowym. Cudem dotarłem w weekend do kobiety z dziekanatu Uniwersytetu

Medycznego.

– Tak?

– Przykro mi to powiedzieć, ale twoja przyjaciółka mogła być fałszerką.

– Fałszerką?

– Tak.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli poważne oszustwo. Nigdy nie skończyła studiów medycznych.

Tego się nie spodziewała. Usiłowała zebrać rozpetzłe myśli.

– Czyli... praktykowała w Gorlicach na lewo?

– Na to wygląda. I nie tylko w Gorlicach, rzecz jasna. W Warszawie też, i to chyba kilkanaście lat.

– Przecież to niemożliwe. – Usiłowała obalić tę teorię. – Joanna pracowała w dużej klinice.

– A kto ją tam sprawdzał! Pokazała kiedyś fałszywkę i tyle. Myślisz, że w sieciówkach medycznych tak dokładnie to weryfikują na bieżąco? Gdzieś tam zaległo w kadrach i tyle. Zresztą potem się zwolniła, nie?

– Tak. Bo przeniosła się w góry. Nie, poczekaj. – Warwiłow myślała na głos. – Jej klinika miała zostać przejęta przez większą.

– Może z dokładniejszą biurokracją. Kto wie, jakiej jakości była ta jej fałszywka sprzed lat.

– Założyła tu prywatny gabinet.

– W Gorlicach nie musieli weryfikować dokumentów. Jeśli to nie jest jakaś chirurgia, czy choćby i ginekologia, to kogo to interesuje? Ale, Nina, nie to było najlepsze w tej rozmowie. Baba się mnie pyta, czy już złożono skargę.

– Dlaczego?

– No właśnie, zbiła mnie tym z tropu. No to pytam, o co chodzi. A ona, że chciałyby wiedzieć, bo uczelnia też powinna podjąć odpowiednie kroki, poczynając od poinformowania izby lekarskiej, ale nie chciałyby tego robić bez porozumienia z policją.

– Poczekaj. Dopiero się z nią skontaktowałeś.

– No właśnie. Więc mówię, że musimy się zastanowić. A ona na

to: „To już dwa tygodnie. Przecież Joanna Pascho popełniła przestępstwo”. Ja na to: „Jakie dwa tygodnie?”. „To pan nie dzwoni od tego człowieka?” „Jakiego człowieka?” Ona mówi, że pogrzebie w notesie. Chwilę to trwało. I wiesz co, Nina? Nie byłem pierwszym, który dowiedział się o braku dyplomu. Dwa tygodnie temu ktoś już rozmawiał z dziekanatem. I wiedział, że Pascho nie ma papierów.

Zatrzymała oddech. Znała już odpowiedź.

– Michał Karpiuk – dokończył Chodkowski. – To nie ten facet z Gorlic?

– Ten – odparła głucho.

– W takim razie dziwne, że ci o tym nie wspomniał.



Kiedyś niedziela była dla Karpiuka najbardziej paskudnym dniem tygodnia. Do kościoła nie chodził. Nie stracił wiary do cna, ale zawiódł się.

Zakupy spożywcze wolał robić w tygodniu. Po zaginięciu Kuby i zakończeniu oficjalnych poszukiwań przez jakiś czas przemierzał jeszcze co weekend szlaki turystyczne koło Gorlic. Aż do pewnego niedzielnego poranka, kiedy jak zawsze założył buty turystyczne, a do plecaka zapakował kurtkę przeciwdeszczową i wodę.

Jednak nie mógł ruszyć się z krzesła.

Potem, wraz z regresem samopoczucia Eli, nastąpiła ta godna zapomnienia era, kiedy czterdzieści osiem weekendowych godzin stało się dla Karpiuka piekłem za życia. Czterdzieści osiem długich godzin do zagospodarowania w każdy weekend.

Szukał zapomnienia w pracy. Nie zawsze jednak mógł się w niej ukryć. Znalazł więc sobie pożyteczne hobby, z czasem nawet coś więcej. Od kilku lat nadkomisarz żył równoległe życiem kogoś innego. W weekendy Karpiuk zmieniał się w Bronisława Świeykowskiego, księdza oraz burmistrza Gorlic w latach 1914–1918, którego biogram opracowywał. Biogram ten miał być jednocześnie panoramicznym studium bitwy pod Gorlicami oraz sytuacji miasta przed I wojną światową i po niej. Walki przetoczyły się przez Gorlice jak walec, niszcząc ich zabudowę i hamując rozwój na lata. W wyniku bitwy prężne i od półwiecza już powiatowe miasto, kolebka przemysłu naftowego, skazane zostało na los zaścianka.

Czasem Karpiuk czuł się Gorlicami w pigułce.

Miał nadzieję, że po napisaniu uruchomi swoje lokalne kontakty. Jego nazwisko coś tutaj znaczyło. Ale może wydanie książki nie było kluczowe, Karpiuk nie łaknął sławy. Sama praca odrywała go od rzeczywistości. Braki warsztatowe i ciężkie pióro nadrabiał drobiazgową weryfikacją detali. Im głębiej zanurzał się

w rok 1915, tym większą satysfakcję czerpał z procesu pisania i tym bardziej odrywał się od rzeczywistości.

Dlatego dopiero po kilku minutach dotarło do niego, że ktoś dzwoni do drzwi. Zezłościł się na sąsiadkę, która nachodziła ich już nawet w weekend, jakby co godzinę musiała sprawdzać, czy Lusia jeszcze żyje, czy Karpiuk nareszcie jest wdowcem. Choćby miał spędzić lata sam jak palec, nie chciał wiązać się z tą babą. Czas już nadszedł na uświadomienie jej, że nie ma na co liczyć. Obiady dla Lusi mógł zamówić u kogoś innego, mało to było w Gorlicach kucharek? A gotowce w Lidlu i Biedronce smakowały już coraz lepiej.

Ela, jak zawsze, drzemiała, a może raczej leżała bez ruchu w sypialni. Zszedł na dół w bojowym nastroju, pobudzony intensywną pracą. Otworzył drzwi. To nie była sąsiadka.

– Michał.

Tak Całkiewicz zwracał się do Karpiuka po przyjeździe. Niech będzie, miał teraz wyższy stopień.

– Wejdz – rzucił.

Zaproponował mu krzesło przy stole w kuchni, ale nic do picia. Sam usiadł naprzeciwko. Nie płakał ze wzruszenia na widok podinspektora. W piątek minęli się, bo Całkiewicz działał w terenie, a Karpiuk nie szukał jego towarzystwa i wyszedł z pracy o czasie. Powinien podporządkować się wyższemu stopniem oficerowi z komendy wojewódzkiej, ale w zasadzie miał to gdzieś.

– Dzwoniłem... – zaczął Całkiewicz

– Wiem – przerwał mu Karpiuk.

– Wiesz, że...

– Tak.

– Jak?

– To moje miasto, nie zapominaj, Paweł. Nie muszę wisieć na telefonie, żeby wiedzieć, żeście zgarnęli podejrzanego, ani grać na komendę na sygnale. Jerzy Marek – podniósł głos, żeby Całkiewicz mu nie przerwał – mnie nie interesuje. Zwłaszcza kiedy interesuje Kraków.

– Rozumiem.

– I niewiele mnie obchodzi dlaczego. Sam widzisz, Paweł... wbrew pozorom nie mamy wspólnych interesów.

Całkiewicz zaśmiał się.

– Zmieniłeś się, Michał.

– Dwadzieścia lat temu dostałbyś po pysku za tego Michała.

– Zmieniłeś się – kontynuował podinspektor – ale myślisz, że wokół ciebie wszystko stoi w bezruchu. I twoje metody też są skostniałe. Gość siedział pod twoim nosem.

– Przyszedłeś tutaj się chwalić? Wiesz, gdzie są drzwi.

– To mogło mnie dotknąć dwadzieścia lat temu – wyszczerzył się Całkiewicz.

– Ale teraz jesteś już policjantem z granitu? Z metra ciętym Brudnym Harrym? W porządku, gratuluję, Paweł. Dam ci jutro sukę do przewiezienia Nicińskiego i krzyżyk na drogę.

– W ogóle się nie boisz? – rzucił podinspektor.

– Czego? Że na mnie zakapujesz w Krakowie? Ja cię tego na pewno nie nauczyłem.

Cisza.

– Nie zakapuję – odparł Całkiewicz łagodnym tonem. – Przyszedłem pogadać. Nie proponujesz nic do picia, rozumiem. Nie będę siedział długo. W zasadzie przyszedłem, żeby zakopać topór wojenny.

– Jaki topór? Nie masz nad czym płakać, młody.

– Wiem, że nawaliłem.

Karpiuk odetchnął głębiej.

– Zlekceważyłem ją wtedy i Wańczyk zbiegła ze szpitala – kontynuował Całkiewicz. – Wróciłeś do Gorlic, po zeznaniach Kuby na dziewczynę nie było paragrafu. Gość, który przyszedł po tobie, kazać zostawić temat. Miałem związane ręce.

Karpiuk poczerwieniał.

– Mogłeś ją docisnąć, nie posłuchałeś mnie – warknął.

– Ja cię słuchałem we wszystkim, jak w obrazek byłem w ciebie wpatrzony! Więc mi teraz nie pierdol, za przeproszeniem. Nie mogłem, to nie mogłem.

– Paweł...

– Nie chcę twojego wybaczenia ani tego rodzaju bzdur.

Chciałem ci wyjaśnić, jak człowiek. Jutro się zawijamy z Nicińskim. Chcą go jeszcze przesłuchać w Krakowie, temat był grubszy, niż myślisz, i nikt nie chce ryzykować pomyłki. Zatem opuszczamy twoje miasto. I wiesz, co ci powiem, Michał?

– Nie. I nie interesuje mnie to.

– Zajmij się lepiej Warwiłow. Ja ci powiedziałem, interesuje nas tylko Jerzy Marek, więc sam rozumiesz.

– Co rozumiem?

Całkiewicz patrzył na niego dłuższą chwilę.

– Możesz mieć mnie za idiotę, Michał – powiedział – albo za głupiego szczeniaka, co kiedyś ganiał dla ciebie z kawą. W porządku. Ale dochrapałem się swojego stopnia ciężką pracą i po drodze tego i owego się nauczyłem. Tak specjalnie to żeś się nie zamaskował. Pascho była u ciebie na komendzie przed zniknięciem. I wiesz, ja się Warwiłow nie dziwię, że węszy.

– Oskarżasz mnie?

– Co zrobiłeś i dlaczego, nie moja sprawa. I nie moja rzecz, czy Pascho wyszła z komendy 11 listopada i czy ktoś widział twojego qashqaiia w kolorze cappuccino na drodze do Bukowców. Rocznik 2010, napęd na cztery koła i reduktor. Ta furka całkiem dobrze radzi sobie na śniegu.

– Po co tu przylazłeś? – zapytał Karpiuk. – Próbujesz mnie szantażować? Myślisz, że coś wiesz, że mnie za jaja trzymasz? A może chcesz zbawić świat, jak dwadzieścia lat temu?

– Przeciwnie – odparł Całkiewicz. – Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Do końca zostało mi niewiele więcej niż tobie. A przyszedłem po to, żeby cię ostrzec.

– Paweł...

– Warwiłow tutaj to jest żart. Ale może nasmrodzić całkiem serio. Uważaj, Michał – rzucił podinspektor, wstając. – Wiem, że masz głowę na karku i pewnie byłbyś dalej moim szefem, gdybyś został w Krakowie. Ale możesz spaść, i to bez spadochronu. Gadają za twoimi plecami, że sprawa brzydko pachnie. Tu, w Gorlicach. Kiedy ci się powinie noga, możesz być zaskoczony, jak mało zostało ci na komendzie przyjaciół. I w prokuraturze też. Zajmij się Warwiłow, zanim ta dziewczyna coś wygrzebie.

Wieczorem wpadł w końcu Wojtek. Nina miała nadzieję, że to nie nastąpi, ale jednocześnie liczyła, że go zobaczy. Rzeźbiarz nie szukał jej spojrzenia, gawędził z ryczącą czterdziestką ubraną w stylu „co dzień jest sylwester”.

Na niedzielnej kolacji, wraz z resztką rocznicowych gości, stawił się też Styczko. Przypomniawszy sobie opowieść Rafała o tym, jak Włodek przedtem zaczepiał kobiety, pomyślała, że zaprosili go już po apogeum imprez.

Styczko był zarumieniony i zadowolony, jakby tego właśnie mu brakowało: towarzystwa. Owoc miłości Polaka i Łemkiny w odległym Borysławiu czy też Mikołajewie. A może mariażu z konieczności, żeby Halina Styczko mogła powrócić na ziemię przodków.

Zobaczyła, że Wojtek wymyka się, korzystając z chwilowej nieuwagi czterdziestki. Mimo swoich gabarytów rzeźbiarz umiał poruszać się jak cień. Wyszła za nim na zewnątrz.

Znowu zrobiło się chłodniej, jej kurtka była za cienka.

Przeklęła w duchu samą siebie za słabość, kiedy poprosiła Wojtka o normalnego papierosa. Palił czerwone winstony. Sztachnęła się, szlug z początku smakował jak smoła, ale już po chwili poczuła rozkosz. Przedtem karmiła, ale dlaczego teraz miała odmawiać sobie przyjemności? Kto by chciał żyć sto lat? Dla przyzwoitości powinna jednak dotrzeć do pełnoletniości Mili.

Palili w milczeniu.

– Wojtek? – zagała.

– Tak?

– Zapomniałam spytać. Jak to się stało, że zamieszkałeś w Bukowcach?

– To znaczy? – Jego głos zabrzmiał twardo.

– No, jak kupiłeś tutaj działkę...

– Szukałem ziemi. – Rzeźbiarz wzruszył ramionami. – A Rafał

sprzedawał. Kryminału tu nie ma.

– Powiedział mi, że dużo wtedy palił – podrzuciła.

– Tak twierdzi? – zaśmiał się. – Zapewniam cię, że dobrze wiedział, co i za ile sprzedaje. Przy okazji, nie czuję się komfortowo, gadając z tobą o paleniu. Powinienem spodziewać się aresztowania?

– Dlaczego?

Popatrzył na nią uważnie.

– Czy dobrze...? – zaczął, ale weszła mu w słowo.

– Dobrze rozumiesz, Wojtek.

Rzeźbiarz pokiwał głową.

– Nawiasem mówiąc, Nina, kiedy mi powiedzieli, że jesteś z policji...

– Nie wiem, czy powinniśmy ciągnąć ten temat. Jak idzie rzeźba?

– Twoja?

– Moja. Twoja. Będzie coś z tego? Przykro mi, że dałam dyla.

– Zwiałaś. Ale powinno wystarczyć. Daty ci nie podam. Pracuję bez harmonogramu.

– Farciarz.

– Można tak powiedzieć. To jest wybór, wiesz? Ile lat do emeryturki?

– Pełnej? Jeszcze z dziesięć.

– A niepełnej?

– To już.

– A widzisz. W górach żyje się za połowę tego, co w Warszawie, Nina.

Patrzył na nią uważnie.

– Nie mogę wyjechać – powiedziała.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że mam dziecko. – Spojrzała mu prosto w oczy. Nie uciekł, z pewnością już wiedział. Niby siedział w tej swojej zapyziałej szopie, ale ogarniał, co się dzieje dookoła. Jak w zasadzie? Z Rafałem był oczywiście zakolegowany, jednak obchodzili się raczej z daleka. Pomyślała o Anecie. Może z nią Wojtek widywał się częściej.

– Tu jest fajne powietrze dla dzieciaka, wiesz? I mniej bodźców, znaczy mniej stresów – powiedział.

– Tak się wydaje – zaśmiała się. – Rozumiem, że mówisz z autopsji?

– Nie – odparł. – Wychowałem się w mieście.

– A dzieci?

– Czy jakieś mam, po okolicznych wioskach? Nic mi nie wiadomo, a jak ktoś ci nagadał, będę się wypierał. Ale sam byłem wrakiem, zanim tu dotarłem.

– Chcesz coś przez to powiedzieć? – zapytała.

– Nic, Nina. Wpadnij jeszcze, nie wyjeżdżaj bez pożegnania.

Pokiwała głową. Potem odszedł, tak po prostu, nie żegnając się z gospodarzami. Przecież jutro wpadnie, bez zapowiedzi. Bez uprzedniego telefonu, którego nawet nie miał, bez internetu. Tak się tutaj żyło. Mimo to mniej samotnie niż w mieście.

Patrzyła, jak jego wysoka postać stapia się z ciemnością nocy. Przez moment chciała za nim pobiec. Złapać go za rękę, pójść z nim do chatki. Poczuć dotyk stwardniałych pracą dłoni na swoich piersiach i brzuchu, a po wszystkim zasnąć w jego ramionach.

Wystarczyło zrobić krok w ciemność.

Ale z Wojtkiem na tym się nie skończy, jeśli się ze sobą prześpią. Rzeźbiarz to była emocjonalna waga ciężka.

I nawet nie wiedziała, czy pragnie go dla niego samego, czy z obawy, że Stassberg ją zostawi. Nie mogła teraz dodatkowo rozrywać swojego życia, wciąż miała Mile, Maćka, rodzinę w zasadzie, a przed sobą powrót do pracy. A na pierwszym miejscu powinna teraz postawić Joannę Pascho, fałszywą lekarzkę.

Zamiast wrócić do gości, których miała już dość, zadzwoniła z telefonu w kuchni do prokuratora. Długo czekała na linii.

O czym chciał „pogadać”, kiedy ona wróci? Unikała tego słowa w ostatniej rozmowie, w której ze wstydem ponownie zaaranżowała transfer Mili do Tomka. Maciek nawet już na nią nie psioczył, to okazało się jeszcze gorsze. Nie odbierał teraz telefonu; pewnie był zły i smutny, że znowu traci małą.

Nie żeby Tomek wyrażał zachwyt.

Zbierała ochrzan z każdej strony. A Mila znowu spędzała noc w nie swoim łóżeczku. Warwiłow usiłowała przypomnieć sobie zapach stopki małej, ten zapach zawsze ją uspokajał. Nie mogła. Rozmył się w ciągu tych sześciu dni, jak wszystko inne.

Była siedem pieprzonych godzin drogi od Warszawy. Sześć dni szukała kobiety, która okazała się niebezpieczną oszustką, leczącą ludzi na lewo. Po co wciąż tu tkwiła, mieszając patykiem w bagienku lokalnych tragedii, paprząc przy okazji własne życie, pozlepiane z takim trudem?

Nie było jeszcze za późno na naprawę sytuacji. Po pięciu minutach zadzwoniła do prokuratora ponownie. Wyczekała aż do ośmiu sygnałów. Rozłączyło ją albo to Maciej odrzucił w końcu połączenie.



Ranek jak zawsze okazał się mądrzejszy od wieczora. O siódmej rano czuła się silniejsza, wyspana, a po rewelacjach od Chodkowskiego analizowała wszystko raz jeszcze.

Zastanawiała się, gdzie teraz jest Karpiuk. Czy wydział kryminalny jest już po odprawie? Czy nadkomisarz omówił stare raporty, zlecił nowe i delegował zadania w terenie? Czy po odprawie pracuje razem z zespołem, a może już zamknął się w gabinecie, postawiwszy Wartoń w roli – *nomen omen* – wartownika?

W głowie Warwiłow Karpiuk był zdecydowanie typem samotnego wilka.

To miało znaczenie. Strach stanowił częstą przyczynę błędów w komunikacji. Karpiuk mógł wzbudzać obawę u podwładnych. Mimo to było tylko kwestią czasu, kiedy młoda archivistka wysypie się, że przyjęła w sobotę gościa w komendzie. A może pójdzie się upewnić, czy dobrze zrobiła? Tak czy siak, Warwiłow nie wierzyła, że do dziesiątej sekret pozostanie sekretem.

Dotrwał do dziewiątej z minutami. Na dole, tak samo jak i poprzedniego dnia rano, wściekle rozdzwonił się telefon. Chwilę później usłyszała na schodach energiczne kroki Anety.

– Nina? – Gospodyni zapukała cicho.

– Tak?

– Karpiuk do ciebie.

Warwiłow wstrzymała oddech. To nie odbywało się tak, jak zaplanowała. Ale może z zaskoczenia będzie nawet lepiej.

– Już idę.

Nie śpieszyła się jednak, uspokajając oddech.

– Warwiłow. – Podniosła w końcu słuchawkę. Miała niemal pewność, że Aneta podsłucha z telefonu w kuchni, choćby i kawałek rozmowy. Sama by tak zrobiła.

Wyobrażała sobie teraz Karpiuka, jak siedzi z poczerwieniałą twarzą, pochylony nad tym swoim biurkiem szefa z salonu VOX-

a. I chyba bardzo się nie omyliła.

– Grzebałaś w archiwum. Za moimi plecami. Przegięłaś, Warwiłow – warknął Karpiuk głosem jak zepsuty rozrusznik, jakby ją tłukł po twarzy. – Mam na biurku skargę na ciebie. Myślisz, że wszystko ci wolno?

Wyczekała kilka sekund, wsłuchując się w jego niezdrowo przyśpieszony oddech. I uderzyła.

– Ostatnio nie odpowiedział mi pan na pytanie, nadkomisarzu. O czym pan rozmawiał z Joanną – powiedziała. – A teraz... wiem już więcej.

– Warwiłow – usiłował wejść jej w słowo.

– Może na przykład rozmawialiście o sfalszowanym dyplomie?

– Jakim dyplomie?

– Z pana jest wybitny policjant, nadkomisarzu – ciągnęła Nina. – Żeby mieć takie rozeznanie odnośnie każdego, kto przyjeżdża do powiatu. Powinni o panu pisać w naszych podręcznikach.

– Warwiłow, nie rozumiesz...

– Czego? – przerwała mu. – Że pan ją sprawdził na Uniwersytecie Medycznym? Są na to świadkowie. Tylko po co ją pan sprawdził?

– Nie mydl mi oczu – sapnął Karpiuk. – Grzebałaś w naszym archiwum. Może i nie jestem najbardziej biegły w regulaminie, ale coś się znajdzie. Komendant...

– Joanna pana szczególnie zainteresowała, prawda? – weszła mu w słowo.

– Nie przerywaj mi, do cholery! – ryknął do telefonu.

Teraz poczekała, przypomniawszy sobie niezdrowy wygląd nadkomisarza. Wsłuchiwała się w oddech Karpiuka, po zawale na niewiele by jej się zdał.

– Każdy, kto kupiłby dom Ady Wańczyk, zwróciłyby pańską uwagę – kontynuowała spokojnie. Wyczuła, że jak przystało na choleryka, policjant musi teraz chwilę odpocząć. – A już szczególnie kobieta pod czterdziestkę, o której nikt nic nie wie. I zaczął pan węszyć.

– Warwiłow, wylecisz, do kurwy nędzy – syknął Karpiuk, ale był słyszalnie już wypruty. – Wylecisz z policji na zбитy pysk,

choćbym miał wylecieć z tobą.

– To jest całkiem możliwe. Tymczasem proszę mi odpowiedzieć w końcu na to pytanie. Co właściwie wydarzyło się 11 listopada?

– Przyszła do mnie.

– Tak bezpośrednio?

– Ktoś ją tam przysłał.

Tak bardzo chciała zobaczyć twarz nadkomisarza, kiedy to mówił. I wszystkie jego drobne gesty. Świadczące o tym, że kłamał, co już wiedziała od Wartoń.

– A potem? Po przesłuchaniu? – zapytała.

– Opuściła komendę. Miałem ją eskortować?

– Czemu pana zainteresowała? Czemu osobiście wziął ją pan na rozmowę? Czemu sprawdzał pan jej przeszłość?

Cisza.

– Nadkomisarzu, ja już znam odpowiedź na to pytanie.

– Warwiłow...

– Zrobił pan to wszystko, bo uważa pan, że Joanna Pascho jest Adą Wańczyk – dokończyła.

W każdej chwili spodziewała się, że po prostu odłoży słuchawkę.

– A więc dogrzebałaś się w tym archiwum już wszystkiego, co, Warwiłow?

– Rozpoznał ją pan?

Pauza, dłuższa niż poprzednie. Odezwał się w końcu. Ciszej i wolniej, jakby zeszło z niego powietrze.

– Nie. Nie wiem. Może. Minęło tyle lat. Wtedy była młodą dziewczyną, zmieniła się w kobietę. Postarzała się, przytyła, nosiła okulary.

– Czy to ona? Niech pan odpowie na pytanie.

– Warwiłow... ja wiedziałem, że Ada Wańczyk kiedyś wróci. Kochała Bukowce.

Instynkt kazał jej poczekać. Opłaciło się.

– Omamiła Kubę – ciągnął. – Zwariował nam wtedy, Ela sobie z nim nie radziła. Po szkole jeździł autobusem na przełęcz albo Ada po niego przyjeżdżała. Dom remontować jeździł. Rozumiesz, Warwiłow, szesnastoletni, potem siedemnastoletni gówniak.

Zamiast się uczyć. Rodzina przestała się dla niego liczyć.

– A potem?

– Potem był wypadek, co już przegrzebałaś. Po wypadku od razu wróciłem. Przerwałem karierę. Powiniennem zresztą zostać w Krakowie, gdzie ją przewieźli, wyciągnąć z Wańczyk prawdę, kiedy leżała w szpitalu. Ludzie, którzy mieli się tym zająć... nawalili. Nie przewidywałem jednak, że Kuba tak będzie ją osłaniał. Mój syn zwyczajnie kłamał. On tego nie pamiętał. Nie mógł tego pamiętać, cierpiał na amnezję, tak twierdzili lekarze.

– Nadkomisarzu, ten człowiek, ten, co obserwował Joannę... Czy to może być Kuba?

Karpiuk sapnął ciężko.

– Mój syn nie żyje – powiedział. – Wypadek zniszczył życie mi i mojej żonie. Zostaw to, Warwiłow. Jeśli wyjedziesz dzisiaj, nie złożę na ciebie skargi. Całkiewicz aresztował Nicińskiego. Niciński pracował dla tej kobiety. Jeśli ją zamordował, Całkiewicz to z niego wyciągnie. Nic tu po tobie. Ani po mnie. Ada Wańczyk praktycznie zabiła naszego chłopca. Nie tylko z powodu wypadku. Kiedy nie wróciła z Krakowa i nie zobaczyła się z Kubą, to mogło go zabić na równo z oszpeceniem i bliznami na twarzy. On nigdy przedtem nie był zakochany. I później...

Przerwał nagle.

– Mówi pan, żebym odpuściła. Właśnie wtedy, kiedy dotarłam do tego, ile pan przemilczał.

– Warwiłow – powiedział wolno i wyraźnie – ja nie pojechałem wtedy za tą kobietą. Ona uciekła. Miała aż dwa powody; odkryłem przecież jej oszustwo z dyplomem. Za to grozi odpowiedzialność karna. Nie mówiąc o niezliczonych procesach cywilnych.

Główkowała intensywnie. Ryzykowała teraz, że Karpiuk sam zniknie, jeśli zbyt go wystraszy. Ale czy zostawiłby swoje miasto? Czuła, że prędzej strzeliłby sobie w łeb z tego prastarego waltera, którego widziała w gabinecie.

No i w tym, co mówił, było trochę słuszności. Joanna Pascho miała co najmniej jeden poważny powód, by uciec. Dysponowała też doskonałym pretekstem, żeby uwiarygodnić swoje zaginięcie.

I może naprawdę zwiąła.

– Warwiłow, to sensowne, że zaginięcie osoby zgłaszają jej bliscy. Ta dziewczyna po prostu zbiegła.

– Co z człowiekiem, który ją śledził? O którym panu mówiła?

– Co z nim?

– Czy to mógł być Kuba?

– Warwiłow, a może nie było żadnego człowieka? Może potrzebowała podkładki? Może grunt palił się jej pod nogami już w Warszawie? A może jeśli poczekamy, to ktoś jeszcze do nas dotrze z informacjami, jak zawsze? A tak zwana Pascho jest na Słowacji, na Węgrzech albo, nie wiem, na Haiti?

– Nadkomisarzu, jedna rzecz nie ma w tym sensu. Że przyjechała na komendę. Bo jeśli to Ada Wańczyk, to musiała wiedzieć, kim pan jest.

– Warwiłow! – podniósł znowu głos. – To była Ada Wańczyk! Mam zapis tej rozmowy. Żadna kobieta z Warszawy nie powiedziałaaby „na pole”! Sprawdziłem Pascho, jej rodzina mieszkała w stolicy od pokoleń. Wańczyk przejęła jej tożsamość.

– Nadkomisarzu... – zaczęła, ale już nie dał sobie przerwać.

– Może nie sądziła, że ją pamiętam. Minęło osiemnaście lat. A może chciała mnie wrobić. Może chciała, żeby ktoś podążył twoim tokiem myślenia... Ta sprawa jest zamknięta. Dla mnie, i tym bardziej dla ciebie. A Kuba – głos Karpiuka lekko się załamał – nie żyje. Warwiłow, wyjedź stąd, zanim będzie za późno. Wracaj do męża i dziecka.

Po rozmowie usiadła ciężko w fotelu przed kominkiem, w którym ogień ledwo się tlił. Wpatrywała się tępo w żar pod na wpół spalonym bierwionem.

Jeśli Joanna była Adą Wańczyk i powróciła do rodzinnej wsi... Nikt jej tu już nie poznał. A potem coś się stało. Joanna zmieniła zdanie i postanowiła zniknąć na dobre.

Groźba ujawnienia kłamstwa z dyplomem – to się za nią ciągnęło. Może faktycznie planowała zrobić Karpiuka. Ale jeśli Karpiuk ją sprzątnął, ewidentnie wykonał to dobrze. Miał ćwierć wieku praktyki, wedle własnych słów. Rozpuścił ciało w jakimś gównie. Zapewne znalazł odpowiednie miejsce. Wątpiła, by naczelnik wydziału kryminalnego komendy w Gorlicach mieszkał w bloku.

Dawno już nie ma żadnych śladów po Joannie Pascho.

Ale po co w takim razie organizował jej poszukiwanie? Przecież mógł to wszystko spuścić do klozetu.

Miała związane ręce, nikt tutaj nadkomisarza nie aresztuje bez dowodów twardych jak diament. Na sekcji zwłok Jerzego Marka prokurator wyglądał, jakby obawiał się własnego cienia. A co dopiero komendant; nie oddałby swojego podwładnego pod sąd.

Zbrodnia na Joannie dokonana przez Karpiuka w odwecie za zniszczenie życia: motyw całkiem niezły, sposobność jeszcze lepsza, predyspozycje doskonałe. Joanna mogła nigdy nie opuścić 11 Listopada, choć zbrodnia w komendzie wymagałaby od policjanta nie lada zręczności.

Mógł jechać za nią do Bukowców, a wtedy ktoś musiał zauważyć jego auto, nawet w śnieżycy. Ta opcja wydawała się bardziej prawdopodobna. Musiałyby teraz przesłuchać mieszkańców wszystkich wsi pomiędzy Odwieżą a Gorlicami.

W imię czego? Iluzorycznej szansy na skazanie policjanta? Człowieka owładniętego pragnieniem zemsty za zniszczenie życia rodziny? Jeśli Karpiuk zamordował Joannę... czy mógł

stanowić zagrożenie dla innych, czy należało go izolować od społeczeństwa?

Zabił w zemście za Kubę, za własne zmarnowane życie, ale nie uderzy ponownie. Jednorazowy zabójca, takich była co najmniej połowa. Masakrowane żony, rodzice skrzywdzonych dzieci. Czasem uśmiercali w słusznej sprawie lub w odwecie za cierpienia. Czy tak stało się tutaj w przypadku Ady Wańczyk?

Warwiłow poczuła, że przegrywa.

Był poniedziałek i Mila wróciła do Tomka. Maciej nie odbierał. Strzelał fochy, ale pewnie cierpiał na serio, znowu oskarżając ją o dezintegrację rodziny. Lubił ją coraz mniej, pragnął coraz słabiej. Chciał „pogadać”.

– Lubię przyjaźnić się z moimi dziewczynami, wtedy pociągają mnie najbardziej. Nie podniecają mnie kłótnie – oznajmił jej kiedyś.

Szkoda, że nie mogła powiedzieć tego samego o sobie.

Czy Stassberg spoglądał już na mniej problematyczne kobiety, zastanawiając się, czy mógł wybrać lepiej? A może już wybrał? Na przykład młodszą laskę bez „gotowca” i trudnego charakterku?

Wszystkie pisma kobiece głosiły, że należy słuchać sygnałów, które wysyła własne ciało. Mdliło ją i kłuło w brzuchu. Wtedy, kiedy myślała o Mili, z tęsknoty. I o Maćku, z nerwów.

Zamknęła oczy, położyła dłoń na przeponie i wsłuchiwała się w swój oddech, trzy minuty, może cztery. Kiedy otworzyła je z powrotem, zadała pytanie samej sobie raz jeszcze.

Podjęła decyzję.

Łowickich znalazła w kuchni.

– Będę lecieć – powiedziała.

– Gdzie? – zapytał Rafał.

– No, do Warszawy.

– Już?

– Jestem tu od tygodnia.

– Ja się już przywiązałam do ciebie, jakbyś była domowniczką – powiedziała Aneta.

– Wzajemnie – odparła, uświadamiając sobie, że rzeczywiście

tak jest.

Łowiccy nie pytali o Joannę, a Warwiłow wolała o tym nie mówić. Wyjeżdżała na tarczy. Rafał gdzieś zniknął, a potem wręczył jej rachunek.

Spojrząwszy na kwotę, zrobiła wielkie oczy. Na końcu języka zatrzymała cięty komentarz do ostatnich słów Anety, przypominając sobie, ile przez ten tydzień przeżarła.

– Mam za mało gotówki. Pojadę do bankomatu albo zrobię teraz przelew.

– Spróbuj, tylko że internet dzisiaj zamula – zauważył sucho Rafał.

– Nie jesteśmy bankiem – powiedziała Aneta. – Zrób przelew, jak będziesz miała okazję. Rachunek jest na naszej stronie internetowej.

– Serio? – zapytała.

Rafał nie wyglądał na zadowolonego, ale kiwnął głową.

– Jak tylko dojadę, wyślę – zapewniła. – I wystawię wam opinię.

– Przede wszystkim wróć.

– Jasne – odparła kurtuazyjnie.

– I nie waź się uciekać bez pożegnania i bez wałówki! – oświadczyła Aneta.

Poszła na górę i spakowała rzeczy. Zapatrzyła się na piękną połoninę za oknem. Może jej własne słowa nie były tylko kurtuazją. Może rzeczywiście kiedyś tu jeszcze przyjedzie, z Miłą. I z Maćkiem.

A po chwili pomyślała, że to miejsce na zawsze będzie skażone sprawą Joanny. Dlatego to musiał być jej ostatni pobyt w Bukowcach, a może i całym Beskidzie Niskim. Kiedy Warwiłow już nastawiła się na wyjazd, bardzo chciała trzymać się planu. Zostawić Bukowce za plecami. Pogodzić się z porażką.

Siedmiogodzinna podróż do domu samochodem, gdzie najlepiej jej się rozmyślało w takt Aimee Mann i Katie Meluy, powinna być wystarczająca. Żeby odpuścić i przygotować się na to, co czeka ją w domu. Co było teraz jej życiem, zamiast samotnej, zaginionej kobiety, którą ledwo знаła.



Upierdliwy telefon odezwał się znowu, przerywając jej pakowanie. Nawet jeśli to był Karpiuk, nie zwracała już na sygnał uwagi. Dzwoniący nie odpuszczał; po chwili ponowił próbę. Aneta musiała gdzieś sobie pójść; po kolejnych trzech sygnałach Warwiłow zbiegła po schodach i odebrała.

– Pensjonat Kora.

– Mówi starszy aspirant Chodkowski, komenda Praga-Północ w Warszawie. Czy mogę prosić o rozmowę z Niną Warwiłow?

– To ja!

– Ojej, przepraszam. Zostałaś pokojówką?

– Nie... To małe miejsce. O co chodzi?

– Nina, znalazłem ją!

Przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi.

– Kogo?

– No jak to kogo? Adę Wańczyk.

Już odjechała myślami od tego wszystkiego i zdawało jej się, że się przesłyszała.

– Kogo? – powtórzyła bezmyślnie.

– No Adę Wańczyk. Kazałaś mi jej szukać, prawda?

– Tak, ale...

– Spędziłem nad tym większość weekendu. – Starszy aspirant brzmiał na podekscytowanego.

– Czemu nie mówiłeś wczoraj?

– Byłem już blisko, ale nie chciałem zapeszać. Namierzyłem adres; obserwowałem dom. Czekałem całą noc. Aż dzisiaj rano wyszła. Dzwoniłem jakiś czas temu, ale ciągle zajęte.

– Jezu, przepraszam cię. Gdzie jesteś teraz?

– A gdzie mam być? Dwie kawy i w fabryce.

Odepchnęła pulsujące wyrzuty sumienia, że tak go wykorzystuje.

– Jesteś tego pewien?

– Na sto procent. Przesłałem ci mailem namiary. I zdjęcie. To

ona, bez dwóch zdań. Tylko teraz nazywa się Adrianna Malinowska. Starła się zatrzeć za sobą ślady. Ale nie dość dobrze.

Rafał miał rację. Łącze internetowe wyjątkowo dzisiaj zamulało. Kilka razy zerwało połączenie, ale po półgodzinnej męce zdjęcie od Chodkowskiego pojawiło się na ekranie jej smartfona.

Kobieta w krótkiej sportowej kurtce, z lekką płócienną torbą na ramieniu. Na schodkach domu wyglądającego na jednorodzinną, a potem na ulicy. Całej twarzy nie widziała, ale półprofil został dobrze uchwycony. Kasztanowe włosy wysypywały jej się spod wełnianej czapki. Nogi w wąskich dżinsach, kozaczki.

To nie była Joanna Pascho. Nawet nie były podobne.

Warwiłow tkwiła dłuższą chwilę przed zdjęciem, osłupiała, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens słów Chodkowskiego. Jeśli Joanna nie była Adą, jeśli ta dedukcja okazała się nieprawidłowa...

Może i reszta, wszystko, co do tej pory zakładała, było błędem?

Musiała wyjść na dwór. Niedoświetlone wnętrza Kory ograniczały lawinę myśli.

Ubrała się prędko i skierowała do lasu. Tam trafiła na drogę do wywózki drewna. Jedną z tych, które znienacka pojawiały się i równie szybko znikwały, w zależności od tego, gdzie akurat wycinano drzewa. Zapadała się na błotnistym podłożu, a nawet wdepnęła w kałużę w koleinie, lecz już nie zwracała na to uwagi. Szła dalej i dalej.

Co by się stało, gdyby wszystko odwróciła? Wyobraziła sobie fakty odbite w lustrze, tak jak się to czyni z obrazami, żeby zobaczyć w nich coś nowego.

W lesie było białawo, gdzieś tam zalegały jeszcze resztki nieroztopionego śniegu. Zamknęła oczy, wdychając zapach igieł, wchłaniając chłodniejsze niż na otwartej przestrzeni powietrze. Osłabiona po gorączce i wychłodzona, nie czuła jednak dreszczy. Wsadziła dłonie do kieszeni kurtki, znalazła tam elektronicznego papierosa i ścisnęła go w dłoni.

Nie zapaliła, ale zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. W głowie Warwiłow zaczęła rozpychać się całkiem nowa koncepcja. Z początku komisarz odepchnęła ją, jak bękarta wybujałej wyobraźni, lecz teoria uparcie wracała, bogatsza i coraz bardziej kompleksowa.

Zlepki informacji, które magazynowała z tyłu głowy przez tydzień pobytu w górach.

Śnieg. Narty. Zagubiony majster Niciński. Mężczyzna z dredami. Jak miał na imię? Coś, co powiedziała Mary Sikorska. A potem Karpiuk.

W końcu przeszedł ją dreszcz, lecz nie z zimna. Zamknęła oczy. Klocki, zniecierpliwione ciemnotą komisarz Warwiłow, zaczęły zahaczać o siebie i wskakiwać na miejsca. Jak w transie układała nowy przebieg wydarzeń. Zaskakująco wiarygodny i nie aż tak skomplikowany.

A kiedy już ułożyła sekwencję zdarzeń, zobaczyła to wszystko z lotu ptaka.

Dopiero wtedy wylądowała na ziemi. Rozejrzała się dookoła. Zaszała całkiem daleko i była zaskakująco ubłocona. Coś pohukiwało w oddali, zatrzeszczała gałązka, wiatr poruszył drzewami, strącając resztki liści.

Na szczęście nie zoczyła z leśnej drogi. W ciągu dziesięciu minut wróciła do pensjonatu.

Przytomnie zostawiła ubłocone buty na tarasie i w samych tylko skarpetkach udała się prosto do swojej sypialni. Wyjęła z szafki nocnej kartkę, którą zapisała pierwszego dnia: beskidzkie życie Joanny Pascho. Wodziła palcem po harmonogramie wydarzeń i przypisywała im znaczenie. W głębi chciała wyszukać chyba fałsz, sprzeczność obalającą jej teorię.

Nie znalazła.

Włączyła telefon. Internet odrobinę przyśpieszył, sprawdzenie danych firmy zajęło Warwiłow niecały kwadrans. Zrobiło jej się gorąco.

Widziała płaszczyzny, na których hipoteza się załamywała. Miała pomysł, jak te luki wypełnić, lecz wiedziała, że to nie będzie łatwe. Ani tym bardziej przyjemne. Pomyślała o Mili. O tym, co chciał jej powiedzieć prokurator. O Aleksandrze Siergiejewiczu w jego zapyziałym fotelu. I o tym, kim właściwie jest Nina Warwiłow.

Zeszła na dół, zostawiając torbę podróżną spakowaną w połowie. Potrzebowała kofeiny, aby to wszystko solidnie zlepić albo zobaczyć, że jednak się nie da. Na co wciąż chyba liczyła. Wkroczyła do kuchni w poszukiwaniu kawy.

– Co dla ciebie, kochana? Zaraz zabieram się za tę wałówkę – oznajmiła gospodyni.

– Nie trzeba.

– Powiedz tylko, czy dać ci kawałek tego placka z porzeczką – odparła Aneta, utwierdzając Warwiłow w lęku, że przybrała tu na wadze.

A jednak nie potrafiła odmówić.

Aneta wyglądała kwitnąco, lepiej niż rano, i tak, jakby nie imprezowali przez dwa dni; Warwiłow ją skomplementowała.

– Biegałam. Zaczęłam jeszcze w lecie – powiedziała gospodyni. – Żeby Rafałek nie oglądał się za dziewczynami. Dziś pierwsze pięć kilometrów. Czuję się jak bogini.

– A ja jak kloszard.

– Na rozruszanie organizmu polecam przebieżkę.

– Nie, to nie to. Jakiś żołądkowy wirus męczy mnie od wczoraj. Może to ta wasza, jak to było? „Zemsta Łemków”? To możliwe?

– Czy ja wiem? Ponoć czasem atakuje po czasie – roześmiała się Aneta. – Chcesz węgiel?

– Nie, może samą papryczkę piri-piri? Masz?

– Piri-piri? Nie, może chili się znajdzie. Albo jalapeño. To pomaga?

– Ja wierzę w cudotwórcze działanie kapsaicyny.

– Co to?

– Substancja w paprykach. Dzięki niej są ostre. Masa jest teraz badań, jaki to super środek na wszystko. Polecam.

– Spróbuję – odparła Aneta bez przekonania.

– Tak. I jeszcze kawę proszę. Błagam.

– Na żołądek? – zapytała z powątpiewaniem gospodyni.

– Na wszystko.

Chwilę później Aneta postawiła przed nią kawę i cukierniczkę z kostkami, jak dla konia. Obok miseczkę papryczek. I puszkę coli.

– Tego się lepiej napij – rzuciła.

– Jakich objawów mam się spodziewać? Jeśli to rota?

– Góra albo dół, albo dwururka. W dwóch wersjach: konsekwentnej i symultanicznej – błysnęła słownictwem gospodyni. Warwiłow zawsze podejrzewała ją o zamiłowanie do koszarowego dowcipu.

– Zbiera mi się na wymioty.

– Może to nie to. Wszyscy raczej ograniczyli się do biegunki. Ilu

ludzi, tyle przypadków. A może jesteś w stanie błogosławionym?

– Mam szczerą nadzieję, że nie – powiedziała Warwiłow.

Skorzystała z łazienki na dole, a potem wyszła na zewnątrz i głęboko odetchnęła bukowieckim powietrzem. Raz jeszcze. Wiedziała, w jakim pójść kierunku.

– Rzeźba jeszcze niegotowa, Nina – oznajmił Wojtek neutralnym głosem.

Nie reagował na pukanie, weszła więc w końcu do pracowni sama, ale szybko ją stąd wyprosił. A teraz konsekwentnie unikał jej spojrzenia.

– Nie po to przyszedłam – powtórzyła.

– A po co?

Gdzieś z tyłu głowy martwiła się, że tak mizernie się dzisiaj prezentuje. Wojtek nie przejmował się tym: był nieogolony i przybrudzony, wręcz zakurzony. I tak jej się podobał. Bo, w przeciwieństwie do Maćka, czuła, że zapytany wprost, powie prawdę.

– Opowiedz mi o swoim spotkaniu z Joanną – poprosiła.

– O czym tu gadać? Widzieliśmy się ledwie kilka razy.

– Mieszkacie tak blisko.

– Ale na początku widziałem głównie jej samochód. Poznaliśmy się dopiero w Potoczku.

– W tej melinie?

– Skoro tak chcesz nazwać nasz lokalny saloon.

– Co tam robiła?

Wzruszył ramionami. Wciąż na nią nie patrzył, może dlatego, że od soboty jej ciało nie miało przed nim wielu tajemnic.

– W zasadzie to nie wiem, poza tym, że chyba szukała tam Nicińskiego. Znam barmankę. Pomogłem Joannie, barmanka wyrzuciła Nicińskiego za drzwi. I tak się poznaliśmy.

– A potem?

– Kiedyś tu przyszła.

– Rozmawialiście?

– To nie był najlepszy moment. Pracowałem. Ale tak, chwilę rozmawialiśmy.

– O czym?

– Już ci opowiadałem.

– Powtórz, proszę.

Westchnął, ale jeszcze bez irytacji.

– Mówiła, że ktoś u niej był. I że ją obserwuje.

– Co ty na to?

– Co ja na to? Wysłuchałem. I poszła.

Bezwiednie odnotowała, że właśnie tak wyglądałoby jej życie z Wojtkiem, ich dzień powszedni. Czemu w ogóle o tym myślała? Właśnie teraz?

– Co było później?

– Nigdy już Joanny nie spotkałem.

– Nie poszedłeś się wytłumaczyć? Nie wspominałeś tak kiedyś?

– Poszedłem. Ale mnie nie wpuściła. Może jej nie było. Ot, cała historia.

Milczała, przetrawiając informacje. Pierwsze z pustych pól zostało wypełnione.

– Nina, czy to wszystko, czego ode mnie potrzebujesz?

Pierwszy raz na nią spojrzął. Zdawało jej się, że w jego głosie, bardzo głęboko, ale jednak słyszalnie, brzmi nadzieja. Też musiał być tutaj samotny. Ale dlaczego to właśnie ona trafiła do świata jego emocji? Jeśli w ogóle trafiła, jeśli to nie było złudzenie. Dlaczego Joannę odprawił z kwitkiem?

Nina zjawiała się w odpowiednim momencie, a Joanna nie miała tego szczęścia; takie przyjęła wyjaśnienie.

– Wszystko, Wojtek – odparła i teraz sama odwróciła wzrok.

Na wrogie terytorium wkroczyła, utrzymując kontakt wzrokowy, jakby Halina Styczko w każdej chwili miała się zmienić w gigantycznego pająka. Władka na szczęście w pobliżu nie dostrzegła.

Stara z pewnością obserwowała ją, choć ciemne, głęboko osadzone oczy były niemal nieruchome.

Przywitała się. A Halina Styczko jej odpowiedziała. I czekała. Musiała być bardzo cierpliwa, obserwując ten sam krajobraz. Dzień po dniu.

– Nazywam się Nina Warwiłow.

– Widziałam panią już – odparła stara po dłuższej chwili. Głos miała zachrypnięty, jakby z rzadka używany.



– Tak. Joanna Pascho była moją przyjaciółką. – Nie miała pewności, czy Styczko zrozumiała. – Mieszkała naprzeciwko. W domu Wańczyków.

Teraz Styczkowej wyraźnie błysnęły oczy. Z bliska Warwiłow zauważyła, że są piwne z odcieniem zieleni; podobne jak u syna, jednak ciemniejsze.

– Tak. Widziałam ją. Tu na drodze – oznajmiła gospodyni.

– I w domu?

– I w domu.

Warwiłow obróciła się w stronę gospodarstwa Wańczyków. Tak, stara miała stąd widok na zniechęconych sąsiadów. Na dom, na łąkę. Na las.

– A pod lasem?

Przez moment wydawało się, że stara nie zrozumie. Albo zaprzeczy. Że Warwiłow błędzi.

– I pod lasem – potwierdziła Styczko.

Pod naporem myśli komisarz przymknęła na chwilę oczy.

– Kiedy to było? – zapytała.

Stara nie odpowiadała. Może słuch miała gorszy niż wzrok. Może Styczko nie kłamał, choć w tym jednym.

– W świętego Dymitra – oznajmiła w końcu.

Warwiłow rozpaczliwie zerknęła na telefon, jakby nagle cudem mógł złapać sieć, internet zaś odpowiedzieć na pytanie za milion.

– Kiedy to mogło być? Świętego Dymitra? Przepraszam, ale nie wiem.

Stara znowu jakby się zadumała. Warwiłow mogła wrócić do Kory i sprawdzić to. Ale chciała wiedzieć teraz, czas naglił.

– Kiedy? W listopadzie, pani Halino?

– Oczywiście, że w listopadzie – powiedziała Łemkini. – Ósmego. I dzień później też ją widziałam.

– Ósmego?

– Tak. Pod lasem.

Warwiłow odetchnęła.

– Pani Halino... czy opowie mi pani, jak to było z Wańczykami?

– Z Wańczykami? A po co? Ich tutaj już dawno nie ma.

– Podobno zabrali wam ziemię.

– To nie oni.

– A kto?

Styczko ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

– Władza. Polacy. Nie Wańczykowie.

Warwiłow cierpliwie czekała.

– Ich tu jeszcze nie było – dokończyła Styczko. – Kiedy zabrali nam dom i ziemię.

Komisarz pokiwała głową. Rozmowa mogła już się skończyć. Ale nie musiała.

– Pani Halino, jak to było ze sprzedażą działki Łowickiemu?

Stara zerknęła na nią szybko, a jej warga lekko się wysunęła.

– Mąż panią oszukał, prawda? – zapytała Warwiłow.

Styczko nie odpowiadała. Gdzieś z głębi obory odezwała się krowa, dźwięk był głuchy i przytłumiony, ze słyszalną nutą żalu.

– Podsunął pani dokument – kontynuowała Nina, kiedy Łemkini zacięła wąskie usta. – To było pełnomocnictwo do sprzedaży ziemi. Zgadza się?

Stara nie musiała odpowiadać.

– Pani Halino, ja wiem, dlaczego tak się stało. To naprawdę nie jest wstyd, co panią spotkało. To nie jest pani wina.

Stara wydała z siebie jakiś pomruk i odwróciła głowę. Warwiłow była pewna, że to znak, aby już kończyć. Zaszła już jednak za daleko.

– Pani miała sześć lat, kiedy was wysiedlono, w czterdziestym piątym – powiedziała. – Potem na Ukrainie poznała pani Romka Styczkę. Obiecał pani powrót. Po ślubie, tak? Wróciła pani do Polski, ale dopiero w pięćdziesiątym siódmym roku. Jako osiemnastoletnia już wtedy kobieta.

Styczko nie musiała mówić, choć Warwiłow wyczuwała napięcie. Dlaczego ludzie tak bardzo wstydziли się tego, w czym nie zawinili?

– Mąż podsunął pani dokument, wiedząc, że pani podpisze.

– Proszę już iść – wydusiła z siebie Styczko.

Może należało spełnić to życzenie, ale zdawało jej się, że powinna doprowadzić sprawę do końca. Dla dobra tej starej kobiety, wciąż i wciąż przygniatanej historią i złą ludzką wolą.

– Jeśli pani miała sześć lat, kiedy was wywieziono, to oznacza, że pani tutaj do szkoły nie chodziła, prawda? Dopiero na Ukrainie. A skoro wróciła pani w wieku osiemnastu, na szkołę okazało się już za późno. A może pani się bała okolicy, to rozumiacie, pani Halino...

Musiała już wykonać wyrok na starej Łemkini; ostrze powędrowało ku górze.

– Nie każdą tajemnicę trzeba w sobie dusić. Nie ma powodu do wstydu. Mąż wiedział, że pani tego dokumentu nie przeczyta. Tak jak i wszystkich poprzednich. Nie mogła pani tego zrobić z jednej prostej przyczyny, prawda?

Nadszedł czas na cięcie.

– Pani nie umie czytać po polsku.

Obserwowała starą, wyobrażając sobie, jak jej życie obrośło wokół tej tajemnicy. Sekretu, który przy bardziej wartościowym mężczyźnie wcale nie musiał okazać się sekretem. Mało to było analfabetów, szczególnie na wsi i wśród starszych ludzi? Wspierający mąż sam powinien nauczyć ją czytać albo wysłać do szkoły, zamiast jeszcze bardziej izolować na ziemi, z której już raz kobietę wygnano. W ten sposób jednak łatwo uczynił z niej swą niewolnicę. Podobnie zresztą jak później i syn. Czy nie to dał jej do zrozumienia Rafał, kiedy rozmawiali przy ogrodzeniu?

– I pisać pewnie również pani nie umie – kontynuowała. – Nikt pani tego nie nauczył. A pani się tego wstydziła. Czy pani prosiła, aby mąż utrzymał to w tajemnicy? Czy to on sam tak sugerował?

Kobieta milczała, utkwiała spojrzenie w horyzoncie. Skupione, jakby oglądała fascynujący spektakl. Polska zawiodła Halinę Styczko, a potem zawiedli ją mężczyźni. Mąż, zmuszając do niewolniczej pracy, potem syn, który zdążył się na to napatrzeć. Uciekła w końcu w całkowite milczenie. Oszukała Władka, przestając z nim rozmawiać, i może w ten sposób było jej łatwiej.

Na Warwiłow nadszedł czas.

– W każdym razie dziękuję – oznajmiła. – I niech pani się nie obawia. Nie zrobiła pani nic złego. Przeciwnie, bardzo pani mi pomogła. A pani tajemnica jest przy mnie bezpieczna.

Zrobiła krok w kierunku drogi.

– Oszukał mnie.

Warwiłow odwróciła się. Stara patrzyła na nią. Komisarz dostrzegła teraz na pomarszczonej twarzy rysy podobne do rysów Drybaczki i odrobinę Anety. Wydatne kości policzkowe i nos.

– Za czyje pieniądze kupiliście tę ziemię? – zapytała Warwiłow.

To mogła jej powiedzieć już tylko Halina Styczko. Twarz starszej kobiety stężała.

– Za czyje pieniądze? – powtórzyła pytanie.

– Moich rodziców – odparła powoli Łemkini. – Oni... nie mogli już wrócić do Polski, ale chcieli, żebym odzyskała ziemię. Mieli jeszcze trochę pieniędzy stąd. A na Ukrainie byli już starzy i schorowani, ubito ich tam pracą. Za te pieniądze kupiliśmy w Ługańsku biżuterię, przywieźliśmy ją do Polski i sprzedaliśmy.

– Odzyskała pani w ten sposób część ojcowizny.

Stara milczała. Ta rozmowa chyba dużo ją kosztowała.

– Dziękuję, pani Halino – powiedziała Warwiłow i znów ruszyła w stronę drogi.

– Romek... – Za plecami usłyszała drżący głos. – Romek powiedział, że kupujemy traktor. Żebym podpisała. Traktor był nam potrzebny. Podpisałam.

Warwiłow odwróciła się.

– Pani Halino...

– On nigdy go nie kupił.

– Wiem.

Myślała, że to już koniec rozmowy, bo Styczko milczała przygnębiająco długo. Ale potem kobieta oświadczyła wolno i wyraźnie:

– Było tak, jak pani mówi. Nas wtedy wygnali, ja nie zdążyłam pójść do polskiej szkoły. A kiedy wróciłam, Romek powiedział, że za późno. I że mnie tutaj nie chcą, że musimy trzymać się razem z innymi Łemkami. Że tak będzie dla mnie bezpieczniej. Sam pochodził z Biecza. Jeździł do Odwieży i do Gorlic. Miał inne kobiety. Ja tu pracowałam... Romek umiał po polsku. Lubił ludzi. Ludzie lubili jego i zabrali nasze pieniądze. Moje pieniądze. I moją ziemię.

Po rozmowie wyszła na drogę. Czuła się totalnie wyżęta. Najważniejsze jednak, że dwa puste pola zostały zapełnione, a fantazyjna z początku hipoteza śledcza twardniała z każdą sekundą.

Wcale nie była z tego powodu szczęśliwa, a czekało ją jeszcze wyzwanie zupełnie innego rodzaju.

Podążyła drogą w dół, w stronę ostatniego gospodarstwa w Bukowcach.

Godzinę później Warwiłow wróciła do pensjonatu. Nie zdejmując kurtki, skierowała się prosto do telefonu w jadalni. Przed doprowadzeniem do konfrontacji musiała zająć się następną luką. Ostatnią, którą była w stanie samodzielnie wypełnić.

Wyjęła wizytówkę i wbiła numer.

– Podinspektor Paweł Całkiewicz – wyrecytował znanym jej dziarskim głosem.

– Warwiłow.

– O, proszę. Co dobrego?

– Paweł, mam do ciebie jedną prośbę.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W Bukowcach. Weź no mi... – powiedziała szybko.

– Nie wierzę, że wciąż tam jeszcze dymisz – przerwał jej podinspektor.

– ...daj tego swojego podejrzanego do telefonu – dokończyła.

Zapadła chwila ciszy, a potem Całkiewicz roześmiał się.

– No chyba żartujesz, mam za krótkie ręce.

– Są w sam raz, Paweł. Dosięgniesz.

– To wbrew regulaminowi.

– Tak jakbyś się bał regulaminów.

– Znam cię, Warwiłow. Zaraz będziesz chciała więcej.

– Nie, Paweł. Jedna prośba.

Po negocjacjach podinspektor zgodził się; Warwiłow wzbogaciła wachlarz papierów wartościowych Całkiewicza. Portfel długów do spłacenia, z jakiego sama skorzystała, żeby wkręcić się na sekcję zwłok znalezionych w lesie.

Czekała teraz, aż przyprowadzą do telefonu Mariusza

Nicińskiego, który wciąż przebywał w gorlickim areszcie, oskarżony o zamordowanie Jerzego Marka. A przyciskając słuchawkę do ucha, zastanawiała się nad jednym.

Jak wyplącze się z tego, że właśnie podinspektora okłamała?

Sprawa wyglądała na zamkniętą, ale Karpiuk wiedział, że przypląci to kolejnymi nieprzespanymi nocami – i może tak już będzie wyglądało jego życie aż do łaskawego końca.

Od porannej rozmowy z Warwiłow nadkomisarz był w rozsypce. Odmówił spotkania z komendantem, odprawił z kwitkiem Wartoń. A teraz w drzwiach pojawił się jego ekspodwładny, obecnie zaś wyższy stopniem funkcjonariusz. I Całkiewicza niełatwo było się pozbyć. Karpiuk mógł wyrzucić go z domu w niedzielny wieczór, komenda jednak stanowiła przestrzeń urzędową i Całkiewicz wiedział to równie dobrze jak nadkomisarz.

Czemu młody wciąż tu tkwił? Przecież na porannej odprawie Karpiuk kazał swoim iść na rękę we wszystkim, czego Całkiewicz zażąda w sprawie Jerzego Marka i Mariusza Nicińskiego.

Podinspektor był wysportowany i przemieszczał się jak duch. Zajął fotel interesanta, zanim Karpiuk zdołał wymówić jedno słowo.

Naczelnik zezłościł się na samego siebie. Że nie zamknął drzwi na klucz i udawał, że go nie ma. Że nie kazał Wartoń trzymać straży. Samą aspirantkę traktował od czasu rozmowy w Radcowskiej podle, zaszedli wtedy za daleko. Musiał pokazać Kaśce, jak są uszeregowani. Służbowo i prywatnie.

Przynajmniej dopóki nie rozwiąże sprawy Eli.

Oczywiście teraz stracił już tę szansę. Podinspektor siedział przed nim uśmiechnięty, jakby nie było wczorajszej rozmowy.

Wiedział, czego Całkiewicz szukał u niego przed dwudziestu laty, i dał mu to wtedy. Autorytet do postępowania pośród szarej masy tępych policjantów, skorumpowanych policjantów, a także tych tępych oraz skorumpowanych. W latach dziewięćdziesiątych czyszczono policję z odchodów starego systemu i te przejściowe lata odbiły się na kompetencjach komendy w Krakowie.

Całkiewicz wychował się bez ojca i to też Karpiuk wiedział.

Czytał w młodym jak w książce, ale podobało mu się to, co widzi. Bystrość, zdecydowanie i ambicję. Uczciwość. Wyróżniał Pawełka i nie bał się tego innym pokazać. Całkiewicz był policjantem nowej generacji, niespaczonym mentalnie komuną i, mimo różnicy wieku, zaufanym szefa.

To zaufanie zawiódł, nie przyłożył się wtedy. Karpiuk zawsze podejrzewał, że Paweł zlekceważył sprawę, bo wiedział, że dni szefa w Krakowie są już policzone. Gdyby to on sam zgubił Adę Wańczyk, poruszyłyby niebo i ziemię, żeby ją namierzyć.

Całkiewicz oświadczył wówczas, że jest za bardzo „zarobiony”, szczególnie na prowadzenie spraw poza oficjalnym obiegiem. Nadkomisarz pamiętał tę rozmowę jak wczoraj.

– Długo będziesz jeszcze zajmował miejsce w moim areszcie? – zapytał teraz. – To nie zetka we Wronkach, jakbyś nie zauważył.

– Jeszcze chwilę – odparł Całkiewicz.

Karpiuk wbił w niego spojrzenie.

– Michał, o co chodzi z tą Warwiłow? – zapytał podinspektor.

– Nie rozumiem.

– Rozmawiała z moim podejrzanym.

– Pozwoliłeś jej? Dlaczego?

– To koleżanka – odparł Całkiewicz frywolnie.

– Czego chciała?

Podinspektor wzruszył ramionami.

– Pytała o relacje z Joanną Pascho. Może wciąż chce Nicińskiego pod to podciągnąć. Szczerze mówiąc, wątpię, by był tak sprytny, żeby pozbyć się jej ciała. Uparta dziewczyna z tej Warwiłow, ostrzegałem cię.

– Rozmawiałem z nią dzisiaj – powiedział powoli nadkomisarz, obracając nieco krzesło w stronę okna. Nie chciał pokazać, jak bardzo się zmieszał. – Sprawa jest zamknięta. Warwiłow wraca do Warszawy.

– Dla mnie to nie wyglądało, jakby gdzieś się wybierała – rzucił podinspektor.

Po wyjściu Całkiewicza tak mocno przycisnął do biurka pięści, że zabolowały go knykcie. Czemu w ogóle Paweł do niego przylazł? Żeby powiedzieć mu, że Warwiłow wciąż maści?



Nadkomisarz nie mógł jednak wiedzieć, że portfel Całkiewicza po wizycie w gabinecie zrobił się jeszcze grubszy. Warwiłow dorzuciła do niego kolejny dług do spłacenia. Po rozmowie z Nicińskim poprosiła bowiem, by przekazał to Karpiukowi.

– Co znowu mam przekazać? Mówiłaś, że jedna prośba.

– Mówiłam.

– No i?

– Okłamałam cię.

Całkiewicz zaśmiał się, głośno i trochę piskliwie, ale zaraźliwie, bo sama się uśmiechnęła, czując, że trochę opada z niej napięcie.

– Nie mam do ciebie siły, Warwiłow – powiedział w końcu podinspektor.

– Inaczej się nie dało. Powiedz Karpiukowi, że chciałam gadać z Nicińskim.

– Tyle?

– Tak.

– Jesteś tak bezczelna, że zaczynam cię lubić. Znaczy się, jeszcze bardziej – westchnął.

– Paweł...

– Zrobię to, ale jeśli poprosisz mnie o coś jeszcze, przysięgam, że skończysz, patrolując obwodnicę tarnowską, choćbym miał położyć własną karierę na stole.

– Brzmi jak komfortowa robota. Można docisnąć?

– Jest ograniczenie do stówki. Warwiłow, po co ci to?

– Co?

– Karpiuk. Co kombinujesz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– W porządku – odparł po chwili milczenia. – Pamiętaj tylko, że sporo mi wiesz. Jak skończysz karierę przed czasem i tak odbiorę, co swoje. A co do starego, znaczy się, Karpiuka...

– Tak?

Zdawało jej się, że podinspektor chce jeszcze coś powiedzieć.

– Nic – odparł w końcu, a po chwili, jakby z wahaniem, dorzucił: – Bądź ostrożna, Nina.

Po wyjściu podinspektora Karpiuk drżącymi palcami wykręcił numer do Kory. Czekał w napięciu, łupało go w skroniach, jakby

Całkiewicz na spółkę z Warwiłow wiercili w nich dziury diaksem.

– Nina! – krzyknął Rafał Łowicki, który odebrał telefon. Wrzasnął gdzieś w powietrze, skazując Karpiuka na kolejne sekundy nerwów.

– No, nie ma jej, nadkomisarzu. Wybyła – oznajmił gospodarz.

– Wyjechała?

– Miała, ale nie, jeszcze nie. Chyba nie nastąpi to dzisiaj. Wybiera się do Warszawy jak sójka za morze.

Karpiuk ledwo wybąkał pożegnanie. Chwilę później zdjął kurtkę z wieszaka i wyrwał do przodu jak koń wyścigowy, wbrew swoim gabarytom i słabej formie. Nie miał teraz czasu na rozmowę, choćby i z komendantem wojewódzkim. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Bukowców.

Warwiłow siedziała przy kominku w Korze, koncentrując się i uspokajając myśli. Zegar na okrągłej piaskowej planszy tykał cichutko w rogu jadalni. Trzymała w ręku elektronicznego papierosa, bezwiednie obracając go w palcach. Zorientowała się, że cały zwilgotniał, i wtedy przestała. W zasadzie zapomniała już go palić, jednak pożyteczną funkcją tego zbytkowego gadżetu okazało się wspomaganie uwagi.

Hipoteza nabrała kształtów. Warwiłow poukładała już niemal wszystkie elementy ze strzępków informacji, które zebrała w trakcie tego tygodnia. Kilkomna białymi polami musiała zająć się później. W tym jednym, wielkości Sahary, którego uzupełnienie fizycznie przekraczało jej możliwości.

Gdzieś z kuchni, jak zwykle, dochodziły ją miłe zapachy. Życie w Korze toczyło się swoim rytmem. Wstała i poszła na górę, do swojego pokoju. Ubrała się. Gotowa do wyjścia siedziała na łóżku, kiedy Aneta zawołała ją do telefonu.

– Idę.

Zeszła. W słuchawce odezwał się starszy aspirant Chodkowski, tak jak go o to poprosiła wcześniej. Polisa ubezpieczeniowa dla śledztwa.

Powiedziała mu, gdzie może znajdować się Joanna Pascho. A potem przedstawiła wybrane punkty swojej teorii. Wyjaśniła mu dokładnie tyle, ile zaplanowała.

– Załapałeś? – zapytała.

– Tak. Bądź ostrożna. Załatw to na miękko – poprosił.

Odłożyła słuchawkę. Jeśli Chodkowski się dowie, co zamierzała, ich przyjaźń ulegnie ostatecznemu zniszczeniu. I oczywiście starszy aspirant nie miał pojęcia, w jakim postawiła się położeniu.

Nie mogła jednak teraz dzielić włosa na czworo. Nie zamierzała również zastanawiać się, czy jako matka powinna być ostrożniejsza. Poczwała, jak opada z niej miękka powłoka, kokon

oblepiający ją od narodzin Mili, tak jakby dopiero teraz, po dwóch latach przerwy, wracała do swojej prawdziwej postaci. Niny Warwiłow, zawodowej śledczej, komisarz w wydziale dochodzeniowym komendy Praga-Północ.

Miała dwie hipotezy. Dotarła do ściany; weryfikacja drugiej znajdowała się poza jej zasięgiem. Musiała odsłonić karty, nawet jeśli wiązało się to z niebezpieczeństwem. Była to winna Joannie Pascho, dlatego tu przyjechała.

Wyszła na taras, bo nadszedł już czas. Zmierzchało, z każdym dniem mrok zdobywał minuty w walce ze światłem słonecznym. Zapaliła, żeby ukoić nerwy. Spoglądała w punkt, w którym z lasu wyłaniały się samochody jadące do Bukowców.

Czekała, zastanawiając się, czy ten największy z gorlickich karpi dał się złapać na wędkę.

Nadkomisarz wytłukł się na pieprzonej drodze do Bukowców, którą o tej porze roku wołał w wersji śnieżnej. Jego qashqai zupełnie dobrze radził sobie na białym puchu, w każdym razie znacznie lepiej niż plecy Karpiuka na dziurach głębokości butelki piwa.

Widział ją już z daleka. Warszawka w najlepsze siedziała sobie na werandzie Kory. Paliła to elektroniczne gównno, którego powinni zakazać, bo niby legalnie smrodzono nim teraz wszędzie.

– Warwiłow, do kurwy nędzy – rzucił, trzaskając drzwiczkami.

– Pan nadkomisarz. – Uśmiechnęła się. Tak jakby nie rozmawiali dzisiaj rano. Jakby nie kazał jej wyjechać z jego miasta.

– Co tu jeszcze robisz? Czego chcesz? – warknął.

– Równowagi i spokoju – odparła. – Jak każdy. Wejdźmy lepiej do środka. Bo trochę zimno, a ja nie czuję się dzisiaj najlepiej.

Karpiuk wpatrywał się w okolice pasa Warwiłow. Widział, po lekkim wybrzuszeniu, że kobieta ma przy sobie broń. Przełknął ślinę, wszedł za nią do pensjonatu. Sam zabrał ze sobą waltera, choć nawet nie wiedział, czy jego prastara pukawka wciąż działa. Warwiłow, ze stolicy, pewnie używała nowszego glocka.

Mógł ją teraz aresztować, był funkcjonariuszem na służbie. Sprawował władzę w Gorlicach. Tylko co dalej?

– Gdzie mnie prowadzisz, Warwiłow? – zapytał.

– Na herbatę.

Do kuchni w Korze podążył za nią jak cień. Szła przed nim, wyczuwał, że sama jest bardzo spięta. Zajął miejsce przy stole, nieufnie lustrując otoczenie. Czuł niepokój i wściekłość na Warwiłow, że uparła się na śledztwo, które należało uśmiercić. A Karpiuk powinien odzyskać swoje życie.

Rzucił okiem na obróconą tyłem gospodynię, która kręciła się po aneksie kuchennym, produkując kuszące aromaty. Od

wypadku Kuby do zniknięcia Pascho Karpiuk nie postawił stopy w Bukowcach. Kojarzyły mu się z tragedią syna. Łowickiego spotykał i przedtem, ale jego żonę widział z bliska pierwszy raz.

Gospodyni cieszyła się mocną, ale kobiecą budową, z szerokimi biodrami i lekko wypiętym tyłkiem, tak jak lubił. Gdyby miał inną żonę niż Ela, mogłaby być jak Łowicka. Albo Wartoń. Zdrowa, mocna dziewczyna, a nie to eteryczne widmo, z którym borykał się od osiemnastu lat.

Jego wyniki mieściły się w normie, przy odrobinie treningu może jeszcze sprawdziłby się w łóżku, niedostatki wigoru nadrabiając zaangażowaniem. Dlaczego teraz o tym myślał?

Tego poniedziałkowego poranka, zanim dowiedział się, że Warwiłow grzebała w archiwum, Karpiuk jadł z żoną śniadanie, a w zasadzie jak co dzień ją karmił. Ela siedziała na krześle z tępym wyrazem twarzy i z resztką owsianki na brodzie.

Uświadomił sobie, że powinien oddać Lusię do miejsca, w którym zajmują się takimi jak ona. Niezależnie od kosztów. Przeprowadzić rozwód. Że musi ratować siebie samego. Byłe zakończyć tę sprawę i odciąć się na zawsze od demonów przeszłości.

Dyskretnie położył rękę na biodrze.

Nie zdejmował kurtki, żeby Warwiłow nie zobaczyła broni. Koszula na plecach zrobiła się mokra, a czoło zrosił pot. W Korze było zdecydowanie za ciepło.

– Wie pan, z kim rozmawiałam, zanim pan tu przyjechał? – zapytała Warwiłow głośno, jakby cierpiał na niedosłuch.

– Z Nicińskim.

– Tak. – Wyglądała na zadowoloną. – A wie pan, co on mi powiedział?

– Warwiłow, przestań mówić zagadkami. Zadałaś mu pytanie. Jakie?

Kątem oka obserwował Anetę. Było jasne, że gospodyni wsłuchuje się w rozmowę, choć odwrócona plecami mogła nie słyszeć wszystkiego.

– Zapytałam go, jak zakończyła z nim współpracę Joanna Pascho – powiedziała warszawka.

– No i?

– Zostawię to jako zagadkę, na którą odpowiem w swoim czasie. A teraz, nadkomisarzu, wyruszmy razem w przeszłość. Ale nie tę odległą, którą pan wciąż żyje. Na razie tylko dwutygodniową. Zaczniemy od soboty 8 listopada. Wtedy Joanna Pascho zamknęła się w domu, zmęczona remontem i pracą. I od tego momentu nikt jej nie widział. Z wyjątkiem jednej osoby. I pana.

– Była w Gorlicach i przysłała na komendę – powiedział. – Są świadkowie, dyżurny...

– Dyżurny wcale jej nie widział – przerwała. – Bo go nie było. Skłamał pan, nadkomisarzu. Czemu?

Kropła potu spłynęła Karpiukowi po czole. Na razie nie wyjmował chusteczki.

– Nie odpowiada pan. Pierwsza osoba widziała Joannę dwa razy: 8 oraz 9 listopada. Kolejne zeznanie pochodzi już od pana. To 11 listopada. Panie nadkomisarzu, co dokładnie padło podczas tej rozmowy? Co wciąż pan pomija?

– Już o tym rozmawialiśmy, Warwiłow.

– Przyjmijmy hipotezę, że opowieść Joanny dała panu nadzieję, że pana syn Jakub Karpiuk żyje. Uznał pan, że Joanna jest Adą Wańczyk, a Kuba, mimo listu samobójczego, nie tylko żyje, ale obserwuje swą dawną ukochaną. I dlatego właśnie wszczął pan dochodzenie, kiedy Joanna zaginęła, choć nie był pan do tego zobligowany. Liczył pan na odnalezienie syna.

Milczał.

– To dla pana bolesne, rozumiem. Ale tak właśnie to się trzyma kupy. Dlatego nie wyjawiał pan, że Joanna była fałszywą lekarką. Przecież to załatwiłoby sprawę. Można by wtedy wszcząć poszukiwanie: jako oszustki, a nie osoby zaginionej. Postępowanie w zupełnie innym charakterze. Zresztą, pewnie zajęłaby się tym policja warszawska. I z głowy. Czy jednak pragnął pan tylko odnaleźć syna, czy chciał uchronić go też przed karą? Bo jeśli uwierzył pan, że Kuba żyje, to uwierzył pan również, że mógł zabić Joannę. Jako Adę. Przecież to głównie jemu Ada Wańczyk zniszczyła życie, prawda? A potem odnaleziono zwłoki... mężczyzny. Co pan wtedy

myślał, nadkomisarzu?

– Pewnie wiesz lepiej, Warwiłow.

Ręka na biodrze również zwilgotniała. Dyskretnie wytarł ją o dzinsy, żeby mokre palce nie ześlizgnęły się z rączki waltera w kluczowym momencie.

Nie wiedział, do czego kobieta dąży, ale musiał być czujny. Nie zamierzał pójść siedzieć, był na to za stary i zbyt utytułowany. Warwiłow trudno byłoby udowodnić jego winę. Mimo to Karpiuk wiedział, że jego sytuacja nie jest dobra. Pewnie nie wystarczyłoby na proces poszlakowy, ale na oblepienie głównem, którego nie zdrapie do końca życia, już tak.

Zdecydowanie lepiej zginąć na miejscu. Instykt przetrwania był w tym momencie w Karpiuku słabszy niż dbałość o reputację. Na nią nadkomisarz pracował całe swoje życie. To jedno mu zostało, nie licząc książki o księdzu Świeykowskim, co do której nie łudził się, że kiedykolwiek ją ukończy.

– Myślał pan, że to syn leży w tym lesie – ciągnęła komisarz. – Aż do sekcji zwłok. Kiedy okazało się, że to zupełnie inny, starszy człowiek. Wtedy odetchnął pan z ulgą, prawda?

Spoglądała na niego, czujna. Widział to po napiętych skroniach i rozszerzonych nozdrzach.

Kiwnął powoli głową.

– Świetnie. Wszystko jest jasne i klarowne. Poza rozwiązaniem zagadki, gdzie jest Joanna Pascho. No więc może teraz, nadkomisarzu, spójrzmy na to wszystko z innej strony. – Uśmiechnęła się. – Takie ćwiczenie. Co jeśli pan wcale nie uznał, że to Kuba może ją podglądać? Tak – ciągnęła. – Minęło wiele lat. A chłopiec zostawił list samobójczy. Stracił pan nadzieję, że żyje. Skonfrontował pan Joannę jako fałszywą lekarzkę, to już wiemy.

Zerknął w stronę kuchenki, przy której kręciła się gospodyni. Gdzie się podział Łowicki? Znowu spojrzął na brzuch Warwiłow, boleśnie świadom jej broni pod kurtką.

– Kiedy zaginęła, przestraszył się pan. I wszczął poszukiwania dlatego, że zrobiło się o tym zbyt głośno, że informowali o zaginięciu i pacjenci, i Łowiccy, i Wojtek Ordowski. Cała okolica trąbiła. Dalsza zwłoka mogła być dla pana ryzykowna. Jak



wspomniałam, jest jeszcze jedna osoba, która widziała wtedy Joannę Pascho. To Halina Styczko, widziała zaginioną pod lasem. Dokładnie tam, gdzie ponoć stał prześladowca Joanny. I to nie jest jedyne, co was łączy. Styczko nienawidziła Wańczyków. Takie informacje jednoznacznie otrzymywałam od wszystkich świadków. Oskarżała ich nie tylko o zabór rodzinnej ziemi, ale i konsekwentnie o całe zło, które ją spotkało. Ją i Bukowce.

– Warwiłow, co mnie obchodzi ta stara baba? Do czego zmierzasz?

– Że w tym czterodniowym okresie Joannę widziały tylko dwie osoby. I każda z nich nienawidziła Ady Wańczyk. A teraz dochodzimy do najlepszego.

– Zdziw mnie.

– Mylił się pan odnośnie Joanny. Jeszcze dzisiaj rano.

– Sfałszowała dyplom. Warwiłow, sama to potwierdziłaś.

– Nie chodzi o dyplom. Joanna Pascho nie była Adą Wańczyk.

– Przecież mówiłem...

– Wiem, co pan mówił – przerwała mu. – Joanna nie była Adą Wańczyk, tylko Joanną Pascho, lekarką z Warszawy. Popełniła przestępstwo, fałszując dyplom medyczny. Jej wyjazd z Warszawy mógł się z tym wiązać. Tak więc Joanna miała świetny powód, żeby zniknąć, kiedy pan ją zdemaskował. Nie spodziewała się tego, była zaskoczona i kompletnie zbita z tropu. Latami podtrzymywała swoje oszustwo w Warszawie, a w Gorlicach została błyskawicznie zdemaskowana. I to przez policjanta.

Karpiuk zerknął nerwowo w kierunku Łowickiej, ale gospodyni zdążyła w końcu wyjść z kuchni. Cieszył się z tego. W piekarniku gotowało się coś smacznego. Ciekawe, ile usłyszała. I jak daleko teraz jest.

– Warwiłow, powiedziałem ci rano, co padło na tym spotkaniu – oświadczył.

– Nie jest pan złym śledczym, tylko zamydliła panu oczy nienawiść. 11 listopada Joanna wraca do Bukowców. Zostawia samochód. Przypina biegówki. A kilka dni później Wojtek Ordowski, lokalny rzeźbiarz, znajduje je na śniegu. Wie pan co,

nadkomisarzu? Od początku uderzyła mnie teatralność tej sceny. Narty pozostawione, a narciarki brak. Czemu? Każdy uzna, że Joanna zaginęła. Tak jakby to zaplanowała, chcąc się ulotnić.

– Po co mnie tu ściągnęłaś? Sugerujesz teraz, że ona żyje?

– Ależ nie – odparła. – Jestem pewna, że Joanna Pascho została zamordowana

Karpiuk poruszył się niespokojnie na krześle. Siedzieli w kuchni we dwoje. Zdawało mu się, że Warwiłow nerwowo zerknęła za okno. Był napięty jak struna, lecz musiał usłyszeć, co ta kobieta wie.

– Nie zabiłem jej – powiedział.

– Alibi pan nie ma. W tę pogodę ruch na drodze panował niewielki. Choć niewykluczone, że ktoś widział pana wóz, pewnie pojechał tam pan prywatnym. Z oddali mógł pan widzieć, jak ona zakłada narty. Czym pan jeździ, nadkomisarzu?

– Przecież wiesz, Warwiłow – warknął. – Co to ma do rzeczy?

– Bo w przeciwieństwie do garbusa, dla pana samochodu ta droga była przejezdna. I mógł pan z łatwością dogonić Joannę. A potem zabić. Wywieźć i pozbyć się zwłok. Ma pan jakąś szopę, prawda? Prawie każdy tutaj ma. Rozpuścił pan ciało w ługu... A narty mógł pan wykorzystać do odwrócenia uwagi. Piękne.

– Tego mi nigdy nie udowodnisz.

– Zabójstwo w odwecie za złamanie życia pana syna i pana rodziny? A tak naprawdę przypadkowa i całkiem głupia zbrodnia na niewinnej osobie. Zaślepiła pana nienawiść, dlatego dokonał pan tej improwizacji?

Cisza. A więc dotarli do tego punktu.

– Nie zabiłem Joanny Pascho – powtórzył.

Warwiłow wpatrywała się w niego uważnie. Poczul zimno na karku. Zdawało mu się, że widzi błysk satysfakcji w oczach policjantki. Ale to mogło być tylko złudzenie...

– Wie pan, co jest najlepsze? – oznajmiła komisarz powoli, jakby cedząc słowa. – Przed chwilą powiedziałam, że pan jej nie uwierzył w sprawie człowieka pod lasem. Rzeczywiście nie sądzę, by powiedziała panu prawdę. Więc... miał pan rację.

Karpiuk poczuł, że się zapada. Nie zareagował, kiedy

wyszarpnęła zza pasa broń i skierowała w jego stronę.

Nawet nie dotknął swego bezużytecznego waltera.

– Warwiłow... – powiedział cicho. Nie zamierzał walczyć.

Uświadomił sobie, że ona nie patrzy na niego, tylko gdzieś dalej. A potem, że oddech zimna to nie jest dreszcz. Za jego plecami drzwi były otwarte. Odwrócił się i spostrzegł Rafała Łowickiego.

– Odłóż to – powiedziała do gospodarza Warwiłow. – Nic się nie dzieje.

Mężczyzna powoli opuścił dłoń. Ostrze siekiery dotknęło posadzki. Narzędzie wydało z siebie markotny, cichy dźwięk.

Za Rafałem dostrzegł Anetę.

– Widziałem, jak poprawiał broń przy wyjściu z auta – powiedział gospodarz, wskazując na Karpiuka. – A Aneta podsłuchiwała rozmowę. Myśleliśmy, że coś ci grozi.

– Bo groziło – odparła Warwiłow. Wyglądała na uspokojoną. – Widzi pan, nadkomisarzu, Aneta opuściła kuchnię, kiedy powiedziałam, że pan się mylił odnośnie tożsamości Joanny.

– Poszłam po Rafała – wyjaśniła gospodyni.

– Dziękuję. Nadkomisarzu, nie skończyliśmy naszej rozmowy. Długo ciekawiło mnie, czemu nikt nie zainteresował się Haliną Styczko, która całymi dniami miała oko na dom i ziemię Joanny, dom znieawidzonych przez siebie Wańczyków. Czy był pan pod lasem, nadkomisarzu?

– Nie – odparł głucho.

– Jest tam ścieżka biegnąca przez całe Bukowce. Stąd aż do Ireny Drybak. Więc kiedy Styczko powiedziała, że widziała tam Joannę, zrozumiałam, że musiała ją tam widzieć. Nie było innego wyjścia.

– Co to ma wspólnego ze mną? – rzucił Karpiuk.

– Coś. Ale nie to, co pan myśli. Widzi pan, Joanna musiała tamtędy przechodzić, bo nie mogła być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Nie rozumiem.

– Nie szkodzi, zaraz pan zrozumie. Byle w miarę szybko. I wie pan, co jeszcze jest ciekawego? – Warwiłow wskazała na telefon. – Tu jest jedna linia i łatwo można się podsłuchiwać.

A teraz wreszcie chciałabym przekazać, co powiedział mi Mariusz Niciński. Literalnie. „Ta kurwa nawet nie raczyła ze mną porozmawiać”. Zwolniła go telefonicznie. Dlaczego? No właśnie dlatego, żeby jej nie zobaczył. Bo należał do osób, które wiedziałyby, że pańska Joanna Pascho nie była Joanną, którą znałam ja.

– Przed chwilą mówiłaś, że nie jest Adą Wańczyk – wycedził Karpiuk.

– Nie słucha pan, nadkomisarzu. Ja znałam Joannę. A pan nigdy jej nie spotkał. Ten, kto zamordował Joannę Pascho, wykorzystał fakt, że była nową osobą w Bukowcach. W tej okolicy. A panem posłużył się jako marionetką.

– Po co ta gra?

– Dlatego, że do teraz rozważałam dwie hipotezy. Pan był bohaterem pierwszej z nich.

– Warwiłow...

– Morderca Joanny nie wiedział o niej wszystkiego. W zasadzie, gdyby nie to, gdyby pan i przeszłość nie zagmatwali sprawy, domyśliłabym się już wcześniej. Bo rozwiązanie wcale nie jest takie skomplikowane.

Karpiuk obrócił się na krześle w stronę drzwi. Umysł, topornie, zaczynał jednak kleić fakty.

– Joanna Pascho nie zagięła – kontynuowała komisarz. – Tak jak powiedziałam, jestem przekonana, że moja przyjaciółka nie żyje. I nie, nie zamordowano jej z chorej żądy odwetu. A tym bardziej w afekcie. Joannę zamordowano dla pieniędzy. Zamordowano ją 6 lub 7 listopada, a nie 11.

– To jest głupia teoria. Ja ją widziałem tego dnia.

– Naprawdę? Kogo pan tam widział, nadkomisarzu? Kobiętę, która przedstawiła się jako Joanna Pascho.

– To nie jest wiarygodne.

– Zatem jest pan jedyną osobą w tym pokoju, która w to nie wierzy.

– Warwiłow...

– Nie rozumiem, z czym pan zwleka, ja w każdym razie nie zamierzam czekać, aż ta siekiera pójdzie w ruch. Ta dwójka

zamordowała moją przyjaciółkę. – Komisarz wskazała pistoletem na Anetę i Rafała Łowickich. – Myślę, że Joanna Pascho została zakopana pod podłogą własnego domu.

Martwa cisza. Siekiera opierała się o ziemię; Warwiłow nie była na strzelnicy dwa lata. Jeśli Rafał chwyci za narzędzie, a ona przestrzeli... Mogła pójść siedzieć. Miała nadzieję, że Łowiccy nie zdają sobie z tego sprawy.

Karpiuk milczał, spoglądając to na Rafała, to na Anetę.

– Nina – rzuciła cicho gospodyni.

W nią Warwiłow wpatrywała się najuważniej.

– Ta siekiera nie znalazła się tutaj przypadkowo – powiedziała. – Aneta podsłuchiwała telefony w Korze, korzystając z tego, że jest jedna linia. Co było dla mnie jasne już od dłuższego czasu, ale nie przypisywałam temu specjalnego znaczenia, biorąc to za zwykłe wścibstwo. Dzisiaj sama to wykorzystałam. Jest jeszcze jedna osoba, której przedstawiłam hipotezę numer dwa. Ta osoba wie, gdzie pochowano Joannę. To mój dawny podwładny z komendy Praga-Północ. Nie przekazałam mu wszystkiego, pominęłam podejrzanych. Wystarczyło jednak, by Łowiccy poczuli się zaniepokojeni. A potem, kiedy powiedziałam, że pan się pomylił odnośnie tożsamości Joanny Pascho, Aneta wyszła z kuchni. Dziękuję.

Te słowa skierowała do gospodyni.

– Nina – oznajmił Rafał – Aneta mówiła, że kiepsko się czujesz. Nadkomisarzu, to nasza wina, dziewczyna się zatręła. Cała jest rozpalona.

– Zamknij się, Rafał – powiedziała Warwiłow. – Nadkomisarzu, Aneta podsłuchiwała również naszą poranną rozmowę przez telefon. Poczula się zaniepokojona i zupełnie słusznie sprowadziła Rafała. Z siekierą. Oczywiście nie pan stanowił zagrożenie, tylko ja.

– Po co mnie tu dzisiaj sprowadziłaś? – zapytał Karpiuk.

– Jestem na urlopie, nie pamięta pan? – zaśmiała się z napięciem. – Poza tym to pana teren. Formalnie nie mam tu nic do powiedzenia i w praktyce również.

– Nawijałaś tak, jakbym to ja zabił Pascho. A jednak twierdzisz, że to Łowiccy.

– Dopóki nie pojawiła się tutaj siekiera...

– Warwiłow, teraz masz pewność? – wszedł jej w słowo Karpiuk.

Wahała się z odpowiedzią. Wtrącił się za to Rafał.

– Myślałem, że grozi ci niebezpieczeństwo, Nina – rzucił.

Nie szczyrzył się tak jak zwykle. Uśmiechnęła się za to Warwiłow, zdecydowanie już spokojniejsza.

– Gubisz się. Przed chwilą twierdziłeś, że jestem niepoczytalna.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Nadkomisarzu – powiedziała. – Wiele wskazywało na pana. W zasadzie byłem pewna, że pan ją zabił, a ja nigdy tego nie udowodnię. I tak się rozstaniemy. A kiedy dowiedziałam się, że Ada Wańczyk żyje, pomyślałam o drugiej wersji wydarzeń. Sam pan podsunął to rozwiązanie podczas naszej rozmowy. „Na pole”, zgadza się? Rzeczywiście, tak nie powiedziałyby Joanna. A jeśli nie była Adą, to może inną kobietą z tych okolic?

Skierowała spojrzenie na Anetę. Karpiuk podążył za jej wzrokiem.

– Tę hipotezę potwierdzało wszystko, co zauważyłam i usłyszałam w tym tygodniu – powiedziała. – A kiedy zaczęłam ją dalej weryfikować... Wciąż jednak nie miałam pewności, że nie sprzątnął pan Joanny w odwecie, mylnie biorąc ją za Adę.

– Warwiłow...

– Nie mam stuprocentowej pewności i teraz – oznajmiła. – Musi pan aresztować tę dwójkę, a potem przekopać ziemię pod domem Joanny. To jedyne wyjście.

– A jeśli jej tam nie znajdziemy? – rzucił Karpiuk.

Wzruszyła ramionami. Mimo że glocka trzymała nieco opuszczonego, wszyscy w tym pokoju zdawali sobie sprawę z tego, kto ma broń.

– Nie ty wydajesz tu polecenia, Warwiłow – powiedział Karpiuk.

– Niech pan wysili pamięć. Nie poznaje jej pan?

Nadkomisarz wgapił się w Anetę, która stała bez ruchu

i wydawała się bliska omdlenia. Już przedtem widziała, że Karpiuk zaczyna coś jarzyć, dostrzegała wysiłek na jego zmęczonej twarzy.

– W porządku – powiedziała Warwiłow. – Dojdziemy do tego. Pana zeznanie i tak nie byłoby mocnym dowodem w sprawie. Znajdziemy coś twardszego. Ciało Joanny. Tylko w ten sposób to wszystko się klei. To Łowiccy mieli najlepszy motyw i sposobność, żeby zabić Joannę. I wskazują na nich poszlaki.

Gospodyni ocknęła się i zrobiła nagły ruch, tak jakby chciała przytulić się do męża, który był pół metra dalej. Siekiera stała oparta o ścianę między Łowickimi.

– Nie ruszaj się, Aneta – poleciła komisarz. – Dostaniesz w prawą rękę i będziesz musiała nauczyć się gotować lewą.

– Warwiłow – upomniał ją Karpiuk. – Nie groź ludziom.

– Przedstawię, co mogło się wydarzyć. A potem pan zdecyduje, co robić.

Widziała walkę na twarzy Karpiuka. Obserwował Łowickich.

– Po kolei – rzucił w końcu z wyraźnym wysiłkiem.

Aneta była czerwona na policzkach. Rafała Nina obawiała się bardziej. Opierał się o framugę z obojętnym wyrazem twarzy.

– To trochę potrwa – powiedziała Warwiłow. – A ja muszę zadbać o nasze bezpieczeństwo. Trzeba ich skuć. Niech pan wyjmie kajdanki.

Niechętnie to zrobił, wciąż wpatrując się w Anetę. Drugą parę kajdanek Warwiłow dołożyła od siebie.

– Niech pan to robi sam – poleciła.

Karpiuk zerknął na broń, którą skierowała nieznacznie w stronę gospodarzy. Nie skomentował, przykuł Łowickich do krzesel. Rafał zachowywał się spokojnie, Aneta wyglądała na bliską płaczu.

„Karpiuk przedwcześnie się postarzał, jest już zużyty – pomyślała Warwiłow. – Powinien odejść. Może kiedyś był dobrym policjantem, ale stracił już przenikliwość. Śledztwo też gmatwał, i to tak nieumiejętnie, że o mały włos go nie położył”.

Po unieruchomieniu Łowickich wstała i podniosła siekiere z podłogi. Podmuch powietrza wbił się do środka, kiedy



wyrzuciła narzędzie przez okno. Zatrzasnęła je. Łowiccy obserwowali ją w milczeniu.

– A teraz niech pan położy swojego waltera na stole, nadkomisarzu – poprosiła.

Karpiuk wybałuszył na nią oczy.

– Nie będę ryzykowała – powiedziała.

– Pójdiesz siedzieć.

– Wątpię. Bezpieczniej jest zabrać kławkę, niż pana postrzelić. Musi pan mnie wysłuchać. Potem zwrócę broń i niech pan zdecyduje, co zrobić.

Wahał się. Nie chciała w niego celować.

Rafał śmiał się.

– Popełniasz błąd za błędem, Nina – rzucił.

– To możliwe – zgodziła się uprzejmie. – Ale co będzie, jeśli znajdziemy Joannę pod podłogą nowego domu? Z zachowanym śladem twojego DNA? Niewiele trzeba, nie zgubiła was pewność, że nikt jej nie odkopie?

Rafał wzruszył ramionami.

– Nie masz pojęcia, kim jest Karpiuk w tej okolicy – oznajmił.

– Naczelnikiem wydziału kryminalnego, który poprowadzi postępowanie przygotowawcze. Dlatego właśnie musi mnie pan spokojnie wysłuchać – powtórzyła. – Nadkomisarzu, kłamał pan i mataczył w śledztwie, sprzeniewierzył się w ten sposób pełnionej funkcji. Nie mam do pana zaufania. Niech pan położy broń na stole.

Karpiuk zmarszczył mięsiste czoło.

– Na moim miejscu zrobiłby pan to samo – dorzuciła.

– Przekonaj mnie najpierw do swojej teorii, Warwiłow.

Pokręciła głową.

– Muszę mieć pewność, że pozwoli mi pan przedstawić całą hipotezę. Potem pan zdecyduje, czy aresztować Łowickich, i otrzyma z powrotem swoją broń, cokolwiek się wydarzy.

W tej kuchni zaznała tylu miłych chwil. Siedzieli teraz we czwórkę przy stole Anety jak czworo znajomych w jesiennie popołudnie. Dopiero z bliska można było dostrzec, że dwoje ze stołowników jest skutych. Na twarzy Karpiuka malował się

melanż ciekawości, złości i urazy. Z oczu Anety popłynęły pierwsze łzy.

Nina czekała cierpliwie.

– Czemu pan pozwala, żeby terroryzowała nas tutaj obca? Czy pan wie, jak ona się tutaj kurwi? – zapytał Rafał.

– Bo cię stąd wyprowadzę – uprzedziła Warwiłow. – Pewnie na to liczysz. Przebiłam ci dzisiaj oponę. Tak na wszelki wypadek. Zostaje ci las, a to kiepski sezon. Lepiej będzie, jak posłuchasz. Więcej czasu na przygotowanie do procesu. No chyba że wolisz się przyznać?

– Do czego?

– Nie? – zaśmiała się. – A może ty, Aneta? Oszczędzisz wszystkim nerwów. Byłaś w ogóle z Rafałem u Joanny 6 listopada? Czy tylko ją udawałaś? Dostaniesz wtedy za współudział, ale wyjdiesz za życia. To jak?

– Milcz, Aneta – warknął Rafał.

Komisarz zaśmiała się.

Karpiuk westchnął i powolnym ruchem wyjął waltera. Położył go na stole. Nina chwyciła za rączkę, rozgrzaną od ciała nadkomisarza; wsadziła broń do kieszeni kurtki.

– Dziękuję.

– Mów, Warwiłow. Bez zbędnego pieprzenia.

– Będzie pan musiał później trochę pogrzebać i dołożyć od siebie. Joanna zobaczyła dom Wańczyków na rajdzie w maju, tak mi przynajmniej opowiadała. Nie mam powodu, by w to nie wierzyć. Ale co do prawdziwego powodu wyjazdu... Jej klinika miała zostać przejęta przez międzynarodową korporację medyczną. Grunt zaczął się jej palić pod nogami, jednak nie na tyle, by nie mogła założyć samodzielnego gabinetu w Gorlicach. Zresztą, nic innego w życiu nie robiła. Ponoć wyleciała po pierwszym roku studiów, nie wiem, czy pan do tego konkretnie dotarł. Joanna kupiła dom od Adrianny Wańczyk. Tak, nadkomisarzu, może nawet Ada Wańczyk znajdowała się tu, pod pańskim okiem, w Gorlicach.

Karpiuk był już naprawdę zmęczony. Nie dostrzegła na jego twarzy emocji, których się spodziewała.

– Chyba że Wańczyk działała przez pełnomocnika – kontynuowała. – W każdym razie zobligowała Popielewicza, by szczególnie troskliwie chronił jej tożsamość... jeśli to on obsługiwał transakcję, tak jednak podpowiada mi intuicja... i naruszył prawo, jeśli w ogóle go nie złamał, nie przesyłając wypisu aktu notarialnego do ksiąg wieczystych. Nie za darmo, tego jestem pewna. W księgach Wańczyk w ogóle nie figurowała. Musiała kiedyś przeprowadzić sprawę spadkową, pewnie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, ale sąd nie wysłał informacji o spadkobranii do ksiąg wieczystych. Wątpię, by to akurat zaplanowała, nie wtedy, zwłaszcza że sądom zdarzało się to nagminnie. To nie ma zresztą większego znaczenia. Joanna Pascho poznała Łowickich już w sierpniu, zatrzymała się u nich. Zamieszkała potem w starym domu; pierwszy majster, którego najęła, Fuszara, ocenił, że budynek się nie nadaje. Znalazł jej dom do przeniesienia, zaczął stawiać, ale do tej pory zrobiło się już za zimno na wylewkę i Fuszara postanowił, że najpierw postawi ściany i dach, żeby potem dogrzewać. To wiem jeszcze od samej Joanny. Szkoda, że później nie pomyślała, żeby do mnie zadzwonić, kiedy zawisło nad nią niebezpieczeństwo.

Zamyśliła się na chwilę, zastanawiając się, że może to Joanna chciała zakończyć tę przyjaźń ze względu na swoje oszustwo dyplomowe. Zamknąć przeszłość na cztery spusty.

– Potem majster stracił nogę – kontynuowała. – Nieszczęśliwy wypadek, który w pewien sposób pograżył i Joannę. Niciński znał Fuszarę z lasu i zgłosił się do niej sam. Po tym, jak zamordował Jerzego Marka... Bo myślę, że go zamordował po prostu dla pieniędzy i spontanicznie. – Przypomniała sobie niedzielną rozmowę z podinspektorem w komendzie. – Jerzy Marek miał pecha, trafiając na niego w lesie. Byli tam sami i drwał mógł zamordować turystę pierwszą rzeczą, jaką znalazł. Kawałkiem drewna, zgodnie z informacjami z sekcji. Niciński kończy stawiać u Joanny dach, ale ociąga się i nie dochodzi do zrobienia wylewki. To tutaj kluczowe. 6 listopada, tuż przed pięciodniową przerwą, Joanna idzie do pensjonatu Łowickich i opowiada im o kłopotach z majstrem. Wtedy była w pracy ostatni raz przed długim

weekendem, a 10 listopada zrobiła sobie wolne. Łowiccy zorientowali się w sytuacji.

– Warwiłow, w jeden dzień nie rodzą się mordercy – przerwał jej Karpiuk. – Niciński to patologia, ale Łowiccy?

Zerknęła na silne ręce gospodarza z krótkimi, szerokimi palcami. Wyobrażała sobie, co wtedy zaszło.

– Nie wiem, czy to był jeden dzień. Na pana miejscu sprawdziłabym przeszłość, szczególnie Rafała. Przyjechał tu jako młody wdowiec, tak powiedziała Mary Sikorska. Co właściwie spotkało twoją pierwszą żonę, Rafał? Jak umarła? Zachorowała czy miała wypadek?

– Nie muszę tego mówić, Nina – odparł gospodarz.

– W takim razie wypadek. Widzisz, Aneta – rzuciła. – Może masz szczęście, że będzie odsiadka. Może to ci oszczędzi wyjątkowo pechowego zdarzenia.

– Nie słuchaj jej, Aneta – ostrzegł Rafał.

Gospodyni łkała cicho.

– Tak, dla niego to nie pierwszozna, nadkomisarzu. Razem z Romkiem Styczką oszukał jego żonę, podsuwając jej pełnomocnictwo.

– Warwiłow, nie gadaj jak Sfinks – powiedział Karpiuk. – Nie rozumiem.

– Ja tak samo – wtrącił Rafał ze śmiechem. – Co to za przestępstwo?

– Znalazłoby się, gdyby uwzględnić sytuację Haliny Styczko, o której z pewnością wiedziałeś. Za grosze kupiłeś tutaj ziemię. Problem w tym, że wzięłam cię za oszusta, mało szkodliwego cwaniaczka. Może celowo tak zagrałeś wobec mnie, opowiadając mi wybrane kawałki historii o waszej ziemi.

– Warwiłow, jaśniej – warknął Karpiuk.

– Historia jest bez związku z Joanną, wątpię, aby ktoś chciał to ściagać. Wspominam o tym, żeby pokazać, z kim mamy do czynienia, a jeśli uzna pan to za konieczne, wyjaśnię później. Dlatego, że mówimy tu o dobrach osobistych osoby trzeciej. Twierdzi pan, że w jeden dzień nie rodzą się mordercy? Nie w jeden, ale kiedy długotrwała desperacja łączy się

z okazją... Zweryfikujcie kondycję finansową pensjonatu Kora. Weszłam dzisiaj na stronę Krajowego Rejestru Długów. Łowiccy są po uszy w gównie. Przede wszystkim mają niespłacony kredyt na dwieście tysięcy złotych, wzięty kilka lat temu w sądeckim banku. Strzelam, że na remont Kory. Nie wiem, czy bank podjął już kroki prawne, niech pan to sprawdzi. Poza tym wiszą za szereg innych rzeczy. I, nadkomisarzu, czy wtedy, 11 listopada, tak zwana Joanna opowiadała panu o włamaniu do swojego domu?

– Nie... – Karpiuk zawahał się. – Nie wiem, nie pamiętam.

– Niech pan wysili pamięć.

– Nie sądzę – powiedział w końcu – Tylko o człowieku pod lasem.

– A to właśnie opowiedział mi Wojtek Ordowski w dniu, kiedy go poznałam, i potwierdził dzisiaj. To jedna z informacji, które przekazała mu Joanna 6 listopada. I nikt poza Wojtkiem o tym nie wspominał. Joanna sądziła, że ktoś przetrząsnął jej dom. Nic nie zabrano. Uznała, że to właśnie obserwator się włamał. Myślę, że to Łowiccy. Interesowała ich tylko gotówka. Jak rozumiem, nie znaleźli jej wtedy. Nawet lepiej: jeśli Joanna poszła później do Kory, gdzie Rafał zaoferował pomoc, mogła opowiedzieć im o pieniądzach. Mogła mieć je ze sobą, żeby dokonać zakupów i płatności w trakcie przerwy w pracy. Wiemy jednak, że następnego dnia zwolniła Nicińskiego i po wykonaniu wylewki budowa stanęła na dobre. Gdyby 11 listopada była u pana prawdziwa Joanna, opowiedziałaby panu o tym fakcie. Tymczasem go przemilczała. Dlaczego? Informowanie o włamaniu byłoby dla Łowickich bezsensownym ryzykiem. Gdyby nie Ordowski, ta informacja w ogóle by do mnie nie dotarła. Nadkomisarzu, pieniądze nigdy nie występowały jako poważny motyw w sprawie, bo nie było samej sprawy o morderstwo bez odnalezienia ciała. Tymczasem Joanna miała ich znaczną ilość. W październiku sprzedała mieszkanie w Warszawie. Dokonywała zakupów budowlanych, stawiała przecież dom niemal od zera. Uwzględniając, że Fuszara czy Niciński chcieli ją naciągać na więcej, mogło to być nawet

kilkadziesiąt tysięcy złotych ruchomej gotówki. Choć równie dobrze kilka i nie jestem pewna, czy Łowickcy wiedzieli, ile ona dokładnie ma.

Spojrzała na Łowickiego.

– Musieliście być przyciśnięci, co, Rafał? Przerażeni widmem utraty Kory, procesami i nieuchronną licytacją. Przecież ten pensjonat to całe wasze życie.

Aneta wciąż szlochała. Rafał zrobił ruch, jakby chciał przysunąć się krzesłem do żony. Nóżka skrzypnęła smutno na kamiennej posadzce.

– Nie ruszaj się, potem sobie popłaczecie – poleciła Warwiłow, po czym zwróciła się do Karpiuka. – Sprawdziłabym też, jak stoją tu, na miejscu. Mówię o prywatnych pożyczkach, zgłoszonych albo takich bez papierów. Mają przyjaciół w okolicy. Jeśli poszli do banku, to może oznaczać, że gdzie indziej już źródło wyschło. A w końcu każdy domaga się swojej kasy.

– Nadkomisarzu... – rzucił Rafał.

– Zamknij się – przerwał mu Karpiuk. – Jedno słowo i poprowadzę was na dożywotkę, choćby to miała być ostatnia moja sprawa. Potraktujcie to jak rozprawę.

– W takim razie chcę adwokata.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem, kurwo? Siedź cicho. – Policjant zaskakująco szybko zerwał się z miejsca i grzmotnął Rafała w skroń. Gospodarz odbił się potylicą od ściany. Na jego włosach szybko pojawiła się krew.

Nina poruszyła się nerwowo. Nadkomisarz przeginał, lecz nie powiedziała ani słowa.

– Jak rozprawę – powtórzył Karpiuk, siadając ciężko na krześle. – Jeśli chcesz, aresztuję was teraz, a Warwiłow i tak wysłucham, a potem przegrzebię pieprzony dom Pascho. To co?

Zapadła cisza. Nina uśmiechnęła się w myślach. Wiedziała, że nadkomisarz prędzej czy później zorientuje się, co leży w jego interesie i kto jest teraz jego prawdziwym sojusznikiem.

– To za ile kasy właściwie ją zabiliście? Ile było dla was warte życie Joanny? – skierowała pytanie do Łowickich.

– Bez prowokacji i bez emocji – upomniał ją Karpiuk, teraz oaza

spokoju.

– W porządku – powiedziała, skupiając na nim spojrzenie. – Suche fakty. Joanna ginie gdzieś między popołudniem 6 listopada, kiedy to widział ją Wojtek Ordowski, a 7 listopada, kiedy przyjeżdża kolega Rafała, Leszek Kosmalski, aby zrobić wylewkę. Tak jak powiedziałam: desperacja spotyka okazję. Nawet jeśli nie wiedzieli, ile dokładnie Joanna ma kasy, Rafał zorientował się, jaka szansa wynika z wylewki i z przerwy świątecznej. Czy długo namawiał Anetę? Może postawił ją przed faktem dokonaniem, już po morderstwie? To również jest możliwe. Tak samo jak to, że 6 listopada Joanna nakryła go na próbie kradzieży. Tak samo jak to, że ją torturowano. W tym momencie niczego nie możemy wykluczyć. Myślę jednak, że zamordowali ją pod osłoną nocy. Potem musieli mieć jeszcze czas na zakopanie ciała, wyrównanie ziemi czy nawet położenie folii, tak by Kosmalski się nie kapnął. Był potrzebny do zrobienia wylewki, ale wątpię, by Rafał wprowadzał go w cały plan. Po co? Kosmalski wspomniął, że nie poznał Anety. Może być w razie czego drogocennym świadkiem. Zeznałby, że Joanna żyła 7 listopada, już po dokonaniu wylewki. Obydwoje Łowiccy bardzo skąpo wspominali o budowie i to powinno mi dać do myślenia. I w ogóle bym nie przyswoiła tego faktu, gdyby nie przypadkowe spotkanie z Kosmalskim. Tak jak później dało mi do myślenia, kiedy Aneta kierowała mnie do domu Nicińskiego. Musiała wiedzieć, że facet przesiaduje w Potoczku, i po prostu nie chciała, abym z nim porozmawiała. No, ale teraz pan musi to z nich wyciągnąć; zaczęłabym od Anety. Mam intuicję, że jest słabszym ogniwem.

Spojrzała na gospodynię, która wyglądała na bliską omdlenia, a potem na jej męża. Karpiuk dobrze mu przyłożył; krew poplamiała Rafałowi włosy z tyłu głowy, jakby pokrył je buraczkową farbą. Powinni go opatrzyć; Karpiuk milczał jednak, a Warwiłow była bliska końca.

– Tak więc 6 listopada Joanna po raz ostatni jest w pracy i przyjmijmy, że jest tam sobą: Joanną Pascho. Może z fałszywymi papierami, ale z doświadczeniem lekarskim. Trudno byłoby ją

zagrać komuś innemu. A potem, od 7 listopada, nie ma już nikogo, kto mógłby ją poznać. Rano wylewany jest beton. Czy jest lepsze miejsce na ulokowanie zwłok? Kto będzie grzebał pod podłogą nowego w zasadzie domu? A jeśli nawet zostałyby kiedyś rozebrany, to trzeba by jeszcze wpaść na pomysł, żeby rozkopać teren. Przy ograniczonych środkach uważam ten sposób pozbycia się zwłok za znakomity. A jeśli nie ma ciała, zazwyczaj nie ma i śledztwa. Joanna musi dosłownie zniknąć z powierzchni ziemi i to jest gwóźdź programu. Gdyby znaleziono ją martwą, śledztwo mogłoby poprowadzić do Łowickich, uwzględniając i przeświatłając ich trudną sytuację finansową. Lecz nikt nie będzie tego badał bez ciała i Łowiccy to przewidzieli. 7 listopada Rafał z Anetą odgrywają komedię łamaną na tragedię. Aneta staje się Joanną przed całą wsią oraz Leszkiem Kosmalskim. Nie został zaproszony na przyjęcie rocznicowe, pewnie nic nie wiedział. Miał wrócić za granicę, ale rozchorowała mu się matka. Niemiała niespodzianka dla Rafała, ale przetrzymał i dobrze to przede mną rozegrał. Po 7 listopada gotowa jest wylewka, pod którą leży prawdziwa Joanna Pascho. Następnie misją Anety jest pilnować betonu, polewać go i ogrzewać. Ale jej głównym zadaniem jest nie wychylać się i nie pokazywać tym, którzy widzieli Joannę. Dlatego właśnie odprawia z kwitkiem Wojtka Ordowskiego, kiedy przyszedł przeprosić za swoje niemiłe zachowanie.

Warwiłow spojrzała z niepokojem na Rafała. Krew spływała mu po szyi, plamiąc ubranie. Karpiuk kompletnie nie reagował. Komisarz wstała i otworzyła szufladę komódki. Zapach czystości zmieszał się z odorem potu i krwi. Aneta, doskonała gospodyni, trzymała tam wyprasowane ściereczki. Warwiłow wzięła jedną i podeszła do gospodarza.

– Nie ruszaj się – ostrzegła.

Trzymając broń skierowaną w głowę Rafała, drugą ręką docisnęła szmatkę do rany. Na dłoni poczuła ciepło i wilgoć, materiał błyskawicznie nasiąkł czerwienią.

– Oprzyj się o ścianę, żeby nie spadło – poleciała, a kiedy milczał, dodała: – To nie jest prośba.

Poruszyła glockiem. Rafał przesunął się do tyłu, nóżka krzesła



zgrzytnęła o podłogę. Warwiłow kiwnęła głową i usiadła.

Miała nadzieję, że cięcie nie jest bardzo głębokie i że Karpiuk wyłga się z tego w Gorlicach. Musiała się śpieszyć.

– Do pensjonatu, jak co roku, przyjechali goście. Sikorscy. Nie było powodu, żeby skasować ich rezerwację. Wręcz przeciwnie, mogli wzmocnić, a nawet zapewnić Łowickim alibi. Aneta musiała być w Korze raz na jakiś czas. A Sikorscy, którzy sami przyjechali tu na odpoczynek od ludzi, nawet się nie zorientowali, że ona została Joanną. Jakby ktoś ich zapytał, odpowiedzieliby, że Aneta była w Korze. Jak zawsze. I to właśnie zobaczyła Styczkowa. Fałszywa Joanna przechodziła ścieżką w lesie, przebierała się tam i wychodziła jako Aneta, a potem na odwrót. Wracała do domu Pascho, by polewać i ogrzewać wylewkę piecykiem.

– Rafał nie pomagał? – zapytał Karpiuk.

– Po co? Najlepiej, żeby Aneta siedziała w domu sama. A potem w planie jest już pan.

Nadkomisarz milczał, pewnie wreszcie zrozumiał.

– Łowiccy nie pomyśleli, że Joanna może być Adą Wańczyk – kontynuowała. – I raczej nie mieli pojęcia o sfalszowanym dyplomie. Ale wiedzieli, że pan nienawidzi Bukowców ze względu na wypadek syna. Wszyscy w okolicy wiedzieli. Nie zakładali, że pan przyjmie zeznanie, jednak na pewno zdecyduje, czy nadać sprawie bieg. Sądzieli, że dzięki temu w papierach znajdzie się samo doniesienie. Wykorzystali opowieść Joanny o człowieku spod lasu. Aneta z pewnością się ucharakteryzowała: peruka albo farba do włosów, ubrania Joanny, makijaż. W końcu mają podobną budowę ciała. Pomieszał im pan szyki informacją o sfalszowanym dyplomie, ale tylko trochę... Wciąż pan nie poznaje?

– Nie wiem – rzucił Karpiuk.

– Lepiej niech pan sprawdzi dokładnie i jej przeszłość, nadkomisarzu. Mary Sikorska mówiła coś o warsztatach teatralnych. Nie masz przypadkiem doświadczenia aktorskiego, Aneta?

Gospodyni nie podnosiła głowy. Warwiłow zapragnęła złapać ją

za brodę, zmusić, by spojrzała jej prosto w oczy. Rafał zaś, mimo rany, patrzył się bezczelnie. Poczowała, że narasta w niej gniew. Jedyne, czego Joanna pragnęła, to zmiany swojego życia. Była oszustką, ale pewnie nikomu wielkiej krzywdy medycznej nie zrobiła. Dawno miałyby na karku procesy cywilne. Zginęła przez zwykłą chciwość.

– Sama jestem tego ciekawa – powiedziała Warwiłow. – W ogóle przedobrzyliście z tymi Sikorskimi, Rafał. Trzeba było ich odwołać. Bezwiednie podrzucili mi masę istotnych informacji, szczególnie Mary. Poza tym dobrą strategią jest nie nawijać w ogóle, niezależnie z kim gadasz. Już przedtem zauważyłam, że kiedy wydało się, kim jestem, nabraliście wody w usta na temat Joanny. Za to bardzo chętnie i jedno, i drugie mówiło o wszystkim innym. O starych lokalnych historiach, kradnąc w ten sposób mój czas i odwracając moją uwagę. Sikorscy to był jednak błąd. Na szczęście nie skorzystacie z tej nauki, kończąc życie w więzieniu.

– Warwiłow – upomniał ją Karpiuk.

Odetchnęła głęboko.

– Nigdy przedtem nie widział pan Anety, prawda? – zapytała.

– Nie.

– Zawsze gdzieś uciekała, jeśli pan pojawiał się w pobliżu. Odbierała oczywiście telefon, ale sama słyszałam, jak gada: piskliwie i modulując głos. Na pewno była trochę zszokowana po spotkaniu na komendzie. Najpierw tym, że wyszedł pan po nią osobiście. Potem oskarżeniem o fałszerstwo dyplomu... To musiała być dziwna rozmowa, nadkomisarzu. Chciałabym kiedyś przeczytać jej zapis. W każdym razie Aneta mądrze robi, nie zmieniając planu, który obejmował zostawienie samochodu, porzucenie nart na poboczu, a potem powrót lasem do pensjonatu. Śnieg okazuje się przyjacielem Łowickich. Planując zbrodnię, mogli uwzględnić zapowiadane opady.

– Wszyscy chorowali wtedy w pensjonacie, krążył wirus. To jest jakieś alibi, nawet jeśli słabe – zauważył Karpiuk.

– Czyżby? – zaśmiała się Warwiłow. – Żadnej grypy nie było. W pensjonacie przebywały dwie pary, z czego jedna symulowała,

a druga naprawdę miała problemy żołądkowe. Lecz nie wywołane chorobą, tylko środkami na przeczyszczenie. Brutalne, ale tak właśnie zostali potraktowani Sikorscy. Znalazłam zresztą resztki bisacodylu w łazience na dole i skonfiskowałam. Łowiczy okazali się nieostrożni albo pewni, że nikt tego nie powiąże. Widzisz, Rafał, kolejny błąd.

Karpiuk już nawet jej nie upomniał.

– Potem zgłaszają zaginięcie i tyle – kontynuowała. – Cała historia pana syna, a także zamordowanie Jerzego Marka... Oni o tym po prostu nie wiedzieli. Ale to działało na ich korzyść. Pilnowali, by nie mówić za dużo, z niezłym skutkiem. Na szczęście gadają inni.

Przerwała.

– To już wszystko, Warwiłow?

Zawahała się.

– Tak, nadkomisarzu. To wszystko, co chciałam powiedzieć – zdecydowała.

Na twarzy Karpiuka malowało się napięcie. Wiedziała, że jeśli ich rozkuje, to nigdy nie doprowadzi do oficjalnego przekopania domu Joanny. Lecz wiedziała również, że znajdzie ciało przyjaciółki, choćby miała dogrzebać się do niego własnymi rękami.

O ile prościej byłoby jednak zaangażować do tego Karpiuka.

Wyjęła waltera z kieszeni, położyła z powrotem na stole. Przesunęła broń w stronę nadkomisarza i czekała.

Godzinę później w pensjonacie zaroilo się od ludzi. Karpiuk sprowadził chyba połowę gorlickiej komendy. Łowickich aresztowano, a prokurator wystawił ekspresowo nakaz i przeszukiwano Korę od góry do dołu.

Warwiłow trzymała się na uboczu. Rewidowali nie ten dom, co trzeba.

Wyszła na taras. Była już chłodna, wręcz mroźna noc. Zapowiadająca gorsze czasy. Choć przecież komisarz wierzyła, że sprawa Joanny została rozwiązana. Mimo to nie czuła się najlepiej. Zadrżała z zimna i wyczerpania.

Podszedł do niej Karpiuk.

– Czterdzieści osiem godzin – rzucił.

– Przekona pan sąd, żeby przedłużyli.

– Nie będzie łatwo.

– Niech pan przyciśnie Łowicką. Może pęknąć. Niech pan dotrze do Leszka Kosmalskiego. I do Nicińskiego. Coś jeszcze się znajdzie.

Pokiwał głową, choć niechętnie.

– Warwiłow, po sprawie wyjedziesz stąd i nigdy nie wrócisz – powiedział.

– Może będę potrzebna jako świadek.

– Poradzimy sobie bez ciebie.

Przytaknęła. Karpiuk wahał się, wyglądał, jak gdyby walczył ze sobą. Wyraźnie chciał jeszcze coś dodać.

– Warwiłow, więc ta historia, ta z obserwatorem...

– Tak?

– Powiedziałaś, że jeśli 11 listopada nie uwierzyłem w opowieść o człowieku spod lasu, to miałem rację. To wszystko był pic na wodę?

Nadkomisarz usiłował się nawet uśmiechnąć, ale głos lekko mu się załamał.

Wiedziała, że nie uniknie tej rozmowy. Patrzyła na Karpiuka.

Zastanawiała się nad tym wiele razy, od aresztowania Łowickich. Co właściwie zrobić? Pomyślała o spotkaniu z Wojtkiem Ordowskim poprzedniego dnia.

Przed nią stał stary już człowiek, nie tyle wiekiem, ile duchem. Który może nie miał już w życiu nic. A ona? Czy była od odkrywania prawdy, czy zakopywania tajemnic pod jeszcze głębszą warstwą ziemi?

– Powiedziałam tak, by sprowokować Łowickich – oznajmiła. – Wtedy nie rozmawiał pan z Joanną Pascho, tylko z Anetą. Jednak wczoraj byłam u rzeźbiarza, Wojtka Ordowskiego.

– Tak?

– Powiedział, że Joanna przyszła do niego 6 listopada, twierdząc, że ktoś ją obserwuje.

Oczy nadkomisarza, przygaszone, rozbłysły na chwilę.

– To znaczy...

– To znaczy, że 6 listopada Joanna była jeszcze Joanną Pascho, a nie Anetą Łowicką.

Karpiuk gapił się na nią już na całego.

– A to z kolei oznacza, że naprawdę musiała kogoś widzieć. I tak się składa, że wiem kogo.

Tym razem Drybaczka nie miała wyjścia. Karpiuk wtargnął do jej domu z energią dwukrotnie młodszego mężczyzny.

– Gdzie? – zapytał.

Kobieta była przestraszona. Bez chusty wyglądała starzej, a nawet drobniej. Jej włosy mocno już przetkała siwizna. Irena miała w sobie jednak coś pięknego; chyba nie jedna Warwiłow w niej to dostrzegła.

– Nie wolno – powiedziała powoli Drybaczka.

Ale Karpiuk już nie słuchał. Otworzył drzwi do głównej izby, stanął tam, zajmując niemal ćwiartkę niskiego, niewielkiego pomieszczenia. Warwiłow objęła Drybaczkę ramieniem, ta aż drżała.

Przy stole ktoś siedział. Na widok podkomisarza wstał.

Nawet w kiepsko oświetlonej izbie widziała twarz mężczyzny, która wyglądała jak z niskobudżetowego horroru. Niemal wszystko: oczy, nos, usta, znajdowało się na innym miejscu, niż

należało, a całość pokrywały dziesiątki mniejszych lub większych blizn.

– Tato – powiedział.

Karpiuk nie mógł się ruszyć. A potem zaczął drzeć tak mocno, że Warwiłow zostawiła Irenę Drybak, podeszła do policjanta i objęła go. Ciałem nadkomisarza wstrząsały konwulsje, a potem doszedł i dźwięk. Rozpaczliwy, dziki szloch.

– Przepraszam, tato – powiedział mężczyzna, który też płakał, choć na poharatanej twarzy było to mniej widoczne.

Na Warwiłow Kuba Karpiuk nie patrzył. Zdradziła go. I wiedziała, że mężczyzna już z nią nie porozmawia. Poprzedniego dnia, po rozmowie z Wojtkiem i Haliną Styczko, przyszła pod dom Drybaczek i powiedziała, że nie odejdzie bez spotkania z Kubą. To nie żeńską sylwetkę widziała w piątek rano na polu. A potem znalazła męskie ubranie wiszące na sznurze do prania. Zaryzykowała. Trafiła.

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział wtedy Kuba Karpiuk.

– Wiem – odparła.

– Proszę na mnie nie patrzeć – poprosił. – Wejdźmy do środka. Tam ciemniej.

Miała wrażenie, że mówił z trudem. Może uszkodzenie krtani po wypadku, a może odwykł od gadania. Drybaczek gotowała coś na kafłowym piecu, a on opowiadał. Jak zostawił list rodzicom. Jak poszedł wtedy do lasu, żeby powiesić się na drzewie. Bo w zasadzie nie miał gdzie indziej. I nie chciał, by go znaleźli, a szczególnie matka. Ale nie potrafił i szedł, szedł coraz dalej. Aż doszedł tutaj.

– Irena mnie przygarnęła – powiedział i Nina miała wrażenie, że na te słowa drobne plecy kobiety zastygły w miejscu. W domu znajdowała się chyba tylko jedna sypialnia, w obszernej kuchni nie dostrzegła drugiego łóżka.

– To pan obserwował dom Wańczyków, prawda?

Poczerwieniał pod tymi wszystkimi bliznami. Podeszedł do Ireny, górując nad nią o głowę. A potem szepnął coś kobiecie do ucha. Ninie zdawało się, że ta odpowiedziała, równie cicho. Kuba Karpiuk pocałował Drybaczkę lekko w głowę i kobieta wyszła.

Dopiero kiedy drzwi się za nią zamknęły, powiedział:

– Nie mogłem się powstrzymać, żeby tam nie chodzić. Ja... nic nie zrobiłem. Chciałem tylko popatrzeć.

– Wiem.

– Czy to była ona? Czy to była Ada? Nigdy nie widziałem jej z bliska. Uciekałem, kiedy szła w moją stronę. Nie chciałem, by widziała mnie takim. I kiedyś tu przyszła, ale schowałem się. Nie odważyłem się wyjść.

– Nie, Kuba. To nie była Ada. – Zdawało jej się, że mężczyzna odetchnął. – To moja przyjaciółka Joanna. I myślę... że ona nie żyje.

– Przykro mi.

Pokiwała głową.

– Czy ktoś wie, że tu jestem? Poza panią?

– Nie.

– Niech pani mnie nie zdradzi. Proszę.

– Nie wiem, czy mogę to obiecać.

– Proszę spróbować. Niech pani o mnie pomyśli jak o martwym. A po co gadać o martwych ludziach?

– Pan żyje.

– Tylko dlatego, że nie potrafię umrzeć. Nigdy nie ma się tego, czego się chce, prawda?

Nie umiała mu na to odpowiedzieć.

– Kuba – powiedziała tylko – mam do ciebie pytanie. To, co odpowiesz, zostanie na zawsze między nami. Czy mogę?

– Tak – odparł. – Ale nie gwarantuję odpowiedzi.

– W porządku. Kto kierował samochodem? Wtedy, kiedy był wasz... wypadek.

Obserwowała zmaltretowaną twarz mężczyzny, szukając na niej najmniejszego zawahania.

– Ja. Oczywiście, że ja – odpowiedział Kuba Karpiuk, a w jego głosie brzmiała stal.

Doprowadziła ojca do syna. Wyszła na zewnątrz. Była intruzem; nie dawała sobie prawa do oglądania tej sceny. I nawet nie umiała sobie wyobrazić, jakie to będzie miało konsekwencje. Dla życia obydwu Karpiuków. I ludzi dookoła nich.

Trzy dni później Warwiłow zaparkowała toyotę na Płatowcowej na warszawskim Mokotowie. Do przejścia miała ledwie kilkadziesiąt metrów. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu.

Nie omyliła się w górach. Niestety. Ciało zostało odnalezione. Zakopane w ziemi pod warstwą betonu. Joanna otrzymała, prawdopodobnie siekierą, tak silne uderzenie w szyję, że niemal odrąbano jej głowę. Komisarz przypomniała sobie wtedy uroczego flirtującego Rafała Łowickiego. I ciepłą Anetę.

Ciało prześwietlano teraz w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów. Czują, że Karpiuk coś znajdzie, że Łowiccy popełnili błąd. A jeśli nie?

Nadkomisarz niechętnie z nią rozmawiał, jeśli w ogóle na nią nie warczał, ale Warwiłow podpytywała Całkiewicza, który monitorował sprawę.

Kora tonęła w długach, suma wierzytelności przekraczała trzysta tysięcy, a sąddecki bank wysłał Łowickim ostatnie ostrzeżenie niecały tydzień przed zabójstwem Joanny. To przesądziło o zbrodni. W ten sposób to bank, nie pierwszy i nie ostatni raz, przyczynił się do śmierci człowieka.

Rafał z Anetą czekali ze spłatą raty, aż sprawa przycichnie. W Korze Karpiuk znalazł kilkadziesiąt tysięcy złotych nieznanego pochodzenia, kwotę, która wystarczyłaby na zaspokojenie pierwszego głodu banku, lecz nie rozwiązałaby problemu zadłużenia na dobre.

Leszek Kosmański został przesłuchany, ale Karpiuk podzielał jej zdanie, że posłużył tylko za przykrywkę. Łowiccy nie przyznawali się do niczego. I nie wiadomo było, czy gdzieś jeszcze znajdowały się pieniądze Joanny.

Wiedziała, że to będzie ciężki proces.

Na pewno cięższy niż Nicińskiego, który ponownie przyznał się do zamordowania Jerzego Marka. Po kolejnych przesłuchaniach podinspektor Całkiewicz postanowił przekazać drwała do



dyspozycji gorlickiej prokuratury.

A ona sama, zdenerwowana, dzwoniła teraz do drzwi przytulnego bliźniaka tuż obok Fortów na Raławickiej.

– Tak, słucham? – Po kilkunastu sekundach usłyszała kobiecy głos zza drzwi.

– Komisarz Nina Warwiłow – powiedziała głośno.

Cisza.

– W jakiej sprawie?

– Tylko porozmawiać. Proszę mnie wpuścić.

Mogło minąć jeszcze kilka sekund, zanim drzwi się otworzyły. Powoli i niepewnie, jakby były nieśmiałe.

– Czy mogłabym zobaczyć pani legitymację? – odezwała się kobieta. W półcieniu tycego przedpokoju Warwiłow nie widziała jej dobrze.

Wyjęła i wystawiła odznakę.

– Przepraszam – powiedziała kobieta. – Tyle się słyszy o oszustwach.

– W porządku. Gdzie możemy porozmawiać?

– Proszę za mną.

Usiadły przy stole w dużym pokoju. Na ścianie wisiało zdjęcie łysego faceta i dziecka. A więc w tym domu istniało życie rodzinne.

Kobieta nie zaproponowała nic do picia. I dobrze. Była szczupłą, włosy miała kasztanowe, chyba niefarbowane albo bardzo delikatnie. Twarz ładną, odrobinę lisią.

I szklane oko. Sztuczne, nieruchome. Duże i smutne.

– Pani Adrianna Wańczyk, prawda?

Kobieta drgnęła.

– Mam na nazwisko Malinowska.

– A panieńskie?

Nie odpowiedziała.

– Jestem z policji – powiedziała Warwiłow. – Ale to nie to, co pani myśli.

– Skąd pani wie, co myślę? – Kobieta zaśmiała się nieszczerze.

– Tego nie wiem. Ale wiem o wypadku. O Kubie. O sprzedaży domu. Przez tydzień byłam w Bukowcach. Niedawno wróciłam.

Kobieta znowu drgnęła.

– Bardzo tam pięknie – dodała komisarz.

Cisza.

– Pani Adrianno, od wypadku minęło osiemnaście lat. A cokolwiek się wtedy wydarzyło, nie było zbrodnią. Nie miałyby klasyfikacji zbrodni. Czy pani rozumie, co to oznacza? Myślę, że tak. W końcu mąż jest prawnikiem, prawda?

– On nic nie wie.

– Jak pani wyjaśniła... oko?

– Choroba dziecięca – powiedziała bez zająknięcia.

– Mądrze – odparła Warwiłow, mistrzyni relacji małżeńskich. – W takim razie ja pani powiem. Cokolwiek pani zrobiła, to się przedawniło. Poza tym, nikt tego nie ściga. Dowody nie istnieją. Samochodu nie ma. A świadek...

– On... on nie żyje – wymamrotała Adrianna. Prawe oko zalsnęło łzą.

– Nikt pani nie oskarży.

– Przepraszam. – Ada wzięła chusteczkę. – Po co właściwie pani tu przyjechała? – zapytała po chwili.

– Po prawdę, jak zawsze – oznajmiła z mocą. – Ada, kto prowadził samochód? Nie będę cię ścigać. Nikt nie może cię ścigać. Już jest po sprawie.

Nie wiedziała, czy dostanie odpowiedź. Zakładała jednak, że każdy bardziej lub mniej chce się uwolnić od brzemienia. Nie omyliła się.

– Ja – powiedziała cicho Ada. – Ja prowadziłam to auto. Byłam pijana, obydwoje byliśmy. Droga do Bukowców jest nierówna, ale ja się przecież tam wychowałam. Wydawało mi się, że znam każdą dziurę.

– Pamiętasz to?

– Wskoczyliśmy na czymś, potem wpadliśmy w jeszcze jedną dziurę, kierownica wypadła mi z rąk, wlecieliśmy do rowu. Pamiętam hałas i ból. Coś rąbnęło mnie w oko. Właśnie to – wskazała na szklane – jak się można domyślić. A potem stanęliśmy. Kuba... Myślałam, że on nie żyje. Na twarzy miał miazgę. – Zapłakała znowu. – Strasznie mnie bolało, ale

wiedziałam, że jeśli nas znajdą, pójdę siedzieć. Przeciągnęłam go na miejsce kierowcy, a sama poszłam po pomoc.

– Przewieźli cię do Krakowa.

– Tak, przeszłam operację. Kuba przeżył. Wiedziałam, że jego ojciec pracuje w policji. Ale nie rozmawiałam z nim, tylko z innymi, bo ten ojciec wrócił do Gorlic. Oni w ogóle mnie nie lubili, Karpiukowie, uważali za jakąś wieśniaczkę, co uwiodła im syna. A my naprawdę się kochaliśmy. Potem czytałam w gazetach o naszym wypadku. Dostałam sztuczne oko. Po zabiegu zwiłam ze szpitala. Bałam się odpowiedzialności. Pojechałam stopem do Warszawy. Dalej... chyba już nie chcę mówić.

– W porządku. Dziękuję.

Ada pokiwała głową.

– Niech pani już idzie – poprosiła. – Czy powinnam się spodziewać aresztowania za sekundę?

– Nie – odparła Warwiłow. – Nie powinna pani. Nie aresztowania.

Wróciła do samochodu. Siedział na siedzeniu pasażera, kryjąc twarz za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi.

– Ona na ciebie czeka – powiedziała Warwiłow.

– Czy Ada...

– Tak, wie. Czeka na ciebie. Ma męża, myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

Kuba Karpiuk zapatrzył się przed siebie. Teraz, jak już przyzwyczaiła się do jego blizn, dostrzegła, jak szlachetne i regularne miał rysy. Zaczynała dostrzegać wrażliwego, bystrego mężczyznę pod warstwą cierpienia i bólu. I widziała, jak to przeżywa: spotkanie miłości swojego życia.

– Idź.

– Czy ty... – Otworzył sobie drzwiczki, wyszedł z samochodu i stał tak na wietrze niepewny, w starym płaszczu.

– Będę tu na ciebie czekała. Nie skażę cię na taksówkę, Kuba – zapewniła.

Obserwowała, jak Ada otwiera drzwi i stoją tam przez chwilę, patrząc na siebie. A potem, jak on zdejmuje okulary. A za chwilę ona zrobiła pół kroku do tyłu, Kuba Karpiuk wszedł i drzwi się

zamknęły.

Wbrew sobie pomyślała teraz o Drybaczce, małej Irenie Drybak, czterysta kilometrów stąd, w odległych Bukowcach. Jak siedzi przy swoim stole pokrytym czystą ceratą, nad szklanką z metalowym, ozdobnym uchwytem. Przegryza herbatę chlebem z masłem własnej roboty. Jak czeka. Na mężczyznę, który może już nigdy nie wróci.

Po południu Warwiłow położyła Miłę spać. Kurier dobijał się do niej cały poranek, nawet nie wiedziała, co zamówiła; może to była sprawka Maćka. Chciała chłopaka spuścić na drzewo, ale się uparł.

– Będę w domu dopiero o szesnastej – powiedziała.

– Poczekam.

Odebrała Miłę z unijnie sponsorowanego żłobka, do którego niedawno ją posłała. Mała była tam kilka dni, a społecznie dojrzała jak w rok. Efektem ubocznym szalonych harców okazało się zmęczenie i Nina przeniosła śpiącą Miłę na rękach aż na samą górę do loftu.

Uparty kurier zadzwonił domofonem kilka minut później.

– Winda?

– Nie ma.

– Żartuje sobie pani?

Minęło chyba z dziesięć minut, kiedy zmęczony zadzwonił do jej drzwi.

– Zaraz wstawię – powiedział czerwony na twarzy chłopak. – Pani podpisze tylko.

Nie widziała paczki. Podpisała na tablecie, zastanawiając się, jaka to zakupowa kompulsja Stassberga ma teraz miejsce; prokurator celował w kolekcjonowanie butów. Z ich dwojga to Warwiłow uprawiała minimalizm.

W ciągu tych trzech dni nie zdążyli „pogadać”; po pierwszym dniu milczenia wyluzowała się, szczególnie ze Maciek po powrocie odnosił się do niej ciepło i z relatywnie niewielkim napięciem. Jednocześnie obchodzili się z pewnym dystansem i jeszcze ze sobą nie spali. Całe szczęście, bo musiałyby się do tego zmusić, kompletnie nie miała ochoty.

Jak wzorowi rodzice razem ogarniali Miłę, grzecznie konwersowali przy kolacji, a potem, po położeniu małej, razem zasypiali na kanapie z telewizją w tle. Była w tym wszystkim

sztuczność, Warwiłow nie wiedziała jednak skąd i na pewno nie miała czasu tego rozgryźć. Dopiero złapała oddech i bardzo chciała odpocząć po śledztwie. A teraz Stassberg zaskakiwał ją, zwracając głowę jakąś głupotą.

Kurier wtargał wielki karton. Jeśli to były buty, Maciek zamówił od razu całą szafę.

– Ale to pojebane. Cztery piętra i jeszcze delikatne. No kurwa. Muszę zmienić robotę, zanim plecy pójdą – oznajmił chłopak.

Bo też karton okazał się pokaźny, niewiele niższy od niej. I najwyraźniej proporcjonalnie ciężki.

– Co to? – zapytała.

– A ja wiem?

Czekała.

– Nie mam pojęcia, co to jest. Może to mój... partner? – powiedziała, niezdecydowana i nagle zmęczona.

– Napisane „Nina Warwiłow” – poinformował kurier.

– W takim razie tym bardziej nie wiem – zdecydowała. – Niczego nie zamawiałam.

– Czy pani myśli, że ja to będę targał z powrotem? Nic pani nie musi płacić – zapewnił. – Wszystko z góry poszło.

– Nie zamawiałam – powtórzyła. – I chyba nie powinnam tego przyjmować.

– Podpisała pani.

– Ale nie chcę. – Wzruszyła ramionami.

– Ja tego nie znoszę – powiedział. – Jak pani chce, niech pani na mnie doniesie.

Zbiegał już po schodach, jakby miała go ścigać. Zamknęła drzwi, sam na sam z kartonem. Kilkanaście metrów dalej słodko pochrapywała Mila. Warwiłow wiedziała, że nie powinna tego otwierać. Na ładunek wybuchowy było jednak chyba trochę za duże. Zanim to przemyślała, wzięła nóż, przecięła z góry karton i przebiła się przez bąbelki.

O mało nie drasnęła ostrzem drewna.

Powoli wyciągnęła zawartość z pudła, a potem ustawiła delikatnie na ziemi, starając się przy okazji nie zarysować parkietu z jesionu.

Rzeźba z jasnego drewna była mniejszą i artystycznie zmodyfikowaną Niną, rozpoznawalną jednak po kościach policzkowych i nosie. Piękną i całkiem nagą.

Wysłał. Wbrew swoim zasadom. Nie przyjechał.

Postawiła rzeźbę przed kanapą. Usiadła i przeniosła się do Bukowców, do pracowni Wojtka. Przypomniała sobie jego zapach i dotyk jego szorstkiej skóry na opuszkach palców.

Usłyszała klucz w drzwiach. A potem ten charakterystyczny, jakby pełen satysfakcji gest domownika, który orientuje się, że nie musi otwierać drzwi. Bo w domu ktoś jest.

W salonie stał już Maciek.

– Cześć, kochanie – rzucił, bezwiednie podchodząc do stołu i kładąc na nim torbę wraz z drobnymi zakupami. Nie przepadała za tym obyczajem u zazwyczaj pedantycznego prokuratora. Dopiero wtedy skierował na nią ożywione spojrzenie.

I znieruchomiał, patrząc na rzeźbę. Na nagą drewnianą Ninę.

Obserwowała, jak jego jasna twarz ciemnieje. Widziała zdziwienie i smutek, a potem ból w oczach prokuratora. Nie potrafiła wymówić ani słowa. Albo nie chciała.

Odwrócił się i oparł ręce o stół. Jak sparaliżowana obserwowała jego wyrobione pływaniem plecy, ciasno opięte wełnianą marynarką. Dostrzegła w nich napięcie. Chwilę później prokurator szybkim krokiem skierował się ku wyjściu.

Odwróciła wzrok, od niego i od rzeźby. Usłyszała jęk zamykanych drzwi i energiczne, ale szybko cichnące kroki na klatce schodowej.

Dopiero teraz dostrzegła, że na stole kuchennym jest coś jeszcze. Przypomniała sobie zaciśniętą pięść Maćka. Prokurator coś w niej trzymał, potem położył to na stole. Wstała i podeszła bliżej.

Stało tam pudełeczko powleczone czarnym aksamitem. Nie mogła się zmusić, żeby je otworzyć.

Sekretariat: ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl  
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl  
edyta@czarne.com.pl  
Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
redakcja@czarne.com.pl  
Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl  
Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48  
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl  
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl  
magda.jobko@czarne.com.pl  
Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl  
Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl  
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl  
Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl  
Skład: d2d.pl  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków  
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl  
Wołowiec 2019